


NOWY BESTSELLER WIELKIEGO MISTRZA PRZYGODY
Z DIRKIEM PITTEM

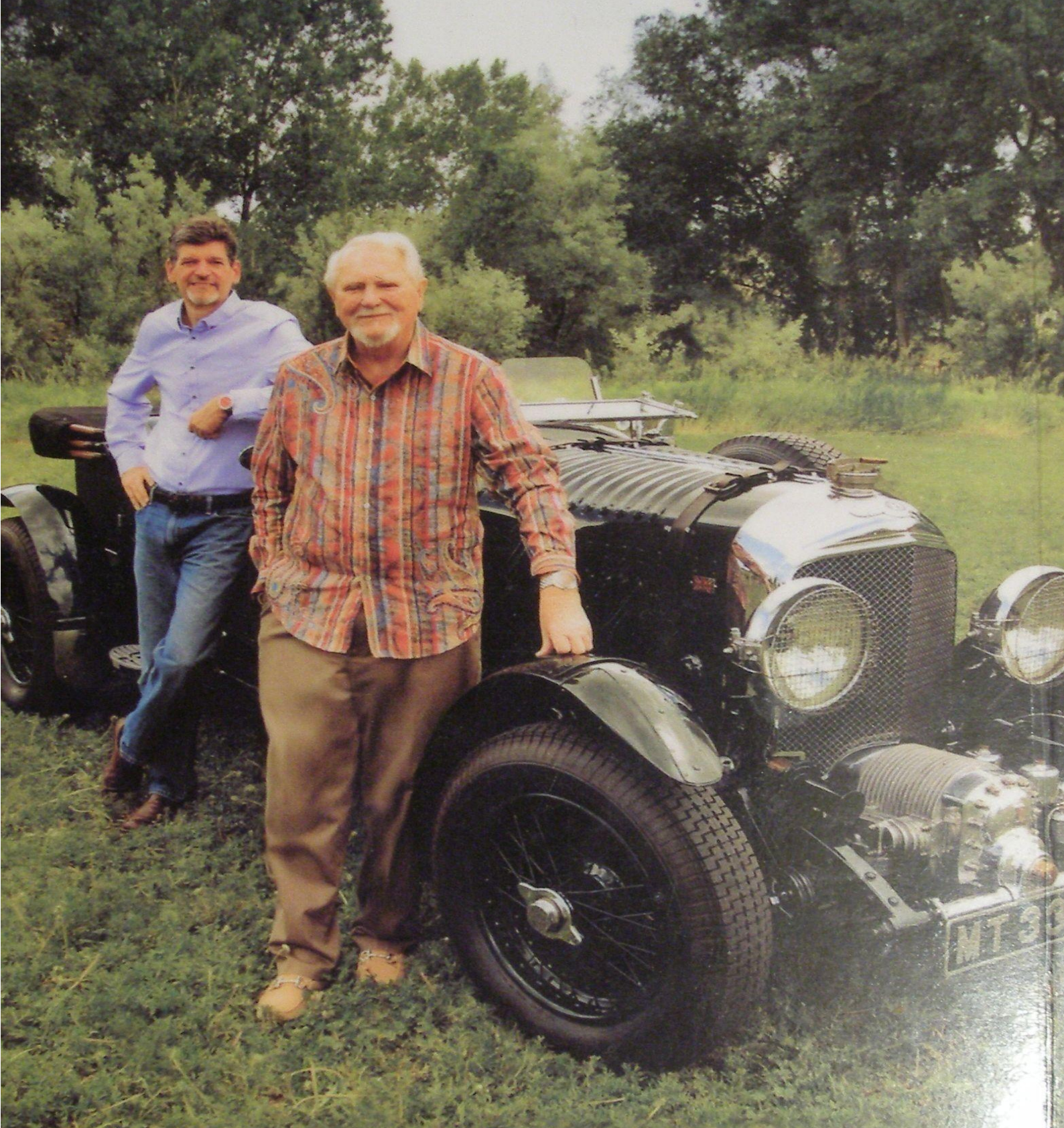

AMBER

CLIVE CUSSLER

DIRK CUSSLER



BURZA
NAD HAWANA



**CLIVE i DIRK przy samochodzie
Blower Bentley 4 1/2 Litre z 1929 roku**

Cena det. zł 44,80

www.wydawnictwoamber.pl



978-83-241-5344-2



9 788324 153442

Burza nad Hawaną

Rok 1898.

Amerykański pancernik „Maine” eksploduje w porcie w Hawanie. Na jego pokładzie było dwustu sześćdziesięciu marynarzy... i kamienna, przełamana tablica.

Rok 2016.

Kuba: kandydat na prezydenta zostaje zamordowany. Morze Karaibskie: rybacy są świadkami podwodnego wybuchu. Chwilę później giną zastrzeleni. Wybrzeże Kuby: nurkowie prowadzący odwierty dostrzegają nieznaną łódź podwodną. Tracą łączność ze swoim statkiem i zostają uwięzieni na dnie oceanu.

Ratuje ich Dirk Pitt. To początek kolejnej niebezpiecznej przygody Pitta i jego dzieci, Dirka i Summer.

I wyścigu z czasem o rozwiązanie zagadki zaginionej kamiennej tablicy Azteków oraz szalonego spisku, który może doprowadzić do globalnej katastrofy...

Clive Cussler

Najpopularniejszy i najbardziej lubiany autor powieści przygodowo—sensacyjnych świata. Jego bestsellery sprzedano w kilkuset milionach egzemplarzy. Są tłumaczone na ponad 60 języków i publikowane w 105 krajach. Podróżnik, badacz historii katastrof morskich, poszukiwacz zatopionych wraków słynnych statków i okrętów, autorytet w dziedzinie żeglugi morskiej, jest uosobieniem przygody — tak jak jego najsłynniejszy bohater, Dirk Pitt.

Clive Cussler to jedyny autor, który od 40 lat nie schodzi ze szczytu list bestsellerów. W każdym tygodniu jego książki są w pierwszej dziesiątce list „New York Timesa”. Na każdą jego powieść czekają niecierpliwie wierni czytelnicy w każdym wieku. I każda zdobywa nowych.

Powieści Clive’a Cusslera
z Dirkiem Pittem
AFERA ŚRÓDZIEMNOMORSKA
ATLANTYDA ODNALEZIONA
CERBER CYKLOP
CZARNY WIATR
LODOWA PUŁAPKA
NA DNO NOCY
ODYSEJA TROJAŃSKA

OPERACJA „HF”
POTOP
SAHARA
SKARB
SKARB CZYNGIS-CHANA
SMOK
STRZAŁA POSEJDONA
ŚWIT PÓŁKSIĘŻYCA
VIXEN 03
WIR PACYFIKU
WYDOBYĆ „TITANICA”
ZABÓJCZE WIBRACJE
ZŁOTO INKÓW

Z Archiwów NUMA
ARKTYCZNA MGŁA
BIEGUNY ZAGŁADY
BŁĘKITNE ZŁOTO
DIABELSKIE WROTA
MEDUZA
OGNISTY LÓD
PODWODNY ZABÓJCA
PUNKT ZERO
SZTORM
WAŻ
ZAGINIONE MIASTO
ŻEGLARZ

z serii Oregon

DŻUNGLA
KORSARZ
MILCZĄCE MORZE

MIRAŻ
STATEK ŚMIERCI
ŚWIĘTY KAMIEŃ
TAJNA STRAŻ
WYBRZEŻE SZKIELETÓW
ZŁOTY BUDDA

z Isaackiem Bellem

POŚCIG
ZAMACHOWIEC
SZPIEG
WYŚCIG

z Samem i Remi Fargo

ZŁOTO SPARTAN
ZAGINIONE IMPERIUM
KRÓLESTWO
SKARBY GROBOWCÓW

oraz

PODWODNI ŁOWCY
PODWODNI ŁOWCY 2

**CLIVE
CUSSLER**
DIRK CUSSLER

BURZA
NAD HAWANĄ

Przekład
JACEK ŻŁOTNICKI



Redakcja stylistyczna Joanna Złotnicka

Korekta Hanna Lachowska Magdalena Stachowicz

Ilustracja na okładce © Tom Hallman

Zdjęcie autorów © Dayna Cussler

Ilustracje Richard Dahlquist

Tytuł oryginału Havana Storm

Copyright © 2014 by Sandecker, RLLLP All rights reserved.

By arrangement with Peter Lampack Agency, Inc. 350 Fifth Avenue, Suite 5300
New York, NY 10118 USA.

For the Polish edition

Copyright © 2015 by Wydawnictwo Amber Sp. z o. o.

Druk

POZKAL

ISBN 978-83-241-5344-2

Warszawa 2015. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o. o.

02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63 tel. 620 40 13, 620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

Wersja elektroniczna:

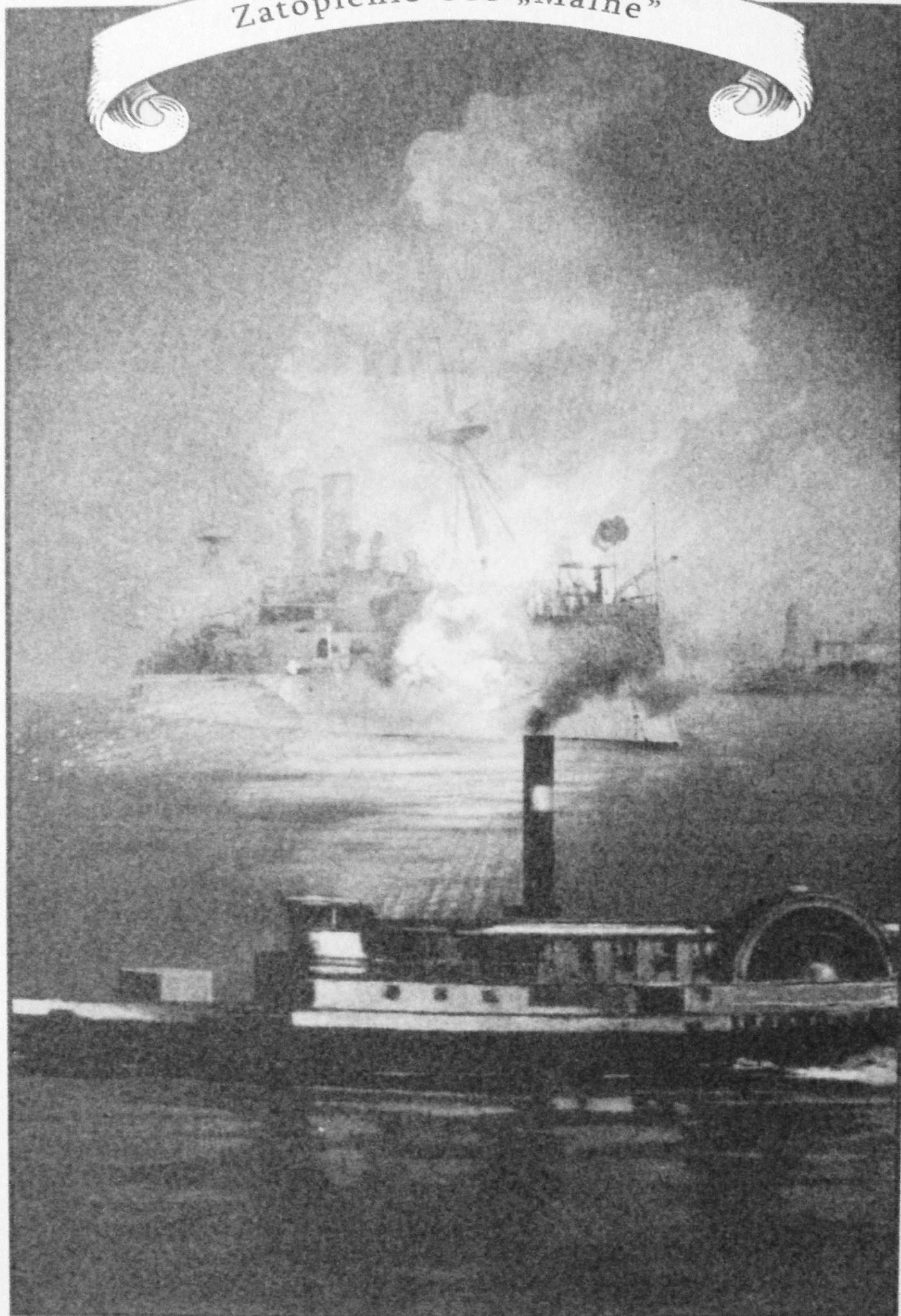


Dirk Pitt

Prolog

ŚCIGANY

Zatopienie USS „Maine”



15 lutego 1898

Strugi potu spływały mu po twarzy, perląc się na nieogolonych policzkach. Przyciągnął do piersi rękojeści ciężkich drewnianych wiosel i pochylił głowę, by otrzeć czoło ubłoconym rękawem. Mimo dotkliwego bólu ramion nie przerwał powolnego, miarowego wiosłowania.

Jednak to nie wysiłek ani tropikalny upał sprawiał, że pocił się tak obficie. Słońce dopiero przed chwilą wychynęło zza widnokręgu, a nieruchome powietrze nad hawańskim portem było chłodne i wilgotne. Główną przyczyną przyspieszonego rytmu jego serca był lęk przed pościgiem. Wciąż błdził po wodzie nieobecny spojrzeniem i co chwila dawał głową znaki siedzącemu za nim mężczyźnie.

Minęły już prawie dwa tygodnie, odkąd hiszpańscy bojówkarze po raz pierwszy spróbowali przywłaszczyć sobie jego odkrycie, zmuszając go do ucieczki. Trzej jego towarzysze zginęli w obronie artefaktu. Hiszpanie nie mieli żadnych skrupułów i jego również zabiliby bez mrugnięcia okiem, byle tylko dostać to, czego chcieli. Raz już niewiele brakowało, aby dopięli swego, ale ich zamiary pokrzyżowało przypadkowe spotkanie ze zbrojnym oddziałem kubańskich rebeliantów. Kubańczycy nie tylko ocalili mu życie, ale i zadbali o to, by bezpiecznie dotarł do Hawany.

Spojrzał przez ramię na dwa okręty zacumowane do beczek na kotwicowisku portu handlowego.

— *Al estribor*— wychrypiał. — W prawo.

— *Sí* — odparł posłusznie siedzący za nim Kubańczyk, który pracował przy drugiej parze wiosel. On też miał na sobie brudne i podarte ubranie, a jego twarz ginęła w cieniu znoszonego słomkowego kapelusza.

Wspólnym wysiłkiem skierowali przeciekającą łajbę w stronę nowoczesnych stalowych okrętów. Starszy z mężczyzn po raz kolejny zlustrował port w poszukiwaniu potencjalnego zagrożenia, ale wyglądało na to, że w końcu udało mu się wymknąć prześladowcom. Jeszcze chwila, a będzie bezpieczny.

Wiosłując wytrwale, minęli mniejszy okręt, z hiszpańską banderą na maszcie, i zbliżyli się do drugiego. Był to krążownik pancerny, którego dwulufowe wieże działowe dziwacznie wystawały poza obrys burt. Pokład i nadbudówki barwy słomy odcinały się od śnieżnobiałego kadłuba. Mimo wstającego dnia na okręcie wciąż jarzyły się latarnie, przez co połyskiwał niczym oszlifowany bursztyn.

Na dziobie i na rufie rozstawione były strażę, co wskazywało na stan podwyższonej gotowości. Oficer w ciemnym mundurze wyszedł na skrzydło pomostu i przyglądał się nadpływającej szalupie.

— Zatrzymać się i podać swoje zamiary — powiedział przez uniesioną do ust tubę głosową.

— Jestem doktor Ellsworth Boyd z Uniwersytetu Yale — przedstawił się drżącym głosem starszy mężczyzna. — Konsulat amerykański w Hawanie zapewnił mi schronienie na tym okręcie.

— Proszę czekać.

Oficer zniknął za drzwiami sterówki. Po kilku minutach wrócił na pokład w towarzystwie kilku marynarzy, którzy rozwinęli na burcie drabinkę sznurową i dali gościom sygnał, aby podплыли bliżej. Gdy łódź zazgrzytała o kadłub krążownika, Boyd wyprostował się i rzucił marynarzom linę.

— Mam tu skrzynię, którą muszę zabrać ze sobą — oznajmił. — To bardzo ważne.

Strącił nogą kupkę palmowych liści, które osłaniały wciśniętą pod ławkę pękatą drewnianą skrzynię. Jeszcze raz rozejrzał się dookoła, a gdy marynarze zrzucili kolejne liny, z pomocą towarzysza oplótł nimi skrzynię i uważnie przyglądał się wciąganiu pakunku na pokład.

— Musi zostać na pokładzie — powiedział oficer, a dwaj jego ludzie przesunęli ciężką skrzynię i przymocowali ją do nawiewnika.

Boyd wręczył swojemu towarzyszowi złotą monetę, wymienił z nim pożegnalny uścisk dłoni i ruszył w górę po sznurowej drabince. Chociaż był po pięćdziesiątce, zachował doskonałą kondycję fizyczną, a dzięki corocznym zimowym ekspedycjom badawczym na Karaibach bez problemu aklimatyzował się w wilgotnych tropikach. Miał jednak świadomość, że młodość już przeminęła, dlatego wspinając się na pokład, starał się ignorować dotkliwy ból stawów i nękające go od pewnego czasu uczucie ciągłego zmęczenia.

— Porucznik Holman — przedstawił się oficer. — Oczekiwaliśmy pana, doktorze Boyd. Zaprowadzę pana do kabiny gościnniej, gdzie będzie się pan mógł odświeżyć. Ze względów bezpieczeństwa jestem zmuszony prosić, by chwilowo nie opuszczał pan tego pomieszczenia. Później, o ile pan zechce, z przyjemnością oprowadzę pana po okręcie, a tymczasem postaram się jeszcze dziś umówić pana na rozmowę z dowódcą.

— Dziękuję, panie poruczniku. — Boyd wyciągnął rękę w kierunku oficera. — Doceniam pańską gościnność.

Holman mocno uściśnął podaną mu dłoń i rzekł oficjalnym tonem:

— W imieniu dowódcy i całej załogi witam pana na pokładzie krążownika pancernego USS „Maine”.

Pod wpływem lekkiego wieczornego pasatu kadłub „Maine” obracał się na cumie, aż wreszcie jego dziób skierował się ku centrum Hawany. Marynarze pełniący służbę na pokładzie z ulgą powitali bryzę, która przegoniła nieprzyjemny odór znad brudnych portowych wód.

Wiatr niósł też od strony miasta dźwięki wieczornej zabawy — skoczne melodie z nadbrzeżnych barów, śmiech spacerowiczów z pobliskiej promenady Malecón, turkot konnych wozów przejeżdżających po wąskich bulwarach. Te wesołe odgłosy nie poprawiały nastroju marynarzy, którzy od trzech tygodni, odkąd przybili do portu, mieli zakaz schodzenia na ląd. Okręt skierowano tu do ochrony amerykańskiego konsulatu w związku z rozruchami

wywołanymi przez hiszpańskich lojalistów, oburzonych poparciem Stanów Zjednoczonych dla kubańskich rebeliantów.

Energiczne pukanie wprawiło w drżenie drzwi kabiny Boyda. Doktor otworzył je i zobaczył porucznika Holmana w wykrochmalonym i idealnie odprasowanym granatowym mundurze, który najwyraźniej nie poddawał się wpływowi wszechobecnej wilgoci.

Oficer skłonił się lekko i oświadczył:

— Dowódca zaprasza pana na kolację w mesie oficerskiej.

— Dziękuję, panie poruczniku. Proszę iść przodem.

Gorąca kąpiel i długa popołudniowa drzemka wyraźnie odmłodziły Boyda. Szedł pewnym krokiem, jak ktoś, kto właśnie pokonał przeciwności losu. Miał na sobie tę samą koszulę co wcześniej, ale świeżo wypraną, i smoking pożyczony od Holmana. Raz po raz nerwowo naciągał przykrótkie rękawy.

Wkrótce dotarli do niewielkiej mesy oficerskiej znajdującej się w pobliżu rufy. Przy stole pośrodku pomieszczenia, nakrytym białym obrusem i zastawionym lśniąca chińską porcelaną i srebrnymi sztuccami, już siedział dowódca krążownika.

Komandor Charles Sigsbee cieszył się powszechnym szacunkiem ze względu na wyjątkową sumienność oraz wybitne zdolności przywódcze. Okulary z okrągłymi soczewkami i sumiaste wąsy upodobały go raczej do księgowego niż komendanta bojowego okrętu. Na widok przybyłych wstał, a gdy Holman dokonał oficjalnej prezentacji, wymienił z Boydem uścisk dłoni i zaprosił go do stołu.

Mężczyźni usiedli i po chwili steward podał bulion. Boyd starał się nie zwracać uwagi na małego pieska, który przycupnął obok komandora.

— Mam nadzieję, że jest pan zadowolony z warunków zakwaterowania na „Maine” — odezwał się Sigsbee.

— Kabina jest całkiem wygodna — odpowiedział Boyd. — Jestem niezwykle wdzięczny, że wpuszczono mnie na pokład w tak krótkim czasie. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo ucieszyłem się dziś rano na widok „Maine”.

— Niestety, nasz okręt nie został zbudowany z myślą o wygodzie pasażerów — rzekł komandor. — Co prawda skierowano nas na Kubę, by zapewnić powrót do kraju wszystkim Amerykanom, którym zagrażałoby jakiekolwiek niebezpieczeństwo w związku z rozruchami, ale odkąd tu jesteśmy, niepokoje nieco przycichły. Dlatego zaskoczyła mnie depesza z konsulatu w Hawanie, w której bez słowa wyjaśnienia proszono o przyjęcie pana na pokład i przewiezienie do Stanów.

Boyd westchnął.

— Miejscowy konsul jest zaprzyjaźniony z moją rodziną w Wirginii i wspaniałomyślnie zaoferował mi pomoc — wyjaśnił. — A proszę mi wierzyć, że naprawdę znalazłem się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

— Porucznik Holman powiedział mi, że jest pan antropologiem z Uniwersytetu Yale.

— Owszem, zajmuję się badaniem kultur karaibskich ludów tubylczych. Niedawno zakończyłem zimowy program wykopaliskowy na Jamajce i tylko przypadek sprawił, że znalazłem się na Kubie.

Steward sprzątnął talerze po zupie i wrócił niebawem z opiekaną rybą.

— Czy skrzynia, którą zabraliśmy na pokład — wtrącił się Holman — pochodzi z pańskich wykopalisk?

Boyd potwierdził skinieniem głowy.

— Może więc po kolacji pokazałby nam pan swoje znalezisko i wyjaśnił, czemu jest takie cenne? — zaproponował komandor.

Twarz naukowca stężała.

— Wolalbym z tym poczekać, aż znajdziemy się na pełnym morzu — powiedział cicho.

— Jak znalazł się pan w Hawanie? — zainteresował się Holman.

— Dwa tygodnie temu opuściłem Montego Bay na pokładzie parowca „Orion”, płynącego do Nowego Jorku, ale krótko po wyjściu z portu nastąpiła awaria kotła i musieliśmy zawinąć do Cárdenas, gdzie wyokrętowano wszystkich pasażerów. Powiedziano nam, że naprawa statku potrwa co najmniej trzy tygodnie. Postanowiłem więc dostać się łądem do Hawany i złapać statek pocztowy kursujący do Key West. Niestety, wtedy zaczęły się prawdziwe kłopoty.

Boyd sięgnął po szklanę z wodą i wypił łyk, aby zwilżyć gardło. Sigsbee i Holman cierpliwie czekali na dalszy ciąg opowieści.

— Wszystko przez Rodrigueza — podjął wreszcie, a jego oczy zapłonęły czystą nienawiścią.

— Jakiego Rodrigueza? — spytał Holman.

— To hiszpański archeolog. Odwiedził nasz obóz na Jamajce. Musiał się jakoś dowiedzieć o naszym odkryciu, bo potem widziałem go na „Orionie”. Wyraźnie nas obserwował. To nie mógł być przypadek. — Głos Boyda drżał z bezsilnej wściekłości. — Nie mam na to żadnego dowodu, ale jestem pewien, że to on uszkodził statek.

— Co się wydarzyło po dotarciu do Cárdenas? — zapytał kapitan, marszcząc brwi.

— Towarzyszyli mi dwaj studenci i asystent, Roy Burns. Wynajęliśmy muła i wóz, na który zapakowaliśmy skrzynię i nasze rzeczy. Następnego ranka ruszyliśmy do Hawany, ale już pierwszej nocy na postoju zostaliśmy napadnięci. — Oczy Boyda zaszklily się na wspomnienie bolesnych chwil. — Zaatakowała nas grupa uzbrojonych jeźdźców. Poobijali Burnsa i mnie i chcieli porwać wóz. Jeden ze studentów dobył noża i próbował ich powstrzymać. Rozplatali go ciosem maczety, zabili też jego kolegę. Chłopcy nie mieli żadnych szans.

— To byli hiszpańscy żołnierze? — spytał Sigsbee.

Naukowiec wzruszył ramionami i pokręcił głową.

— Nie wiem — odparł. — Mieli mundury i broń, ale wyglądali raczej na członków jakiejś bojówki. Nie zauważyłem u nich żadnych insygniów.

— Pewnie wejleryści — orzekł Holman. Było to ekstremistyczne ugrupowanie paramilitarne, które pozostało wierne hiszpańskiemu gubernatorowi Kuby generałowi Valeriano Weylerowi, odwołanemu niedawno z tej funkcji z powodu stosowania brutalnych metod podczas walki z rebeliantami.

— Być może — zgodził się Boyd. — Byli dobrze uzbrojeni, ale nie zachowywali się jak żołnierze regularnej armii. Ruszyliśmy za nimi, chcąc za wszelką cenę odzyskać artefakt. Zatrzymali się w wiosce Picadura. Burns zaczął strzelać, żeby odwrócić ich uwagę, a ja przegoniłem ich konie i przejąłem wóz. Niestety, dostał kulę w pierś i musiałem go tam zostawić... — zawiesił głos i westchnął ciężko.

— Jechałem co koń wyskoczy przez całą noc, ledwie unikając pościgu — podjął po dłuższej chwili. — Z nastaniem świtu ukrywałem wóz w lesie i pieszo ruszałem na poszukiwanie jedzenia i furazu. Przez trzy dni udawało mi się unikać patroli. Podróżowałem wyłącznie nocą, traktami, które miały zaprowadzić mnie do Hawany.

— Niezwykle, że udało się panu wymknąć — wtrącił z uznaniem Sigsbee.

— Nie udało mi się. — Antropolog pokręcił głową z rezygnacją. — Dopadli mnie czwartego dnia. Zdradził mnie ryk muła. To był niewielki patrol, zaledwie czterech ludzi. Kazali mi stanąć przy wozie i już unieśli karabiny, gdy nagle zza drzew padły strzały. Wszyscy czterej Hiszpanie runęli martwi na ziemię. Okazało się, że z pomocą przyszedł mi oddział kubańskich partyzantów, którzy obozowali niedaleko i usłyszeli zamieszanie.

— Nie próbowali odebrać panu skrzyni? — spytał Holman.

— Nie, interesowała ich tylko broń zabitych. Traktowali mnie jak swego *compadre*, najwyraźniej uznawszy, że również jestem wrogiem Hiszpanów. Odprawdzili mnie aż do przedmieść Hawany.

— Słyszałem, że Kubańczycy, choć niewyszkoleni, są bardzo dobrymi żołnierzami — rzekł Sigsbee, wyraźnie zainteresowany opowieścią.

— Mogę to potwierdzić — odparł Boyd. — Gdy Hiszpanie znaleźli swoich zabitych towarzyszy, zebrali wszystkie siły i ruszyli za nami, pałając żądzą odwetu. Rebelianci ostrzeliwali ich z zasadzek, spowalniając pościg. Po dotarciu w pobliże Hawany poszli w rozsypkę, ale wcześniej jeden z nich poinformował naszego konsula o sytuacji, w jakiej się znalazłem. Najodważniejszy z partyzantów towarzyszył mi w drodze na nabrzeże, załatwił łódź i pomógł dostać się na „Maine”.

— Ratunek jak z nieba — zauważył z uśmiechem komandor.

— Kubańczycy nienawidzą Hiszpanów i bardzo sobie cenią wsparcie naszego kraju. Prosilili o kolejne dostawy broni.

— Przekażę to, komu trzeba.

Kiedy zamierza pan opuścić Hawanę, panie komandorze? — spytał Boyd.

— Trudno powiedzieć, ale stoimy tu już od trzech tygodni, a zamieszki wygasają. Pod koniec miesiąca mamy być w Nowym Orleanie i nie sądzę, aby coś się zmieniło w tej kwestii. Lada dzień spodziewam się rozkazu powrotu do kraju.

Antropolog pokiwał głową.

— Mając na uwadze dobro nas wszystkich, oby jak najprędzej — rzekł.

— Proszę się nie martwić, doktorze Boyd — wtrącił z uśmiechem Holman. — W całej Hawanie nie ma w tej chwili bezpieczniejszego miejsca niż pokład „Maine”.

Po obiedzie mężczyźni wyszli na pokład rufowy, gdzie wypalili cygara, po czym Boyd wrócił do swojej kabiny. Nadal dręczył go bliżej nieokreślony niepokój. Wiedział, że nie poczuje się całkiem bezpieczny, dopóki nie zobaczy, jak Hawana znika w oddali za rufą „Maine”, i wciąż zdawało mu się, że słyszy głosy Burnsa i zabitych studentów, krzyczących do niego ostrzegawczo.

Nie mógł zasnąć, więc wyszedł na główny pokład, by zaczerpnąć chłodnego wieczornego powietrza. Od strony pomostu dobiegł go dźwięk dzwonu wybijającego wpół do dziesiątej. W całym porcie ludzie szykowali się do hucznego świętowania końca karnawału. Boyd nie zwracał uwagi na hałasy; patrzył nad relingiem na spokojne czarne wody za burtą.

Do krążownika podpłynęła niewielka łódź, która niebawem została obwołana przez jednego z oficerów. Niechlujny rybak, jedyna osoba na pokładzie, pomachał mu opróżnioną do połowy butelką rumu, krzyknął coś niezrozumiale i zawrócił łajbę.

Boyd obserwował, jak łódka lawiruje w pobliżu dziobu krążownika, gdy nagle usłyszał dobywające się z wody metaliczne brzęknięcie. O kadłub okrętu obijała się niewielka skrzynka lub tratwa. Przemieszczała się, zupełnie jakby miała własny napęd. Dopiero po dłuższej chwili antropolog zdał sobie sprawę, że jest holowana przez łódź rybaka.

Poczuł bolesny skurcz żołądka. Spojrzał w stronę mostka i ryknął na cały głos:

— Oficer wachtowy! Oficer wachtowy!

Pod okrętem rozległ się stłumiony huk, a tuż po nim w pobliżu dziobu uniósł się niewielki gejzer. Zanim minęły dwie sekundy, doszło do gigantycznej eksplozji.

Boyd zawisł na grodzi, podczas gdy przednia część krążownika wybuchła niczym rozjuszony wulkan. W powietrze trysnęła fontanna stali, dymu i płomieni, niosąc ze sobą dziesiątki pokiereszowanych ciał marynarzy. Antropolog zacisnął zęby, bo jego ramię przeszył silny ból. Udało mu się nie zwolnić uchwytu, ale mógł tylko bezradnie patrzeć, jak wszędzie wokół niego spada deszcz metalowych odłamków. Nagle, jakby znikąd, pojawiło się bocianie gniazdo, by w ułamku sekundy roztrzaskać się na kupie śmieci tuż przed nim.

Wstał z najwyższym trudem i pokuśtykał wzdłuż pokładu, nie zważając na krzyki uwieczonych pod nim marynarzy. W tej chwili najważniejszy był artefakt. Chwiejnym krokiem ruszył w jego stronę. Jakimś cudem skrzynia pozostała nietknięta i leżała bezpiecznie w pobliżu resztek zgniecionej nawiewnika.

Kątem oka dostrzegł szybko zbliżający się bocznokołowiec. Małeńki parowy stateczek zrównał się burtą z tonącym okrętem, skręcił i przylgnął mocno do jego kadłuba. Chwilę później na pokład weszło trzech mężczyzn spowitych w czerni.

Boyd miał nadzieję, że to grupa ratunkowa, ale tylko do momentu, gdy na ich drodze stanął mechanik w nadpalonym, dymiącym mundurze, jeszcze przed chwilą pełniący wachtę w maszynowni. Jeden z mężczyzn rzucił się na niego, wbił mu nóż między żebra i wyrzucił marynarza za burtę.

Zszokowanego antropologa przeszedł dreszcz. Uświadomił sobie, że ci ludzie nie przybyli tu, by nieść pomoc. To byli pomagierzy Rodrigueza, którzy przyszli po artefakt. Utykając, dopadł do skrzyni, po czym odwrócił się w stronę napastników. O pobliski właz zaskrobała poskręcana łopata, którą wybuch przeniósł aż tutaj z jednego ze składów węgla. Boyd chwycił ją.

Mężczyzna w czerni uniósł zakrwawiony nóż, którego ostrze błyszczało refleksami światła z wszechobecnych płomieni.

Boyd zamachnął się łopata.

Napastnik próbował się cofnąć, ale zalewająca pokład woda spowolniła jego ruch i Boyd trafił go w policzek. Mężczyzna stęknął i opadł na kolana, ale na jego towarzyszach nie zrobiło to żadnego wrażenia. Dostarczyli do antropologa, nim zdążył wziąć drugi zamach, i wytrącili mu łopatę z rąk. W dłoni jednego z nich pojawił się wielki pistolet. Padł strzał.

Kula trafiła Boyda w lewe ramię. Upadł na pokład, a napastnicy odepchnęli go i zaczęli odwiązywać liny oplatające skrzynię.

— Nie! — krzyknął, widząc, jak taszcą pakunek w kierunku burty tonącego okrętu.

Zdołał się podnieść i na miękkich nogach ruszył za nimi. Zobaczył, jak przechylają skrzynię przez burtę, prosto w ręce ludzi na bocznokołowcu. Jeden z mężczyzn na parowcu miał kapelusz z szerokim rondem zakrywającym twarz, mimo to Boyd od razu rozpoznał w nim Rodrigueza.

Zamroczony od utraty krwi, wpadł na bliższego z napastników w czerni. Ten złapał Boyda za rękę i już szykował się, by wypchnąć go do wody, gdy nagle spojrzał w górę i jego twarz przesłonił niewyraźny cień.

Chwilę później zniknął pod wałującym się kominem „Maine”, uszkodzonym podczas wybuchu, a jego ciało zmieniło się w krwawą miazgę. Boyd ocalał, ale noga uwięzła mu pod masą poskręcane metalu. Został przygwożdżony do pokładu tonącego okrętu.

Usiłował unieść przygniatający go element, ale ciężar był zbyt wielki. Po chwili woda zaczęła zalewać mu twarz. Wyprostował się, zaczerpnął głęboko powietrza i ponowił próbę, ale nie udało mu się uwolnić nogi.

Okręt zadrżał potężnie, gdy stępka uderzyła o dno, a chwilę później płomienie dotarły do składu amunicji. W powietrzu zagwizdały kule.

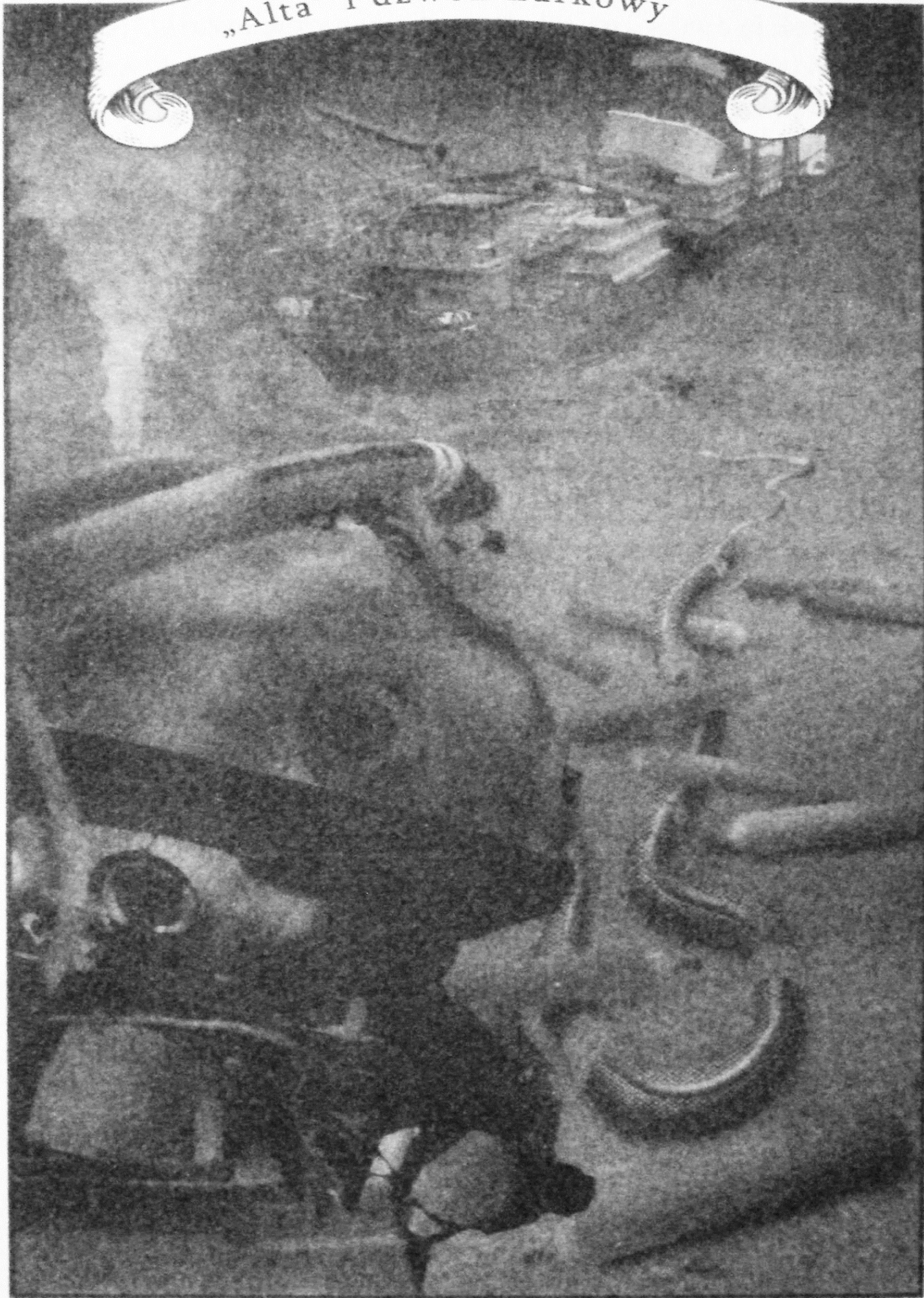
Świadomy, że krążownik tonie, Boyd wynurzył głowę, by złapać ostatni oddech. Zdołał zobaczyć bocznokołowiec odpływający w stronę miasta, ze skrzynią zabezpieczoną na pokładzie rufowym.

Potem wrak „Maine” pociągnął go na samo dno morskiej otchłani.

Część 1

POWIEW MISTYCYZMU

„Alta” i dzwon nurkowy



ROZDZIAŁ 1

Czerwiec 2016

Pękata drewniana łódź rybacka nazywała się „Javina”. Dzięki połączeniu cytrynowej żółci i błękitu, którymi pomalowano kadłub i sterówkę, kiedyś zapewne wyglądała barwnie i wesoło. Ale od tamtej pory minęło już prawie dwadzieścia lat. Słońce i słona woda odebrały kolorom świeżość i teraz łajba prezentowała się blado i anemicznie w zestawieniu z groźnym morskim żywiołem.

Jednak pracujący na niej dwaj Jamajczycy nie przejmowali się marnym wyglądem swojej jednostki. Jeżeli czymkolwiek się martwili, to raczej tym, czy kopący niemiłosiernie silnik zdoła ich dopchać do macierzystej przystani, zanim pompa zęzowa przestanie nadążać z usuwaniem wody z przeciekającego kadłuba.

— Pospiesz się z nakładaniem przynęty, póki tuńczyk jeszcze bierze — powiedział stojący na rufie stary rybak, wydający ręcznie długą linkę za burtę. U jego stóp tłukły się wściekle o pokład dwie duże srebrzyste ryby.

— Spokojnie, wujku Desmondzie — odrzekł młodszy mężczyzna, który nadziewał kawałki makreli na zardzewiałe, ręcznie kute haki. — Słońce dopiero weszło, więc ryba wciąż żeruje na stoku piaszczystej ławicy.

— Może i tak, ale to nie słońce czeka na naszą przynętę — burknął Desmond i zgarnął resztę linki z ponawieszczanymi hakami, po czym wyrzucił ją za burtę, mocując jej koniec do knagi na nadburciu. Ruszył w stronę sterówki, aby zwiększyć obroty silnika, ale zatrzymał się w pół kroku i nadstawił ucha. Głuche dudnienie, niczym grzmot pioruna, przetoczyło się nad łodzią, zagłuszając klekotanie starego diesla.

— Co to było, wujku? — spytał młody.

— Nie mam pojęcia. — Desmond pokręcił głową i w tym momencie zauważył okrągłą ciemną plamę, formującą się na trawersie z lewej burty.

Kadłub „Javiny” stęknął i zadrżał pod ciosem niewidzialnej pięści podwodnej eksplozji. W niewielkiej odległości od nich wystrzeliła na kilka metrów w górę fontanna spienionej wody. Na powierzchni morza powstała wysoka, koncentryczna fala, która pochwyciła łódź i uniosła ją na swym grzbiecie. Desmond złapał za koło sterowe, żeby utrzymać równowagę.

Jego siostrzeniec zachwiał się i spojrzał na wuja wielkimi oczami.

— Co jest? — wykrztusił przerażony.

— Coś się dzieje pod wodą — odparł Desmond, ściskając koło sterowe, aż zbieleły mu kłyckie, bo łódź położyła się mocno na burtę.

„Javina” była przez moment na krawędzi wywrotki, ale potem wyprostowała się i stanęła na równej stępce. Fala opadła i zanikła, zostawiając po sobie tylko krąg białej piany.

— To nie było normalne — powiedział młodszy rybak, drapiąc się w głowę. — Co tu się wyprawia?

Ich łódź znajdowała się ponad dwadzieścia mil od ledwie widocznych na horyzoncie brzegów Jamajki.

Stary wzruszył ramionami i przełożył ster, aby oddalić się od epicentrum podwodnego wybuchu.

— Popatrz tam, na te statki. — Wskazał kierunek ruchem głowy. — Pewnie szukają ropy.

W odległości około mili widać było wielki statek badawczy i wystający wysoko z wody kadłub oceanicznej barki. Przed dziób statku wysunęła się duża motorówka do przewozu ludzi i towarów. Wszystkie trzy jednostki zmierzały w kierunku „Javiny”, a właściwie miejsca, w którym doszło do eksplozji.

— Kto im pozwolił panoszyć się na naszych wodach? — oburzył się młodszy rybak.

Desmond uśmiechnął się.

— Takim wielkim statkiem mogą sobie pływać, gdzie chcą.

Kiedy mała armada podeszła bliżej, na powierzchnię wokół „Javiny” zaczęły wypływać jakieś szczątki. Między nimi walały się kawałki ryb i innych morskich stworzeń porozrywanych wybuchem.

— Tuńczyki! — krzyknął młody. — Zabili nasze tuńczyki!

— Złapiemy więcej w innym miejscu — mruknął Desmond, widząc, że statek badawczy zmierza prosto na nich. — Lepiej zabierajmy się z tej ławicy.

— Najpierw powiem im parę słów do słuchu — oznajmił bojowo jego siostrzeniec i energicznie zakręcił kołem sterowym w lewo, kierując dziób łodzi na statek.

Na motorówce zauważono tę zmianę kursu. Niebieski stateczek przyspieszył i po kilku minutach podszedł do burty „Javiny”. Dwaj ciemnoskórzy mężczyźni na jego pokładzie nie wyglądali na Jamajczyków.

— Natychmiast opuścić ten akwen! — zawołał sternik, po angielsku, ale z bardzo dziwnym akcentem.

— To nasze łowisko! — odkrzyknął młody rybak. — A wy zabiliście nasze ryby. Należy się nam rekompensata za straty.

Sternik spojrział na Jamajczyków bez cienia współczucia i podniósł do ust mikrofon radiostacji. Wywołał statek, złożył krótki meldunek, po czym zwiększył obroty silnika i motorówka odpłynęła.

Wkrótce nad „Javiną” zawisła wysoka czarna burta statku badawczego. Rybacy zaczęli wykrzykiwać swoje skargi, ale nikt z załogi nie zwracał na nich uwagi. Po chwili przy relingu pojawili się dwaj mężczyźni w zgniłozielonych mundurach połowych i unieśli do ramion małogabarytowe automatyczne karabinki.

Desmond pchnął gwałtownie dźwignię obrotów silnika i zakręcił kołem sterowym. W tym samym momencie rozległy się dwa stłumione wystrzały. Młodszy rybak zamarł w bezruchu, kiedy dwa granaty kaliber 40 mm uderzyły o pokład tuż koło jego stóp.

Sterówka znikła w jasnoczerwonej kuli ognia. Płomienie ogarnęły rozerwany kadłub „Javiny”, a słup czarnego dymu wystrzelił ku niebu. Wyblakła farba błyskawicznie szerniała i stara łajba zaczęła tonąć dziobem naprzód. Rufa uniosła się i znieruchomiła na moment, jakby w niezdarnym pożegnalnym geście, a potem łódź pogrzyła się w morskiej głębinie.

ROZDZIAŁ 2

Lipiec 2016

Mark Ramsey nie zdołał powstrzymać lekkiego uśmiechu, śmigając w stanie najwyższej euforii przed główną trybuną. Nozdrza drażnił mu ostry zapach benzyny i spalonej gumy, a przez ryk silnika jego wyścigówki ledwie przebijały się wiwaty publiczności. Jednak główną przyczyną uciechy bogatego kanadyjskiego przemysłowca nie była sama jazda po otwartym torze, lecz pozycja lidera, którą zajmował na dwa okrążenia przed zakończeniem wyścigu.

Prowadząc wyścigowe Bugatti 35 Grand Prix z 1928 roku, był niemal pewnym kandydatem do zwycięstwa w konkurencji samochodowych weteranów. Lekki i zwinny francuski automobil z charakterystyczną chłodnicą w kształcie podkowy był w swoim czasie nie do pokonania na najslynniejszych torach wyścigowych. Ośmiocylindrowy rzędowy silnik z doładowaniem zapewniał Ramseyowi bezpieczną przewagę nad rywalami.

Wkrótce po starcie oderwał się od stawki zabytkowych pojazdów, nie licząc ciemnozielonego bentleya, który uparcie trzymał się kilka długości za nim. Ciężki brytyjski wóz z otwartym czteromiejscowym nadwoziem nie mógł jednak zagrozić błękitnemu bugatti na nachylonych wirażach owalnego toru Old Dominion Speedway.

Ramsey był pewien wygranej. Wychodząc z drugiego wirażu, wcisnął gaz do deski i wypadł na prostą, dublując zapóźnionego stutza bearcata. Z boku mignęła mu biała flaga, którą wymachiwał starter, sygnalizując ostatnie okrążenie. Pozwolił sobie zerknąć w stronę publiczności, przez co nie zauważył, że ścigający go bentley zaczyna deptać mu po piętach.

Przyhamował i zredukował bieg techniką pięta — palce, wchodząc ciasno w kolejny wiraż. Masywniejszy konkurent został wypchnięty wyżej, na zewnętrzną, i stracił cenny dystans. Ale przy wyjściu na przeciwległą prostą ściał łuk i ryknął silnikiem. Bentley, wyposażony w sprężarkę Rootesa, stercząca z przodu skrzyni korbowej niczym srebrzysty taran, zawył przeraźliwie, gdy jego kierowca wdusił pedał gazu jeszcze przed wrzuceniem wyższego biegu.

Ramsey zerknął w lusterko zamontowane nad deską rozdzielczą. Cały widok zasłaniała potężna chłodnica siedzącego mu na ogonie bentleya. Trzymał nogę w podłodze przez całą przeciwległą prostą, dopiero w ostatniej chwili przyhamował i wprowadził auto w ostatni wiraż.

Bentley nieco odpadł, bo zwolnił wcześniej i szerzej wchodził w zakręt. Piszcząc tracącymi przyczepność oponami, gnał za umykającym po łuku bugatti. Jego kierowca dobrze wiedział, co robi, zmuszając swoją wielką bestię do maksymalnego wysiłku.

Zacisnąwszy dłonie na kierownicy, Ramsey walczył o utrzymanie się w zakręcie. Spóźnione hamowanie sprawiło, że bugatti nie poruszało się optymalnym torem jazdy.

Muskając co chwila hamulec, aby nie wypaść na zewnętrzną, wściekły Kanadyjczyk słyszał za sobą zawodzenie silnika przyspieszającego bentleya.

Ciemnozielony samochód znalazł się wyżej na nachylonym zakręcie, ale jego kierowca wcześniej wyprostował koła. Ramsey mocno wytracił prędkość i teraz zabrakło mu jej przy wyjściu z wirazu. Kiedy oba auta wypadły na ostatnią prostą, przód wyjącego na maksymalnych obrotach bentleya zrównał się z ostro zakończonym tyłem bugatti.

To była klasyczna walka na finiszu, w której lekkość i finezja mierzyła się z brutalną siłą. Stuczterdziestokonny motor bugatti o całą setkę koni ustępował silnikowi bentleya, za to brytyjski samochód był o tonę cięższy.

Gnając do linii mety, oba auta rozwinęły prędkość ponad sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę. Ramsey dostrzegł powiewającego kraciatą flagą startera i poczuł, jak serce wali mu w piersi. Bugatti wciąż prowadziło, ale jadący obok bentley, powoli przesuwał się do przodu. Dwa zabytkowe pojazdy pędziły wzdłuż głównej trybuny jak mechaniczne dinozaury z bardziej eleganckiej epoki.

Wraz ze zbliżaniem się linii mety brutalna siła zaczęła zdobywać przewagę. Bentley nagle przyspieszył i o centymetry wyprzedził bugatti. Gdy wielki samochód go mijał, Ramsey popatrzył na mężczyznę za kółkiem. O dziwo, w chwili triumfu kierowca był całkowicie wyluzowany, o czym świadczył łokieć nonszalancko oparty o górną krawędź drzwiczek. Kanadyjczyk wbrew regułom wyrwał się na czoło, kiedy wszyscy uczestnicy robili jeszcze jedno okrążenie toru dla schłodzenia silników przed zjechaniem do boksów.

Zaparkował niebieską wyścigówkę obok specjalnie wyposażonego luksusowego busa i przyglądał się ekipie mechaników, którzy skontrolowali pojazd i zabrali się do wciągania go na krytą przyczepę. Z zainteresowaniem patrzył na bentleya, który zatrzymał się nieopodal.

W boksie rywała nie było ani jednego mechanika, nie mówiąc o przyczepie. Na zwycięzcę czekała samotna atrakcyjna kobieta o włosach barwy cynamonu. Siedziała na składanym krzeselku, a u jej stóp stała skrzynka z narzędziami i przenośna lodówka.

Z bentleya wysiadł wysoki, szczupły mężczyzna i natychmiast utonął w ramionach swej towarzyszki. Po chwili zdjął kask i przesunął dłonią po grzywie gęstych czarnych włosów, okalających jego opaloną, pobrużdżoną twarz. Dostrzegłszy podchodzącego rywała, wyciągnął dłoń na powitanie.

— Gratulacje dla zwycięzcy — powiedział Ramsey, tłumiąc gorycz porażki. — Jak dotąd nie dałem się nikomu prześcignąć, siedząc za kierownicą bugatti.

— Na ostatnim okrążeniu zdołałem wykrzesać trochę wigoru z mojego staruszka. — Mężczyzna poklepał pieszczotliwie błotnik bentleya. Jego zielone, opalizujące oczy harmonizowały z kolorem karoserii samochodu i emanowały nieprzeciętną inteligencją. Wyglądał na twardego gracza, który nie uznaje kompromisów.

Kanadyjczyk uśmiechnął się, zdając sobie sprawę, że nie pokonał go samochód, lecz człowiek, który go prowadził.

— Nazywam się Mark Ramsey.

— Dirk Pitt — przedstawił się kierowca. — A to moja żona Loren.

Kiedy kobieta podała mu dłoń, Ramsey stwierdził, że z bliska jest jeszcze bardziej atrakcyjna.

— Piękne to pańskie bugatti — powiedziała. — Wygląda bardzo nowocześnie jak na swoje czasy.

— Jazda nim to czysta przyjemność — odrzekł Ramsey. — Ten konkretny egzemplarz wygrał Targa Florio w 1928 roku.

Ekipa mechaników wciągała francuski samochód na przyczepę. Loren natychmiast rozpoznała zdobiący ją emblemat, który przedstawiał czerwonego niedźwiedzia grizzly z oskardem w pysku.

— Mark Ramsey... To pan jest prezesem Bruin Mining and Exploration.

Kanadyjczyk spojrział na nią podejrzliwie.

— Nie sądziłem, że jestem tak popularny w Stanach.

— Niedawno zwiedzałam pańską kopalnię złota nad Thompson River w Kolumbii Brytyjskiej. Cała nasza delegacja była pod wrażeniem dbałości o środowisko naturalne, wykazanej podczas uruchamiania tego przedsięwzięcia.

— Górnictwo ma nie najlepszą opinię w tym względzie, ale nic nie stoi na przeszkodzie, aby to zmienić — odparł Ramsey. — A więc jest pani kongresmenką?

— Reprezentuję siódmy okręg wyborczy w Kolorado.

— No tak, członkini Izby Reprezentantów Loren Smith. Niestety, nie byłem obecny podczas wizyty delegacji kongresu USA. Co za pech. Jaki jest zakres pani zainteresowań, jeśli wolno spytać?

— Pracuję w podkomisji do spraw środowiska. Zajmujemy się poszukiwaniem nowych metod eksploatacji zasobów naturalnych.

— Jestem zwolennikiem stosowania bezpiecznych technologii wydobywczych. Chętnie podzielę się swoim doświadczeniem, o ile uzna pani, że mógłbym być pomocny.

— To bardzo miło z pana strony.

— A może zje pan z nami kolację? — zaproponował Pitt, wrzucając złożone krzeselko Loren na tył bentleya.

— Niestety, spieszę się na samolot. Mam spotkanie z klientami w Miami. Może innym razem, kiedy znów odwiedzę Waszyngton. — Ramsey popatrzył na Pitta z błyskiem w oku. — Chętnie zmierzyłbym się jeszcze raz z panem i pańskim bentleyem.

— Zawsze do usług — uśmiechnął się Pitt, po czym wsiadł za kółko i uruchomił silnik. Loren zajęła miejsce obok niego.

Ramsey ze zdziwieniem pokręcił głową.

— Nie macie przyczepy?

— Bentley spisuje się na szosie równie dobrze jak na torze — odrzekł Pitt, ruszając z kopyta.

Po chwili oboje pomachali odprowadzającemu ich wzrokiem Kanadyjczykowi.

— Zdaje się, że pan Ramsey nie był zachwycony twoją ekipą techniczną — powiedziała z uśmiechem Loren.

— Co ty wygadujesz? Przecież mam najbardziej seksownego szefa mechaników pod słońcem — obruszył się Pitt, łapiąc żonę za kolano.

Przy bramie odebrał trofeum zwycięzcy i z rykiem silnika wytoczył się poza teren tom wyścigowego w Manassas. Minąwszy pobliskie pole bitwy z czasów wojny secesyjnej, skręcił na autostradę międzystanową numer 66 i pomknął prosto do Waszyngtonu. W niedzielne popołudnie ruch był niewielki, więc mógł sobie pozwolić na jazdę z maksymalną dozwoloną prędkością.

— Zapomniałam ci powiedzieć. — Loren z trudnością przekrzykiwała hałas panujący w odkrytym samochodzie. — Kiedy byłeś na torze, zadzwonił Rudi Gunn. Chciał koniecznie z tobą rozmawiać. Coś się dzieje na Karaibach.

— Czy to nie może poczekać do jutra?

— Dzwonił z firmy, więc obiecałam mu, że wdepniemy tam w drodze do domu — odrzekła wesoło Loren, wiedząc, że jej mążonek tylko udaje brak zainteresowania.

— Skoro obiecałaś, to trudno.

Po dotarciu do Rosslyn Pitt skręcił w George Washington Parkway i ruszył na południe wzdłuż Potomaku. Na wysokości bielejącego w ostatnich promieniach zachodzącego słońca marmurowego gmachu Lincoln Memorial zajechał pod wieżowiec z zielonego szkła. Minął budkę strażnika i zaparkował bentleya w podziemnym garażu tuż obok windy z zamkiem cyfrowym, którą pojechali na dziesiąte piętro.

Znajdowali się w centrali Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych, federalnej instytucji naukowej zajmującej się administrowaniem rządowymi projektami dotyczącymi mórz i oceanów. Dirk Pitt, dyrektor NUMA, kierował potężnym zespołem ludzkim, złożonym z biologów morskich, oceanografów i geologów, prowadzących stałą obserwację wielu akwenów za pomocą flotylii statków badawczych rozsianych po całym globie. Agencja korzystała też z licznych boi pomiarowych, pojazdów podwodnych, a także miała do dyspozycji niewielką eskadrę samolotów. Wszystkie urządzenia były podłączone do supernowoczesnej sieci satelitarnej, która pozwalała niemal w czasie rzeczywistym monitorować warunki atmosferyczne, stan mórz, a nawet wycieki ropy.

Drzwi windy otworzyły się na wypełnione najnowocześniejszym sprzętem pomieszczenie, będące centrum komputerowym agencji. Superkomputer Blue Gene produkcji IBM mruczał cichutko za łukowato wygiętą wysoką ścianą, przed którą stanęli Pitt i Loren. Na wiszącym na niej ogromnym ekranie wyświetlało się kilkanaście barwnych wykresów i obrazów.

Przy centralnym pulpicie kontrolnym naprzeciwko ekranu pracowali dwaj ludzie. Niższy z nich, żyłasty mężczyzna noszący okulary w rogowej oprawie, zauważył ich pierwszy i ruszył na powitanie.

— Cieszę się, że wpadliście — powiedział Rudi Gunn. Były komandor marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych, który ukończył z pierwszą lokatą akademię w Annapolis, zajmował stanowisko zastępcy dyrektora NUMA. — Jak poszło na torze?

— Sądzę, że nieodżałowany W. O. Bentley byłby dziś ze mnie dumny — odrzekł z uśmiechem Pitt. — Jakie to ważne sprawy ściągnęły was w niedzielę do biura?

— Zaniepokoiły nas odczyty parametrów środowiskowych z rejonu Karaibów. Hiram opowie wam o tym bardziej szczegółowo, ale wygląda na to, że w wodach na południe od Kuby nieoczekiwanie pojawiło się kilka martwych stref.

Podeszli we trójkę do pulpitu, przy którym Hiram Yaeger, szef ośrodka komputerowego NUMA, przebierał palcami po klawiaturze.

— Dobry wieczór — powiedział, nie podnosząc wzroku. — Kłapnijcie sobie.

Yaeger, zaprzysięgły nonkonformista, nosił długie włosy związane w kucyk, a ubrany był tak, jakby właśnie wytoczył się chwiejnym krokiem z knajpy dla motocyklistów.

— Przepraszam, że psuję wam weekend, ale uznaliśmy z Rudim, że szef powinien wiedzieć, co odkryliśmy w przekazach z satelitów. — Wskazał na górną część ekranu, zajęta obrazem satelitarnym Zatoki Meksykańskiej i Morza Karaibskiego. — To widok standardowy. Teraz pokażę obraz zmodyfikowany cyfrowo.

Pojawiło się nowe zdjęcie, pokryte barwnymi plamami. Wyraźny jasnoczerwony pas rozciągał się wzdłuż części wybrzeża Zatoki Meksykańskiej, należącej do USA.

— Co oznacza ten czerwony kolor? — spytała Loren.

— To martwa strefa, sądząc po odcieniu, w rejonie ujścia Missisipi — wyjaśnił Pitt.

— Zgadza się — potwierdził Gunn. — Obrazowanie satelitarne wykrywa zmiany w odbiciu światła od powierzchni oceanu, co z kolei pozwala określić zawartość materii organicznej w wodzie. Akweny przyległe do delty Missisipi stanowią wręcz podręcznikową martwą strefę. Spływające do morza wody rzeki, przesycone nawozami i ściekami, powodują gwałtowny rozrost fitoplanktonu, tak zwane zakwity glonów. To skutkuje zmniejszeniem zawartości tlenu w wodzie, prowadzącym do deficytu tlenowego, który zabija wszelkie morskie organizmy żyjące na danym obszarze. Rejon delty Missisipi jest dobrze znaną strefą martwych wód, która od dawna spędza naukowcom sen z oczu.

Loren przyglądała się karmazynowym plamom, którymi upstrzone były przybrzeżne wody od Teksasu po Alabamę.

— Nie miałam pojęcia, że to ma tak ogromny zasięg.

— Największe nasilenie zmian ogranicza się do rejonu delty — wyjaśnił Gunn — ale widać, że ich zasięg się rozszerza.

— Wszystko się zgadza, panowie — powiedział Pitt — ale o martwej strefie u ujścia Missisipi wiemy od lat.

— Przepraszam, szefie. Powinniśmy skoncentrować się na akwenach znajdujących się dalej na południu. — Yaeger wskazał trzy bordowe zacieki widoczne na północny zachód od Jamajki. Plamy tworzyły nieregularną linię, sięgając od Kajmanów po zachodni kraniec Kuby.

Klepnął w klawiaturę, przybliżając wskazany obszar.

— Mamy tu kilka martwych stref, które pojawiły się całkiem niespodziewanie — oznajmił.

— Dlaczego te plamy są rdzawoczerwone? — zapytała Loren. — I czemu ciemnieją w kierunku północno— zachodnim?

— To także rozrost fitoplanktonu — odparł Gunn — tyle że znacznie bardziej intensywny niż ten obserwowany w delcie Missisipi. Oznacza to, że następuje o wiele szybciej, ale prawdopodobnie ma charakter krótkotrwały.

Kiwnął głową w kierunku Yaegera, który natychmiast przywołał na ekran serię obrazów satelitarnych.

— Oto kilka fotografii wykonanych w odstępach czasowych, poczynając od trzech miesięcy wstecz.

Na pierwszym zdjęciu nie było widać żadnych anomalii. Na kolejnym pojawił się jeden jaskrawy punkt, a na dwóch następnych pozostałe bordowe plamy. Wraz z uwidacznianiem się nowej martwej strefy wcześniejsze lekko ciemniały.

— To coś w rodzaju nagłego załamania warunków, którego efekty stopniowo słabną, ale wkrótce dochodzi do kolejnego w innym miejscu. Jak widać, następują w pewnym porządku, od południowego wschodu na północny zachód.

Pitt wpatrywał się w pojawiające się jedna po drugiej martwe strefy.

— Dziwne jest to, że wszystkie znajdują się z dala od lądu — zauważył. — Na pewno nie powstają na skutek spływu zanieczyszczonych wód powierzchniowych.

— No właśnie — podchwycił Gunn. — To nie ma sensu.

— A może ktoś składowe w morzu odpady? — zastanawiała się Loren.

— Nie da się tego wykluczyć — przyznał Gunn — ale skąd ten rozrzut? Gdybyśmy mieli do czynienia z trucicielem, powinien zwalić wszystko w jednym miejscu. Naszą uwagę zwróciły też doniesienia o wymieraniu ryb i wyraźnym nasilaniu się niepokojących zjawisk w Zatoce Meksykańskiej. Dotarliśmy do relacji medialnych z Jamajki, Kajmanów, a nawet z Kuby, w których informowano o dużych ilościach zdechłych ryb i ssaków morskich w wodach przybrzeżnych, oddalonych o wiele mil od zaobserwowanych martwych stref. Trudno powiedzieć, czy te sprawy wiążą się ze sobą, ale jeśli tak, to oznaczałoby, że ich skutki są dużo poważniejsze niż to, co widać na zdjęciach satelitarnych.

Loren wpatrzyła się w wody oblewające brzegi Luizjany.

— Stany leżące nad Zatoką Meksykańską nie poradzą sobie z kolejną katastrofą ekologiczną po niedawnym wycieku ropy z platformy wiertniczej BP.

— To właśnie najbardziej nas niepokoi — odrzekł Gunn. — Gdyby te martwe strefy miały się rozprzestrzeniać w tempie, jakie obserwujemy do tej pory, skutki byłyby nieodwracalne.

Pitt pokiwał głową.

— Musimy ustalić, co je powoduje. Mamy jakieś odczyty z boi hydrograficznych, rozmieszczonych w tym rejonie?

Yaeger przywołał na ekran mapę globalną. Setki migających punkcików oznaczały miejsca, w których znajdowały się boje rozsiane przez NUMA po wszystkich morzach świata. Dokonywały one na bieżąco pomiarów temperatury i zasolenia wód oraz stanu morza, a dzięki łączom satelitarnym stały strumień danych służył prosto do ośrodka komputerowego agencji. Yaeger powiększył obszar Karaibów, na którym widoczne były znaczniki kilkudziesięciu boi. Niestety, żaden z nich nie pokrywał się z którąkolwiek z martwych stref.

— Obawiam się, że nie mamy ani jednej boi w obrębie martwej strefy — stwierdził z żalem. — Sprawdziłem dane z kilku najbliższych, wszystkie są w normie.

— Musimy dostarczyć na miejsce aparaturę pomiarową — orzekł Pitt. — Co z naszymi statkami badawczymi?

— Najbliżej jest „Sargasso Sea” — powiedział Yaeger, wyświetliwszy na ekranie pozycje wszystkich jednostek należących do floty NUMA.

— Znajduje się na Key West w związku z projektem z zakresu technologii podwodnych, którym kieruje Al Giordino — dodał Gunn. — Czy mam się z nim połączyć i przydzielić statek do nowego zadania?

— Al na pewno będzie zachwycony — prychnął Yaeger, przewracając oczami.

Pitt wpatrywał się w mapę.

— Nie ma potrzeby — powiedział po chwili.

Loren pochwyciła spojrzenie męża i natychmiast zorientowała się, o co mu chodzi.

— Tylko nie to — skrzywiła się, potrząsając głową. — Znów nęci cię magia głębin.

Pitt milczał, patrząc z uśmiechem na żonę.

ROZDZIAŁ 3

Było jeszcze wcześniej, ale przyjęcie z okazji Dnia Rewolucji zmierzało już ku końcowi. Trzydzieści sześć lat temu Fidel Castro na czele grupy rewolucjonistów przypuścił szturm na koszary w Santiago, zapoczątkowując ciąg zdarzeń, który doprowadził do obalenia kubańskiego dyktatora Fulgencia Batisty. Z perspektywy tamtych dni niewiele dziś było powodów do świętowania. Gospodarka w ruinie, deficyt żywnościowy i przepaść technologiczna dzieląca Kubę od reszty świata — wszystko to nie sprzyjało radosnej zabawie. Na dodatek znów zaczęły krążyć plotki, że umiłowany El Comandante wkrótce może wyzionąć ducha.

Wielce poważany wiceprzewodniczący kubańskiej rady państw a Alphonse Ortiz osuszył kolejną szklankę mojito, już szóstą tego wieczora, po czym nieco chwiejnym krokiem pozegłował w kierunku drzwi elegancko umeblowanego apartamentu.

— Już pan nas opuszcza? — zatrzymała go piersiasta gospodyni przyjęcia. Spod grubej warstwy makijażu wyczierała twarz żony ministra rolnictwa.

— Muszę jutro być w formie. Mam przemawiać w porcie lotniczym Jose Martiego, na zakończenie kolejnego etapu jego rozbudowy. Jest tu gdzieś Escobar?

— Rozmawia z ministrem handlu. — Skinieniem głowy wskazała męża, stojącego po przeciwnej stronie pokoju.

— Proszę mu przekazać wyrazy szacunku. Przyjęcie było wspaniałe.

Fałszywy komplement przywołał lekki uśmiech na usta kobiety.

— Było nam bardzo miło, że zaszczycił nas pan swoją obecnością. Życzę udanego przemówienia.

Ortiz złożył jej chwiejny ukłon i wymknął się za drzwi. Po pięciu godzinach męczących konwersacji z połową kubańskiego gabinetu marzył o łyku świeżego powietrza. Zszedł trzy piętra w dół, przemierzył po spartańsku urządzone hol i znalazł się na ulicy. Poczul na twarzy przyjemny, ciepły powiew, niosący ze sobą stłumiony zgiełek zabaw z okazji narodowego święta.

Stał przy krawędzi spękanego chodnika i skinął ręką w kierunku zaparkowanego nieopodal czarnego samochodu. Światła chińskiego sedana marki Geely rozjarzyły się i po chwili wóz podjechał do krawężnika. Ortiz otworzył tylne drzwi i opadł ciężko na siedzenie.

— Zawieź mnie do domu, Robercie — powiedział do pomarszczonego mężczyzny za kierownicą.

— Jak było na przyjęciu?

— Wesoło jak w rodzinnym grobowcu. Banda głupców tkwiących w okowach przeszłości. Nikt z naszego rządu nie myśli o jutrze.

— Z wyjątkiem przewodniczącego. On podziela pańskie poglądy. Sądzę, że wkrótce przekaże panu ster władzy.

Niewykluczone, że tak się stanie, pomyślał Ortiz. Lista kandydatów do najwyższego stanowiska w państwie, na której znajdowało się też jego nazwisko, nie była długa, a kadencja Raula Castro kończyła się już za dwa lata. Tylko dlatego wiceprzewodniczący przybył na przyjęcie z okazji Dnia Rewolucji i zmuszał się do przyjacielskich pogawędek z ministrami. W polityce wygrywa ten, kto ma najwięcej sojuszników.

— A więc kiedyś to ja będę rządził z bujanego fotela — powiedział w zadumie do kierowcy. Rozparł się na siedzeniu i przymknął oczy.

Roberto zareagował lekkim uśmiechem. Geely oderwał się od krawężnika i potoczył niespiesznie w stronę wyjazdu ze śródmieścia. Chwilę później przed budynkiem zatrzymał się sześciotonowy wojskowy kamaz. Mężczyzna w szarozielonym mundurze polowym wychynął z mroku otaczającego wejście do sąsiedniej klatki schodowej i wspiął się do szoferki.

— Za nim — poleciał, wskazując ruchem głowy oddalający się czarny samochód.

Ciężarówka ruszyła gwałtownie, zajeżdżając drogę motocykliście. Tymczasem widoczny o przecnicę dalej Geely minął Museo Napoleónico, skręcił w aleję La Rampa i skierował się ku zachodnim przedmieściom. Wielu wyższych urzędników państwowych mieszkało w luksusowych apartamentach w centrum miasta, ale Ortiz wolał swój skromny dom na obrzeżach Hawany, stojący na pagórku, z którego roztaczał się widok na morze.

Światła wielkiego miasta zostały z tyłu. Jechali teraz wśród pól, na których rolnicze spółdzielnie produkcyjne uprawiały tytoń i maniok. Wojskowa ciężarówka, która w centrum zachowywała dyskretny odstęp, niemal dotykała ich zderzaka.

Siedemdziesięcioletni Roberto, który większą część życia spędził za kółkiem, zachowywał kamienny spokój. Obok nieoświetlonej drogi szwendało się pełno kóz i bezpańskich psów, a on nie zamierzał ryzykować zderzenia z powodu siedzącego mu na ogonie pojazdu.

Ciężarówka nie odstępowała nawet na centymetr. Wreszcie, po ponad kilometrze takiej jazdy, na lekkim łuku wspinającym się na wzniesienie dało się słyszeć głośniejszą redukcję biegów. Kamaz zjechał na lewą stronę drogi i zaczął ich wyprzedzać.

Roberto zerknął w bok i zauważył gwiazdę na drzwiach szoferki. Pojazd należał do Rewolucyjnych Sił Zbrojnych.

Kamaz przesunął się jeszcze trochę do przodu i nagle skręcił w prawo, uderzając w przedni zderzak samochodu Ortiza.

Gdyby Roberto miał refleks młodzieńca, może zdołałby zahamować i odpaść do tyłu, unikając poważniejszych uszkodzeń. Niestety, jego reakcja była spóźniona, toteż geely został zepchnięty z drogi i krzesząc snop iskier, przytarł bokiem o zardzewiałą barierę ochronną.

Kierowca ciężarówki nie odpuszczał. Dociskał osobowe auto do bariery, najwyraźniej próbując przerzucić je nad nią, by sturlało się w dół zbocza. Kiedy wypadli na prostą, bariera urwała się nagle, a zamiast niej na poboczu wyrósł rząd grubych betonowych filarów. Geely ześliznął się w bok i zderzył się czołowo z pierwszym słupem.

Głośny trzask rozszedł się echem po okolicy. Odgłos wypadku wyrwał ze snu robotnika rolnego, który wraz ze stadkiem kóz schronił się na noc w otwartym szalasiu na sąsiednim pagórku. Chłopak usiadł prosto i spojrzał na drogę. Wojskową ciężarówkę zarzuciło, kiedy gwałtownie zatrzymała się tuż za rozbitym samochodem. Jedno z jej przednich świateł wciąż działało, oświetlając skrawek terenu. Młodzieniec szybko założył sandały, by biec na pomoc, lecz po chwili stanął i obserwował dalszy rozwój wypadków.

Z ciężarówki wyskoczył mężczyzna w mundurze. W jednej ręce trzymał latarkę, a w drugiej jakiś ciemny przedmiot. Rozejrzał się dokoła, jakby chciał się upewnić, że nikogo nie ma w pobliżu, i podszedł do wraku.

W roztrzaskanym geely Ortiz pojękiwał z bólu. Miał zwichnięty bark i złamany nos od uderzenia w zagłówek przedniego fotela. Usiłował zebrać myśli, czując strumyk ciepłej krwi spływający mu po brodzie.

— Roberto?

Leżący na kierownicy szofer nawet nie drgnął. Zginął na miejscu, bo gdy uderzył głową w przednią szybę, złamał sobie kark. Chiński samochód nie był wyposażony w poduszki powietrzne.

Kiedy Ortiz wreszcie uświadomił sobie, co się stało, spojrzał przez popękaną szybę na wojskową ciężarówkę. Otarł zakrwawioną twarz i patrzył na żołnierza, który zbliżał się, niosąc w ręku jakiś przedmiot.

— Pomóż mi. Chyba złamałem rękę — powiedział, gdy wyważone od zewnątrz drzwi otworzyły się na oścież.

Widząc obojętne spojrzenie żołnierza, zorientował się, że mężczyzna nie przybył mu z pomocą. Mógł tylko bezradnie patrzeć, jak żołnierz bierze zamach i opuszcza coś prosto na jego głowę. Chwilę przed tym, jak podłużny przedmiot strzaskał mu czaszkę, wiceprzewodniczący rozpoznał w nim łyżkę do zdejmowania opon.

ROZDZIAŁ 4

Wykonując energiczne mchy nogami, nurek płynął szybko przez przejrzystą toń. Skierował twarz w dół i pilnie obserwował piaszczyste dno, które rozciągało się pod nim beżowym dywanem. Dostrzegłszy poruszenie, zwolnił i zszedł głębiej, by z bliska sprawdzić, co je wywołało. Nie była to ryba, lecz jakaś poczwara, przypominająca wielkiego, jaskrawo ubarwionego kraba.

Stwór poruszał się na długich, pająkowatych odnóżach, które wydawały się obracać u jego boków. Patrzył przed siebie zimnymi oczami, emitującymi niebieskawą poświatę. Nurek popłynął w ślad za nim aż do miejsca, w którym na jego drodze wyrósł wysoki koralowy wał. Sztuczny krab stuknął w koral pancerzem, cofnął się i zaatakował ponownie. Przeszkoda zatrzymała go na dobre.

Nurek przyglądał się przez chwilę kolejnym próbom kraba, aż w końcu podpłynął bliżej i trzepnął go po grzbiecie. Niebieskie oczy pociemniały, odnóża przestały się poruszać. Nurek chwycił kraba, wsadził go sobie pod pachę i popłynął ku powierzchni.

Wynurzył się z lekko sfalowanej wody w pobliżu nowoczesnego turkusowego statku badawczego. Podpłynął na boku do opuszczonej z rufy hydraulicznej platformy nurkowej, odłożył kraba i sam wciągnął się na nią.

Al Giordino był niskim mężczyzną o krzepkiej sylwetce zawodowego zapaśnika, odznaczającym się wytrzymałością starego krokodyla. Jego muskularne ramiona i nogi niemal rozsadały piankowy skafander, kiedy się wyprostował, wypływając ustnik regulatora i zsuwając z twarzy maskę nurkową. Odsunął z czoła przyklejony kosmyk ciemnych, kręconych włosów i dał znak mężczyźnie stojącemu na pokładzie, żeby podniósł platformę.

Chwilę później platforma zatrzymała się ze zgrzytem. Giordino, chwyciwszy kraba, wszedł na pokład, i zamarł na widok człowieka sterującego platformą. To był Dirk Pitt.

Na widok swego szefa i zarazem starego przyjaciela Giordino uśmiechnął się szeroko.

— No proszę, znów zwiąłeś z dyrektorskiego fotela.

— Chciałem się tylko upewnić, że fundusz badawczy NUMA nie jest trwoniony na tani rum i panienki.

Giordino spojrział na Pitta zbolalym wzrokiem.

— Po ostatniej podwyżce nie stać mnie nawet na tani rum.

Pitt roześmiał się i pomógł przyjacielowi pozbyć się akwalungu i pasa balastowego. Znali się od dziecka, pracowali razem od wielu lat i łączyły ich braterskie uczucia. Byli założycielami NUMA, a ich podwodne perypetie tworzyły legendę agencji. Obecnie Giordino kierował działem techniki podwodnej i większość czasu spędzał na testowaniu zdalnie sterowanych sond i pojazdów podwodnych.

Pitt wskazał głową mechanicznego kraba.

— Kim jest ten twój pajęczakowaty przyjaciel?

— Nazwaliśmy go „Robal” — Giordino położył urządzenie na pulpicie i zaczął ściągać skafander. — Jest przeznaczony do długotrwałych badań głębinowych.

— Jakie zasilanie? — spytał Pitt.

— Ma ogniwo paliwowe pobierające wodór z wody morskiej. Zaprojektowaliśmy go tak, żeby mógł penetrować mroczne głębiny przez co najmniej sześć miesięcy. Można go opuścić z pojazdu podwodnego albo po prostu wyrzucić za burtę ze statku. Będzie się poruszał po zaprogramowanej trasie, aż dotrze do punktu docelowego. Wtedy wynurzy się na powierzchnię i zacznie nadawać swoją pozycję. Sygnały odbierzemy za pośrednictwem satelity i podejmiemy go z wody.

— Domyślam się, że rejestruje swoje wędrówki.

— Jest nafaszerowany czujnikami, ma też aktywowaną okresowo kamerę wideo. Mamy ich jeszcze z pół tuzina w laboratorium. Dla każdego można skonfigurować dowolny zestaw sensorów, zależnie od potrzeb.

— Mogą nam się przydać w Rowie Kajmańskim.

Słyszając to, Giordino podejrzliwie uniósł brew.

— Domyślam się, że nie wpadłeś do Key West, żeby coś wypić i przetrącić U Leniwego Joska. Ale dlaczego akurat Rów Kajmański?

— Bo znajduje się niemal pośrodku obszaru, w którym pojawiło się pasmo martwych stref, ciągnące się od Jamajki po zachodni kraniec Kuby.

Pitt zwięźle zrelacjonował naradę, jaką odbył z Gunnem i Yaegerem w Waszyngtonie.

— Masz jakieś pomysły co do źródła tych anomalii? — spytał Giordino.

— Nie. Dlatego zamierzam się tam dostać i zobaczyć, jak to wygląda na miejscu.

— Jeśli powstały na skutek działalności człowieka, nietrudno będzie to ustalić — orzekł Giordino. — Kiedy wyruszamy?

— Kapitan powiedział, że możemy wypłynąć za godzinę.

Giordino rzucił tęskne spojrzenie na kipiącą gwarem licznym barów Duval Street i wsadził „Robala” pod pachę.

— Muszę wyposażyć mojego przyjaciela w sprawniejszy mózg przed kolejnym spuszczeniem go w głębiny — powiedział zrezygnowanym tonem i ruszył do zejściówki, zostawiając na pokładzie mokre ślady stóp.

ROZDZIAŁ 5

Prawie dwieście metrów pod powierzchnią oceanu, gdzie zwykle panuje głęboki mrok, teraz było jasno jak w dzień. Rzędy diod luminescencyjnych, zamkniętych, w tytanowych obudowach zdolnych wytrzymać miazdzące ciśnienie, rozświetlały pofałdowany, surowy krajobraz morskiego dna. Pokryty srebrzystą łuską tarpon przyjrzał się dziwnemu rusztowaniu, na którym zawieszono światła, po czym szybko skrył się w ciemnościach, gdzie czuł się pewniej.

Konstrukcja przypominała przewróconą świąteczną choinkę. Tak przynajmniej uważał Warren Fletcher, który patrzył na nią przez małe okienko z akrylu o grubości pięści. Doświadczony zawodowy nurek siedział w dużym dzwonie nurkowym — jak zwyczajowo nazywano podwodną komorę hiperbaryczną — wiszącym piętnaście metrów nad dnem na Unie opuszczonej z unoszącego się na powierzchni statku matki.

Przebywanie w odizolowanym od reszty świata środowisku dna morskiego zawsze fascynowało Fletchera. Podczas pracy w zimnej, nieprzeniknionej otchłani ogarniał go niezwykle spokojny. Właśnie dlatego wciąż parzył się tym dość ponurym i bardzo niebezpiecznym zajęciem, chociaż wielu kolegów, którzy zaczęli wraz z nim, dawno już odeszło na emeryturę. Fletchera nadal przyzywał syreni głos głębin.

— I co, tatuńciu, jesteś gotowy do kolejnego zanurzenia?

Pytanie zostało zadane skrzekliwym głosem, bo powietrze we wnętrzu dzwonu było przesycone helem. Fletcher odwrócił się do przypominającego morsa człowieka nazwiskiem Tank, który nawijał na bęben wiązkę kablowo—przewodową, zwaną pępowiną.

— Nie ma dnia, żebym nie był gotowy, synku — odpowiedział, wywołując uśmiech na twarzy Tanka.

— Brown już wraca, powinien się pokazać za jakieś pięć minut.

Tank, pełniący rolę kierownika robót podwodnych, był odpowiedzialny za prawidłowe działanie sprzętu obu nurków, a zwłaszcza za obsługę podtrzymujących funkcje życiowe pępowin. Prace prowadzono przez osiem godzin dziennie. Na zakończenie zmiany wszyscy trzej byli wciągani na pokład statku „Alta”, gdzie natychmiast trafiali do swojego więzienia, czyli dużej komory hiperbarycznej, w której utrzymywano takie ciśnienie jak na dnie morza.

Dzięki ciągłemu przebywaniu w warunkach podwyższonego ciśnienia nurkowie nie musieli przechodzić dekompresji przy każdym wynurzeniu. Metoda zwana nurkowaniem saturovanym czyniła z nich niewolników głębin, a ich organizmy znosiły zwiększone wysycenie azotem przez wiele dni, a nawet tygodni. Po zakończeniu prac mieli przejść przedłużony proces dekompresji i dopiero potem mogli ujrzeć światło dnia.

Ich podwodne zajęcie było związane z poszukiwaniem nowych złóż ropy naftowej. Fletcher i jego dwaj współpracownicy od kilku dni realizowali zaplanowane na tydzień roboty, które miały na celu osadzenie w morskim dnie głowicy przeciwerupcyjnej oraz

kolumny rynnowej, zwanej riserem. Później nad tym miejscem ustawi się statek wiertniczy i rozpocznie drążenie otworu w skale, w nadziei natknięcia się na złoża. Był to już trzeci próbny odwiert, który w ciągu minionych sześciu miesięcy przygotowywali dla swojego norweskiego pracodawcy.

Licencja uzyskana od kubańskiego rządu uprawniała firmę poszukiwawczą do prowadzenia prac w obiecującym pasie wód terytorialnych na północny wschód od Hawany. Zdaniem ekspertów w pobliżu kubańskiego wybrzeża kryły się obfite złoża ropy naftowej i gazu ziemnego, ale na razie nic nie potwierdzało ich prognoz. Dwa pierwsze odwierty okazały się całkiem chybione.

— Myślisz, że po zakończeniu dekompresji „Alta” zawiezie nas do Hawany? — spytał Tank.

Fletcher skinął głową, ale słuchał tylko jednym uchem. Jego uwagę zaprzętało nagle światełko, jakie pojawiło się w mroku poza obszarem, na którym prowadzili prace. Odwrócił się i spojrział w dół. We włazie widać było błyski latarki Willa Browna, który lada moment powinien dotrzeć do dzwonu. Znowu popatrzył przez iluminator. Jaśniejący punkt rósł, a po chwili rozdzielił się na dwie wiązki światła. Gdy znalazły się nad stojącą na dnie głowicą, Fletcher zorientował się, że to reflektory małego, białego pojazdu podwodnego.

Po chwili miniaturowa łódź podwodna zaczęła lekko się wznosić ku powierzchni. Była już tak blisko, że Fletcher widział jej pilota. W wystającym z pojazdu przegubowym ramieniu tkwił gruby dysk, niczym taca w ręku kelnera.

Kiedy pojazd przesunął się poza pole widzenia, Fletcher uniósł głowę ku sklepieniu dzwonu.

— Halo, góra, kto tu sobie urządza przejażdżki?

— Macie tam na dnie jakieś towarzystwo? — odpowiedział mu zdziwiony głos z pokładu „Alty”.

— Właśnie przepłynęła obok nas mała łódź podwodna.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza.

— To nie nasza. Jesteś pewien, że nic ci się nie przywidziało, tatuńciu?

— Potwierdzam — odparł Fletcher zniecierpliwionym głosem.

— Dobra, rozejrzemy się po okolicy i zobaczymy, czy ktoś się pojawi, żeby podnieść ją z wody.

Tank nadal nawijał wiązkę przewodów podpływającego coraz bliżej Browna. Właz w podłodze osadzony był na krótkiej rurze zakończonej klapą zewnętrzną. Obie pokrywy włazów były teraz otwarte. Na skutek pompowania mieszanki tlenowo—helowej z powierzchni wewnątrz dzwonu utrzymywało się podwyższone ciśnienie. Odpowiadało ciśnieniu wody na tej samej głębokości i nie pozwalało na zalanie komory załogowej.

Zamigotało światło hełmowej latarki Browna i po chwili jego głowa pojawiła się w wewnętrznym włazie.

Tank i Fletcher podciągnęli go do góry i posadzili na pokładzie. Brown, z nogami wciąż zanurzonymi w wodzie, zaczął powoli ściągać płetwy, a Tank odpinał wiązkę przewodów, które dostarczały mu mieszankę oddechową i ciepłą wodę do ogrzewania suchego skafandra.

Nurek zdjął osłonę twarzy.

— Zmarzłem jak cholera — powiedział, szcękając zębami. — Albo przewód doprowadzający ciepłą wodę gdzieś się załamał, albo chłopcy na górze za bardzo przykręcili termostat.

— Chciałeś, żeby tłoczyli cieplejszą wodę? — spytał z udawanym zdziwieniem Tank, wskazując pępowinę. — A ja im powiedziałem, że jest ci za gorąco.

Wyszczerył zęby w uśmiechu i wręczył koledze termos z gorącą kawą.

— Bardzo zabawne. — Brown odpiął wielki klucz francuski od pasa balastowego, podał go Fletcherowi i powiedział: — Założyłem już kołnierz. Nie powinieneś mieć problemów z dokręceniem go do końca.

W tym momencie przez wnętrze dzwonu przetoczyło się donośne dudnienie. Chwilę później potężny wstrząs ściał z nóg Tank'a i Fletchera. Ten pierwszy wrzasnął głośno, bo kawa z termosu oparzyła mu szyję. Fletcher chwycił jedną ręką za bęben z pępowiną. Dzwon kołysał się gwałtownie, zupełnie jakby jakaś gigantyczna dłoń potrząsała nim niczym szklaną kulą z płatkami śniegu.

— Co jest? — jęknął Brown, kiedy obaj koledzy zwałili się na niego.

— Coś się dzieje na powierzchni — odparł Fletcher, wciąż ściskając w dłoni klucz francuski. Poczł mocne szarpnięcie w górę, po którym wyłączyło się oświetlenie i wstrząsy ustały. Jego twarz znajdowała się blisko iluminatora, więc odruchowo wyrzwał na zewnątrz. Przez chwilę lampy na głowicy świeciły jaśniej niż zwykle, a potem zamigotały i zgasły. Potrzebował sekundy, by zrozumieć, co się stało. Dzwon został rzucony w kierunku głowicy i teraz opadał prosto na nią.

— Zamknąć włącz! — krzyknął, padając na kolana.

Zaświeciły się małe czerwone lampki awaryjne, napełniając wnętrze dzwonu półmrokiem. Włączył się też dźwiękowy sygnał alarmowy. Nogi Browna wciąż tkwiły we włączu.

Fletcher chwycił go i odciągnął na bok. Tank, kiedy tylko odzyskał orientację, szybko zatrzasnął i zaśrubował zewnętrzną pokrywę włączu. Chwilę później dzwon zderzył się z jakimś twardym obiektem. Z dołu dobiegł ich przejmujący dźwięk giętego metalu.

Dzwon zakołysał się gwałtownie i przewrócił na bok. Na mężczyznę wewnątrz zwałił się ciężki sprzęt nurkowy i zwoje pępowiny, tworząc wielką stertę, z której wnętrza dobył się bolesny jęk, ledwie słyszalny poprzez jazgot sygnału alarmowego.

— Jesteście cali? — spytał Fletcher, wygrzebując się spomiędzy splątanych przewodów.

— Tak — odpowiedział Tank drżącym głosem. Mimo półmroku w jego oczach widać było strach. Sięgnął ręką do ucha i wymacał na nim krwawiące rozcięcie. — Brownie, wszystko w porządku?

Nie było odpowiedzi.

Fletcher zaczął przekopywać się przez śmieci, aż wreszcie namacał suchy skafander Browna. Zaciśnął dłonie na tworzywie i wyciągnął na zewnątrz bezwładne ciało kolegi. Przyłożył mu rękę do szyi i poczuł słaby puls. Usłyszał jęk i po chwili zobaczył, że pierś Browna lekko unosi się i opada. Nurek był nieprzytomny, na czole miał guza wielkości piłki golfowej, poza tym coś było nie tak z jego lewą stopą.

Kiedy Fletcher ściągnął mu płetwy, okazało się, że stopa Browna jest wykręcona pod nienaturalnym kątem.

— Chyba ma złamaną nogę w kostce — powiedział do Tanka. — I musiał walnąć o coś głową, bo stracił przytomność.

Zrobili trochę miejsca na pochyłej podłodze i ułożyli Browna na plecach. Tank wyciągnął skądś zestaw pierwszej pomocy. Wspólnymi siłami zabandażowali koledze kostkę i głowę.

— To wszystko, co możemy dla niego zrobić, dopóki nie odzyska świadomości — stwierdził Fletcher.

Chcąc zorientować się w sytuacji, przycisnął twarz do iluminatora. Wokół panowały egipskie ciemności, ale wewnętrzne oświetlenie tworzyło wokół dzwonu lekką poświatę. Po zderzeniu z głowicą lub z riserem dzwon najwyraźniej zawadził o jakiś element konstrukcji. W pobliżu zamajaczył podłużny kształt, więc Fletcher mocniej przylgnął do akrylowej szyby, próbując go rozpoznać.

Uświadomiwszy sobie, co to jest, poczuł się, jakby dostał cios w splot słoneczny. Miał przed oczyma odcinek pępowiny dzwonu. Kilka długich zwojów wisiało na wsporniku risera. Co prawda mogło się zdarzyć, że ze statku przypadkowo wydano zbyt długi odcinek liny nośnej i przewodów zasilających, ale przecucie mówiło mu, że to nie to. Oba połączenia z powierzchnią prawdopodobnie zostały zerwane.

Podszedł do tablicy rozdzielczej i przyjrzał się przekrzywionym tarczom wskaźników. Szybko znalazł potwierdzenie. Prąd, tlen, hel, łączność, nawet ciepła woda do skafandrów — wszystko, co otrzymywali z „Alty” poprzez przewody i kable pępowiny — przestało docierać do dzwonu. Oznaczało to, że teraz są zdani tylko na siebie.

Tank zaczął wywoływać statek matkę, na którym dotychczas odbierano każdą ich wypowiedź za pomocą otwartego systemu łączności.

— Lepiej oszczędzaj tlen. Odrzucili pępowinę — powiedział Fletcher, wskazując przez iluminator na spletaną wiązkę przewodów.

Tank wpatrywał się w nie przez chwilę niewidzącym wzrokiem, aż wreszcie sens słów kolegi dotarł do jego poobijanego mózgu.

— Rozumiem — mruknął. — Adsorbery włączone? Jak wygląda skład powietrza?

Fletcher przystąpił do działania. Uruchomił awaryjny transponder, migające światło na szczycie dzwonu i dodatkowy adsorber dwutlenku węgla. Wszystkie te urządzenia były zasilane z akumulatorów. Z małego panelu sterującego otworzył zawory awaryjnych, zbiorników gazu zamontowanych na zewnątrz dzwonu i wyregulował skład mieszanki

oddechowej. Jeżeli zdołają obronić się przed zimmem, awaryjny zapas energii elektrycznej i gazów powinien im wystarczyć na jakieś dwa, trzy dni. Z uwagi na niewielką odległość dzielącą ich od Florydy i amerykańskiego wybrzeża Zatoki Meksykańskiej dawało to bezpieczny margines czasowy na przybycie statku ratowniczego, wyposażonego w osprzęt do nurkowania saturowanego.

— Adsorbery działają. Mieszanka oddechowa w normie — powiedział Fletcher i spojrzął na mechaniczny manometr. — Ciśnienie stabilne, odpowiada głębokości stu dziewięćdziesięciu metrów.

W normalnych warunkach skład powietrza wewnątrz dzwonu kontrolowała ekipa techniczna z pokładu „Alty”. Podczas zanurzania mieszanka gazów o odpowiednio dobranych proporcjach była tłoczona przez pępowinę, a jej skład zmieniano stopniowo, aż do osiągnięcia głębokości operacyjnej. Zastępowano azot helem w celu uniknięcia narkozy azotowej, której symptomy mogły się pojawić poniżej głębokości trzydziestu metrów. Dzwon był wyposażony we własne zewnętrzne zbiorniki tlenu, helu i azotu na wypadek awarii, takiej jak ta, która właśnie im się przydarzyła.

Fletcher przysunął się bliżej iluminatora.

— Skoro już się ubrałem, zobaczę, jak to wygląda od zewnątrz.

— Nie masz. ogrzewania, więc zrób to szybko.

Gdy Fletcher przestawiał zasilanie swojej pępowiny na system awaryjny, Tank otworzył zewnętrzną pokrywę włącznika. Klapa odchyliła się na kilkanaście centymetrów i uderzyła o coś z metalicznym szczęknięciem. Napał na nią całym ciałem, ale ani drgnęła. Przez szczelinę wsunął rękę do wody i po chwili zaklął szpetnie.

— Nic z tego, tatuńciu — oznajmił. — Rama dzwonu musiała się wygiąć podczas uderzenia o dno i blokuje włącznik. Nie otworzymy go od środka.

Fletcher miał przecucie, że to nie jest koniec nieszczęść.

— Dobra. Spróbuję wywołać statek na kanale pomocniczym. A ty wyciągnij kombinezon ochronny i postaraj się wbić w niego Browna.

Tank otworzył boczną wnękę, w której znajdowały się grube gumowane skafandry „Mustang suit”, zwiększające szanse przeżycia nawet w przypadku zanurzenia w lodowatej wodzie. Sam wśliznął się w jeden z nich, a potem spróbował naciągnąć drugi na bezwładne ciało Browna. Tymczasem Fletcher uruchomił nadajnik awaryjny, połączony z transponderem znajdującym się na zewnątrz dzwonu. Potem przez kilka minut wywoływał „Altę”, ale w słuchawkach słyszał tylko jednostajny szum.

W pozbawionym zewnętrznego źródła ciepła dzwonie temperatura zaczęła szybko spadać. Fletcher poczuł chłód mimo suchego skafandra, który miał na sobie. Zostawił bezużyteczne radio i pomógł Tankowi wcisnąć Browna w kombinezon ochronny.

— Tam na górze na pewno mają pełne ręce roboty — powiedział. — Spróbuję jeszcze raz za chwilę.

— Nie ma na co czekać — zaprotestował Tank. — Przecież sam widziałeś, że pępowina zwisa całkiem luźno. Na pewno zerwała się lina nośna. Nie dadzą rady nas wyciągnąć, ale na pewno podejmą nas z wody, kiedy sami wypłyniemy na powierzchnię.

Fletcher rozważył słowa kolegi. Chciał poczekać z decyzją o awaryjnym wynurzeniu na nawiązanie łączności, ale brak odpowiedzi z „Alty” mógł świadczyć o jakichś poważnych problemach na jej pokładzie. Musiał przyznać Tankowi rację. Pozostawanie z rannym Brownem w głębinach nie miało sensu.

— W porządku — orzekł. — Przygotuj się do odrzucenia balastu. Powiem przez radio, że zaczynamy wynurzenie awaryjne. Może ktoś nas usłyszy.

Kiedy Fletcher nadawał komunikat, Tank otworzył klapę w podłodze. Pod spodem znajdowały się dwa klucze w kształcie litery T do odłączania zewnętrznych obciążników umocowanych pod dnem dzwonu. Począł, aż Fletcher wyłączy radio, i skinął przyzwalająco głową, po czym przekręcił jednocześnie oba klucze.

Dwa ołowiane obciążniki odłączyły się od kadłuba dzwonu z cichym brzęknięciem. Ale tylko jeden z nich opadł na dno. Drugi prawie się nie poruszył, przytrzymywany przez wygiętą ramię. Dzwon, który znalazł się ledwie na granicy pływalności, bardzo powoli zaczął unosić się w górę. Fletcher puścił oko do Tank. Nagle zmroził go potworny zgrzyt, który wypełnił wnętrze komory. Woda za iluminatorem zmętniała od wirujących osadów, kiedy dzwon zakołysał się i znieruchomiał.

— Nadzialiśmy się na prewenter! — krzyknął Tank.

Obaj przycisnęli twarze do akrylowego okienka. Widzieli tylko kaskadę pęcherzyków, przepływającą im przed nosem z rykiem startującego boeinga 747.

Kiedy oderwali się od dna, prąd zniósł ich na wystające ramię głowicy przeciwerupcyjnej. Stalowa końcówka ramienia weszła w stelaż, na którym zamocowano siedem z dziewięciu zapasowych zbiorników gazu. Wraz z unoszeniem się dzwonu odrywała kolejne przewody od zaworów zbiorników, aż wreszcie zawadziła o dolną krawędź stelaża i teraz trzymała ich w żelaznym uchwycie.

Fletcher rzucił się do tablicy rozdzielczej i wbił wzrok w manometry. Jego zwykle spokojna twarz poszarzała, gdy zorientował się, że osiemdziesiąt procent ich życiodajnej | atmosfery właśnie wypływa ku powierzchni. Utknęli na dnie jak w pułapce i teraz mogli liczyć wyłącznie na pomoc z zewnątrz.

Tank popatrzył na partnera.

— Jest źle?

Fletcher milczał, ale nie musiał odpowiadać. Tank odczytał w jego spojrzeniu wszystko, co chciał wiedzieć. Zostało im zaledwie kilka godzin życia.

ROZDZIAŁ 6

Dwieście metrów nad dzwonem nurkowym, na powierzchni, dopełniał się los norweskiego statku „Alta”. Tłusty czarny dym, w którym co chwila pokazywały się jęzory ognia, zasnuwał przedni pokład. Wysoka wieża, wykorzystywana do wierceń w morskim dnie, leżała zwalona na burtę. Silny przechył na dziób sprawiał, że fale zaczęły wdzierać się na pokład.

Kapitan "Alty" Kevin Knight obserwował z mostka zagładę swojego statku. Kiedy przed paroma minutami sprawdzał prognozę pogody, we wnętrzu kadłuba coś zadudniło. Pokład zdrzął pod jego stopami, a ułamek sekundy później eksplodował przedni zbiornik paliwa i dym zaczął spowijać cały statek.

— Panie kapitanie, nie mamy łączności z dzwonem! — krzyknął trzeci oficer. Krew spływała mu po twarzy, pociętej okruchami szkła z rozbitego okna.

Bez przerwy jazgotały dzwonki alarmowe. Migające światła na pulpicie wskazywały, które przedziały statku zostały zalane. Knight aż zazgrzytał zębami, gdy uświadomił sobie ogrom zniszczeń. Los „Alty” był przesądzony.

— Nadawaj MAYDAY — zwrócił się do radiooperatora. — Przekaż, że toniemy i potrzebujemy natychmiastowej pomocy.

Sięgnął po mikrofon okrętowego systemu nagłaśniającego i powiedział:

— Drużyny przeciwpożarowe zgłoszą się na wyznaczone stanowiska. Reszta załogi, przygotować się do opuszczenia statku.

— A co z dzwonem nurkowym? — spytał trzeci. — I mamy trzech ludzi w pokładowej komorze hiperbarycznej.

— W komorze jest kapsuła awaryjna. Powiedz im, żeby do niej przeszli.

— A ci z dzwonu?

Knight z rezygnacją pokręcił głową.

— Będą musieli radzić sobie sami. Nie jesteśmy w stanie im pomóc. — Spojrzał surowo na wahającego się oficera. — Na co czekasz, leć do tej komory! Migiem!

Oszołomieni marynarze i członkowie ekipy wiertniczej zaczęli kierować się ku rufie, gdzie były dwie zamknięte łodzie ratunkowe. Najpierw wniesiono do nich kilku ciężko poparzonych, co nie było łatwe ze względu na coraz większy przechył. Knight zrobił szybki obchód statku. Odwołał ludzi, którzy próbowali walczyć z ogniem, i kazał wszystkim iść do łodzi, a sam upewniał się, że nikt nie został na pokładzie. Koło nadbudówki mieszkalnej natknął się na pierwszego mechanika, który właśnie wyszedł na górę z maszynowni.

— Wszyscy wyszli?! — wrzasnął, przekrzykując ryk pożaru.

— Chyba tak — wydyszał inżynier. — Wody szybko przybywa. Zbierajmy się stąd jak najprędzej.

Knight zlekceważył tę radę.

— Idź do łodzi i spuść je na wodę. Ja muszę sprawdzić, czy ktoś nie został na dziobie.

— Niech pan tego nie robi, kapitanie! Za duże ryzyko! — krzyknął mechanik, ale Knight już zniknął za zasłoną dymu.

Idąc po pochyłym pokładzie, czuł, że rufa wciąż się unosi. Poprzez kłęby dymu mignął mu obraz zalewanego wodą dziobu. Podbiegł do miejsca, do którego docierały już fale, i rozejrzał się. Nie było tu nikogo. Usłyszał dwa głośne plaśnięcia. Obie szalupy zrzucono na wodę. Poczul ulgę, ale zaraz przerażenie chwyciło go za gardło.

Gryzący dym drażnił mu oczy i wdierał się do płuc. Po raz ostatni wykrzyczał rozkaz opuszczenia statku i ruszył z powrotem ku rufie. Nagle zauważył but wystający zza okrętowego dźwigu. Na pokładzie siedział jego zastępca, Gordon. Ubranie tliło się na nim, miał przypalone włosy. Kapitan pochwycił szkliste spojrzenie jego oczu.

Schylił się, żeby pomóc mu wstać.

— Musimy zejść ze statku — powiedział, biorąc mężczyznę pod pachy.

— Moja noga! — wrzasnął Gordon.

Dopiero teraz Knight zauważył, że jedna noga Gordona jest wykręcona pod nienaturalnym kątem. Przez dziurę w spodniach poniżej kolana wystawał zakrwawiony ułamek kości. Na ten widok kapitan poczuł, że żołądek skręca mu się w supeł.

Próbował zebrać myśli, ale przeszkodził mu w tym ogłuszający trzask. Rozerwała się wiązka rur wiertniczych, które teraz z łoskotem staczały się za burtę. Z wnętrza statku dochodziły przejmujące jęki i pomruki. Kadłub wyginał się pod ciężarem unoszącej się nad wodę rafy. Przez pokład przebiegło nagle drzenie, jakby „Alta” podjęła ostatni wysiłek, by utrzymać się na powierzchni.

Knight objął Gordona i próbował go podnieść. Ranny jęknął chrapliwie i bezwładnie zawisł w jego ramionach. Kapitan pociągnął Gordona do góry, ale jego własne kolana, osłabione kontuzjami, jakich doznał w młodości, uprawiając futbol, odmówiły posłuszeństwa. Wraz ze swoim zastępcą osunął się na pokład. Tuż obok przemknął z hurgotem zerwany z podstawy generator, mijając ich o centymetry.

Już tylko sekundy dzieliły statek od zatonięcia. Knight pogodził się z tym, że pójdzie na dno razem z nim. Nagle usłyszał krótką, rzeczową uwagę:

— Sugeruję szybki wypad, jeśli mamy wyjść z tego cało!

Gwałtownie zwrócił głowę w kierunku, z którego dobiegał głos, lecz obłok dymu zasłonił mu widok. Nagle z czarnej chmury wyłonił się wysoki, ciemnowłosy mężczyzna i zlustrował sytuację przenikliwym spojrzeniem zielonych oczu.

— Skąd pan się tu wziął? — spytał zdumiony Knight.

— Ze statku „Sargasso Sea” — odparł Pitt. — Odebraliśmy wasze wezwanie i pełną parą ruszyliśmy na pomoc.

Popatrzył na Gordona, potem na Knighta i po naramiennikach rozpoznał w nim dowódcę statku.

— Czy pański człowiek jest ciężko ranny, kapitanie? — spytał.

— Ma złamaną nogę.

Donośny łoskot wstrząsnął tonącym statkiem, kiedy rufa gwałtownie uniosła się do góry. Pitt przypadł do siedzących na pokładzie mężczyzn, ciągnąc za sobą uprząż ratowniczą doczepioną do liny. Założył ją na Knighta.

— Utrzyma go pan?

— Jeśli nie będę musiał z nim chodzić — odrzekł kapitan.

Pitt podniósł bezwładnego Gordona i przerzucił go Knightowi przez ramię.

— Obawiam się, że trochę się pan zamoczy.

Uniósł do ust krótkofalówkę wyciągniętą zza paska i skontaktował się z „Sargasso Sea”.

— Wybierajcie, ale powoli — polecił.

Statek zadygotał.

— Idzie na dno! — krzyknął Knight.

Kapitan „Alty” zobaczył, jak lina napręża się, podczas gdy pokład zaczął uciekać mu spod stóp. Lustro wody było coraz bliżej. Nagle poczuł na ramieniu czyjąś dłoń. To Pitt pchnął go w stronę burty.

Wpadając do wody, Knight przytrzymał mocniej Gordona. Uderzyli o nawiewnik. Poczuli szarpnięcie uprząży, kiedy kipiące morze zamknęło się nad nimi. Woda przestała się burzyć, a uprząż mocno wpiła mu się w pierś. Po chwili przebili się na powierzchnię i zawisli w powietrzu.

Knight popatrzył w górę. Lina była zaczepiona do ramienia dźwigu, wystawionego za burtę turkusowego statku. Ścisnął Gordona, który nagle zakrztusił się i gwałtownie wciągnął powietrze, co było widomą oznaką, że wciąż oddycha.

Kapitan odwrócił się, by zobaczyć ostatnie chwile „Alty”. Śruba była wyraźnie widoczna na tle bezchmurnego nieba. Kadłub pogrążał się w morzu przy wtórze głuchego postękiwania giętego metalu i głośnego świstu powietrza wypieranego z wnętrza. Na powierzchni, w bezpiecznej odległości od tonącego statku, kołysały się dwie łodzie ratunkowe i kapsuła komory hiperbarycznej.

Knight patrzył w spienioną wodę, znaczącą rozchodzącymi się kolistymi falami miejsce, gdzie zniknęła „Alta”. Po chwili wypłynęło tam trochę szczątków, ale nie zauważył wśród nich ani śladu człowieka, który przed chwilą uratował mu życie.

ROZDZIAŁ 7

Pitt czuł się tak, jakby siedział na przednim buforze lokomotywy jadącego przez ciemny tunel pociągu towarowego.

Po wyekspediowaniu Knighta i Gordona sam chciał wyskoczyć za burtę, ale nie zdążył. Woda porwała go i przyszpiliła do kolumny pokładowego żurawia. Tonący statek coraz szybciej pogrążał się w morzu. Ignorując ból uszu spowodowany gwałtownym wzrostem ciśnienia, Pitt zaczął się przesuwając ku podstawie dźwigu. Kakofonia stłumionych, metalicznych odgłosów niosła się przez wodę, gdy wszelkie nieumocowane przedmioty roztrzaskiwały się na grodziach kadłuba. Urwany wspornik wyrznął w dźwig tuż obok jego głowy.

Dotarłszy do podstawy, zaparł się stopami o jej bok, odepchnął z całej siły i bijąc wściekle nogami, popłynął w stronę niewidocznego relingu. Jakiś twardy przedmiot uderzył go w łydkę, ale po chwili wyrwał się z potrzasku. Z powodu mroku panującego pod wodą bardziej czuł, niż widział, jak statek przesuwa się tuż obok niego w pospiesznej wędrówce na dno.

Potężny wir obrócił go i pozbawił orientacji przestrzennej, ale Pitt zachowywał spokój. Nurkował przez większą część życia i nie bał się wody, którą traktował niemal jak naturalne środowisko. Rozejrzał się i zauważył sznur pęcherzyków powietrza ciągnących ku niewyraźnej srebrzystej poświacie. Przyjął odpowiednią pozycję i popłynął ku powierzchni, ale szybko zorientował się, że wciąż się od niej oddala.

Ginąca „Alta” ścigała go za sobą w głębiny. Płynął w przeciwnym kierunku, walcząc z niewidzianą siłą. Poczł pulsowanie w skroniach. Zaczynało mu brakować powietrza.

Zderzył się z jakimś sporym kształtem i instynktownie złapał go rękami. Obiekt miał dodatnią pływerność i tak jak Pitt walczył z siłą ssącą tonącego statku. Lęk ścisnął go za gardło. Musiał natychmiast wyrwać się z wiru i wydostać na powierzchnię.

Płuca niemal pękały mu z wysiłku, mglista obwódka zaczynała ograniczać pole widzenia, ale wciąż wściekle mlócił nogami wodę. Miał wrażenie, że stoi w miejscu, ale zauważył, że otaczające go pęcherzyki powietrza nie poruszają się względem mego. Spojrzał w górę. Świetlista powierzchnia była coraz bliżej, woda zrobiła się nieco cieplejsza. Każde naczynie krwionośne w jego głowie zdawało się wibrować jak wiertarka udarowa, ale lśniąca tafla była już prawie na wyciągnięcie ręki. Nagie wyskoczył z wody jak korek.

Zachłusnął się pierwszym haustem powietrza, po czym zaczął oddychać miarowo, czując, jak serce stopniowo zwalnia. Usłyszał brzęk małego silnika i wkrótce pomarańczowa łódź pneumatyczna zatrzymała się tuż obok niego. Nad wydętą burtą zobaczył roześmianą twarz Ala.

Giordino nie przestawał się śmiać, wciągając przyjaciela do wnętrza pontonu.

— Jak widać, sprawny jeździec poradzi sobie nawet z najbardziej niezwykłym wierzchowcem — zachichotał.

Pitt obrzucił go pytającym spojrzeniem, po czym zerknął za siebie. Obok pontonu kołysała się na wodzie przenośna toaleta z pokładu „Alty”, na której wyjechał na powierzchnię. Pomyślał, że ślepy los znów okazał mu łaskawość.

— Niektórzy nazywają to wyniesieniem na tron — skomentował z szerokim uśmiechem.

Kiedy Pitt i Giordino wrócili na „Sargasso Sea”, ciśnieniowa kapsuła awaryjna została już wciągnięta na pokład. Teraz trwało podejmowanie rozbitków z łodzi ratunkowych. Kapitan Knight podszedł do Dirka i rzekł:

— Myślałem, że już po panu.

— „Alta” chciała mnie zabrać w podróż bez powrotu, ale udało mi się wyskoczyć w biegu — odparł Pitt. — Co z pańskim kolegą?

— Zajmują się nim w izbie chorych. Uratował nam pan życie.

— Pański statek płonął jak pochodnia. Co spowodowało pożar?

Knight westchnął. Obraz spowitej dymem „Alty” miał go prześladować do końca życia.

— Zaczęło się od eksplozji — powiedział. — Potem wybuchł przedni zbiornik paliwa. Nie mam pojęcia, co było przyczyną. Na szczęście chyba wszystkich udało się uratować, nawet tych z komory hiperbarycznej. — Nagle jego spojrzenie przygasło, jakby sobie o czymś przypomniał. — Na dole zostali trzej nurkowie.

— W wodzie? — spytał Pitt.

Knight potwierdził skinieniem głowy.

— Pracowali, korzystając z dzwonu nurkowego — wyjaśnił. — Pierwsza eksplozja zerwała linę nośną i wiązkę kablowo—przewodową. Nie mogliśmy ich nawet ostrzec.

— Skontaktowaliśmy się z sekcją ratownictwa podwodnego marynarki wojennej — wtrącił się Giordino. — Za dziesięć godzin dostarczą na miejsce ratowniczy pojazd podwodny. Zwróciliśmy się też o pomoc do miejscowych firm specjalizujących się w pracach głębinowych.

— Zakładając, że nic im się nie stało i dzwon nie został uszkodzony, powinni wytrzymać bez problemu co najmniej dobę — powiedział Pitt i wskazał małą żółtą łódź podwodną stojącą na rufie. — Ale możemy sprawdzić, jak sobie radzą, i ewentualnie dotrzymać im towarzystwa aż do przybycia kawalerii.

Zwrócił się do Giordino.

— Jak długo potrwa przygotowanie „Starfisha”? — zapytał.

— Dziesięć minut — usłyszał w odpowiedzi.

— Pięć — oznajmił. — I ani sekundy dłużej.

ROZDZIAŁ 8

Powierzchnia morza zamknęła się nad dwumiejscowym pojazdem podwodnym, który pod wpływem grawitacji zaczął wolno opadać w dół. Giordino przygotował „Starfisha” do zanurzenia tak szybko, że Pitt ledwie zdążył przebrać się w suche ciuchy. Teraz siedział na fotelu pilota i przebiegał wzrokiem listę kontrolną, obejmującą czynności niezbędne do wykonania przed zanurzeniem.

— Akumulatory naładowane, wszystkie systemy wyglądają na sprawne. Możemy się zanurzać — zażartował, bo woda już zakryła iluminator.

Giordino raz po raz zerkał na wskaźnik głębokości. Czas dłużył im się niemiłosiernie, bo jako ludzie od lat związani z morzem czuli więź z nieznanymi nurkami uwięzionymi w głębinach. Po kilku minutach zmaterializowało się pod nimi ciemnoszare dno.

— Podczas schodzenia prąd zniósł nas nieco na wschód — poinformował Al. — Weź kurs dwa-siedem-pięć.

— Leży dwa-siedem-pięć — potwierdził Pitt, uruchamiając pędniki „Starfisha”. Pojazd przesunął się tuż nad dnem, płynąc pod lekki prąd. Grunt był lekko pofałdowany i kamienisty, niemal pozbawiony jakichkolwiek śladów życia.

Pitt zauważył jakąś zmianę w obrazie dna.

— Coś jest przed nami.

Prostopadle do ich kursu pojawiły się dwa równoległe zagłębienia w dennych osadach, jak koleiny na asfaltowej szosie.

— Ślady gąsienic — stwierdził Dirk. — Ktoś tu posługiwał się ciężkim sprzętem.

Giordino wpatrzył się w iluminator.

— Wygląda na to, że zbliżamy się do odwiertu.

Po chwili z mroku wychynął kadłub „Alty”. Dziób wygiął się i pomarszczył od uderzenia w dno, ale poza tym statek wyglądał na nienaruszony. Leżał prawie na równej stępce, z lekkim tylko przechyłem na burtę. Pitt nie tracił czasu na sprawdzanie uszkodzeń kadłuba i okrążył go od strony rufy. Po drugiej stronie natknęli się na podwodną składnicę złomu.

Szczątki z „Alty”, rozrzucone w poprzek płytkiego zagłębienia, tworzyły rumowisko rur, kompresorów i kabli, które zostały zerwane z pokładu w momencie, gdy statek zatrzymał się na dnie. Wszędzie widać było stalowe butle, głównie z tlenem i helem, które włączano do komory hiperbarycznej.

Kiedy przepływali nad zwichrowanym blaszanym barakiem, Giordino zawołał:

— Po prawej widzę światło alarmowe!

Pitt skierował pojazd w stronę błysków. Ich źródło było niemal całkiem zasłonięte przez wysoką konstrukcję, z której odchodziło kilka rur. Dirk okrążył sterczący w górę riser i

głowicę przeciwerupcyjną i dostrzegł zaczepiony o nią, odchylony od pionu dzwon nurkowy. Pod jego dnem wyraźnie było widać jeden z dwóch odrzucanych balastów.

— Nieźle się urządzili — pokręcił głową Al.

W jednym z iluminatorów dzwonu mignęło nikłe światełko. Pitt zamrugał reflektorami łodzi i podpłynął bliżej, uważając na oprzyrządowanie sterzące wokół odwiertu.

— Chyba widziałem w środku dwóch ludzi — powiedział Giordino.

— Spróbuję wywołać ich na kanale alarmowym.

Dirk włączył awaryjny transponder, nadający na tej samej częstotliwości, co podobne urządzenie w dzwonie.

— Pojazd podwodny „Starfish” do dzwonu nurkowego z „Alty”. Słyszycie mnie?

Zniekształcony, nienaturalnie wysoki głos potwierdził nawiązanie łączności.

— Korektor mowy helowej — domyślił się Al. — Mam nadzieję, że w dzieciństwie pasjami oglądałeś kreskówki Disneya.

Dochodzący z głośnika głos Warrena Fletchera brzmiał jak dyszkant Myszki Miki. Pitt z trudem wyławiał poszczególne słowa, ale udało mu się zrozumieć, że jeden z nurków jest ranny, a dzwon stracił większość awaryjnego zapasu gazów. Przesunął pojazd w bok, aby przekonać się o tym naocznie. Zobaczył puste miejsce w stelażu i sześć butli leżących na dnie. Przyjrzał się z bliska pustym zbiornikom.

— Mają poważny problem z powietrzem — powiedział do Ala.

— Któryś z nich przyłożył dwa palce do szyby — odparł Giordino. — Zostały im dwie godziny.

Nie spodziewali się zastać nurków w tak trudnej sytuacji. Chcieli tylko odnaleźć dzwon i wspierać ich w trakcie oczekiwania na ekipę ratowniczą. Ta jednak przybędzie najwcześniej za osiem godzin. Do tego czasu nurkowie w dzwonie będą już martwi.

— Nie mają szans — stwierdził Al ponuro.

— Mogą się uratować, jeśli wypłyną na powierzchnię — odparł Pitt.

Ponownie skontaktował się z dzwonem.

— Czy możecie opuścić dzwon i wypłynąć na powierzchnię? — spytał. — Mamy na górze komorę dekompresyjną. Powtarzam, mamy komorę dekompresyjną.

Fletcher zaprzeczył i wyjaśnił, że właz został zablokowany od zewnątrz.

Dirk i Al przyjrzeni się pokrywie. Zauważyli, że wygięta rama uniemożliwia jej otwarcie, a równocześnie nie pozwala na odrzucenie jednego z balastów.

— Nie ma mowy, żeby to odgiąć — mruknął Pitt, przyglądając się grubym stalowym prętom. — Może chociaż ściągniemy ich z risera?

— Warto spróbować. Zawadzili dolną częśćią ramy, w miejscu, do którego nie mamy dostępu. Ale nie oddalą się zbyt od dna, ciągnąc za sobą taki kawał liny.

— Prędzej czy później i tak trzeba ich będzie oderwać od tego złomu — stwierdził Pitt.

Opłynął dzwon dookoła, po czym wznosił się wyżej i ustawił „Starfisha” tuż nad nim.

Teraz do pracy przystąpił Al. Uruchomił hydrauliczne ramię i chwycił nim pomocniczy zaczep dzwonu.

— Gotowe.

Pitt ustawił pędniki w pionie i delikatnie zwiększając obroty, starał się unieść dzwon. Ciężka kapsuła drgnęła, ale nie ruszyła się z miejsca. Próbował ciągnąć w różnych kierunkach, lecz dzwon wciąż siedział na riserze.

W końcu zszedł niżej, a Giordino puścił zaczep.

— Dzwon waży pewnie tyle samo co nasza łódź — powiedział. — Pędniki mają za małą moc, żeby go pociągnąć.

— Trzeba go będzie porządnie szarpnąć z góry.

— My tego nie zrobimy.

— To prawda — zgodził się Pitt. — Można to zrobić tylko za pomocą liny nośnej.

— Chcesz podnieść dwieście metrów stalowej liny? Ona waży z dziesięć razy tyle co dzwon. Nie mamy rady wyciągnąć jej na powierzchnię.

— Wcale nie będziemy jej ciągnąć. Sama wypłynie — powiedział Pitt z błyskiem w oku.

Giordino dziesiątki, jeśli nie setki razy widział taką samą determinację w spojrzeniu przyjaciela. Dirk nigdy się nie poddawał i wielokrotnie udało mu się oszukać śmierć. Nie znał żadnego z mężczyzn uwieczonych w dzwonie, ale nie potrafiłby stać obok nich z założonymi rękami i patrzeć, jak umierają.

Al potarł z zakłopotaniem podbródek.

— Jak to sobie wyobrażasz? — spytał.

— Zwyczajnie — odparł Pitt. — Po prostu przebijemy głową mur.

ROZDZIAŁ 9

Obserwując światła oddalającego się pojazdu podwodnego, Fletcher czuł się jak ktoś pozostawiony w zimnej stalowej trumnie na pewną śmierć.

— Wróć — mruknął, jakby chciał przekonać samego siebie.

Jedyne, co mógł teraz zrobić, to skupić się na oddychaniu. Każdy wdech przypominał mu o kurczącym się zapasie powietrza. Chociaż jako zawodowy nurek nie miał klaustrofobii, wydawało mu się, że ściany dzwonu powoli zaciskają się wokół niego.

Zerknął na Tanka, który siedział obok i z ponurą miną wpatrywał się w podłogę. Fletcher też był bliski rezygnacji, ale nie chciał poddać się lękowi. Dlatego wciąż stał z twarzą przyciśniętą do iluminatora i śledził wzrokiem należąca do NUMA łódź podwodną.

Co oni kombinują?, zastanawiał się. Pojazd miotał się w tę i z powrotem, wzbijając z dna tumany osadu. Cokolwiek robią, nie wygląda na to, żeby w jakikolwiek sposób mogli nam pomóc, pomyślał. I tu się mylił, bo Pitt właśnie walczył o ich życie.

— Wyszło coś zblizonego do węzła babuni, na nic lepszego nas nie stać — powiedział Giordino. Z czoła spływały mu strużki potu. Znów sterował ramieniem manipulatora, w którego uchwycie tkwiła gruba stalowa lina.

Oddalwszy się od dzwonu, Pitt pływał wzdłuż skłębionej na dnie liny nośnej, aż wreszcie znalazł jej postrzępiony koniec koło kadłuba „Alty”.

Kiedy Al złapał linę manipulatorem, Dirk podciągnął ją do metalowego baraku z prefabrykatów, który mijali, wpływając na pole szczątków. Błaznany domek stał wcześniej na pokładzie statku, ale oderwał się od niego, kiedy „Alta” uderzyła o dno. Zrządzeniem losu opadł na miękki piasek prosto, dachem do góry. Wprawdzie ściany były w wielu miejscach powyginane, lecz poza tym wyglądał na nienaruszony.

Manewrując z najwyższą precyzją, zdołali przymocować linę do otwartych drzwi baraku, a potem otoczyli nią kilkakrotnie ściany i dach.

— Nie dostalibyśmy za to sprawności Mistrza Węzłów — stwierdził Giordino — ale przynajmniej nasz latawiec ma teraz ogon.

— Przejdźmy do naukowej części eksperymentu — odrzekł Pitt.

Al puścił linę, a Dirk podpłynął bliżej „Alty”. Posadził pojazd na dnie i obserwował, jak Giordino zaciska uchwyt manipulatora na zaworze brązowej butli z helem.

— Te maleństwa są dość ciężkie — powiedział Al.

— Kaszka z mlekiem — odparł Pitt, unosząc pojazd tuż nad dno i zwiększając obroty pędników.

„Starfish” powoli ruszył wstecz. Zbiornik helu stawiał opór, ale przesuwał się po piasku. Pitt ostrożnie sterował pojazdem, aż wreszcie zaciągnął butlę pod barak, układając ją zaworem w stronę otwartych drzwi.

— Jedną mamy z głowy.

— Te manewry nie służą naszym akumulatorom. — Giordino spojrział na wskaźniki. — Pojemność spadła do trzydziestu pięciu procent.

Pitt skinął głową i ruszył po kolejny zbiornik. Gdy siedem butli leżało w pobliżu baraku, Al oznajmił, że muszą na tym poprzestać.

— Nasze zasoby prądu osiągnęły wartość jednocyfrową, szefie. Czas pomyśleć o wynurzeniu.

— W porządku, mistrzu. Ale najpierw odkręć zawory, żebyśmy się przekonali, czy nasz ptaszek potrafi latać.

Pitt zawiesił pojazd nad butlami, aby Giordino mógł sięgnąć manipulatorem do zaworów. Po odkręceniu pierwszego zobaczyli przez iluminator kaskadę bąbli rwącą ku powierzchni. Kiedy zawór ostatniej butli został otwarty, Dirk cofnął łódź, a Al przesunął zbiorniki do przodu, żeby wydostający się z nich gaz uchodził do wnętrza baraku.

Przedsięwzięcie było szalone, ale nie mieli innej możliwości uratowania nurków. Pitt zamierzał unieść linę nośną, aby zdjąć dzwon nurkowy z oprzyrządowania odwiertu. W tym celu barak musiał zmienić się w komorę wypornościową i pociągnąć linę ku powierzchni.

Dirk zawisł łodzią nad dachem baraku.

— Czyżbyś zamierzał tu parkować? — spytał Giordino.

— Tak na wszelki wypadek, gdyby trzeba było utrzymać to ustrojstwo w równowadze albo pociągnąć do góry — odparł Pitt. — Spróbuj się czegoś złapać.

Kiedy Al wysunął ramię manipulatora i zacisnął chwytak na krawędzi dwuspadowego dachu. Dirk opróżnił zbiorniki balastowe. Ponieważ przez zaslonę z pęcherzyków powietrza nie mogli dostrzec żadnego punktu odniesienia, by stwierdzić, czy się wynurzają, wbił wzrok w głębokościomierz. Początkowo cyfrowy wskaźnik nie reagował, ale po chwili wartość wyświetlana na ekranie zmalała.

— Jedziemy do góry — oznajmił Pitt i uśmiechnął się.

Fletcher widział z daleka, że pojazd zaczyna się unosić. Przez moment wydawało się, że pod jego kadłubem podczepiony jest mały domek. Przetarł oczy i zobaczył, że światła łodzi podwodnej stopniowo znikają, tak samo jak jego nadzieje na ratunek.

Nie wiedział, że wynurzająca się konstrukcja ciągnie za sobą linę nośną dzwonu nurkowego.

Wykorzystując masę pojazdu do stabilizowania dachu, Pitt utrzymywał w równowadze wypełniony gazem wynurzający się barak, który ciągnął za sobą stalową linę. Wraz ze zmniejszaniem się głębokości malało ciśnienie, przez co uwięziony pod dachem gaz

zwiększał swoją objętość. Przy odrobinie szczęścia powinien zapewnić barakowi wyporność wystarczającą do zrównoważenia rosnącego ciężaru liny.

— Sto pięćdziesiąt metrów — zameldował Giordino. — To działa jak winda towarowa.

— Mnie bardziej przypomina mechanicznego byka — mruknął Pitt, przechylając pojazd ostro na burtę. Musiał cały czas manewrować pędnikami, żeby utrzymać dach w poziomie. Gdyby barak się przechylił, gaz uciekłby błyskawicznie i wszystko runęłoby z powrotem na dno.

Dziwaczna konstrukcja zmierzała ku powierzchni otoczona kurtyną srebrzystych pęcherzyków. W końcu rozprężający się hel wyparł całą wodę z wnętrza baraku. Blaszane ściany wyrzuciły się, a gaz wydostawał się na zewnątrz przez każdą szczelinę i otwarte drzwi. Barak wynurzał się coraz szybciej, pchając przed sobą uczeponą dachu łódź podwodną.

Po otrzymaniu meldunku od Pitta „Sargasso Sea” nieco się odsunął i czekał w gotowości. Knight stał na pokładzie rufowym i wpatrywał się w miejsce, gdzie woda bulgotała i kłębiła się, tworząc koliste, spienione fale. Kilka sekund później powierzchnię przebił jasnożółty pojazd podwodny NUMA, całkowicie się wynurzając. Kapitan zauważył, że od dołu podpira go jakaś konstrukcja przypominająca mały domek. Kiedy pojazd osiadł z powrotem na wodzie i przesunął się w bok, Knight rozpoznał barak z pokładu „Alty”.

Zgodnie z poleceniem Pitta „Sargasso Sea” szybko się zbliżył i zaczepił stalową linę hakiem opuszczonym z żurawia. Po wciągnięciu baraku na pokład rufowy oczekujący tam ludzie uchwycili linę zaciskami i klamrami. Odwinęli ją z baraku i założyli jej koniec na opróżniony zawczasu bęben wyciągarki.

Kiedy wyciągarka zaczęła nawijać linę, żuraw wyrzucił barak za burtę i podniósł z wody łódź podwodną.

Ledwie Dirk i Al wygramolili się z włazu, stanął przed nimi Knight.

— Żyją? — spytał.

— Tak — odparł Pitt. — Stracili kilka awaryjnych zbiorników gazu, więc trzeba było się spieszyć.

Cała załoga oczekiwała w niepewności na to, co ukaże się na drugim końcu liny. Nagłe przy rufowym relingu zapanowało poruszenie i Pitt zauważył wynurzające się z wody sklepienie dzwonu nurkowego.

— Podczepić go do żurawia i przygotować komorę dekompresyjną na przyjęcie nurków — polecił. — Potrzebny będzie też palnik do odcięcia wygiętej ramy, która blokuje właz.

Kiedy dzwon znalazł się na pokładzie, natychmiast otoczyła go armia ludzi. Palnik wgrzyzł się w stal, sypiąc iskrami. Chwilę później przed Pittem wyrósł technik i zameldował:

— Spiałem przewód telekomunikacyjny dzwonu z naszym systemem łączności. Jeden z nurków chce z panem rozmawiać. Ma na imię Warren.

Dirk poszedł za technikiem do konsoli stojącej obok dzwonu i podniósł słuchawkę. Z wnętrza ktoś pomachał mu ręką przez iluminator.

— Cześć, Warren. Nazywam się Pitt. Jak leci?

— Ulżyło mi, kiedy zobaczyłem światło dzienne — odpowiedział Fletcher. — Już myślałem, że zostaniemy tam na stałe jako integralna część odwiertu. Sposób, w jaki nas wyciągnęliście, to czyste szaleństwo, ale cieszę się, że się tego podjęliście.

— Przepraszam, że w czasie jazdy trochę rzucało. Jak się czują pańscy koledzy?

— Z Tankiem wszystko w porządku, ale Brown ma złamaną nogę. Na przemian odzyskuje i traci przytomność.

— W komorze dekompresyjnej będzie na was czekał lekarz.

— Dziękuję, panie Pitt, jesteśmy panu bardzo wdzięczni za wszystko. Proszę mi jeszcze powiedzieć, co się stało z „Altą”?

— Zatonęła wskutek nagłej eksplozji. Na szczęście obeszło się bez ofiar w ludziach. Na razie nie znamy przyczyny wybuchu. Pogadamy o tym jeszcze, kiedy znajdziecie się w komorze.

Fletcher pokiwał głową.

— Może pomyśli pan, że mi odbiło, ale widziałem jakiś obcy pojazd podwodny na krótko przed zerwaniem liny — powiedział. — Uważam, że ktoś celowo zatopił „Altę”.

Dirk popatrzył Fletcherowi w oczy i napotkawszy jego poważne spojrzenie, uświadomił sobie, że nie była to najbardziej zwariowana rzecz, jaką usłyszał tego dnia.

ROZDZIAŁ 10

Lazurowe niebo nad stolicą Kuby było słoneczne i jasne, jakby na przekór smutkowi, który spowijał całe miasto. Jego przyczyną był kondukt pogrzebowy, który przemierzał popadające w ruinę dzielnice Hawany, gdzie czas zatrzymał się w roku 1959. Wzdłuż ulic, którymi na przestrzeni wieków kroczyli najpierw hiszpańscy konkwistadorzy, potem brytyjscy i amerykańscy żołnierze, a wreszcie radzieccy generałowie, tłoczyły się tysiące ludzi. Kubańczycy chcieli osobiście złożyć ostatni hołd *El Caballo*.

Fidel Castro Ruz, ojciec socjalistycznej rewolucji, w końcu przegrał walkę z własną śmiertelnością. Prawie sześćdziesiąt lat temu wrócił na Kubę z wygnania na pokładzie wypożyczonego jachtu wraz z liczącym 81 ludzi oddziałem partyzanckim. Udało mu się dokonać wyczynu graniczącego z cudem. Zyskawszy poparcie ludności wiejskiej, obalił rząd Batisty i po niecałych trzech latach triumfalnie wkroczył do Hawany.

Zauroczony marksyzmem Castro nie zdołał jednak zmienić Kuby w krainę mlekiem i miodem płynącą. Jego trwające pół wieku panowanie, zakończone w 2008 roku, kiedy przekazał władzę swojemu bratu Raulowi, zamiast wolności i dobrobytu przyniosło krajowi tylko polityczne represje i załamanie gospodarcze. Mimo to większość Kubańczyków otaczała go ogromną czcią, jako jedyne prawdziwego przywódcę.

Zaprężona w konie żałobna laweta, w eskorcie gwardii honorowej w nieskazitelnie białych mundurach, wtoczyła się pomału na Plaza de Revolución i zwolniła jeszcze bardziej przed wysoką trybuną. Stali na niej członkowie najwyższych władz i elity wojskowej Kuby w otoczeniu międzynarodowych dygnitarzy. Najlepsze miejsca zarezerwowano dla przedstawicieli Wenezueli, Chin i Nikaragui oraz kilku hollywoodzkich gwiazd. Raúl Castro stał na baczność i salutował bratu, kiedy kondukt mijał strzeliste mauzoleum Joségo Marti.

Raúl wraz z wiceprzewodniczącym, który także był po osiemdziesiątce i poruszał się o lasce, udali się do gmachu ministerstwa spraw wewnętrznych na skromne przyjęcie. Członkowie rady państwa, rządu, zgromadzenia narodowego i władz Komunistycznej Partii Kuby oraz najwyżsi dowódcy Rewolucyjnych Sił Zbrojnych samorzutnie utworzyli szpaler. Każdy składał oficjalne wyrazy współczucia przewodniczącemu Castro.

Elegancko ubrany siwowłosy mężczyzna, który już złożył kondolencje i właśnie przechodził przez środek sali, przypadkowo potrącił generała rozmawiającego z adiutantem.

— Proszę o wybaczenie, towarzyszu generale — powiedział, zatrzymawszy się przed nim.

Generał Alberto Gutier zmarszczył jastrzębią twarz i obrzucił mężczyznę chłodnym spojrzeniem ciemnych oczu.

— Towarysz minister Ruiz — mruknął.

— To bardzo smutny dzień dla całej Kuby — zagaił Ruiz. — *El Caballo* był sercem i duszą rewolucji.

Generał wykrzywił usta w ironicznym uśmiechu, słysząc popularne przezwisko Fidela oznaczające konia.

— Jeden człowiek może zapoczątkować rewolucję, ale do jej kontynuowania potrzeba wielu — rzekł.

— To prawda, ale brak dynamicznego przywództwa może utrudniać rozwój — odparł Ruiz. Przez chwilę patrzył, jak sędziwy wiceprzewodniczący, którego posadzono obok Raula Castro, wdycha tlen z przenośnej butli, po czym ponownie zwrócił się do generała. — Już niedługo Kubą będą rządzić nowe kadry — rzekł ściszym głosem. — Energiczne, przedsiębiorcze i postępowe.

— Czyżbyście myśleli o sobie, towarzyszu ministrze?

— To wspaniale, że tak uważacie, towarzyszu generale — stwierdził Ruiz z uśmiechem. — Cieszę się, że mogę liczyć na wasze wsparcie, i oczekuję dalszego zaangażowania w prace rady państwa podczas mojej kadencji.

Między mężczyznami trwała zaciekła rywalizacja. Obaj wchodzili w skład rządu. Gutier był ministrem spraw wewnętrznych, Ruiz zagranicznych. Obaj też walczyli o względy przewodniczącego, wiedząc, że władza nad krajem leży w zasięgu ręki. Ku rozczarowaniu Gutiera, panowało powszechne przekonanie, że to Ruiz ma największe szanse na zastąpienie niedomagającego wiceprzewodniczącego, co uczyni go pierwszym kandydatem do sukcesji po Castro.

Generał zmierzył konkurenta lodowatym spojrzeniem.

— Jedyne, na co możecie liczyć, to posada mojego pucybuta.

— Dajcie spokój, towarzyszu generale. Chyba nie spodziewacie się nominacji? — Ruiz nachylił się i szepnął Gutierowi do ucha: — Chodzą słuchy, że Ortiz nie zginął w wypadku i że wojsko maczało w tym palce. To stawia was w niekorzystnym świetle, drogi towarzyszu.

Tym razem na twarzy Gutiera pojawił się uśmiech.

— Może to i prawda — odpowiedział również szeptem. — Tym bardziej zalecam daleko idącą ostrożność podczas jazdy, towarzyszu ministrze.

Zwykle wygadany Ruiz odwrócił się bez słowa i lawirując między gośćmi, skierował się ku grupie zaprzyjaźnionych towarzyszy.

Gutier odprawił adiutanta i powiódł wzrokiem po sali z trudem kryjąc obrzydzenie. Elity rządzące Kuby składały się głównie ze starych kompanów *El Caballo*, którzy kurczowo trzymali się stanowisk, chociaż jedną nogą byli już w grobie. Jego rozmówca miał rację, mówiąc, że nowe pokolenie już szykuje się na ich miejsca, ale generał czuł do tych ludzi nieprzepartą odrazę. Wszyscy byli tacy jak Ruiz: wychowani w dobrobycie dzięki uprzywilejowanej pozycji rodziców, głosili rewolucyjne hasła, prowadząc dostatnie życie na koszt państwa.

Co prawda generał również nie miał najmniejszych oporów przed czerpaniem korzyści z posiadanej władzy, ale przywykł do skromniejszego stylu życia. W młodości cierpiał nędzę. Mieszkał w Santiago z młodszym bratem i owdowiałą matką. Ojciec zginął w obronie Kuby

podczas inwazji w Zatoce Świń. Kiedy matka wyszła powtórnie za mąż za oficera, ich status materialny uległ poprawie, co jednak nie znaczy, że życie stało się sielanką.

Ojczym, który okazał się alkoholikiem, regularnie bił obu chłopców i ich matkę. Być może pod wpływem poczucia winy posłał swoich pasierbów do wojska i załatwił im przyjęcie do szkoły oficerskiej. Kiedy bracia dorośli, odpłacili mu za lata udręki. Udusili go i wrzucili ciało do rzeki Cauto. Nikt ich o nic nie podejrzewał i w ten sposób poznali smak bezkarnego mordowania. Zabili po raz pierwszy, ale nie ostatni.

Sprytny i uzdolniony starszy Gutier szybko awansował, wyróżniając się przy tym wyjątkową bezwzględnością. Wpadł w oko młodszemu z braci Castro, kiedy ten był dowódcą Rewolucyjnych Sił Zbrojnych. Raúl ściągnął go do sztabu, gdzie Gutier zyskał opinię skutecznego, choć niezbyt lubianego człowieka do rozwiązywania trudnych problemów.

Wkrótce po przejęciu władzy przez Raúla otrzymał tekę ministra spraw wewnętrznych, gdy wiekowy generał, od wielu lat piastujący to stanowisko, uległ paraliżowi wskutek wchłonięcia jakiejś nieznanej toksyny.

Gutier, pożegnawszy się z grupą parlamentarzystów, opuścił przyjęcie i wsiadł do wojskowej ciężarówki, która zawiozła go za granice Hawany, na małe lotnisko w Playa Baracoa. Tam przesiadł się do śmigłowca i poleciał wzdłuż wybrzeża na wschód, mijając po drodze twierdzę Morro Castle, która strzegła wejścia do Zatoki Hawańskiej. Po przebyciu pięćdziesięciu kilometrów śmigłowiec wylądował w pobliżu niewielkiej przystani. Generał wszedł na pokład łodzi motorowej i wypłynął na ciemnobłękitne wody Cieśniny Florydzkiej.

Wkrótce motorówka zbliżyła się do luksusowego jachtu przycumowanego w zatoce. Zbudowany w znanej stoczni jachtowej Oceanco, miał ponad sześćdziesiąt metrów długości, a jego opływowa sylwetka górowała nad niewielką motorówką Gutiera. Generał odczytał nazwę „Gold Digger” wymalowaną złotymi literami na rufie i podszedł do trapu opuszczonego z pokładu. Członek załogi jachtu zaprowadził go do klimatyzowanego salonu.

Mark Ramsey mieszał koktajl za mahoniowym barem.

— Miło pana widzieć, generale. Nie byłem pewien, czy zdoła pan dotrzeć na nasze spotkanie w tym smutnym dniu — powiedział, wyłączając telewizor, na którego ekranie widniała otwarta trumna z ciałem zmarłego Fidela Castro.

— Moje oficjalne obowiązki spełniłem wcześniej — odparł Gutier. — To rzeczywiście bardzo smutny dzień, biorąc pod uwagę historię Kuby, sądzę jednak, że zarazem radosny dla jej przyszłości.

Ramsey podał mu szklaneczkę daiquiri.

— Za pomyślność Kuby — wznosił toast.

— Za Kubę — rzekł generał.

Po spełnieniu toastu usiedli przy stole, na którym leżały porzrzucone dokumenty.

— To był trudny tydzień — zaczął Ramsey. — Ja straciłem statek wiertniczy wyleasingowany od Norwegów, a wy straciliście swoją ikonę narodową. No i jeszcze ten straszny wypadek ministra Ortiza.

— Nikt nie żyje wiecznie. Kuba jeszcze długo będzie naznaczona piętnem Fidela.

— Jego odejście stworzyło inspirującą pustkę w pańskim kraju. Może ktoś taki jak pan mógłby ją wypełnić.

Żaden mięsień nie drgnął na pokerowej twarzy Gutiera.

— Nikt nie zna swego przeznaczenia. Proszę mi opowiedzieć o katastrofie pańskiego statku. Czy zamierza pan kontynuować prace?

— „Alta” była nowoczesną jednostką do prowadzenia prac podmorskich na dużej głębokości. Wypadek nastąpił podczas wykonywania pierwszego odwiertu w kwadracie R— 29 naszego obszaru poszukiwań. — Ramsey podsunął generałowi mapę i wskazał miejsce na północny wschód od Hawany. — To jeden z dwóch akwenów, na których prowadzimy poszukiwania złóż ropy naftowej, zgodnie z zezwoleniem wydanym przez nieodżałowanego ministra Ortiza. Mam nadzieję, że nie będzie żadnych problemów z utrzymaniem tego porozumienia w mocy.

— Minister Ortiz reprezentował kubański rząd. Umowa będzie honorowana — zapewnił Gutier. — Co się stało ze statkiem?

— Doszło do niewyjaśnionej eksplozji. Poszedł na dno w dziesięć minut. Załogę udało się uratować, ale na dnie zostali trzej nurkowie. Zginęliby, gdyby nie pomoc amerykańskiego statku badawczego, który znajdował się w pobliżu. Ostatecznie więc obyło się bez strat w ludziach.

— To doprawdy ogromne szczęście. Statek zapewne był ubezpieczony przez właściciela?

— W tym przypadku odpowiedzialność za ubezpieczenie ponosił operator. — Ramsey zacisnął wargi na myśl o udziale własnym, który będzie musiał pokryć.

— Kiedy planuje pan powrót na to miejsce? — spytał generał.

— Drugi z wynajętych przez nas statków prowadzi poszukiwania u zachodniego wybrzeża. Ponieważ obszar ten wydaje się mniej obiecujący, przeniesiemy front robót w ciągu tygodnia lub dwóch i dokończymy próbny odwiert zapoczątkowany przez „Altę”.

Gutier spojrział Ramseyowi w oczy.

— Proszę powstrzymać się od jakichkolwiek prac w kwadracie R— 29 przez okres co najmniej trzech tygodni — rzekł.

— Z jakiego powodu? — chciał wiedzieć Ramsey.

— Bo takie jest moje życzenie — odparł szorstko generał.

Ramsey przysunął bliżej mapę.

— Zdaję sobie sprawę, panie generale, że niełatwo było przekonać rząd do udzielenia zezwolenia naszemu konsorcjum na prowadzenie poszukiwań w obrębie wód terytorialnych Kuby. Jestem panu niezmiernie wdzięczny za pomoc. Ale otrzymana koncesja dotyczy dwóch niewielkich akwenów. W dodatku oba zostały ocenione przez naszych fizyków jako niezbyt obiecujące. Aby zakończyć prace sukcesem i zapewnić Kubie wejście do grona państw eksporterów ropy naftowej, musimy uzyskać dostęp do innych rejonów dna morskiego.

— Proszę pamiętać, panie Ramsey, że nie tylko pan jest zainteresowany eksploracją naszych surowców naturalnych.

— Mówimy o poszukiwaniu złóż znajdujących się głęboko pod powierzchnią oceanu. To zupełnie inna para kaloszy. Prace potrwać co najmniej dwa razy dłużej, jeśli wezmą się za nie specjaliści z Wenezueli, Meksyku albo Bliskiego Wschodu.

— Ale przecież jest pan specjalistą od górnictwa.

— To prawda, z wykształcenia jestem inżynierem górnikiem i jednym z udziałowców tego przedsięwzięcia. Znalazłem się tu, bo szef projektu właśnie dochodzi do siebie po przebytym niedawno zawale. Zapewniam pana jednak, że nasza kanadyjsko— norweska grupa ekspertów dysponuje szeroką wiedzą, ugruntowaną podczas prac wydobywczych na Morzu Północnym i w Arktyce. Odwalili kawał naprawdę dobrej roboty. Nie znajdzie pan nikogo z większym doświadczeniem w wydobywaniu ropy w akwenach głębokowodnych.

— Jak na razie nie zauważyłem oszałamiających osiągnięć — wtrącił cierpko Gutier.

— W branży naftowej nie ma żadnych gwarancji — odparł Ramsey.

Generał spojrział na mapę.

— To gdzie chcielibyście prowadzić wiercenia?

Ramsey zakreślił palcem spory akwen, znajdujący się sto mil morskich na północny zachód od Hawany.

— Gdybym miał wybór, to najlepiej rokuje obszar Północnego Basenu Kubańskiego.

— Mógłbym użyć swoich wpływów w celu udostępnienia wam części tego rejonu do badań. Ale chciałbym dostać coś w zamian. — Gutier wbił w Ramsey'a przenikliwe spojrzenie ciemnych oczu.

— Co konkretnie?

— O ile mi wiadomo, miał pan niedawno jakieś kłopoty podczas prac wydobywczych w Indonezji.

— Owszem, próbowała nam przeszkodzić bojówka islamskich fundamentalistów. Porwali dyrektora kopalni i trzech inżynierów, w biały dzień, w samym centrum Dżakarty.

— Udało się ich uratować?

— Tak, na szczęście nie spadł im włos z głowy.

— A co z porwaczami?

— Mieli mniej szczęścia. — Na twarzy Ramsey'a pojawił się kpiący uśmiešek. — Zostali zastrzeleni podczas wymiany ognia.

— Domyślam się, że nie przez miejscowych stróżów porządku.

— Nie. A dlaczego to pana interesuje?

— Pracuję nad pewnym projektem wymagającym zaangażowania zagranicznych ekspertów wojskowych.

— Przecież ma pan pod swoją komendą doborowe oddziały kubańskiej armii.

— To prawda, ale chodzi o działania poza granicami kraju, z zachowaniem absolutnej dyskrecji.

— W Stanach Zjednoczonych?

— Nie.

Ramsey pokiwał głową.

— Chciałbym skorzystać z pomocy pańskich ludzi — powiedział Gutier.

— To nie byli moi ludzie, lecz wynajęci specjaliści, świadczący tego rodzaju usługi.

— Sądzi pan, że zgodziliby się pracować dla mnie?

— Nie widzę przeciwwskazań, o ile nie jest pan ukrytym sympatykiem Al— Kaidy.

— Pragnę pana uspokoić w tym względzie. Moja matka była praktykującą katoliczką. Wychowała nas z bratem w tym duchu.

Ramsey podszedł do biurka i po chwili wrócił z małą karteczką, na której było zapisane nazwisko i numer telefonu. Podał karteluszek generałowi.

— Maguire — przeczytał na głos Gutier. — To wszystko?

— Tak nazywa się mój kontakt. Numer telefonu i konta w banku na Kajmanach to wszystkie informacje, jakimi dysponuję.

— Jest zawodowcem?

— Najwyższej próby. Lepiej nie zadawać mu zbyt wielu pytań.

Gutier wstał.

— Ubolewam z powodu zatonięcia pańskiego statku. Wkrótce otrzyma pan koncesję na prowadzenie poszukiwań ropy naftowej na wskazanym obszarze — powiedział i wyszedł z salonu.

Ramsey stał nieruchomo. Patrząc przez okno na odpływającą motorówkę kubańskiego generała, nie mógł pozbyć się wrażenia, że właśnie zawarł pakt z diabłem.

Część 2

AZTLÁN

Rękopis znaleziony w cenocie



ROZDZIAŁ 11

Snop światła latarki nurkowej mienił się w krystalicznie czystej wodzie, wędrując po oddalonej o kilka metrów chropawej ścianie z wapienia. Można odróżnić każdy, nawet najdrobniejszy detal, pomyślała zachwycona tym widokiem Summer. Choć brakowało jej feerii kolorów i mnogości przejawów podmorskiego życia, towarzyszących nurkowaniu w ciepłych akwenach, delectowała się niespotykaną nigdzie indziej przejrzystością wody. Popatrzyła w górę, na sznur pęcherzyków powietrza unoszących się ku oddalonej o niemal trzydzieści metrów powierzchni.

Summer Pitt była oceanografem. Tak jak jej ojciec, dyrektor NUMA, uwielbiała podwodny świat. Teraz nurkowała w cenocie, która znajdowała się w nadmorskiej strefie meksykańskiego stanu Tabasco. Naturalne zapadlisko krasowe w osadowej skale wapiennej tworzyło niemal pionową, wypełnioną wodą studnię. Zagłębiając się w grotę o średnicy piętnastu metrów, Summer czuła się jak w szybie windy. Zostawiła za sobą przenikające coraz słabiej światło dnia i skierowała promień latarki w głębinę. Tuż obok dwaj inni nurkowie płynęli w kierunku piaszczystego dna, energicznie pracując nogami. Summer przedmuchała uszy i ruszyła za nimi. Po chwili dotarli do podłoża jaskini, znajdującego się na głębokości trzydziestu sześciu metrów.

Podpłynęła do ciemnowłosego młodzieńca, wysokiego i bardzo szczupłego, tak jak ona. Odwrócił się do niej i mrugnął porozumiewawczo. W jego oczach błyszczała czysta radość z nurkowania w cenocie. Dirk, jej brat bliźniak i imiennik ojca, ożywił się, ilekroć miał okazję zejść w głębinę.

Zbliżyli się do trzeciego nurka, brodatego mężczyzny z długimi siwymi włosami, które falowały wokół jego maski. Doktor Eduardo Madero, profesor antropologii z Uniwersytetu Veracruz, uważnie obserwował dno. Dirk i Summer właśnie zakończyli prowadzone wspólnie z nim badania zasięgu raf koralowych u wybrzeży stanu Campeche. Chcąc odwdzińczyć się za pomoc, Madero zaprosił ich na nurkowanie w samotnej cenocie w Tabasco, gdzie kierował poszukiwaniami w ramach własnego programu naukowego.

Antropolog zawisł nad przymocowaną do dna aluminiową siatką, która dzieliła część podłoża podwodnej jaskini na duże kwadraty. W piasek wetknięto ponumerowane plakietki, oznaczające znaleziska odsłonięte podczas wykopalisk. Większość artefaktów stanowiących obiekt zainteresowań Madero była wyraźnie widoczna.

Płynąc obok niego, Dirk i Summer oświetlili dużą część stanowiska. Nagle Summer cofnęła się odruchowo. Ludzka czaszka, szczerząca brązowe zęby w upiornym uśmiechu, wpatrywała się w nią pustymi oczodołami. W piasku po obu jej stronach lśniły małe złote kółka. Były to kolczyki ręcznej roboty, noszone kiedyś przez uśmiechniętą właścicielkę.

Summer powiodła dokoła światłem latarki, wydobywając z mroku makabryczny zbiór czerepów i kości wystających z dna. W słowach Madero nie było przesady, kiedy mówił przed zejściem pod wodę, że będzie to jak wizyta na cmentarzu przeorany przez tornado.

Przypuszczenie, że cenotę wykorzystywano do składania ofiar z ludzi, zostało praktycznie potwierdzone, ale antropolog chciał jeszcze zidentyfikować jej użytkowników. Okolica była niegdyś zamieszkaana przez Olmeków, a później przez Majów, jednak Madero nie potrafił przypisać znalezisk do żadnego z tych okresów. Małą glinianą figurkę datowano na XV wiek, co zbiegało się z rozkwitem cywilizacji Azteków nieco dalej na północ oraz z nieodległym w czasie hiszpańskim podbojem.

Summer wyobraziła sobie ceremonię składania ludzkich ofiar, odbywającą się setki lat temu na brzegu cenoty. Jeśli przebiegała zgodnie z rytuałami Azteków, ofiara miała twarz skierowaną w niebo, a kapłan zatapiał w jej piersi ostry jak brzytwa nóż i wyrywał wciąż bijące serce. Stanowiło ono daninę dla bogów, być może dla jakiegoś konkretnego, wojowniczego bóstwa, odpowiedzialnego za to, by słońce nadal odbywało swoją codzienną wędrówkę po nieboskłonie.

Członki ofiary odcinano i zjadano podczas rytualnej uczty, a korpus wrzucano do cenoty. W przypadku Azteków krwawy obrzęd odbywał się codziennie. Uśmiechnięta czaszka mogła należeć do jednej z setek ofiar z nieznannej wioski, która znajdowała się nieopodal. Na myśl o tym przez ciało Summer przeszedł dreszcz, choć miała na sobie ciepłą piankę.

Zostawiła czaszkę i popłynęła za Madero, który pokazał im kilka innych stanowisk, zatrzymując się nieco dłużej przy bazaltowym mózdzierzu zwanym *molcajete*, który dopiero miał zostać skatalogowany i wydobyty na powierzchnię. Wreszcie antropolog wskazał kciukiem w kierunku powierzchni. Czas pobytu na dnie dobiegł końca.

Zadowolona, że może opuścić podwodny cmentarz, Summer żwawo popłynęła w górę, zostawiając za sobą obu mężczyzn. Płynęła tuż przy skale, w ślad za sznurem pęcherzyków powietrza. Nagle, wskutek zbyt obszernego ruchu nogi, jej płetwa zaklinowała się w nierównej wapiennej ścianie. Mocne szarpnięcie niemal zerwało ją ze stopy, więc poprawiła płetwę, wsparłszy się łokciem o niewielki występ.

Gdy odpychała się od niego z zamiarem kontynuowania wynurzenia, poczuła pod dłonią jakiś gładki kształt. Zatrzymała się i zaczęła dokładnie oglądać wąską skalną półkę pokrytą grubą powłoką mułu. Na skutek falującego mchu jej dłoni w górę wzbijała się chmura brązowego osadu. Kiedy zaczęła opadać, wyłonił się zza niej namalowany motylek.

Madero podpłynął bliżej i spojrzał na skalny występ. W jego szeroko otwartych oczach Summer dostrzegła błysk uznania. Dłonią w gumowej rękawiczce ostrożnie przesunął po powierzchni przedmiotu i wetknąwszy palce w muł, obrysował jego krawędzie. Najwyraźniej obiekt zatrzymał się na skalnej półce podczas opadania i nie miał żadnego związku ze znaleziskami odkrytymi na dnie, toteż antropolog nie zastosował wobec niego metodycznej procedury badawczej. Odgarnął szlam, odsłaniając gliniane pudełko o rozmiarach szkatułki na biżuterię. Na jedynym niepokrytym osadem rogu wieka widniał maleńki motylek.

Madero pokazał gestem Summer, żeby zabrała pudełko na powierzchnię. Wzięła je niepewnie, jakby było tykającą bombą, i pomknęła w górę, odpychając się mocno płetwami

Ze względu na ograniczony czas przebywania na dnie nie musieli robić przystanku dekompresyjnego, dlatego po chwili wysunęła głowę nad gładką powierzchnię wody. Podpłynęła do prowizorycznej drabinki i cierpliwie czekała, aż Madero wyjdzie na brzeg cenoty, zdejmie akwalung i wróci, by odebrać od niej gliniany pojemnik. Potem sama wspięła się na drabinkę, a tuż za nią podążył Dirk. Szybko zrzucili pianki, w których natychmiast robiło się gorąco w dusznym upale panującym nad brzegiem Zatoki Meksykańskiej.

— Woda była cudowna — szepnęła do brata — ale wolałabym darować sobie tę wycieczkę po cmentarzu.

Dirk wzruszył ramionami.

— To całkiem dobre miejsce wiecznego odpoczynku, zwłaszcza po wyrwaniu serca — orzekł.

— Co oni robili z tymi sercami?

— Chyba palili. Może część zostawiali sobie na zapas w składziku.

Wskazał ręką otaczającą ich dżunglę. Madero znalazł w pobliżu cenoty jedynie resztki budowli sakralnej i ślady po wiosce. Teraz trudno było je nawet zauważyć. O obecności ludzi świadczyły tylko dwa namioty, wykorzystywane przez antropologa i jego współpracowników podczas corocznych wykopalisk.

Madero postawił tajemnicze pudełko na stole i czyścił je z osadu za pomocą starej szczoteczki do zębów.

— Co to może być? — zastanawiał się Dirk. — Starodawne pudełko na cygara?

— *No es unacaja de cigarros* — pokręciła głową Summer.

— Dobrze pani mówi po hiszpańsku — uśmiechnął się Madero, nie odrywając oczu od pudełka. — Ja też przypuszczam, że to coś znacznie bardziej niezwykłego.

Summer podeszła bliżej i przyglądała się znalezisku.

— Wie pan, do czego służyło?

— Niestety nie, ale prawdopodobnie jest dziełem Azteków. Byli wyśmienitymi rzemieślnikami. Widziałem wiele ich wyrobów, jednak z czymś takim spotykam się pierwszy raz. — Odłożył szczoteczkę i przechylił pudełko w stronę Summer. — Ma rzadko spotykany kształt. Dużo trudniej zrobić z gliny idealny sześcian niż zwykły okrągły garnek. Proszę spojrzeć tutaj. — Wskazał szarą substancję spajającą wieko z resztą pojemnika.

— Zaklejone na amen — zauważył Dirk.

— Właśnie. Wygląda to jak wyschnięty lateks, który w prosty sposób można uzyskać z rosnących tu kauczukowców — powiedział Madero, podnosząc pudełko. Kiedy nim potrząsnął, w środku coś zagrzechotało. — Wciąż jest szczelne, mimo całkowitego zanurzenia w wodzie. Pokrywający je osad utworzył dodatkową warstwę ochronną.

— Domyśla się pan, co może zawierać? — spytała Summer.

— Nie mam pojęcia — odparł. — Przewieziemy je do mojego laboratorium w Veracruz i prześwietlimy, a potem usuniemy lateks i zajrzemy do środka.

— Nadal twierdzą, że są tam zbutwiałe cygara — mruknął Dirk.

— Być może. — Madero ostrożnie odstawił pudełko. — Ale ja nadal sądzę, że jego zawartość jest o wiele mniej pospolita.

Sięgnął po szczoteczkę i zaczął delikatnie pocierać środek wieczka. Spod zanieczyszczeń stopniowo ukazywał się jasnozielony kolisty wzór, inkrustowany zielonymi i niebieskimi kamieniami. Po chwili dało się rozpoznać kształt ptasiego skrzydła.

— Aztekowie bardzo często wykorzystywali motywy zwierzęce do dekorowania swoich wyrobów — wyjaśnił antropolog. — Najbardziej popularne były wizerunki orłów i jaguarów, symbolizujące kastę wojowników.

— To z pewnością jakiś ptak, ale raczej nie przypomina orła — stwierdziła Summer. — Czy inne ptaki też miały znaczenie symboliczne?

— Tak, zwłaszcza gatunki egzotyczne. Ich upierzenie było niezwykle cenne, droższe nawet od złota. Wódz i starszyzna nosili wymyślne nakrycia głowy z piór żyjącego w dżungli zielonego ptaka zwanego quetzal. Trzeba też pamiętać o Huitzilopochtli, plemiennym bóstwie Azteków. Prawdopodobnie był najważniejszym z bogów, patronem wojny, ale także opiekunem stolicy ich imperium, Tenochtitlanu. To za jego sprawą Meksykanie wywędrowali z Aztlán do Tenochtitlanu, czyli dzisiejszego Mexico City.

— Czy Huitzilopochtli był powiązany z jakimś konkretnym ptakiem? — spytała Summer.

— Tak, z błękitnym kolibrem. Jego wizerunek umieszczano tylko na przedmiotach przeznaczonych dla klasy panującej. Madero zdmuchnął warstewkę pyłu, i podsunął Summer pudełko. Teraz można było dostrzec, że kamienie to kawałki jadeitu i turkusy. Między nimi znajdowała się kościana — pirytowa intarsja w kształcie ptaka w locie. Krótkie skrzydła i długi, wąski dziób nie pozostawiały wątpliwości. To był błękitny koliber.

ROZDZIAŁ 12

Wszyscy obecni w laboratorium sąsiadującym z uniwersyteckim gabinetem doktora Madero patrzyli na gliniane pudełko, które stało na stole. Dokładnie oczyszczone i oświetlone lampą fluorescencyjną, przyciągało uwagę tajemnicą skrywaną w swym wnętrzu.

Antropolog najpierw zwilżył brzegi wieczka rozpuszczalnikiem, a następnie podgrzał małą suszarką do włosów. Wskutek tych zabiegów naturalny lateks zmiękł i spoina stała się elastyczna. Madero wetknął w szczelinę plastikową szpachelkę.

— Chyba już puściło — powiedział. — Spróbuję otworzyć. Chwycił wieko przez rękawiczkę i delikatnie pociągnął.

Pudełko zostało otwarte.

Dirk i Summer pochylili się i zajrzeli do środka. Wewnątrz znajdował się niewielki prostopadłościenny przedmiot, owinięty skrawkiem zielonego filcu. Kiedy Madero rozwinął materiał, ich oczom ukazał się bloczek arkusików papieru.

— Wygląda jak mała książka — powiedziała Summer. Oczy antropologa zrobiły się wielkie jak spodki. Za pomocą pęsety odwrócił pustą wierzchnią kartę. Na następnej stronie widniał barwny, jakby komiksowy obrazek, przedstawiający kilku wojowników wyposażonych w tarcze i włócznie.

— To nie jest zwykła książka — powiedział głosem drżącym z emocji. — Mamy przed sobą kodeks.

Summer słyszała o kodeksach Majów i Azteków w postaci piktograficznych manuskryptów, które zawierały informacje o kulturze i historii tych plemion, ale nie widziała żadnego na własne oczy. Zaskoczyło ją więc, kiedy zobaczyła, że gdy Madero pociągnął pierwszą kartę, następne rozłożyły się jak harmonijka. Na każdej znajdowały się rysunki i pismo.

— Został napisany językiem Majów? — spytała.

— Nie, to klasyczny nahuatl.

— Nahuatl? — powtórzyła.

Tak nazywał się język Mexików, czy, jak kto woli, Azteków. Widzę znaki charakterystyczne dla klasycznej formy tego języka.

Potrafi pan je odczytać?

Madero rozciągnął na stole cały kodeks, liczący dwadzieścia segmentów. Najpierw sfotografował każdy z nich, a potem wpatrzył się w rysunki. W milczeniu oglądał kolejne sceny. Pierwsze przedstawiały bitwę, dalsze grupę ludzi niosących jakiś duży przedmiot. Po kilku minutach naukowiec podniósł wzrok.

To chyba opis jakiegoś lokalnego konfliktu. Relację z bitwy wyryto w kamieniu, a następnie z jakiegoś powodu rozłupano go na dwie części, które zostały dokądś zabrane. — Pokręcił głową. — Muszę przyznać, że nie czuję się zbyt pewnie na tym polu. Ale jeden z moich kolegów, profesor Miguel Torres, jest specjalistą od języka nahuatl. Spyta, czy zechce nam pomóc.

Wyszedł z laboratorium i po chwili wrócił w towarzystwie dwóch mężczyzn.

— Przedstawiam państwu mojego znakomitego kolegę doktora Miguela Torresa, który kieruje wydziałem archeologii. Miguelu, to moi przyjaciele z NUMA.

Brodacz z niewinnym uśmiechem cherubina podszedł do Summer i Dirka, wyciągając dłoń na powitanie.

— Miło mi państwa poznać. Gratuluję wspaniałego sukcesu.

Raz po raz zerkał w stronę kodeksu, ale powstrzymał ciekawość, aby przedstawić Pittom drugiego przybysza.

— To pan Juan Diaz z kubańskiego ministerstwa spraw wewnętrznych. Prowadzi badania nad pewnym azteckim artefaktem. Podobnie jak ja jest zafascynowany państwa odkryciem.

— Wasze znalezisko jest znacznie bardziej interesujące od mojej małej figurki — rzekł Diaz z uśmiechem.

— Znalazł ją pan na Kubie? — zapytała Summer.

— Tak, ale prawdopodobnie trafiła na wyspę w drodze wymiany handlowej — wyjaśnił Torres. — Oczywiście nie można wykluczyć, że Aztekowie odbywali podróże morskie w obrębie Karaibów, jednak nie mamy na to żadnych dowodów. — Spojrzał na stół. — Już samo gliniane pudełko, które Eduardo pokazał mi wcześniej, jest cennym znaleziskiem, a teraz okazało się, że w środku jest ten kodeks. To doprawdy niezwykle.

— Proszę mu się dokładnie przyjrzeć i powiedzieć nam, co pan o nim sądzi — zaproponowała Summer.

Archeolog nie potrafił ukryć podniecenia. Założył bawełniane rękawiczki i podszedł do stołu.

— To typowy papier amate, wyrabiany z kory figowca i poddany wybielaniu — oznajmił po chwili. — Na takim samym spisano kilka znanych azteckich kodeksów. Jest czysty i nieuszkodzony, zachował się w doskonałym stanie. To niesamowite, zważywszy, że spędził kilkaset lat pod wodą.

— Fachowcy sprzed wieków znali się na swojej robocie — skostatował Madero. — Wiemy o tym nie od dziś.

Torres wpatrywał się w rysunek na pierwszym segmencie.

— Przypomina Kodeks Boturinię, który znajduje się w Narodowym Muzeum Antropologii — powiedział, wskazując kilka znaków pod rysunkiem przedstawiającym wojowników. — Pochodzi z czasów kolonizacji.

— Ma pan na myśli przybycie Hiszpanów? — zapytała Summer.

— Tak — potwierdził Torres. — A konkretnie rok 1519, kiedy to Cortes zszedł na ląd w okolicach dzisiejszego Veracruz.

Zaczął relacjonować kolejne wydarzenia zilustrowane w dokumencie. Wkrótce z obrazków wyłoniła się nieco chaotyczna opowieść.

— Na początku Aztekowie odbywają żałobę na skutek jakiejś klęski, która spowodowała śmierć wielu ludzi. Nie jest jasno powiedziane, czy chodziło o lokalnego wroga, czy o Hiszpanów.

— Albo o zarazę — wtrącił Madero.

— Całkiem możliwe. Hiszpanie przywlekli do Ameryki ospę wietrzną, która zabiła miliony tubylców. Wydaje mi się jednak, że mamy tu do czynienia z jakąś bitwą. Dalej widzimy grupę mężczyzn przystrojonych w pióra i hełmy w kształcie ptasich dziobów. Należeli oni do elitarniej formacji wojowników — orłów, złożonej z najbardziej doświadczonych żołnierzy. — Wskazał na ciągnące się przez kilka kolejnych segmentów ślady stóp, które miały symbolizować wędrówkę. — Po bitwie wyruszyli w długą podróż.

— Czyżby dalszą część tej podróży odbywali drogą wodną? — Summer dostrzegła na kolejnej stronie siedem kanoe nad brzegiem jakiegoś zbiornika wodnego.

— Najwyraźniej tak. Aztekowie wzniesli Tenochtitlan na wyspie u brzegów jeziora. Wiemy, że używali małych kanoe.

— No właśnie, małych. Te tutaj wyglądają na znacznie większe — stwierdził Madero.

Zaciekawiony Diaz podszedł do stołu.

— W każdej łodzi znajduje się wielu wojowników. Pewnie zabrali ze sobą jakiś ładunek, być może zaopatrzenie. A to chyba można uznać za coś w rodzaju żagla — rzekł, wskazując dużą płachtę zwisającą z wysokiego drzewca.

— To naprawdę bardzo dziwne — odparł Torres. — Jeszcze nigdy nie spotkałem się z tak wielkimi łodziami na azteckich rysunkach. Wygląda na to, że wypuszczali się na wody zatoki Campeche.

— Albo jeszcze dalej — dodał Diaz.

— To może wyjaśniać, dlaczego znaleźliśmy ten kodeks w Tabasco — powiedział Madero. — To miejsce musi być w jakiś sposób związane z ich wypłynięciem lub powrotem.

— Wciąż tak mało o nich wiemy — westchnął Torres.

Pochylili się nad następnym segmentem, na którym siedem kanoe płynęło w kierunku słońca. Na kolejnym widniało tylko jedno kanoe, najwyraźniej powracające z wyprawy.

— Robi się coraz ciekawiej — powiedział Torres, wpatrując się w obrazki. — Na pierwszym rysunku widzimy wojownika orła, prawdopodobnie z jedynej łodzi, która wróciła, jak opowiada o wyprawie rytownikowi. Dalsze przedstawiają to, co zostało wyryte na powierzchni dużej kamiennej tablicy w kształcie dysku.

— Jest podobna do Kamienia Słońca — zauważył Madero.

— Chyba gdzieś o nim słyszałam... — zastanawiała się głośno Summer.

— Został odkryty w 1790 roku podczas renowacji katedry w Mexico City. Można go zobaczyć w Narodowym Muzeum Antropologii. Ma około trzech i pół metra średnicy i cały pokryty jest symbolami odnoszącymi się do azteckiego kalendarza.

— Jeżeli na obrazku zachowano proporcje, ta tablica była dużo mniejsza.

Dirk wciąż wpatrywał się w stronę z rysunkiem kanoe.

— Czy w dokumencie jest wspomniany cel ich wyprawy? — zapytał.

— Nie ma żadnych informacji na ten temat, ale wygląda na to, że przewozili coś bardzo cennego — odparł Torres. — Świadczy o tym obecność eskorty złożonej z wojowników orłów. Może chodziło o jakąś specjalną ofiarę dla któregoś z bóstw.

— Czy mogły to być wyjątkowo cenne przedmioty wykonane ze złota lub kamieni szlachetnych? — spytał Diaz.

— To bardzo prawdopodobne. Aztekowie znali ich wartość i wykorzystywali w handlu wymiennym, co znalazło odbicie w religijnych artefaktach.

Na kolejnym segmencie przedstawiono pracującego rytownika. Pochylał się nad kamienną tablicą w jakimś domu, przed którym stali mężczyźni w stalowych hełmach i napierśnikach.

— Pojawiają się Hiszpanie — rozpoznał Madero.

— Tak, żądają wydania tablicy — potwierdził Torres, wskazując kolejny rysunek. — Rytownik rozłupuje ją na dwie części i próbuje obie ukryć. Hiszpanie znajdują jedną z nich i zabijają rytownika.

Na następnej stronie kamienną tablicę wnoszono na statek z wielkim żaglem. Nad dziobem statku narysowana była małpa.

— Więc Hiszpanie załadowali tablicę na galeon — powiedziała Summer. — Teraz pewnie leży w piwnicy jakiegoś muzeum w Sewilli i pokrywa się kurzem.

— Nic mi nie wiadomo o istnieniu podobnego artefaktu — odrzekł Torres. — Poza tym Hiszpanie mieli tylko połowę tablicy. Na ostatnich segmentach widać wojowników orłów, którzy transportują drugą część, aby ją ukryć w jaskini u stóp góry oznaczonej wizerunkiem krowy.

— Domyśla się pan, co to za miejsce?

Torres wskazał segment, na którym ślady stóp prowadziły obok piramidy ze spłaszczonym wierzchołkiem, zwieńczonej czterema wielkimi posągami.

— To prawdopodobnie piramida Quetzalcoatl w Tuli, na północ od Mexico City. Ale, jak widać na następnym rysunku, ślady prowadzą dalej. Trudno oszacować odległość, przyjmując jednak, że ten segment oznacza jeden czy dwa dni wędrówki, mogli oddalić się od Tulio jakies pięćdziesiąt—siedemdziesiąt kilometrów.

Madero wciąż wpatrywał się w ostatni obrazek.

— Ukryli tablicę w jaskini w pobliżu góry oznaczonej rysunkiem krowy — rzekł półgłosem. — To bardzo dziwne.

— Dziwi się pan, że ukryli tablicę? — zapytała Summer.

— Nie, zastanawia mnie ten znak krowy. W Ameryce Północnej bydło hodowlane pojawiło się dopiero wraz z Kolumbem.

Podszedł do szafki i wrócił z mapą samochodową meksykańskiego stanu Hidalgo. Rozłożył ją i w południowo— wschodnim rogu wskazał Tulę.

— Raczej nie popełnimy błędu, zakładając, że przyszli do Tuli z południa. Pytanie brzmi: w jakim kierunku poszli dalej?

Wraz z Torresem pochylili się nad mapą, szukając jakiejś wskazówki w nazwach okolicznych miejscowości.

— Może Huapalcalco? — Madero wskazał miasto na wschód od Tuli. — To ważne miasto Tolteków i zarazem jedno z najstarszych osiedli ludzkich w Hidalgo.

— Jeśli szli z Tenochtitlanu albo z wybrzeża Tabasco, Huapalcalco nie było im po drodze — odrzekł Torres. — Jest za daleko na wschód.

— Masz rację — zgodził się Madero. — Poszli raczej na północ.

Przesunął palcem od Tuli w kierunku północnym i zatrzymał go o prawie osiemdziesiąt kilometrów dalej na mieście Zimapán.

— Krowa na zboczu góry... — myślał głośno. — A może to nie krowa, tylko byk? Gdzieś w tej okolicy jest stara hiszpańska kopalnia Lomo del Toro, czyli Grzbiet Byka.

— Tak! — wykrzyknął Torres z błyskiem w oczach. — Jedna z pierwszych hiszpańskich kopalni srebra, powstała na długo przez wielką kopalnię El Monte na zachód od Zimapán. Przed laty uczestniczyłem w wykopaliskach prowadzonych w którejś z okolicznych wiosek. Grzbietem byka nazywano nierówny górski szczyt. Masz rację, Eduardo, to pasuje do opisu. Jaskinia może się znajdować u stóp tej góry.

— Czy to możliwe, żeby tablica wciąż tam była? — zapytał Diaz.

W pomieszczeniu zapadła cisza, którą po chwili przerwał Madero.

— To kompletne pustkowicie. Uważam, że mamy spore szanse ją odnaleźć.

— Jest pewien problem — powiedział Torres. — Dwadzieścia sześć lat temu zbudowano tamę Zimapán, zalewając dolinę po zachodniej stronie góry. Jeśli to tam była jaskinia, teraz może znajdować się pod wodą.

— Pod wodą? A to pech — odparł Madero z udawaną troską, puszczając oko do Dirka i Summer. — Czy znamy kogoś, kto potrafi poprowadzić podwodne poszukiwania?

ROZDZIAŁ 13

Nad bezkresnym przestworem otwartych wód Morza Karaibskiego zalegała niemal absolutna cisza. Tylko z rzadka martwe ryby odbijały się z plaśnięciem od dziobu „Sargasso Sea”. Statek badawczy NUMA zastopował maszyny i wytracał prędkość, lekko dryfując na łagodnej fali.

Minęły dwa dni, odkąd pod czujnym okiem załogi kubańskiego patrolowca wpłynęli do portu w Hawanie, aby wysadzić rozbitków z „Alty”. Okręt pomocniczy Rewolucyjnej Marynarki Wojennej przybił do ich burty i zawiesił dzwon nurkowy nad „Sargasso Sea”. Kanadyjscy nurkowie przeszli z pokładowej komory hiperbarycznej NUMA do dzwonu, który wrócił na kubański okręt, gdzie mężczyźni mieli dokończyć proces powolnej dekompresji.

Kapitan Knight poczekał, aż ostatni członkowie jego załogi znajdą się na brzegu, po czym podszedł do Pitta stojącego przy trapie.

— Nawet nie chcę myśleć, ilu ludzi mógłbym stracić, gdybyście nie odpowiedzieli na nasze wezwanie pomocy. Nie wiem, jak panu dziękować.

— Szczęśliwym zrzędzeniem losu byliśmy w pobliżu — odparł Pitt, wskazując ruchem głowy przedpotopowe karetki pogotowia odjeżdżające z nabrzeża. — Wolałbym podrzucić was na Key West.

— Naprawdę nie trzeba — zapewnił Knight. — Realizujemy kontrakt przy współpracy z kubańskim rządem, więc to nawet lepiej, że będziemy mogli od razu omówić następstwa katastrofy. Mam nadzieję, że jakoś uda mi się wyjaśnić, dlaczego nie będziemy w stanie dokończyć tego odwiertu w ustalonym terminie.

— Życzę panu szczęścia — powiedział Pitt.

Mężczyźni wymienili uścisk dłoni, po czym Knight zszedł na ląd, odwrócił się i zasalutował załodze „Sargasso Sea”.

Po ściągnięciu trapu i odcumowaniu Dirk dostrzegł Ala Giordino z pudełkiem cygar Ramon Allones pod pachą.

— Skąd je wytrzasnąłeś? — spytał. — Przecież nikt z naszej załogi nie dostał pozwolenia zejścia na brzeg.

— Nawiązałem przyjacielskie stosunki z pilotem portowym — wyjaśnił Al. — Kosztowało mnie to dwie butelki maker'smark.

— Zrobiłeś dobry interes — roześmiał się Pitt.

— Nie bardzo — westchnął Giordino, kręcąc głową — wzięwszy pod uwagę, że pozbyłem się resztek gorzały przeszczuglowanej na statek.

„Sargasso Sea” właśnie wychodził z ciasnego kanału portowego. Przyjaciele stali przy relingu i patrzyli na znikający za rufą historyczny bulwar Malecón. Minęło wiele lat od

ostatniego pobytu Pitta w Hawanie, był więc zdziwiony, że widok miasta od strony morza prawie się nie zmienił, tak jakby w tym szczególnym miejscu czas się zatrzymał.

Wkrótce znaleźli się na pełnym morzu. Pozbywszy się kubańskiej eskorty, opłynęli zachodni kraniec wyspy, wzięli kurs na południowy wschód i zawrócili w kierunku Jamajki. Kiedy osiągnęli jedną z martwych stref wykrytych przez Yaegera i Gunna, statek zatrzymał maszyny, a na pokładzie zapanował ożywiony ruch.

Podczas gdy członkowie ekipy naukowej pobierali próbki wody i przekazywali je do laboratorium, Giordino przygotował do pracy przypominający kształtem torpedę samodzielny pojazd podwodny AUV, nafaszerowany czujnikami i dysponujący własnym sonarem. Urządzenie miało zanurzyć się głęboko i korzystając z systemu nawigacyjnego z zaprogramowaną trasą, sporządzić profil wyznaczonego obszaru dna.

Pitt przyglądał się, jak Al spuszcza AUV-a na wodę za pomocą rufowego dźwigu bramowego.

— Kiedy ma wrócić? — spytał.

— Za jakieś cztery godziny — odparł Giordino. — Na początek tylko krótki spacer: zbada skrawek dna o powierzchni poniżej jednej mili kwadratowej. Nie ma sensu, żeby ganiał tam i z powrotem jak kot z pęcherzem, zanim ustalimy przyczynę powstawania martwych stref.

— Zamierzam to zrobić jak najprędzej — powiedział Dirk i ruszył na mostek, skąd kierował sprawdzaniem wyznaczonego obszaru, zatrzymując statek mniej więcej co pół mili w celu pobrania dodatkowych próbek wody.

Kiedy zbliżał się czas podjęcia AUV-a na pokład, poszli z Alem do jednego z laboratoriów. Ciemnooka kobieta w niebieskim fartuchu skinęła, by dołączyli do niej przed ekranem monitora komputerowego.

— Cześć, Kamala — pozdrowił ją Pitt. — Masz już jakieś wyniki?

— Tak — odparła Kamala Bhatt, która specjalizowała się w biologii morskiej. — Jak wiadomo, martwe strefy są spotykane we wszystkich oceanach. Typowe rejony ich występowania to ujścia rzek toczących skażone wody do morza. Ale to miejsce, tak jak pozostałe zidentyfikowane przez Hirama Yaegera, znajduje się z dala od lądu. Co prawda wstępne testy wykazały spadek zawartości tlenu, lecz nie tak znaczny, jak można by oczekiwać.

— Czy to oznacza, że w tym miejscu nie ma martwej strefy? — Pitt pokręcił głową z niedowierzaniem.

— Wprost przeciwnie, wykryliśmy bardzo wysokie stężenia substancji toksycznych. Po prostu spodziewaliśmy się czegoś innego. — Kamala wskazała wyświetlony na ekranie wykres słupkowy, przedstawiający skład chemiczny jednej z próbek wody. — Samo obniżenie zawartości tlenu to za mało. Doszliśmy do wniosku, że istnieje jakiś dodatkowy czynnik zwiększający niekorzystny wpływ środowiska na organizmy morskie. Musiałam sięgnąć głębiej, aż znalazłam składnik, którego nagromadzenie przekracza wszelkie normy.

— Cóż to takiego? — spytał Giordino.

— Rtęć, a dokładniej metylortęć.

— Zatrucie rtęcią tak daleko od lądu? — zdziwił się Dirk. — Jesteś pewna?

— Tak. We wszystkich próbkach, oprócz ostatniej partii, której jeszcze nie zdążyliśmy zbadać, oznaczyliśmy wysokie stężenie toksycznej metylortęci. Doszło do bioakumulacji rtęci w planktonie i tym samym do włączenia jej do łańcucha pokarmowego. Badanie kilku spośród całej masy śniętych ryb potwierdziło obecność rtęci.

— Skażenie rtęcią to nic nowego — powiedział Pitt. — Wskutek zanieczyszczenia powietrza wylotami z zakładów przemysłowych zawartość rtęci w wodach mórz i oceanów wzrasta od wielu lat. Ale w tym przypadku chodzi o coś innego, mam rację?

Bhatt potwierdziła skinieniem głowy.

— Odnotowaliśmy skokowy wzrost poziomu zanieczyszczeń. Przyczyną skażenia nie mógł być zwykły kwaśny deszcz. Tu chodzi o konkretne źródło skoncentrowane na ograniczonym obszarze. Porównywalną toksyczność stwierdzono, o ile pamiętam, tylko raz w Japonii. Na przestrzeni kilkudziesięciu lat pewna fabryka odprowadzała do zatoki Minamata ścieki zawierające w sumie dwadzieścia siedem ton metylortęci. Skutki okazały się katastrofalne zarówno dla środowiska, jak i dla okolicznych mieszkańców. W wyniku zatrucia zmarło prawie dwa tysiące osób.

— Ale my znajdujemy się pięćdziesiąt mil od brzegu — zauważył Giordino.

— Gdybym miała zgadywać, najbardziej prawdopodobne wydaje mi się zatopienie toksycznych odpadów przemysłowych — oznajmiła Bhatt.

— W takim razie AUV to potwierdzi — orzekł Pitt.

— Najwyższe stężenie wystąpiło w próbce pobranej tam, gdzie AUV został spuszczonej na wodę — dodała Bhatt.

— Robot powinien zaraz wrócić — powiedział Al. — Mam nadzieję, że truciele zostawili nam swoją wizytówkę.

Wszyscy troje wyszli na pokład rufowy, gdzie właśnie wyciągano AUV-a z wody. Giordino skopiował dane z sonaru na przenośny twardy dysk i zabrał do laboratorium. Szybko przejrzał zarejestrowane akustyczne obrazy, ukazujące stumetrowe pasy pofałdowanego dna. Znalazł na nich tylko kamienie i piasek, tworzący gdzieś tam wały podobne do wydm; nigdzie nie dostrzegł beczek, skrzyń ani żadnych innych pozostałości świadczących o ludzkiej ingerencji w środowisko. Jedyne, co zwróciło jego uwagę, to szereg niewyraźnych prostych linii, koncentrujących się w płytkiej podwodnej dolinie.

— Nie ma tu niczego poza tymi liniami, którym należałoby się przyjrzeć z bliska — powiedział. — Nie potrafię stwierdzić, czy powstały w sposób naturalny, czy na skutek działalności człowieka.

— Może śmieci są ukryte pod warstwą osadów — zasugerował Pitt. — Wtedy cała nasza robota na nic.

— Mogę przekonfigurować AUV-a w celu sporządzenia profilu podłoża. To umożliwi nam zajrzenie na pewną głębokość poniżej poziomu dna, zależnie od parametrów osadów.

Dirk przez dłuższą chwilę wpatrywał się w obrazy zarejestrowane przez sonar, świadomy, że gdzieś tam kryje się rozwiązanie zagadki. Wreszcie pokręcił głową.

— Ruszamy dalej — zdecydował. — Z tego, co widzę, dno jest piaszczyste, a więc słabo przenikliwe dla skanera profilu. Mamy jeszcze dwie martwe strefy do sprawdzenia i założę się, że w którejś z nich natrafimy na ewidentne źródło skażenia.

Giordino bez słowa sprzeciwu przekazał rozkaz na mostek. Znał Pitta od lat i wiedział, że można polegać na jego intuicji.

ROZDZIAŁ 14

Zdezelowana zielona furgonetka zjechała z polnej drogi i zatrzymała się na wysokiej skarpie. Kiedy opadła chmura pyłu ciągnąca się za samochodem, wysiadł z niego doktor

Torres i rozłożył na masce szczegółową mapę okolicy. Dirk i Summer dołączyli do niego w chwili, kiedy stawiał znak X w jednym z kwadratów. Kilka sąsiednich miało już takie oznaczenia.

— To był ostatni z niezalanych obszarów u podnóża Lomo del Toro — powiedział zmęczonym głosem. — Poza dwoma starymi szybami opuszczonej kopalni, w których trzeba było niemal pełzać, nie natknęliśmy się na nic, co przypominałoby jaskinię.

— Doktor Madero ostrzegł nas, że to strzał w ciemno — przypomniała Summer.

— Szkoda, że sam tego nie sprawdził — odparł Torres kwaśno.

— Nie mógł, bo musiał wygłosić dawno zaplanowany wykład w Mexico City. Obiecaliśmy mu, że dołożymy wszelkich starań, żeby znaleźć tę grootę.

Torres tylko westchnął i pokiwał głową. Był pewien, że znajdują się we właściwym miejscu. Przez kilka dni ślęczeli z Madero nad kodeksem, porównując go z innymi azteckimi dokumentami i czytając hiszpańskie relacje z tamtych czasów. Zdołali rozszyfrować kilka dodatkowych wskazówek, które potwierdziły ich wstępną hipotezę, że Aztekowie przynieśli połówkę kamiennej tablicy do Zimapán.

Jeden z zapisów mówił, że wędrowali na północ, prawdopodobnie ze stołecznego Tenochtitlanu. Inny zawierał informację o postoju w Tuli, tolteckim mieście na północnym krańcu imperium Azteków, około trzydziestu kilometrów od miejsca, w którym teraz byli. Z kolejnego wynikało, że wojownicy wędrowali z Tuli dwa dni i po pokonaniu stromego wąwozu ukryli kamień w jaskini u podnóża góry, której wierzchołek przypominał krowi grzbiet. Wszystko wskazywało na to, że chodzi o Lomo del Toro.

Niestety, dwudniowe penetrowanie fragmentu jałowego, skalistego płaskowyzu w środkowym Meksyku nie przyniosło żadnych rezultatów. Minęli górnicze miasto Zimapán i pojechali wąskim kanionem Barranca de Tolimán, zgodnie z azteckim opisem. Dotarłszy do Lomo del Toro, rozpoczęli poszukiwania w najbliższej okolicy. Do wielu miejsc nie dało się dojechać samochodem, musieli więc poruszać się pieszo w niegościnnym, pofałdowanym terenie. Teraz byli brudni i spoceni, i mieli już serdecznie dość ciągłego lawirowania między grzechotnikami.

Zbadali cały obszar wokół góry z wyjątkiem kopalni El Monte koło Zimapán, w obrębie której znajdowały się najstarsze chodniki, wydrążone jeszcze przez Hiszpanów. Eksploatowane od XVI wieku pokłady srebra i ołowiu były już na wyczerpaniu, więc wydobywanie prowadzono na niewielką skalę. Torres nawiązał kontakt z przedstawicielami kopalni, odbył też rozmowę z miejscowym historykiem. Nikt nie słyszał o żadnej azteckiej grocie, ani nawet o obecności Azteków w tym rejonie. Jedyne, czego się dowiedział, to że kamienna tablica

prawie na pewno nie została ukryta w starym szybie kopalni, bo wydobyć prowadzono wysoko na stoku góry.

Napił się ciepłej wody z manierki i pokręcił głową.

— Może aztecka krowia góra znajduje się gdzie indziej — rzekł.

Dirk wyciągnął z plecaka kopię strony kodeksu, na której przedstawiono miejsce ukrycia kamienia. Popatrzył na rysunek, a potem przeniósł wzrok na imponujący szczyt Lomo del Toro.

— Moim zdaniem kształt wierzchołka się zgadza.

Summer także porównała wygląd góry z rysunkiem i przyznała bratu rację. Oglądając fotokopię z bliska, dostrzegła niewyraźną linię poniżej wejścia do jaskini.

— Co to może być? — zastanawiała się na głos.

Dirk i Torres podążyli za jej wzrokiem.

— Nie zauważyłem tej linii w oryginale — stwierdził naukowiec.

— Ja też nie — przyznała. — Na fotokopii widać ją dużo wyraźniej.

Dirk jeszcze chwilę studiował mapę.

— Charakterystyczny kształt szczytu jest najlepiej widoczny od strony południowo—zachodniej i od północno—wschodniej — powiedział. — Na północnym wschodzie pagórkowaty teren obniża się stopniowo w kierunku Zimapán. Rejon południowo—zachodni, gdzie teraz jesteśmy, przecina strumień, omijający górę od zachodu.

— Tam już szukaliśmy — przypomniała bratu Summer.

— Ale tu nie — odparł i wskazał strumień płynący wzdłuż niskiej skarpy u podnóża góry. Kilometr dalej skarpa wypiętrzała się w wysokie, strome urwisko nad brzegiem dużego zbiornika wodnego, do którego strumień wpadał.

— Uważasz, że powinniśmy szukać jaskini pod tą skarpią?

— Nie, podejrzewam, że wejście do groty znajduje się pod urwiskiem.

— Czyli pod wodą — stwierdziła Summer.

— W czasach Azteków nie było tu jeziora — wtrącił Torres, w którego głosie pojawiła się nuta optymizmu. — Powstało dopiero po zbudowaniu tamy.

Dirk wskazał ręką środek jeziora.

— Jeśli rysownik znajdował się mniej więcej w tym miejscu — powiedział — widział szczyt Lomo del Toro wznoszący się nad krawędzią urwiska i nieco za nim. To by się zgadzało z rysunkiem w kodeksie.

— Oczywiście! — wykrzyknął Torres z promiennym uśmiechem. — Poradzicie sobie z podwodnymi poszukiwaniami?

Dirk odwzajemnił uśmiech.

— Nie gorzej niż aztecki kapłan z pokrojeniem indyka.

ROZDZIAŁ 15

Ze schodzącej do samego jeziora małej platformy skalnej wskoczyli do chłodnej i przejrzystej wody. Summer wzdrygnęła się odruchowo, bo nie było tu tak ciepło jak w cenie, w której ostatnio nurkowali. Na głębokości trzech metrów zrobiła krótki przystanek, żeby przedmuchać uszy, a potem popłynęła za bratem, który szybko opadał w dół. Gdy tylko Torres znalazł dogodny zejście nad samą wodę, rodzeństwo w rekordowym czasie założyło ekwipunek, po czym zanurkowali w spokojnej toni, zostawiwszy na brzegu drepącego w tę i z powrotem naukowca.

Dirk schodził w dół przy nachylonej pod dużym kątem pochyłości, która na głębokości dwudziestu metrów przeszła w poziome podłoże. Dno jeziora, pokryte brązowym mułem, z którego gdzieniegdzie wystawały kamienie, przypominało krajobraz księżycowy. Wszelkie ślady po korycie potoku znikły pod warstwą osadów naniesionych od czasu wybudowania tamy, ale Dirk wiedział, że dawny ciek wodny biegł u podstawy skarpy. Poczekał na Summer i razem popłynęli wzdłuż stromego podwodnego zbocza.

Patrząc w górę, mieli w zasięgu wzroku cały stok, prawie do samej powierzchni. Płynęli krótkimi zrywami, metodycznie badając skałę w poszukiwaniu wejścia do jaskini. Kilka razy zwodziły ich cienie i wąskie, prowadzące donikąd rozpadliny. Oboje byli świetnymi pływakami, więc poruszali się niemal bez wysiłku i szybko pokonali kilkaset metrów wzdłuż skarpy.

Nachylenie zbocza stopniowo się zwiększało, aż doszło prawie do pionu. Dirk, który płynął przodem, w pewnej chwili poczuł na ramieniu dłoń siostry. Spojrzał na nią i zobaczył, że wskazuje płytkie wgłębienie tuż obok jego stopy. Pojawiło się chwilę wcześniej, kiedy zawadził płetwą o skałę, zrywając z niej grubą warstwę mułu. Woda na moment zmętniała, ale gdy drobiny osadu opadły, wgłębienie okazało się schodkiem wykutym w skałę. Summer przesunęła dłoń wyżej i wyczuła kolejne wcięcie. Wygarnęła wypełniający je muł i ich oczom ukazał się drugi schodek, wykuty dokładnie nad pierwszym.

Wykonała ręką ruch w stronę powierzchni i popłynęła w górę ściany. Mniej więcej co trzydzieści centymetrów natrafiała na kolejne stopnie pokryte osadem. Dobre dziesięć metrów wyżej dostrzegła na skałę duży ciemny kształt. Wyglądał tak samo jak cienie skalnych załomów, które wcześniej wprowadzały ich w błąd, kiedy jednak z plamy mroku wychynęła para ryb, serce zabiło jej mocniej. Zbliżywszy się, zobaczyła wystającą ze skały szeroką półkę, która zasłaniała widok w górę.

Jednym mocnym ruchem płetw wysunęła się ponad krawędź występu. Tuż nad nim w skalnej ścianie znajdowała się owalna wnęka. Zanim dolinę zalały wody sztucznego jeziora, grotta mogła służyć jako bezpieczna kryjówka, osłonięta przez półkę skalną i dostępna tylko za pomocą schodków.

Summer zaczekała na brata, a kiedy znalazł się obok niej, włączyła latarkę i wpłynęła w wąski otwór, płosząc dużego okoniopstrąga, który niespodziewanie wyskoczył z ciemności.

Dirk popłynął za nią. Starał się nie zawadzić płetwami o pokryte osadem podłoże, aby nie mącić wody.

Ciasny i krótki korytarz wejściowy wkrótce rozszerzył się w grotę wielkości domu. Nie docierało tu naturalne światło, więc poza smugami światła z ich latarek dokoła panowała złowieszcza czerń. Ale sklepienie wznosiło się wysoko, toteż mogli swobodnie zbadać wnętrze. Środek jaskini zajmowało kamienne palenisko, a pod ścianą naprzeciwko wejścia leżała regularna sterta skalnego gruzu. Ani śladu azteckiej tablicy czy innych artefaktów.

Dirk podpłynął do ściany i przyjrzał się jej w świetle latarki. Głębokie, nierówne bruzdy na powierzchni świadczyły, że stąd wykuto materiał ułożony w stertę. Sięgnął po jeden ze skalnych okruchów i uniósł do oczu. Był to kawałek granitu pokryty drobinkami srebra. Najwyraźniej ktoś odkrył żyłę kruszcu i użył tradycyjnej metody, żeby się do niej dostać. Czyżby Aztekowie?

Dirk schował bryłkę do kieszeni i dołączył do siostry, która, przyświecając sobie latarką, zataczała wolne kręgi nad dnem. W jej oczach, zamiast niedawnego zapału, dostrzegł rozczarowanie. Pokręciła głową z rezygnacją. Dirk wskazał wyjście i ruszył w jego stronę.

Summer popłynęła za nim, z latarką wciąż skierowaną w podłoże. Kiedy mijala środek jaskini, snop światła zawadził o palenisko. Obejrzała je już wcześniej, ale dopiero teraz uświadomiła sobie, że w kamiennym kręgu otaczającym palenisko nie ma żadnych osmalonych patyków ani kawałków zwęglonego drewna. Poza tym kamienie w ogóle nie szerniały, tak jakby nigdy nie rozpalono tu ognia. Zatrzymała się i zauważyła, że palenisko wcale nie jest okrągłe, ma kształt zbliżony raczej do półkola.

Pociągnęła brata, dając mu znak, aby jeszcze nie wypływał na zewnątrz, i zeszła niżej. Dirk zawrócił i skierował na nią światło latarki. Zobaczył, że Summer unosi się nad paleniskiem i wkłada w nie rękę. Zagłębiła palce w kilkunastocentymetrową warstwę osadu i dotknęła jakiejś twardej powierzchni. Gdy przesunęła po niej dłonią, wyczuła, że jest płaska. Kiedy wygarniała garściami muł z paleniska, drobiny osadu uniosły się w górę, odbijając światło latarki. Krystaliczna woda zmieniła się w nieprzejrzystą zupę.

Dirk upuścił nieco powietrza z kompensatora pływalności i opadłszy obok siostry, wciąż gorączkowo wyrzucającej muł z paleniska, dotknął jej łokcia. Zrozumiała i przestała poruszać rękami. Oboje zamarli w bezruchu. Musieli poczekać, aż mętny obłok się rozproszy.

Summer wydawało się, że minęła cała wieczność, chociaż trwało to nie dłużej niż minutę. Najpierw dostrzegła światło latarki Dirka, potem zarys jego skafandra. Skierowali obie latarki na palenisko, w którym wciąż tkwiła ręka Summer. Kiedy jej palce stały się widoczne, powiodła dłonią po krawędzi dużego, płaskiego obiektu. Starła cienką warstewkę piasku i pochyliła się, by przyjrzeć mu się z bliska.

Rzeźbiona głowa ptaka wpatrywała się jej prosto w twarz. Otaczały ją liczne stylizowane znaki, podobne do tych, które widzieli w kodeksie. Summer mrugnęła porozumiewawczo do brata.

Właśnie znalazła połowę kamiennej tablicy Azteków.

ROZDZIAŁ 16

Dirk i Summer nie zdołaliby przetransportować ciężkiego kamienia do odległej platformy, z której wskoczyli do wody, więc zostawili go tam, gdzie był, i wypłynęli z grotu. Dirk oznaczył jaskinię małą bojką wypornościową, którą napelnił powietrzem z regulatora i wypuścił na powierzchnię, przywiązawszy uprzednio koniec jej linki do skalnego występu w pobliżu wejścia. Po chwili wynurzyli się i popłynęli wzdłuż stromej skarpy do miejsca, gdzie czekał zniecierpliwiony Torres.

Kiedy Summer opisała mu swoje znalezisko, aż podskoczył.

— Rzeźbione półkole?! — wykrzyknął.

— Tak — potwierdziła. — Wygląda to, jakby okrągła kamienna tablica została przecięta na pół. I pełno na niej znaków podobnych do tych z kodeksu.

— *Fantástico!* Dacie radę wyciągnąć ją z jaskini?

— Tak, ale stamtąd jej nie przydźwigamy. — Summer wskazała małą pomarańczową plamkę na powierzchni wody. Od bojki dzieliło ich dobre czterysta metrów.

— Trzeba będzie się tam dostać samochodem — orzekł Dirk. Ocenił wzrokiem odległość do krawędzi skarpy nad bojką i popatrzył na mapę. — Jeśli podjedziemy od przeciwnej strony, znajdziemy się tuż nad jaskinią. Jest tam w pobliżu wąska rynna, którą chyba da się zejść nad samo jezioro.

Summer pokiwała głową.

— Podciągniemy tablicę pionowo do samej krawędzi. Z tyłu na pace widziałam spory zwój liny.

— Cóż, spróbujemy. Nie mamy nic do stracenia oprócz tego grata — roześmiał się Torres.

Załadowali sprzęt do samochodu i pojechali w dół wyboistą polną drogą, prowadzącą w kierunku zapory. Kiedy znaleźli w miarę łagodny podjazd na skarpe, Torres zjechał z drogi i ruszył pod górę. Twarda, zbita ziemia zapewniała dobrą przyczepność łysawym oponom furgonetki.

Gdy dotarli na grzbiet skarpy, podłoże zmieniło się w litą skałę. Dirk wysiadł z auta i pokierował Torresa tak, żeby samochód podjechał bokiem do krawędzi skarpy, dokładnie nad bojkę. Naukowiec zatrzymał wóz przed stertą głazów i wystawił głowę przez okno.

— No i jak? — spytał.

— Idealnie — odpowiedział Dirk. — Proszę tylko pamiętać, by wrzucić wsteczny, kiedy będziemy stąd odjeżdżać.

Torres zaciągnął ręczny hamulec i wyłączył silnik. Summer zdążyła już wysiąść i właśnie rozwijała długą nylonową linkę. Jeden koniec przywiązała do słupka drzwiowego samochodu,

a resztę zrzuciła ze skarpy i przyglądała się, jak lina uderza o powierzchnię wody ponad dziesięć metrów niżej.

— Jest tego ze trzydzieści metrów — powiedziała. — Po winno wystarczyć.

Dirk wyjął z samochodu sprzęt nurkowy i dwie karimaty.

— Weź jeszcze mój aparat. — Summer wskazała swojego nowego olympusa do zdjęć podwodnych, leżącego w zasięgu ręki brata.

Torres pomógł im zanieść wszystko na krawędź skarpy, gdzie zaczynał się zleb, którym prowadziło strome zejście nad wodę.

— Musicie bardzo uważać! — zawołał z góry, kiedy przygotowywali się do zanurzenia.

— Bez obawy, wydobędziemy ją w jednym kawałku! — odkrzyknął Dirk, świadomy, że troska Torresa nie dotyczy ich bezpieczeństwa, ale kamiennej tablicy.

Założył maskę i wszedł do wody z karimatami pod pachą. Summer popłynęła za nim, ciągnąc za sobą zwisającą z góry linę. Zatrzymali się na chwilę przy boi, po czym zanurkowali do wejścia do groty, które znajdowało się na głębokości około dziewięciu metrów.

Summer obfotografowała tablicę leżącą w palenisku, po czym odłożyła aparat, żeby pomóc bratu wciągnąć ciężki kamień na karimatę. Dirk przykrył tablicę drugą karimatą, obwiązał liną i mocno pociągnął, aby sprawdzić, czy wszystko się trzyma i mogą bezpiecznie przesunąć spory ciężar po mulistym podłożu.

Wreszcie skinął głową, dając znak siostrze, i przystąpili do dzieła. On ciągnął pakunek w stronę wyjścia, a Summer płynęła nad nim i uważała, żeby nie zawadził o jakąś przeszkodę. Gdy wydostali tablicę z jaskini, Dirk ustawił ją pionowo na półce skalnej i wypłynął na powierzchnię. Ustalili, że Summer będzie pilnować tablicy podczas wynurzania, a on pomoże Torresowi wciągnąć ją na skarpe i zanieść do samochodu.

Początkowo wydawało się, że pomoc okaże się zbędna, bo zanim Dirk zdążył pozbyć się akwalungu i wskoczyć na tył furgonetki, Torres w niemal szaleńczym tempie sam wybierał linę. Najwyraźniej krążąca w żyłach adrenalina dodawała mu sił. Kiedy jednak ciężki pakunek wychynął z wody i zadyndał w powietrzu, rzadko używane mięśnie odmówiły naukowcowi posłuszeństwa. Nie poradziłby sobie sam.

Chwilę później Summer wynurzyła się i dołączyła do zdyszanych mężczyzn, którzy właśnie odwijali tablicę z karimaty.

Półwka białego kamiennego dysku zaśniła w promieniach popołudniowego słońca. Torres opadł na kolana i wodził palcami po powierzchni tablicy. Wryte na niej znaki były wyraźne, choć przy samej krawędzi uległy lekkiemu zatarciu. Przed jej przepołowieniem musiały tworzyć wokół środka koncentryczne pierścienie.

— Potrafi pan to odczytać? — spytała Summer.

— Tak — odparł Torres. — To opowieść o ważnej podróży przez wodę. Wprawdzie brakuje drugiej połowy tablicy, ale z tego, co mamy, też da się sporo dowiedzieć. Znajdując ten kamień i kodeks, zapewniłście dobrych kilka lat pracy wielu archeologom.

— Mam nadzieję, że nie zamkniecie tych znalezisk w jakiś zakurzonym magazynie — powiedział Dirk.

— Za nic w świecie! To będą najciekawsze eksponaty stałej ekspozycji naszego uniwersyteckiego muzeum. A propos muzeum, czy w jaskini nie było żadnych innych artefaktów?

— Nie. Sprawdziłam dokładnie, kiedy obfotografowywałam tablicę — zapewniła Summer i nagle złapała się za głowę. — A niech to! Aparat! Zostawiłam go w grocie.

— Przyniosę go — zaoferował się Dirk. — Muszę przecież wyciągnąć bojkę. A ty w tym czasie poszukaj w lodówce czegoś do jedzenia.

— O nie — zaproponował Torres. — Zjemy uroczystą kolację w Zimapán. Tequila bez ograniczeń, na mój koszt.

— W życiu nie słyszałem równie kuszącej propozycji — zaśmiał się Dirk.

Wrócił nad wodę, założył akwalung i maskę i popłynął do bojki. Przed zanurzeniem rozejrzał się odruchowo. Nad krawędzią skarpy unosił się kłęb pyłu. Nie zwrócił na to uwagi. Opróżnił kompensator pływalności i zniknął pod powierzchnią.

ROZDZIAŁ 17

Biały jeep cherokee pruł jak szalony pod górę, aż ziemia tryskała mu spod kół. Gdy tylko wyjechał na wzniesienie, pomknął jak strzała w kierunku uniwersyteckiej furgonetki. Kierowca nie zawracał sobie głowy szukaniem łagodnego zjazdu, stoczył się prosto w dół i z poślizgiem zatrzymał jeepa tuż przed samochodem Torresa. Drobne kamyki wystrzeliły spod opon i przeleciawszy nad krawędzią skarpy, spadły do wody.

Summer odruchowo kopnęła karimatę, żeby przykryć kamienną tablicę. Z jeepa wyskoczyło trzech mężczyzn w bejsbolówkach, ciemnych okularach i czarnych chustach zasłaniających twarze. Dwaj z nich byli uzbrojeni w pistolety, które wycelowali w Summer i w Torresa.

— Czego chcecie? — spytał naukowiec. — Nie mamy prochów ani forsy.

Wprawdzie byli dość daleko na południe od terenów kontrolowanych przez kartele narkotykowe, ale wiedział, że organizacje przestępcze mają długie ręce.

— Zamknij się, dziadu, i zjeżdż mi z drogi — odburknął jeden z bandytów i wskazał lufą na Summer. — Ty też.

Torres i Summer cofnęli się posłusznie, a wtedy drugi bandzior, ubrany w czerwoną koszulę, zbliżył się i strącił karimatę, odsłaniając tablicę.

— Tego szukamy? — zapytał.

Nieuzbrojony mężczyzna podszedł do samochodu spokojnym, miarowym krokiem, co stanowiło wyraźny kontrast wobec gwałtownych poczynań jego kompanów. Wyglądał na starszego od nich i zapewne był ich szefem.

Przyjrawszy się uważnie kamiennej tablicy, kiwnął głową i gestem kazał swoim pomocnikom załadować ją na jeepa. Jeden z nich opuścił klapę skrzyni ładunkowej, po czym obaj schowali broń i unieśli kamień z ziemi.

— Nie! — zaprotestował Torres. — To zabytek o wielkiej wartości historycznej.

Zrobił krok w przód i popchnął bliższego mężczyznę. Ten puścił kamień i przewrócił się na plecy. Tablica uderzyła o podłoże z głuchym łoskotem. Drugi bandyta odskoczył, a w jego dłoni natychmiast pojawił się pistolet. Uniósł broń i oddał trzy strzały, trafiając Torresa prosto w pierś.

Wszyscy zastygli w bezruchu, kiedy odgłos wystrzałów odbijał się echem od okolicznych wzgórz. Summer krzyknęła przerażona. Archeolog zatoczył się i osunął na ziemię.

— *Imbécil!* — wrzasnął szef, wrywając pistolet z ręki zabójcy. Wskazał tablicę i dodał: — *Rápidamente.*

Mężczyźni wtaszczyli kamień na jeepa, podczas gdy ich przywódca pilnował wzrokiem Summer. Ta uklękła przy Torresie, ale natychmiast zorientowała się, że naukowiec nie żyje.

— Zabiliście go dla rzeźbionego kamienia! — krzyknęła, zrywając się na nogi.

Bandyci odwrócili się i szeptem wymienili kilka słów z szefem. Potem jeden z nich wyciągnął nóż, odciął kawałek liny i złapał Summer za nadgarstek.

Dziewczyna zamachnęła się drugą ręką i walnęła napastnika w szczękę. Kiedy upadł, zerwała się do biegu, ale powstrzymał ją huk wystrzału. W karoserii furgonetki tuż obok niej pojawił się otwór po kuli z pistoletu szefa. Lufa przesunęła się nieco w bok i teraz celowała prosto w nią.

— Następnym razem nie spudłuję — ostrzegł mężczyzna.

Rozsądek i myśl o nurkującym bracie przeważyły nad wzburzeniem. Stała bez ruchu, kiedy wciąż lekko zamroczony bandzior wiązał jej ręce za plecami. Szef powiedział coś cicho do pomagiera w czerwonej koszuli i ten natychmiast podszedł do Summer.

— Gdzie się podział ten drugi facet, który był z wami? — spytał.

Nie odpowiedziała, więc szef zbliżył się do krawędzi skarpy i spojrział w dół. Na wprost niego kołysała się bojka pozostawiona przez Dirka. Woda była tak przejrzysta, że mógł dostrzec półkę przed wejściem do jaskini. Przeniósł wzrok na stertę kamieni przy przednim zderzaku jeepa. Znajdowała się dokładnie nad skalnym występem.

Pokazał na Summer i wykonał gest w kierunku jeepa. Czerwona Koszula złapał dziewczynę za ramię i wepchnął na tylne siedzenie, a potem pomógł pozostałym rzucić martwego Torresa ze skarpy. Na twarzy Summer pojawił się grymas, kiedy ciało z głośnym pluskiem wpadło do wody. Czerwona Koszula podszedł do furgonetki i przebił wszystkie opony.

Zadowoleni ze swego dzieła bandyci wrócili do jeepa. Czerwona Koszula usiadł z tyłu i wycelował pistolet w Summer, a pozostali dwaj zajęli przednie siedzenia. Szef uruchomił silnik, ale zamiast cofnąć, pozwolił, by samochód potoczył się do przodu i naparł zderzakiem na jeden z większych głazów. Wtedy nacisnął lekko pedał gazu. Głaz się przesunął, a mniejsze kamienie leżące przed nim stoczyły się z krawędzi urwiska i posypały do wody. Po chwili głaz poturlał się za nimi.

Szef wrzucił wsteczny i podjechał do wznoszącej się tuż obok jeszcze wyższej sterty kamieni. Pchnął ją zderzakiem, po czym gwałtownie cofnął wóz, bo kamienie leżące na samej górze zaczęły spadać na maskę. Kolejne pchnięcie przesunęło jeden z dobrych kamieni i po chwili cała sterta runęła do wody wraz z kawałkiem krawędzi skarpy. Niewiele brakowało, by jeep przyłączył się do tej lawiny, ale kierowca w ostatniej chwili znów wrzucił wsteczny i zwiększył obroty silnika. Samochód zawrócił i odjechał, kiedy tony skalnego gruzu wciąż jeszcze zsuwały się do jeziora.

Summer zachowywała stoicki spokój, skrywając pod powiekami gniew, który czał się w jej oczach. Jezioro zniknęło w chmurze pyłu za samochodem, a ona mogła tylko modlić się w duchu, by jej bratu nic się nie stało.

ROZDZIAŁ 18

Życie ocaliła mu mała gliniana miseczka..

Przed odwiązaniem bojki Dirk wpłynął do jaskini po aparat Sum mer. Znalazł go tuż obok paleniska. Gdy sięgając po aparat, wsadził rękę w muł, dotknął jakiegoś gładkiego, okrągłego przedmiotu. Chwycił go i wyciągnął z grubej warstwy osadu. Przedmiot okazał się niewielką ceramiczną miseczką z wyrzeźbionym w dnie maleńkim węzem.

Włożył miseczkę do kieszeni na kompensatorze pływalności i sprawdził podłoże jaskini w poszukiwaniu kolejnych artefaktów, ale był tam już tylko muł. Nagle usłyszał nad sobą złowieszczy rumor. Spojrzał w stronę wyjścia z grotu. Przeświecającą przez otwór niebieskawą poświatę zastąpiła ciemność. Chwilę później otaczająca go woda zrobiła się mętna.

Popłynął do wyjścia na ślepo, macając rękami po podłożu. Dotarł do wylotu jaskini, ale dalszą drogę zatarasował mu potężny głaz. Skłębiony muł zaczął powoli osiadać. Wkrótce Dirk dostrzegł z boku światło sączące się przez szczelinę. Gdy do niej podpłynął, z góry ponownie dobiegł głośny łoskot. Zanim zdecydował, czy próbować przecisnąć się na zewnątrz, usłyszał potężny plusk. Poświecił latarką przez szczelinę. Zdążył dostrzec kaskadę kamieni spadających na skalną półkę przed wejściem do jaskini, po czym widok przesłoniła mu nowa chmura osadu.

Czuł, jak skały drżą pod masą toczących się głazów. Trwało to jakiś czas. Kamienie spadające ze skarpy pociągnęły za sobą spory kawał podwodnego zbocza. Kilkutonowa lawina odłamków skalnych zasypała półkę przed wejściem do grotu, całkiem blokując wąski otwór.

Dirk cofnął się i sprawdził zapas powietrza. Wskazówka manometru zbliżała się do czerwonego pola. Zostało mu pięć, najwyżej dziesięć minut. Chociaż utknął w podwodnej grocie z resztką powietrza w butli, nie wpadł w panikę, tylko wziął spokojny oddech i zaczął oceniać sytuację.

Najpierw rozważył przebicie się przez kamienne rumowisko. Byłoby to wykonalne, gdyby Summer odgruzowała wejście z drugiej strony. Jednak rozsądek podpowiadał mu, że w ten sposób nie zdoła się uwolnić. Warstwa gruzu naniesiona przez lawinę była zbyt gruba. Zanim się przez nią przebije, wyczerpie mu się powietrze.

Wiedział, że jeżeli nie znajdzie innej drogi, to koniec. Uniósł głowę i popatrzył na sklepienie jaskini. Tworzyły je dwie szerokie szczeliny skalne, których ściany schodziły się łukowato na wysokości mniej więcej sześciu metrów. Uznał, że warto przyjrzeć im się z bliska.

Z latarką w dłoni popłynął wzdłuż pierwszej szczeliny do miejsca, gdzie ściany zbiegały się w jednym punkcie. Cofnął się i wpłynął w drugą szczelinę. Na samej górze znalazł takie

samo zwieńczenie, przypominające sklepienie katedry. Otaczające go ściany wyglądały na litą skałę. Już miał zawrócić, gdy na granicy pola widzenia mignął mu maleńki jasny punkcik.

Podpłynął bliżej i zlokalizował źródło światła — niewielki otwór w skalnej ścianie, łączący jaskinię z jeziorem. Z pochwy przypiętej do uda wyciągnął nurkowy nóż Randalla i wbił jego czubek w otwór. Odłupany okrusz skały wyleciał na zewnątrz, wpuszczając do środka więcej światła. Po kilku kolejnych pchnięciach otwór osiągnął rozmiar piłki do softballu.

Znalazł inne wyjście z pułapki, ale czy zdoła wystarczająco poszerzyć otwór, zanim skończy mu się powietrze? Minęły już trzy minuty, zostało najwyżej siedem. Za mało na dłubanie w ścianie samym nożem. Potrzebował innego narzędzia.

Spłynął do sterty urobku na dnie jaskini, aby poszukać czegoś, co mogłoby się nadać. Dostrzegłszy spłaszczony kamień, wyciągnął go ze sterty. Pod kamieniem leżał kawałek zielonkawej skały w kształcie niemal idealnego klina. Dirk podniósł go i natychmiast zorientował się, że to nie skała. Był za ciężki, a w dodatku pod spodem widniał okrągły otwór.

Przyjrzał mu się dokładniej i rozpoznał obuch toporka z oksydowanej miedzi, służącego zapewne do skuwania kruszcu ze ściany jaskini. Przypomniał sobie, że Aztekowie doskonale opanowali obróbkę kamienia. Wykorzystywali lokalne pokłady bazaltu do budowy świątyń i rzeźbienia posągów. Rzemieślnicy z plemienia Misteków, zamieszkujących przyległe tereny dzisiejszego stanu Oaxaca, specjalizowali się w wytwarzaniu metalowych narzędzi na bazie miedzi, które poprzez handel wymienny trafiały do Azteków. Metalowy obuch starodawnego toporka zachował się w świetnym stanie, choć po drewnianym trzonku nie zostało ani śladu.

Dirk szybko wrócił do otworu i zaprzął do pracy nowe akcesoria. Przytknął do krawędzi ostrze klina tak, jakby to było dłuto, i uderzył w tępe zakończenie spłaszczoną stroną kamienia. Za sprawą tłumiącego działania wody odgłos uderzenia zabrzmiał jak głośny trzask. Zamachnął się ponownie i wyłamał spory kawałek skały. Najwyraźniej misteccy mistrzowie dodali do miedzi domieszkę cyny, uzyskując twardy stop zbliżony do brązu. Wykonane z niego narzędzie okazało się zadziwiająco skuteczne przy kruszeniu skał.

Dirk czuł, że z każdym oddechem powietrze przechodzi przez automat z coraz większym oporem, zaczął więc tłuc w skałę jak szalony. Nie musiał sprawdzać manometru, wiedział, że w zbiorniku pozostały jedynie resztki rezerwy. Pod wpływem jego uderzeń skała popękała na kawałki wielkości pięści. Odgarnął gruz i stwierdził, że średnica otworu powiększyła się do trzydziestu centymetrów.

Przy kolejnym oddechu z automatu nie wysączyła się nawet odrobina powietrza. Butla była pusta.

Nie przerwał jednak pracy, nadal z całej siły uderzał w zaimprovizowane dłuto. Udało mu się odłupać jeszcze kilka kawałków, ale dziura w skalnej ścianie była wciąż za mała. Czuł coraz silniejszy ucisk w piersiach. W głowie narastało mu dudnienie, które wkrótce zagłuszyło odgłos uderzeń kamienia w obuch toporka. Nieznaczna zmiana w drganiach metalowego klina świadczyła o tym, że skała nie stanowi już takiego monolitu, jak na

początku, ale drażnienie jej niewielkim ostrzem nie było bardziej sensowne niż próba rozbicia zwykłym młotkiem zapory Hoovera.

Dirk stłumił nagły przypływ lęku przed utonięciem. Bez chwili wahania uwolnił się od kompensatora pływalności i odpiął od niego stalowy zbiornik powietrza. Trzymając go za zawór, dnem grzmotnął w skałę. Ściana zadrżała, ale nie ustąpiła. Uderzył ponownie, a potem jeszcze raz. Przy zderzeniu ze skałą pusta butla wydawała ogłuszający brzęk. Dirk wypuścił resztkę powietrza z płuc i zebrawszy wszystkie siły, podjął ostatnią desperacką próbę.

Tym razem w ścianie pojawia się szczelina, a potem odpadł od niej wielki kawał skały.

Zaskoczenie opóźniło jego reakcję tylko o ułamek sekundy. Puścił butlę i rzucił się w otwór. Od powierzchni jeziora dzieliło go około trzech metrów. Śmignął w górę i już po chwili jego płuca wypełniły się gorączkowo łapanym powietrzem, a oczy nieznośnie jaskrawym blaskiem słońca. Unosił się na wodzie niemal minutę, zanim jego oddech uspokoił się, a krew na powrót nasączyła tlenem. Usiłował się odprężyć, gapiąc się w bezchmurne niebo. Nie zwracał uwagi, że coś ociera się o jego ramię. Kiedy doszedł do siebie, skierował wzrok na obiekt unoszący się obok niego na powierzchni.

Było to ciało doktora Torresy.

ROZDZIAŁ 19

Dirk natychmiast oprzytomniał i przyholował martwego Torresa do brzegu. Po wyciągnięciu zwłok z wody zauważył w piersi profesora trzy otwory po kulach.

Podniósł głowę i zawołał Summer. Nie było odpowiedzi. Nagle nad krawędzią skarpy pojawił się kłęb pyłu. Dirk pozbył się maski i płetw, szybko przeszukał kieszenie Torresa i znalazłszy kluczyki do samochodu, ruszył biegiem pod górę. Kiedy wspiał się na skarpe, spostrzegł postrzępioną linę, której drugi koniec wciąż był przywiązany do furgonetki. Zrozumiał, że zabójcy chodziło o kamienną tablicę. Obrzucił spojrzeniem powierzchnię jeziora, obawiając się tego, co może tam zobaczyć, ale nigdzie nie dostrzegł ciała Summer. Zapewne została uprowadzona.

Wszystkie cztery koła furgonetki zostały przebite, ale Dirk nie zawracał sobie głowy drobiazgami. Uruchomił silnik, wykręcił tyłem i wdepnął w gaz. Samochód wyrwał do przodu, tłukąc sflaczałymi oponami o nadkola. Przyczepność była kiepska, lecz Dirk zdołał utrzymać kierunek i auto wtoczyło się na grzbiet. Daleko w dole zauważył białego jeepa pędzącego polną drogą prosto na północ.

W pierwszym odruchu chciał rzucić się w pogoń za umykającym jeepem, ale zdołał się powstrzymać. Ze względu na opłakany stan jego pojazdu pościg nie miał żadnych szans powodzenia. Jedna z postrzępionych opon zdążyła już całkiem spaść z obręczy. Nawet gdyby udało mu się dotrzeć do drogi, utknąłby w pierwszym z licznych zagłębień wypełnionych sypkim piaskiem.

Pamiętał z mapy, że droga początkowo wije się między wzgórzami u podstawy masywu Lomo del Torro, a potem skręca na zachód i prowadzi przez zaporę Zimapán, spinającą brzegi wąskiej rozpadliny na końcowym odcinku grani. Jadąc wzdłuż grzbietu, zyskałby dwa lub trzy kilometry i zdołałby dopaść jeepa, zanim ten przejedzie przez tamę.

Wcisnął pedał gazu i ruszył przed siebie, trzymając się łagodnie zaokrąglonego grzbietu wzniesienia. Wkrótce odpadły pozostałe trzy podarte na strzępy opony. Spod stalowych obręczy wydobywał się niemilosierny zgrzyt, a samochód podskakiwał na każdej nierówności. Dirk czuł się trochę tak, jakby ujeżdżał młot pneumatyczny. We wstecznych lusterkach widział co chwila snopy iskier krzesanych przez pozbawione opon koła, gdy stykały się z litą skałą.

Grzbiet robił się coraz węższy, co zmusiło Dirka do zjechania na w miarę poziomy występ biegnący wzdłuż stoku. Było to jednak chwilowe rozwiązanie, bo występ też szybko się zwężył, po czym przeszedł w kamienne rumowisko. Dirk odbił w górę zbocza, ale trafił na miękki piach. Czując, że tylne koła zaczynają w nim grzęznąć, musiał wykręcić w dół, aby nie stracić rozpędu. Ledwie ominął potężny głaz i zsunął się na dno wąskiego jaru. Furgonetka przechyliła się gwałtownie w bok, jakby miała się zaraz wywrócić, ale głęboka koleina po przeciwnej stronie przywróciła ją do pionu. Auto podskoczyło na kilku pomniejszych kamieniach i wypadło na płaski kawałek terenu.

Dirk operował pedałem gazu nieco ostrożniej, bo grzbiet znów zaczął się zwężać. Poniżej przed sobą już widział wąski zarys zapory. Skręcił ostro i pomknął w dół. Zbocze robiło się coraz bardziej strome. Nagle wdepnął w hamulec i mocno skręcił kierownicę. Samochód wpadł w poślizg, ryjąc pociętymi obręczami kół głębokie koleiny w twardym podłożu, obrócił się i wreszcie znieruchomiał. Dirk wysiadł z kabiny i spojrzał przed maskę.

Auto zatrzymało się tuż przed krawędzią pionowego urwiska. Trzydzieści metrów niżej znajdował się zachodni wjazd na zaporę. Spękana asfaltowa jezdnia biegła po wierzchu betonowej budowli, by na przeciwnym brzegu wspiać się zakosami pod górę. Nietrudno było się domyślić, dlaczego tamę zbudowano właśnie w tym miejscu. Potok płynął wąskim jarem o stromych brzegach i przegrodzenie go nie stanowiło większego problemu.

Dirk nie miał jednak czasu na jałowe rozmyślenia o konstrukcji zapory, bo właśnie spostrzegł zbliżającego się do niej białego jeepa.

ROZDZIAŁ 20

Summer zastygła w bezruchu na tylnym siedzeniu, ale cały czas pracowała gorączkowo nad uwolnieniem związanych za plecami rąk. Nasiąknięta wodą lina oplatająca jej nadgarstki nawilżała skórę i jednocześnie była bardziej podatna na rozciąganie. Summer z całej siły napinała mięśnie, ilekroć jeep podskakiwał na nierównej drodze, za każdym razem poluzowując węzeł o ułamek milimetra.

Siedzącemu obok porywaczowi szybko znudziło się trzymanie dziewczyny na muszce. Zablockował drzwi po jej stronie i schował pistolet do kabury. Wciąż jednak gapił się na nią, czy to z poczucia obowiązku, czy raczej ze względu na jej urodę. W reakcji na to wyraźne zainteresowanie zasypała go pytaniami, poczynając od banalnego: „Dokąd mnie zabieracie?” po bardziej frywolne: „Gdzie kupiłeś tę chustę?” Wprawdzie strażnik milczał jak zaklęty, ale jej paplanina odniosła pewien pozytywny skutek, bo odwrócił się od niej i teraz wyglądał przez okno.

W końcu Summer przestała trajkotać, uznawszy, że lepiej nie przeciągać struny. Bandyta bez mrugnięcia okiem zastrzelił Torresa i na pewno nie miałby żadnych oporów, aby zrobić z nią to samo. Fakt, że mimo upału wszyscy trzej oprychowie kryli twarze pod chustami, podtrzymał ją na duchu. Postanowiła, że będzie siedzieć cicho przez resztę drogi do miasta, a potem spróbuje wyskoczyć z samochodu i zniknąć im z oczu. Najpierw jednak musiała uwolnić się z więzów.

Okazja nadarzyła się wcześniej, niż myślała. Droga zrobiła się mniej wyboista, a w końcu opony jeepa potoczyły się po asfalcie. Wkrótce wjechali na tamę, po której jezdnią wąskim łukiem prowadziła na drugi brzeg. Kierowca przyspieszył, lecz nagle zaklął szpetnie i wdepnął w hamulec.

Raptowne szarpnięcie rzuciło wszystkich pasażerów jeepa do przodu. Dzięki ostremu hamowaniu lewa dłoń Summer wysunęła się z więzów. Opadając z powrotem na oparcie, dziewczyna jednym ruchem uwolniła oba nadgarstki. Nie wiedziała, co spowodowało gwałtowną reakcję kierowcy, a kiedy wyjrzała przez okno, zamarła z przerażenia.

Zielona uniwersytecka furgonetka wystrzeliła znad krawędzi urwiska i zmierzała ku nim niczym pocisk raketowy Tomahawk w ostatniej fazie lotu. Zatoczyła łuk i wylądowała trzy metry przed jeepem, uderzając maską w krawędź jezdni, po czym obróciła się kołami do góry. Rozbity samochód sunął jeszcze kilka metrów na zgniecionym dachu i znieruchomiał w kałuży oleju silnikowego i płynu z chłodnicy, blokując przejazd przez zaporę.

Jeep jeszcze nie zdążył się zatrzymać, gdy Summer otworzyła drzwi i wyskoczyła na zewnątrz. Dotknąwszy stopami asfaltu, zerwała się do biegu i popędziła w stronę furgonetki, wołając brata po imieniu. Kiedy zbliżyła się do zmiążdżonego auta, przerażenie chwyciło ją za gardło. Nikt, kto był w środku, nie mógł przeżyć takiego wypadku.

Przykucnęła przy oknie od strony kierowcy i zajrzała do środka. W furgonetce nikogo nie było. Lęk o brata ustąpił w mgnieniu oka.

Niespodziewanie furgonetka drgnęła i zaczęła sunąć po asfalcie. To jeep naparł zderzakiem na wrak, aby zepchnąć go z drogi. Samochody minęły ją dosłownie o centymetry. Zza nich wyłonił się jej towarzysz podróży z tylnego siedzenia, który zbliżał się szybkim krokiem, mierząc do Summer z pistoletu.

Posłusznie podniosła ręce do góry, jednocześnie szukając wzrokiem jakichkolwiek oznak obecności Dirka. Słońce świeciło jej prosto w oczy, ale zdołała się zorientować, że urwisko jest zbyt strome, aby mógł tamtędy zejść. Nie dostrzegłszy żadnego ruchu na drodze od strony, z której przyjechali, zerknęła w przeciwnym kierunku.

Byli na szczycie zapory. Jej betonowe czoło omywały błękitne wody sztucznego jeziora, którego powierzchnia znajdowała się sześć metrów niżej. O dziwo, teren po drugiej stronie wysokiej, wąskiej tamy wyglądał na kompletne pustkowie. Nie widać było zabudowań elektrowni. Żaden przepust nie odprowadzał wody do stromego, wąskiego kanionu El Infiernillo.

Summer spojrzała na porywacza, który z gniewnym wyrazem twarzy kazał jej wrócić do jeepa. Kiwnęła głową i zrobiła pół kroku w jego stronę, ale w tym momencie zadziałał silny impuls woli przetrwania. Poddąła się mu, choć szanse na ucieczkę były minimalne, a właściwie żadne. Rzuciła się w bok i odbiła do skoku nad barierką. Jej strażnik zareagował błyskawicznie. Nie strzelił, najwyraźniej pamiętając ostrą reprimendę po zabiciu Torresy, zdołał jednak złapać ją wolną ręką za nogawkę spodni tuż przy kostce. Stracił równowagę i zatoczył się w kierunku barierki, ale nie zwolnił uchwytu. Summer była już jednak po drugiej stronie i pociągnęła go za sobą. Barierka podcięła mu nogi, a ciężar ciała dziewczyny przeważał i oboje polecili w dół.

Wpadli do wody z głośnym pluskiem. Summer usiłowała zejść jak najgłębiej i oderwać się od strażnika, ale ten tylko zacieśnił uchwyt i próbował uderzyć ją kolbą pistoletu. Zdawała sobie sprawę, że nie wygra w podwodnych zapasach. Była jednak znacznie lepszą pływaczką od swego prześladowcy, więc wciąż parła w dół, kopiąc wściekle, by wyrwać się z jego uścisku.

Po chwili uderzyła dłonią o tamę i poczuła, że jej palce suną po nierównej betonowej powierzchni. Z zaskoczeniem stwierdziła, że porusza się z zadziwiająco dużą prędkością. Musieli trafić na jakiś silny podwodny prąd. Ponieważ woda raptownie pociemniała, zorientowała się, że coś ściąga ich ku podstawie tamy.

To ją zaniepokoiło. Nie zauważyła przecież elektrowni ani wypływu wody po drugiej stronie zapory. Skoro w ścianie nie było przelewu, nurkowanie przed jej czołem powinno być zupełnie bezpieczne.

Obawa przed utonięciem okazała się silniejsza niż strach przed strażnikiem. Przestała się szamotać w jego uścisku i teraz wspólnym wysiłkiem próbowali wypłynąć na powierzchnię. Niestety z sekundy na sekundę robiło się coraz ciemniej, a rosnący ucisk w uszach podpowiadał Summer, że zanurzają się coraz głębiej w wodach jeziora.

Mimo niemal zerowej widzialności Summer zorientowała się, że znosi ich w kierunku okrągłego otworu o średnicy około pięciu metrów. Dostali się w zasięg oddziaływania potężnej siły ssącej, wytwarzanej przez sztolnię ciśnieniową, której wlot znajdował się u

podstawy tamy. Zapora była w rzeczywistości elementem elektrowni wodnej, ale turbiny i generatory znajdowały się ponad dwadzieścia kilometrów dalej, a wodę doprowadzano do nich potężnymi rurociągami.

Wlot został zabezpieczony kratą ze stalowych prętów, której zadaniem było niedopuszczenie do zasysania śmieci, odłamków skalnego gruzu czy nasiąkniętego drewna. Jednak wieloletnie zaniedbania w konserwacji zrobiły swoje. Pręty częściowo skorodowały i ponad połowa kraty zapadła się w kierunku wlotu, umożliwiając niczym niezakłócony przepływ wody.

Oboje zauważyli niebezpieczeństwo i rozpoczęli szaleńczą walkę o życie, próbując ominąć otwór. Ale prąd był coraz silniejszy i nieubłaganie ściągał ich w kierunku ciemnej otchłani. Nagle Summer postąpiła wbrew instynktowi, który nakazywał jej trzymanie się jak najdalej od zagrożenia. Popłynęła prosto w kierunku wlotu.

Walczący z bezlitosnym prądem prześladowca zerknął na nią z niedowierzaniem, ale chwilę później w jego oczach pojawił się strach. Pojął, że Summer wybrała jedyną możliwą drogę wyjścia z pułapki, ale dla niego było już za późno. Nabrawszy prędkości, dziewczyna przecięła główny nurt pod ostrym kątem. W zasięgu jej rąk znalazła się nieuszkodzona część okratowania. Chwyciła jeden z wystających prętów i energicznym ruchem wciągnęła się na nie.

Siła uderzenia o kratę niemal wycisnęła jej resztki powietrza z płuc. Woda przygwoździła ją do prętów obok kilku drewnianych kłód, starej opony i sterty innych śmieci. Odwróciła głowę i zobaczyła pędzącego z prądem porywacza. Na jego twarzy pozbawionej chusty malowała się panika, bo dobrze wiedział, że już po nim. W jednej chwili wydał z siebie żalony krzyk, częściowo stłumiony przez szum wirującej wody, a w następnej zniknął bezpowrotnie w czarnej dziurze.

Summer dopiero w tym momencie poczuła, jak bardzo brakuje jej powietrza. Przynajmniej jest szansa, że ktoś wydobędzie moje zwłoki, przemknęło jej przez głowę.

W odruchu desperacji zacisnęła kurczowo palce na kracie. Mimo fatalnego położenia, w jakim się znalazła, zastanawiała się, co może dziać się w tej chwili na tamie i czy jej brat jeszcze żyje.

ROZDZIAŁ 21

Dirk nie tylko żył, ale był w całkiem dobrej kondycji, jeśli nie liczyć przyspieszonego tętna i obolałych płuc. Kiedy obwiązywał kierownicę liną i kładł kamień na pedale gazu, nie miał pojęcia, czy jego plan się powiedzie. To, że furgonetka spadła ze skarpy dokładnie przed pędzącym jeepem, zawdzięczał raczej szczęściu niż starannej kalkulacji toru jej lotu. Nie czekając, aż opadnie kurz po zderzeniu auta z drogą, ruszył biegiem w dół.

Musiał się cofnąć prawie sto metrów do miejsca, w którym zejście z urwiska na drogę było w ogóle możliwe. Stroma ścieżka stanowiłaby niemałe wyzwanie nawet dla kogoś wyposażonego w porządne buty turystyczne; próba zejścia w jego neoprenowych butach nurkowych graniczyła z samobójstwem. Kilka razy tracił kontakt z podłożem, staczał się i koziołkował po nierównym zboczu. Na szczęście pianka, którą wciąż miał na sobie, chroniła go przed poważniejszymi ranami.

Pędząc w dół, nie widział, co dzieje się na tamie, mógł tylko mieć nadzieję, że Summer wciąż tam jest. Ale gdyby nawet była, nie miał przygotowanego planu na tę okoliczność. W pojedynkę, bez żadnej broni nie mógł zrobić nic, żeby powstrzymać bandytów. Musiał jednak się upewnić, czy rzeczywiście mają Summer i czy pozostawili ją przy życiu.

Zbliżając się do podstawy urwiska, spojrzał w kierunku tamy i widok zmroził mu krew w żyłach. Summer, która stała obok wywróconej furgonetki, nagle skoczyła do jeziora, pociągając za sobą jednego z prześladowców. Patrząc ze zgrozą na tę scenę, potknął się i upadł na twarde skalne podłoże.

Wywrotka kosztowała go kilka cennych sekund. Zanim się pozbierał, jeep przecisnął się na drugą stronę tamy obok furgonetki. Kierowca zatrzymał się i spojrzał w bok na jezioro. Patrzył tak przez chwilę i wreszcie pokręcił głową. Po chwili jeep ruszył z piskiem opon, aż obciążony kamienną tablicą tył samochodu przysiadł na kołach.

Dirk wreszcie znalazł się na drodze i popędził w kierunku tamy. Kierowca jeepa podjeżdżającego na wzniesienie po drugiej stronie nie mógł go dostrzec w lusterkach wstecznych, bo widok blokował mu wrak furgonetki. Dirk zatrzymał się przy przewróconym aucie i spojrzał na jezioro. Powierzchnia wody była gładka i spokojna, bez żadnego śladu walki o życie odbywającej się właśnie w głębinie.

Wrócił do furgonetki i mocnym szarpnięciem otworzył tylne drzwi. W środku panował nieopisany bałagan, ale zdołał wygrzebać należące do Summer butlę tlenową, kompensator pływalności i maskę. Założył sprzęt i otworzył zawór doprowadzający powietrze do automatu oddechowego. Coś go tknęło i pod wpływem tego impulsu odwiązał z kierownicy linę, której jeden koniec wciąż był przymocowany do bocznego słupka karoserii. Przewlókł ją przez półokrągłe ucho przy kompensatorze pływalności i zacisnął węzeł. Przesadził barierkę i skoczył do jeziora.

Znalazłszy się w chłodnej wodzie, włączył małe światełko na kompensatorze i popłynął śladem drobin osadu pędzących ku podstawie zapory. Wkrótce poczuł silny prąd. Pracował mocno nogami, żeby utrzymać kierunek, cały czas rozglądając się za siostrą.

Nie wiedział, że Summer, dzielnie walcząc z silnym strumieniem wody, właśnie zdołała przesunąć się po kracie do górnej krawędzi otworu wpustowego. Przebywała pod wodą ponad minutę i już zaczynała odczuwać skutki niedoboru tlenu. Gdyby trafiła na jakąś drabinkę albo występ, którego mogłaby się chwycić, może wydostałaby się poza zasięg potężnej siły ssącej. Niestety, miała przed sobą tylko gładką betonową ścianę tamy. W desperacji przelatywały jej przez głowę chaotyczne pomysły na wydostanie się z opresji. Może znajdzie ratunek po drugiej stronie wlotu do sztolni? Już zaczęła odrywać palce od kraty, kiedy coś mignęło jej na krawędzi pola widzenia.

Dostrzegła nad sobą niewyraźne błyski. Po chwili źródło światła stało się jaśniejsze, a z ciemności wyłoniła się sylwetka szybko zbliżającego się człowieka. Niemal jednocześnie jej serce zalała nadziei i rozpacz, bo w momencie, gdy rozpoznała Dirka, ten śmignął obok niej i zniknął we wlocie do sztolni. Niepojęte, ale była pewna, że wyraźnie widziała radość w jego oczach.

W gardzieli sztolni zamigotało światełko. Chwilę później Summer zauważyła napiętą linę ciągnącą się ku powierzchni jeziora. Potem dostrzegła Dirka, który wciągał się po niej, walcząc z nurtem, by wkrótce pojawić się nad krawędzią otworu. Summer znajdowała się metr od niego, przyszpilona ciśnieniem wody do kraty. Jej twarz już zaczynała sinieć.

Dirk oparł stopy o betonową ścianę zapory i z całej siły odbił się w stronę siostry. Oderwał jedną rękę od liny i objął jej tułów. Summer natychmiast wyciągnęła automat oddechowy z jego ust. wsadziła do swoich i wzięła kilka głębokich wdechów. Dirk napełnił worek kompensatora pływalności i podciągnął się nieco na linie, czekając, aż siostra zwróci mu automat. Dzieląc się z nią powietrzem, wspinał się po linie w górę betonowej ściany. Siła ssąca wlotu do sztolni stopniowo malała, aż wreszcie mogli swobodnie wypłynąć na powierzchnię.

— Trafiłaś na paskudną niespodziankę — powiedział Dirk, mrużąc oczy w blasku palącego słońca.

— Szkoda gadać — mruknęła. — Zaledwie sekundy dzieliły mnie od sprawdzenia, co znajduje się na drugim końcu sztolni.

— Prawdopodobnie wirujące turbiny elektrowni wodnej.

Summer wzdrygnęła się na myśl o tym, co spotkało jej prześladowcę.

— Mam już po dziurki w nosie tego jeziora — wyznała.

Podpłynęła do zwisającej liny, chwyciła ją i wspięła się na tamę. Dirk poszedł w ślady siostry. Wkrótce stanął koło niej przy furgonetce, gdzie z ulgą pozbył się butli i kompensatora pływalności.

Summer popatrzyła na drogę pnącą się zakosami pod górę.

— Zabili doktora Torresa i ukradli tablicę — powiedziała w zamyśleniu.

— Domyślasz się, kto to zrobił? — zapytał Dirk.

Potrząsnęła przecząco głową.

— Nie, cały czas mieli zasłonięte twarze. Było ich trzech. Jeden wpadł za mną do wody i wciągnęło go do sztolni. Przez chwilę widziałam jego twarz, ale chyba nie potrafiłabym jej opisać. Pamiętam tylko dziki, zwierzęcy strach w jego oczach.

— Zawodowi złodzieje zabytków kultury, którzy nie cofają się przed morderstwem — podsumował Dirk.

Summer kopnęła kamyk leżący na asfalcie.

— Torres zginął, zanim zdążył odczytać zapis, a tablica przepadła. Pewnie nigdy nie dowiemy się, co zawierała.

— Przecież Madero może rozszyfrować znaki — powiedział Dirk.

— Jak, skoro nie mamy tablicy? — spytała.

— Może nie będzie nam potrzebna — odparł, znikając we wnętrzu furgonetki. Po chwili wychynął się z niej, ściskając w dłoni jakiś przedmiot.

Summer otworzyła szeroko oczy, a na jej policzki wróciły kolory.

— Nie, tylko nie to! — wykrzyknęła.

Dirk uśmiechnął się kwaśno, podając siostrze zgnieciony korpus nowiutkiego aparatu do zdjęć podwodnych.

ROZDZIAŁ 22

Telefon dzwonił od dłuższej chwili. St. Julien Perlmutter nie ufał automatycznym sekretarkom ani poczcie głosowej, nie mówiąc już o komórkach. W jego mniemaniu wszystkie te rzekome udogodnienia tylko komplikowały życie. Nie widział dla nich żadnego zastosowania, zwłaszcza że rzadko wychodził ze swojego domu w Georgetown, a jeśli już, to tylko po to, aby coś zjeść w jednej z luksusowych stołecznych restauracji lub wertować archiwalne zbiory Biblioteki Narodowej.

Szczęśliwie dla dzwoniącego gospodarz akurat był w domu. Właśnie szukał pewnego starodruku na jednej z licznych półek uginających się pod ciężarem książek. Perlmutter cieszył się zasłużoną opinią najwybitniejszego historyka morskiego na całej planecie. Dysponował wręcz legendarną wiedzą o statkach, okrętach i wrakach. Całe zastępy antykwariuszy i kolekcjonerów wyczekiwały dnia, kiedy odejdzie z tego świata i jego bogate zbiory, pełne listów, zestawień, rejestrów i dzienników okrętowych, staną się przedmiotem obrotu handlowego. St. Julien Perlmutter, mężczyzna iście gargantuicznej postury, zasiadł w wielkim skórzanym fotelu za biurkiem z blatem zasuwany drewnianą roletą i po dziesiątym dzwonku sięgnął po słuchawkę. Tak jak większość przedmiotów w jego domu, telefon miał swoją historię związaną z morzem — zdobił niegdyś mostek luksusowego liniowca „United States”.

— Perlmutter — rzucił szorstko do słuchawki.

— Witaj, St. Julienie, mówi Summer. Mam nadzieję, że nie przerwałam ci posiłku.

— Ależ nie, uchowaj Boże — zaprzeczył nieoczekiwanie ciepłym basem. — Właśnie przeglądałem półki w poszukiwaniu bezpośredniej relacji z czwartej wyprawy Kolumba do Nowego Świata.

— Co za zbieg okoliczności, że interesujemy się niemal tym samym okresem.

— Epoka wielkich odkryć obfitowała w szczęśliwe zbiegi okoliczności Niedawno miałem przyjemność jeść obiad w towarzystwie twojego ojca. Wspominał, że wraz z Dirkiem prowadzicie jakieś prace w Meksyku.

— Nadal tu jesteśmy i chcielibyśmy poprosić cię o pomoc. Próbujemy odtworzyć trasę pewnego hiszpańskiego statku, który wypłynął z Veracruz we wczesnych latach konkwisty. — Jak się nazywał?

— Niestety nie wiemy. Jedyna wskazówka mogąca ułatwić jego identyfikację znajduje się na rysunku z azteckiego kodeksu, którego kopię wysłałam ci mailem.

Opowiedziała pokrótce historię znalezienia kodeksu. W tym czasie Perlmutter zdążył uruchomić stojącego na biurku peceta i otworzyć załącznik z obrazkiem.

— Niewiele da się z tego wywnioskować — stwierdził, wpatrując się w rysunek żaglowca z małą unoszącą się nad dziobem — A co na ten temat mają do powiedzenia lokalni eksperci od Azteków?

— Nic konkretnego. Wizerunek małpy może odnosić się do ładunku, trasy, a także do nazwy statku. Mamy nadzieję, że chodzi o tę ostatnią ewentualność.

— Niewykluczone, chociaż w tamtych czasach Hiszpanie zwykle nadawali swoim jednostkom pływającym nazwy odnoszące się do symboli religijnych. Na szczęście pierwsze hiszpańskie wyprawy są dość dobrze udokumentowane.

— Szukamy też tej kamiennej tablicy. Może masz jakiś pomysł, dokąd mogłaby trafić? Będziemy wdzięczni za każdą wskazówkę. Najwyraźniej komuś bardzo na niej zależało.

— Cóż, są pośród nas ludzie nieoglądający się na nic w pogoni za pieniędzem. Bardzo mi przykro z powodu śmierci waszego przyjaciela. Mam nadzieję, że zachowacie z Dirkiem daleko idącą ostrożność podczas badania tej sprawy.

— Oczywiście.

— A wracając do tablicy, wielokrotnie kontaktowałem się ze wszystkimi muzeami morskimi w Hiszpanii, ale nie przypominam sobie żadnej informacji na temat podobnego artefaktu. Podejrzewam, że mogła trafić do prywatnej kolekcji. Spróbuję jednak zadać parę pytań komu trzeba.

— Dzięki, Julien. Masz u nas butelkę swojej ulubionej tequili, Porfidio, o ile dobrze pamiętam.

— Pamięć cię nie zawodzi, droga Summer. Tylko trzymaj butelczynę z dala od swojego ojca, bo gotów ją osuszyć, zanim trafi w moje ręce.

Perlmutter pożegnał się i odłożył słuchawkę, ale nie przestawał wpatrywać się w rysunek galeonu na ekranie monitora. Po dobrych kilku minutach przeciągnął dłonią po gęstej siwej brodzie, a jego myśli zaczęły błądzić wokół pewnego miejsca odległego o ponad sześć tysięcy kilometrów.

— Już wiem, gdzie zaczniemy poszukiwania, mój mały, włochaty przyjacielu — powiedział do małpki z obrazka. — W Sewilli.

ROZDZIAŁ 23

Pitt patrzył przez okno sterowni „Sargasso Sea” na idący północnym kursem wielki kontenerowiec. W odległości dwudziestu mil morskich znajdowało się porośnięte zielenią południowe wybrzeże Kuby. Zastanawiał się, czy efekty skażenia rtęcią są już na nim widoczne.

Statek badawczy NUMA zbliżał się do trzeciej martwej strefy zlokalizowanej przez Yaegera. Pitt zżymał się, bo wciąż nie zdołali określić źródła skażenia. Badanie drugiej strefy, znajdującej się sto mil na północny wschód od Kajmanów, nie dało żadnych odpowiedzi. Akwen, na który obecnie wpływali, także charakteryzował się alarmująco wysokim stężeniem metylortęci w wodzie, lecz nieco niższym niż poprzednia strefa. Właśnie ze względu na mniejszą koncentrację rtęci naukowcy potrzebowali aż dwóch dni, by ograniczyć obszar o najwyższej toksyczności do około czterech mil kwadratowych.

Przez cichy szmer maszynierii pracującej w sterowni przebił się płynący z głośnika zrzędlawy głos Ala Giordino:

— Zgłasza się rufa. AUV na pokładzie. Powtarzam, AUV na pokładzie. Można się przemieścić do następnego sektora.

Pitt wcisnął guzik nadawania.

— Mostek. Przyjąłem. Wpadnij za pięć minut do kina na popołudniowy film.

— Weź ze sobą popcorn, ja będę miał karmelki. Rufa, bez odbioru.

Kiedy Pitt wszedł do laboratorium analitycznego na głównym pokładzie, Giordino już przeglądał na dużym ciekłokrystalicznym ekranie zapis zarejestrowany przez sonar autonomicznego pojazdu podwodnego. Pitt natychmiast zauważył, że profil dna, znacznie bardziej urozmaicony niż w strefach zbadanych wcześniej, obfituje w skalne załomy, pagórki i doliny.

— Twój AUV musiał się niezłe nagimnastykować podczas ostatniego zanurzenia — powiedział, siadając obok Ala.

— W końcu po to został skonstruowany — odparł Giordino, wskazując boczne okienko na głównym ekranie w którym widać było podzielony na kwadraty obszar poszukiwań oraz ich aktualną pozycję. — Jeśli prawidłowo oszacowaliśmy prędkość prądu, źródło skażenia powinno się znajdować w ostatnio zbadanym kwadracie.

— Miejmy nadzieję, że tym razem znajdziemy wyraźną oznakę jego istnienia — mruknął Pitt.

Prawie godzinę przeglądali obrazy sonarowe. W miejscach, w których dno było płaskie, nie zauważyli żadnych obiektów wytworzonych przez człowieka. Gdy wreszcie Pitt dostrzegł jakiś cień, polecił Alowi zastopować przewijanie.

— Zrób zbliżenie tej smugi. Wygląda jak idealnie prosta linia biegnąca po dnie.

Giordino kiwnął głową i powiększył obraz.

— Widać nawet dwie linie — powiedział. — Zdecydowanie zbyt regularne jak na dzieło natury.

— Sprawdźmy, dokąd prowadzą — odrzekł Pitt.

Al wznowił przewijanie. Największa koncentracja tajemniczych linii występowała w okolicy rozległej niecki w dnie. Pitt zaobserwował wyraźny wzrost głębokości, gdy nagle Giordino ponownie zatrzymał obraz.

— Spójrz, co tutaj mamy — powiedział. — Najwyraźniej zatonała tu jakaś łódka.

Ciemny smukły obiekt leżał na dnie, rzucając krótki cień. Nieopodal przebiegały znajome proste linie.

— Jest dość długa i wąska — zauważył Pitt. — Może to zagłówek częściowo zagrzebana w podłożu.

— Sonar pracował w trybie niskiej częstotliwości, aby objąć jak najszerszy pas dna, więc rozdzielczość nie jest najlepsza — odparł Giordino. — Kształt jest rozmazany, ale ma około dziesięciu metrów długości.

— Nie sądzę, żeby to było źródło skażenia, ale warto przyjrzeć się bliżej temu znalezisku.

Al uruchomił odtwarzanie. Wkrótce zapis dobiegł końca. Pitt zapamiętał ostatnią głębokość, na jakiej znajdował się AUV przed rozpoczęciem manewru wynurzenia.

— Obawiam się, że to wszystko, co mamy — podsumował Giordino. — Jakies zagadkowe linie i niewielka łódka.

Pitt wskazał palcem pusty już ekran.

— Według rejestratora głębokości AUV-a w samym środku tego kwadratu znajduje się jakieś zagłębienie — powiedział. — Może to nic nie znaczy, ale skoro gdzieś tutaj ma się znajdować źródło skażenia rtęcią, warto spojrzeć na to miejsce z szerszej perspektywy. Czy można utworzyć kompletny mozaikowy obraz całej powierzchni tego kwadratu? Albo chociaż jego głównych części?

— Jasne, ale muszę trochę posiedzieć przy klawiaturze.

— Wolałbym, żebyś to zlecił komuś innemu. Mam dla ciebie pilne zadanie.

— Jakie?

— Spuścisz na wodę naszą miniaturową łódź podwodną. Chcę zobaczyć na własne oczy, co się dzieje na dole.

ROZDZIAŁ 24

Cieszę się, że wyszliście z tego cało, przyjaciele — powiedział Madero na widok Summer i Dirka z ledwie dostrzegalną ulgą w głosie. Kiedy wpuszczał ich do pracowni obok swojego uniwersyteckiego gabinetu, jego wymizerowana twarz wyglądała jak teatralna maska wyrażająca zgrozę i przerażenie.

— Mam straszliwe wyrzuty sumienia z powodu śmierci doktora Torresa — odrzekła Summer. — Gdybym nie znalazła tego kodeksu...

— Proszę tak nie mówić, to wspańiałe odkrycie. Poza tym jestem najzupełniej pewien, że Miguel umarł, robiąc to, co kochał całym sercem. — Madero zniżył głos niemal do szeptu. — Martwi mnie jednak, że policja nie zdołała zatrzymać morderców.

— Jednego wyłowili z rzeki poniżej elektrowni wodnej — powiedział Dirk. — Niestety, ciało było tak poszatkowane, że nie udało się ustalić tożsamości. Jak pan sądzi, kto mógł zabić Torresa z powodu kamiennej tablicy?

Madero pokręcił głową.

— Nie mam pojęcia, skąd mogli być ci ludzie, może nawet spoza kraju. W okolicach Tuli kwitł kiedyś nielegalny handel autentycznymi pamiątkami po Toltekach. Złodzieje prawdopodobnie nawet nie wiedzą, co wpadło im w ręce.

— Myli się pan — odparła Summer. — Odniosłam wrażenie, graniczące niemal z pewnością, że właśnie tego szukali.

— No cóż, pozostaje mi tylko nadzieja, że uda się odnaleźć tablicę i że śmierć Miguela zostanie pomszczona — rzekł Madero bez przekonania.

— Dobrze, że mamy przynajmniej fotografie, chociaż mój aparat nie nadaje się już do użytku. — Summer posłała bratu karcące spojrzenie.

— No co? Myślałem, że to jednorazówka — bronił się Dirk.

— Lepsze to niż nic — powiedział Madero, klikając na folder ze zdjęciami wykonanymi przez Summer. Otworzył jedno z nich, zbliżenie hieroglifów pokrywających aztecki kamień.

— Wie pan, czego dotyczą te symbole? — zapytała Summer.

— W większości pokrywają się z tym, co zapisano w kodeksie — odparł Madero ożywionym głosem. — Z układu znaków można wywnioskować, że okrągły kamień został przecięty lub przełamany dokładnie przez środek. Znaleziona przez was tablica to lewa połowa. Graniaste zdobienia wzdłuż krawędzi przedstawiają słońce, które w wierzeniach Azteków symbolizowało życie i aktualną epokę. Wzór jest bardzo zbliżony do uznawanego za aztecki kalendarz Kamienia Słońca, z tą różnicą, że znaki znajdujące się pośrodku umieszczono w układzie góra — dół, a nie w postaci koncentrycznych kręgów.

— Czy hieroglify są podobne do tych z Kamienia Słońca? — chciał wiedzieć Dirk.

— Przypominają raczej Kamień Tizoca, który służył prawdopodobnie jako kamień ofiarny, ale ze względu na pokrywające go płaskorzeźby przypisuje mu się rolę pomnika upamiętniającego dokonania władcy. Wasza tablica została wykonana z tego samego materiału, wulkanicznej skały zwanej andezytem. Na kamieniu ofiarnym jest wiele dat, imion i nazw geograficznych, a tu mamy do czynienia raczej z relacją czy opowieścią o jakimś wydarzeniu.

— Co to za opowieść? — spytała Summer.

— Niestety, dysponujemy tylko połową zapisu. Ale może reszty zdołamy się domyślić. — Madero wziął głęboki wdech i w skazał kilka rzędów znaków — umieszczonych w górnej części tablicy, wewnątrz słonecznego kręgu. — Te hieroglify przedstawiają szkielety, symbolizujące śmierć lub smutek. Tak jak w przypadku kodeksu, nie wiadomo, czy powodem była jakaś lokalna bitwa, czy może przybycie Hiszpanów. Za nimi widzimy wizerunek opiekuńczego bóstwa Huitzilopochtli, będącego też bogiem wojny. Najwyraźniej prowadzi on jakiś ważny pochód, którego opis znajduje się pewnie na drugiej połówce kamienia. O wielkim znaczeniu tej grupy ludzi świadczy obecność wojowników orłów i wojowników jaguarów.

Potarł oczy i kontynuował:

— Dalej mamy hieroglify oznaczające wodę i łapanie ryb, przeplatające się ze znanymi nam już śladami stóp, które symbolizują wędrówkę. Z odstępów między śladami wynika, że podróż trwała dość długo, zapewne ponad tydzień. A potem robi się bardzo ciekawie.

Wskazał zaokrąglone puste pole pod hieroglifami, przy krawędzi, wzdłuż której kamień został przepołowiony, oraz biegnącą poniżej ząbkowaną linię i dwa umieszczone wewnątrz nieregularne okręgi.

— To coś w rodzaju mapy — wyjaśnił. — Moim zdaniem tu przedstawiono cel wyprawy. Z tego fragmentu wynika, że chodziło o jakąś zatokę, w której było kilka wysp. Niestety nie zdołamy ustalić, co to za miejsce, bez drugiej połówki kamienia.

— Może to po prostu odwzorowanie Tenochtitlanu? — zasugerował Dirk.

— W pierwszej chwili też o tym pomyślałem. Ale kształt linii brzegowej nie pasuje do jeziora Texcoco — odparł Madero. — Mam inną koncepcję — dodał i postukał palcem w wizerunek ptaka, urwany mniej więcej w połowie szyi w miejscu przełamania kamienia.

— Flaming? — spytała Summer.

— Albo żuraw — odpowiedział Madero. — To symbol Aztlánu.

— Torres wspominał o Aztlánie — wtrącił Dirk. — To mityczna kraina Azteków, znajdująca się ponoć na wyspie wewnątrz laguny.

Madero pokiwał głową.

— Aztlán, czyli „miejsce żurawi”, miało się znajdować gdzieś za północną granicą imperium Azteków. Właśnie stamtąd przywędrowali pierwsi Mexikowicze. Może to zbyt śmiałe przypuszczenie, ale biorąc pod uwagę odwołanie do Huitzilopochtli, przekaz wydaje się

jasny. Grupa azteckich dostojników udała się na pielgrzymkę do Aztlánu. Kodeks potwierdza, że odbyli podróż drogą wodną i dotarli do celu.

— Jaką pielgrzymkę? — spytała Summer. — I co ze sobą wieźli?

Madero rozłożył bezradnie ręce.

— Nie dowiemy się tego, dopóki nie znajdziemy drugiej połowy tablicy.

— Być może stanie się to wcześniej, niż pan przypuszcza.

— O czym pani mówi?

— Chyba wpadliśmy na trop drugiej połówki.

Madero zrobił wielkie oczy, co wyraźnie rozbawiło

Summer.

— Na razie to tylko przypuszczenie — powiedziała ze śmiechem. — Skonsultowaliśmy się ze starym przyjacielem naszej rodziny z Waszyngtonu, St. Julienem Perlmutterem, który jest wybitnym historykiem morskim. Jeden z jego kolegów po fachu pracuje w Głównym Archiwum Indii w Sewilli i ma dostęp do rejestru statków, które żeglowały do Nowego Świata na początku szesnastego wieku. Był wśród nich statek o nazwie „Zły Niedźwiedź”.

— „Zły Niedźwiedź”? Przykro mi, ale zupełnie nie rozumiem, jaki to ma związek z aztecką tablicą.

— Początkowo też nie rozumiałam — przyznała Summer. — Wysłałam Perlmutterowi kopię segmentu kodeksu, na którym widać galeon ozdobiony wizerunkiem małpy. Przewertował listę nazw statków, szukając jakiegoś związku z małpami albo innymi naczelnymi, ale niczego nie znalazł. Na szczęście jest wyjątkowo uparty, więc drążył dalej, szukając jakiegokolwiek punktu zaczepienia. Wreszcie doznał olśnienia, kiedy sprawdził, jak brzmi słowo „małpa” w języku nahuatl.

— *Ozomahтли* — powiedział Madero.

— Właśnie. Jego zdaniem może to wskazywać na statek „Oso Malo”, czyli „Zły Niedźwiedź”.

Madero uśmiechnął się i pokiwał głową.

— Rzeczywiście, brzmi podobnie. Pomysł, że Aztekowie źle zrozumieli nazwę statku zasłyszaną od hiszpańskich marynarzy, jest bardzo kuszący. Wasz ekspert mógł się tym zasugerować.

— Słynie z wyjątkowej rzetelności.

— To świetnie, tyle że ustalenie nazwy statku nie jest równoznaczne z odnalezieniem tablicy.

— Ale może być — odparła Summer — zwłaszcza, że losy „Oso Malo” były dość osobliwe. Statek odbył tylko jeden rejs do Veracruz w 1525 roku. W drodze powrotnej do Kadyksu natknął się na huragan i załoga musiała wziąć kurs na Jamajkę. Prawie im się udało, ale koło północnych wybrzeży wyspy statek zatonął.

— Niewykluczone, że ktoś już go znalazł i przeszukał — stwierdził.

— Tego niestety nie wiemy — powiedział Dirk — ale zamierzamy sprawdzić. Dziś wieczorem lecimy z Summer na Jamajkę. Zostały nam jeszcze trzy dni wolnego, więc wykorzystamy ten czas na zlokalizowanie i zbadanie wraku.

— Poszukiwacze skarbów interesują się przede wszystkim złotem i klejnotami, może więc zostawili w spokoju przełamany stary kamień — dodała Summer, wskazując zdjęcie.

Madero popatrzył na bliźnięta i pokręcił głową.

— Trop prowadzący do statku jest, delikatnie mówiąc, dość wąty. Obawiam się, że gonicie za mirażem. Lepiej zostawcie tę sprawę w spokoju. Kiedy odnajdziemy pierwszą połówkę, środowisko naukowe dowie się o istnieniu tablicy i szybko pojawi się wiele wskazówek prowadzących do jej drugiej części. Pewnie leży w magazynie jakiegoś muzeum.

— Być może — zgodziła się Summer — ale co nam szkodzi spróbować? Poza tym nie zamierzam lecieć na Jamajkę tylko po to, żeby się przyglądać, jak mój braciszek przez trzy dni popija rum i wyleguje się na plaży.

— Potrafisz zepsuć najlepszą zabawę — zażartował Dirk.

— Musicie być bardzo ostrożni — powiedział Madero bardzo cicho, prawie szeptem.

— Będziemy, panie doktorze — zapewniła Summer, wymieniając z nim uścisk dłoni. — Kiedy tylko coś znajdziemy, od razu damy panu znać.

Madero zaczekał, aż opuszczą pracownię, a potem odwrócił się sztywno w stronę drzwi swojego gabinetu. Z mrocznego wnętrza wyłonił się Juan Diaz z pistoletem w dłoni. Towarzyszący mu młodszy mężczyzna przeszedł przez pracownię i zamknął na klucz drzwi prowadzące na korytarz.

— Cóż za pouczająca rozmowa — powiedział Diaz. — Bardzo się cieszę, że mogłem jej wysłuchać. Twój przyjaciele są ogromnie pomocni. Mam nadzieję, że z drugą połówką tablicy pójdzie im równie dobrze jak z pierwszą.

Madero milczał, tylko jego oczy rzucały gromy. Diaz wkroczył do jego gabinetu, kiedy czekał na Summer i Dirka, i grożąc mu pistoletem, zażądał wydania kodeksu. Madero aż zatrząsł się z wściekłości, gdy zdał sobie sprawę, że to Kubańczyk zamordował Torresa.

— Ślad prowadzący do tego wraku koło Jamajki to czysta spekulacja — powiedział teraz. — Jeżeli pojedziesz za nimi, stracisz tylko czas.

— Podziwiam twoją przytomność umysłu, ale nie próbuj mydlić mi oczu — odparł Diaz. — Obaj wiemy, że to całkiem sensowna hipoteza.

Podszedł do naukowca i spojrzał mu w oczy.

— Nie poinformowałeś swoich przyjaciół, na czym polega ogromna wartość tej tablicy — zauważył. — Czyżbyś zamierzał ich ograbić?

— Nie. Po prostu chciałem ich ustrzec przed wpakowaniem się w kłopoty — wycedził Madero przez zęby i popatrzył na potężnego Kubańczyka, którego czarne oczy były w

ciągłym ruchu, jak u głodnego jastrzębia. — Skąd wiedziałeś, czego dotyczy zapis na kamieniu?

— Odkryłem to przez przypadek i poprosiłem Torresa o konsultację. Szczęśliwym zrządzeniem losu właśnie byłem u niego, kiedy mu powiedziałeś o znalezieniu kodeksu. A właśnie, gdzie jest ten cenny dokument? — Diaz skierował lufę pistoletu w stronę Madero.

Antropolog wsunął rękę do kieszeni, wyjął z niej pęk kluczy i jednym z nich otworzył stalową szafę. Tam w małym plastikowym pojemniku leżał kodeks owinięty w skrawek miękkiego materiału. Diaz lekkim skinieniem głowy dał znak swojemu kompanowi, a sam sięgnął po pojemnik.

Wpatrzony w kodeks Madero nawet nie zauważył, jak współnik Kubańczyka podniósł z blatu biurka kamienny olmecki posążek. Mężczyzna wziął szeroki zamach i uderzył go figurką w tył głowy. Naukowiec osunął się na podłogę.

Diaz przeszedł nad ciałem Madero i zwrócił się do współnika:

— Zetrzyj z posążka odciski palców. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, policja uzna, że zginął z rąk swoich amerykańskich przyjaciół, którzy ukradli kodeks.

Powiedziawszy to, wsadził pojemnik pod pachę i ruszył do drzwi.

ROZDZIAŁ 25

Morze zamknęło się nad „Starfishem”, tłumiąc jaskrawy blask karaibskiego słońca. Pitt, który zajmował miejsce pilota, kontrolował napełnianie zbiornika balastowego, a siedzący obok Giordino sprawdzał systemy zasilania i podtrzymywania życia.

— Dno znajduje się na głębokości ponad trzystu pięćdziesięciu metrów — powiedział Pitt.

— Dość czasu, żeby uciąć sobie drzemkę — stwierdził Giordino i ziewnął.

Miniaturowa łódź podwodna zanurzała się tylko pod wpływem grawitacji, więc bardzo wolno pogrążała się w głębinach. Al miał wrażenie, że trwa to całe wieki, zwłaszcza że Pitt nie pozwolił mu spać, wygłaszając co chwila złośliwe uwagi o jego romansie ze znaną waszyngtońską prawniczką.

— Ja przynajmniej nie ożeniłem się z politykiem — odciął się Giordino.

Kiedy wreszcie dno pojawiło się w polu widzenia, Pitt zatrzymał opadanie. Zaskoczony widokiem Al gwizdnął cicho.

— Całkiem jak na budowie autostrady — skomentował.

Znajdowali się nad obszarem poprzecinanym niewyraźnymi liniami, które widzieli na obrazach z sonaru. Teraz, patrząc na nie z bliska, byli pewni, że nie są dziełem natury. Niewątpliwie były to ślady zostawione przez jakieś urządzenie mechaniczne.

Pitt ustawił łódź nad dwoma biegnącymi równolegle zagłębieniami.

— Zastosowano tu naprawdę ciężki sprzęt — zauważył.

— Koleiny mają ponad trzy metry szerokości — powiedział Giordino. — Zastanawiam się, jak duży musiał być pojazd, który je wyłłóbił.

— Na pewno nie chodziło o wiercenia w poszukiwaniu ropy czy gazu — stwierdził Pitt. — Wygląda to na podmorską działalność górniczą prowadzoną na dużą skalę.

— Czyżby wydobywanie koncentracji manganowych?

— Całkiem możliwe. Prawdopodobnie o wysokiej zawartości złota.

Pitt przemieścił łódź nad rozległy obszar poprzecinany krzyżującymi się parzystymi koleinami, które wyglądały nieco inaczej niż poprzednie.

— Czy te ślady nie wyglądają znajomo? — zwrócił się do Ala.

— Wyglądają — przyznał Giordino. — Są podobne do tych, na które natknęliśmy się w pobliżu dzwonu nurkowego z „Alty”.

— Otóż to.

Zataczając szeroki łuk, Pitt zauważył, że dno lekko się obniża. Zagłębienie widoczne na obrazach z sonaru miało kształt niecki, w środku której znajdował się głęboki rów. Właśnie wokół tego punktu było największe zagęszczenie koinów.

— Czyżby urabianie skał metodą strzałową? — zastanawiał się Giordino.

— Na to wygląda — odparł Pitt.

— Hola! Zdejmij nogę z gazu! Temperatura wody podskoczyła do pięćdziesięciu stopni.

Pitt zmniejszył moc pędników i skręcił w kierunku środka zagłębienia.

— Temperatura wciąż rośnie — raportował Al. — Sto czterdzieści, sto pięćdziesiąt, sto sześćdziesiąt... teraz zaczyna spadać. — Jeszcze przez chwilę śledził wskazania czujnika, po czym oznajmił: — Maksymalny zarejestrowany poziom wynosił sto sześćdziesiąt pięć stopni.

— Komin hydrotermalny — orzekł Pitt. — W samym środku wyrobiska.

— To by się nawet zgadzało. W okolicach kominów występują obfite złoża cennych minerałów.

— Założę się, że w tym stwierdzilibyśmy wysoką zawartość rtęci.

— To musi być źródło skażenia — powiedział Giordino. — Ciekawe, że w dotychczas zbadanych kominach hydrotermalnych nigdy nie mieliśmy do czynienia z podwyższonym poziomem rtęci.

— Może ma to związek z użyciem materiałów wybuchowych — odparł Pitt. — Na skutek eksplozji mogło dojść do skruszenia warstwy bogatych w rtęć minerałów zalegających u podstawy komina.

— Więc mamy do czynienia z naruszeniem naturalnych złóż. To by wyjaśniało, dlaczego w poprzednich dwóch miejscach nie znaleźliśmy ewidentnych śladów wskazujących na źródło skażenia.

— Jestem pewien, że jeśli przyjrzymy się z bliska tamtym obszarom, znajdziemy takie same charakterystyczne koiny i zagłębienia powstałe na skutek działalności człowieka.

— Teraz przynajmniej wiemy, czego szukać — podsumował Al. — Wracajmy na statek. Chciałbym jeszcze raz przejrzeć zapisy sonarowe z poprzednich miejsc.

— Jasne, ale najpierw odbijemy na chwilę w bok — odpowiedział Pitt.

Powoli okrążył zagłębienie, wpatrując się w dno, aż wreszcie skręcił w kierunku sterczącego z piasku podłużnego brązowego obiektu. Przesuwając się nad nim, stwierdzili, że nie była to ani żaglówka, ani żadna inna jednostka pływająca, tylko wielka kłoda drewna.

— To tyle, jeśli chodzi o zatopioną łódź — skomentował Giordino. — Zwykła kłoda, która stoczyła się pewnie z pokładu drewnowca.

— Chwileczkę — mruknął Pitt, podpływając do obiektu z drugiej strony. Dopiero teraz okazało się, że jest to jednak duża indiańska dłubanka.

— Widziałeś kiedyś kanoe takich rozmiarów? — spytał Al, włączając zewnętrzną kamerę wideo. — Ma ponad dziesięć metrów długości.

— Rzeczywiście ogromna jak na dłubankę — przyznał Pitt. — Pewnie używali ich do przemieszczania się między wyspami.

Kanoe tkwiła do połowy w gruncie, odwrócona dnem w kierunku środka zagłębienia, ale w jej wnętrzu nie było piasku ani kamieni. Pitt przeprowadził „Starfisha” wzdłuż jej kadłuba, aby uzyskać szczegółowe nagranie wideo.

— Naliczyłem dziesięć ławek — powiedział Giordino. — Na tyle szerokich, żeby zmieściło się na nich po dwóch wiosłarzy. Jest też sporo wolnego miejsca, które mogło służyć jako przestrzeń ładunkowa.

— Pewnie służyła miejscowym Indianom Taino do wymiany towarów — odparł Pitt. — Zwróć uwagę na kształt kadłuba. Najwyraźniej potrafili zmodyfikować kanoe tak, aby nadać jej większą dzielność morską.

Na obu bokach dłubanki przymocowane były rzeźbione deski, które zwiększały wysokość wolnej burty o jakieś dwadzieścia pięć centymetrów. Ponadto na końcach kłody dodano klinowate elementy, podwyższające dziób i rufę.

— Nie mam pojęcia, co przewozili, ale na pewno nie była to rtęć — powiedział Giordino.

Pitt pokiwał głową. Kiedy robił zwrot nad końcem kanoe, strumień wody z pędników łodzi wzbił z dna obłok sypanego piasku, odsłaniając mały prostokątny kamień.

Al natychmiast go zauważył.

— Coś leży na dnie — oznajmił.

— Widzę — odrzekł Pitt. — Spróbujmy zabrać to coś ze sobą.

Giordino już uruchamiał moduł sterujący ramieniem manipulatora. Srebrzyste szczypce chwytaka poruszyły się, kiedy Pitt ustawił „Starfisha” nad znaleziskiem. Al bez trudu zacisnął je na kamieniu i wydobył go z piasku. Przypatrując się przez iluminator, zauważyli na nim płaskorzeźbę przedstawiającą indiańskiego wojownika. Mężczyzna miał krótkie nogi, duży nos i przepaskę na biodrach.

Pitt dłuższą chwilę przyglądał się płaskorzeźbie

— Wygląda na gościa starej daty — mruknął, opróżniając zbiorniki balastowe.

— Trochę mi przypomina naszego szkolnego trenera zapasów Herberta Mudda — oznajmił Giordino.

Pitt uśmiechnął się.

— Idę o zakład, że ten indiański Herbert opowiedziałby nam ciekawą historię, gdyby tylko potrafił mówić.

Gdy łódź podwodna wznosiła się ku powierzchni, krótkonogi wojownik tkwił w szczypcach manipulatora, zerkając przez iluminator do wnętrza kokpitu. Co prawda zachował

milczenie, ale jego wyrzeźbiona w kamieniu postać miała powiedzieć więcej, niż można się było spodziewać.

ROZDZIAŁ 26

Gdy Summer i Dirk wyszli z terminalu międzynarodowego portu lotniczego imienia Donalda Sangstera, Jamajka powitała ich palącym popołudniowym słońcem i brzękliwymi dźwiękami rytmicznej melodii, wygrywanej na karaibskich kotłach przez trzyosobowy uliczny zespół. Summer przysłuchiwała się przez chwilę, a potem wrzuciła pięciodolarowy banknot do rastamańskiej czapki, służącej do zbiórki datków zamiast kapelusza, na co wszyscy trzej muzycy zareagowali zgodnym kiwnięciem głów. Dogoniła brata, który opędzał się przed natarczywym taksówkarzem, zmierzając prosto na parking wypożyczalni samochodów.

— Stanowisko B— 9 — powiedział do Summer, potrząsając zestawem kluczyków.

Na wyznaczonym miejscu stał Volkswagen beetle w wersji cabrio.

— Beetle? — jęknął Dirk, robiąc zbolalą minę.

— Firma nie zdołała zarezerwować lepszego samochodu w tak krótkim terminie — wyjaśniła Summer, odbierając bratu kluczyki. — Poza tym uważam, że jest uroczy.

— Urok i funkcjonalność nie zawsze idą ze sobą w parze — odrzekł, wpychając ich walizki do ciasnego bagażnika. Na torby ze sprzętem nurkowym nie było już miejsca, więc postawił je na podłodze za przednimi siedzeniami.

— Musimy jeszcze jakoś zmieścić magnetometr i butle tlenowe.

— Rzucimy je na sam wierzch — stwierdziła Summer, składając dach.

Wsiadła za kierownicę, umieszczoną po prawej stronie, i podała bratu atlas samochodowy.

— Ja poprowadzę, a ty pokażesz mi drogę do sklepu ze sprzętem nurkowym.

Dirk zajął miejsce pasażera i zaczął burczeć coś pod nosem na temat pragnienia i rumu. Summer podjechała pod terminal cargo, skąd odebrali niewielką skrzynkę, a potem skręciła na południe w kierunku Montego Bay. Ostrożnie włączyła się w sznur samochodów zdążających do miasta. Trzymanie się lewej strony drogi — pozostałość z czasów, gdy Jamajka była kolonią brytyjską — zmuszało ją do zachowywania napiętej uwagi.

Po zaledwie pięciu minutach jazdy aż zbieleły jej kostki od zaciskania dłoni na kierownicy. Zjechała na pobocze i zatrzymała auto. Na krótkim odcinku od lotniska zostali prawie zmiecieni z szosy przez pędzącą półciężarówkę, a furgonetka z pieczywem niemal najechała im na tylny zderzak.

— Ci ludzie jeżdżą jak wariaci! — wykrzyknęła oburzona Summer.

— To z powodu wybojów — odparł Dirk z niezmaconym spokojem — albo z nadmiaru trawki.

Wysiadł z wozu i podszedł do drzwi kierowcy.

— Mogę poprowadzić, jeśli chcesz.

— Chcę. — Summer przesiadła się na miejsce pasażera.

Dirk, uśmiechnięty od ucha do ucha, ruszył z kopyta. Nic sobie nie robił z agresywnie jeżdżących kierowców. Zresztą sam lubił ostrą jazdę, czemu dawał upust podczas zawodów w macierzystym automobilklubie, w których ścigał się za kierownicą porsche z lat osiemdziesiątych.

Sklep ze sprzętem nurkowym znajdował się w pobliżu jednego z luksusowych hoteli na Doctor's Beach. Wypożyczyli cztery pełne butle, które upchnęli na stercie bagaży leżących na tylnym siedzeniu, i ruszyli z powrotem. Minęli lotnisko i zostawiwszy za sobą przedmieścia Montego Bay, zjechali na wąską nadmorską drogę biegnącą wzdłuż północnego brzegu wyspy.

Mijali kurorty i malownicze rezydencje, pamiętające osiemnastowieczny rozkwit przemysłu cukrowniczego, opartego na pracy niewolników. Ruch stopniowo malał, a droga coraz częściej schodziła tuż nad błękitne wody Morza Karaibskiego, wcinające się zatokami w porośnięte dżunglą brzegi.

— Za chwilę powinniśmy dojechać do White Bay — powiedziała Summer, zajrzawszy do atlasu.

Szosa omijała łukiem gęsty skrawek dżungli, za którym otwierał się widok na płytką zatoczkę obramowaną białym piaskiem. Dirk skręcił w wąską polną drogę, uwalniając się od taksówki siedzącej im na ogonie, odkąd ruszyli spod sklepu.

Biegła wzdłuż rzędu rozpadających się ruder, a dalej skręcała w stronę grupy stojących nad wodą domków letniskowych. Większość należała do spragnionych wypoczynku obcokrajowców; i wyglądały na niezamieszkanie.

— Pośrednik powiedział, że to trzeci dom po lewej — Summer wskazała jeden z bungalów. — To chyba ten żółty z białymi obramowaniami.

Dirk kiwnął głową i wjechał przez otwartą bramę na podjazd. Kilkadziesiąt metrów dalej fale łagodnego przyboju załamywały się na plaży.

— Wrak spoczywa gdzieś w pobliżu — rzekł, wpatrując się w wody zatoki. — Trudno sobie wyobrazić lepsze miejsce zakwaterowania.

— Klucze mają leżeć pod wycieraczką, a spiżarnia powinna być pełna, więc możemy nie ruszać się stąd i pracować aż do przybycia „Sargasso Sea”.

— A co z łodzią?

— Przy nabrzeżu w zatoce czeka na nas boston whaler z dodatkowym zapasem paliwa.

Niewielki bungalow składał się z saloniku z wnęką kuchenną, dwóch sypialni i łazienki. Po rozpakowaniu się otworzyli na oścież drzwi i okna, aby złapać powiew wieczornej bryzy. Potem zanieśli butle na plażę i ciągnąc je po piasku, ruszyli na przystań.

Łódź przycumowana do mola wyglądała, jakby stała tu od wieków. Poszycie z włókna szklanego zmatowiało od słońca, a metalowe wykończenia pokrywała warstwa rdzy.

— Zbudowano ją chyba w czasach wojny secesyjnej — mruknął Dirk z dezaprobatą.

— To samo można powiedzieć o przystani.

Weszli na chybotały pomost, a właściwie na kładkę z kilku wąskich desek, ułożonych na kilku głazach. Dirk przeniósł butle do łodzi i szarpnął za linkę rozruchową zaburtowego silnika. Motor zaskoczył po drugim pociągnięciu.

— Daleko jej do „Queen Elizabeth”, ale dla nas wystarczy.

— Zatoczka jest mniejsza, niż myślałam — powiedziała Summer, kiedy w promieniach zachodzącego słońca wracali do bungalowu. — Ma najwyżej półtora kilometra szerokości.

— I dobrze — odparł Dirk. — Przy odrobinie szczęścia uda się nam ją przeszukać w jeden dzień.

Zatrzymał się, wpatrzony w fale zatoki. Tak samo jak ojciec czuł atawistyczny przymus ciągnący go w morskie głębiny. Teraz przyzywały go leżące tuż przy brzegu szczątki „Oso Malo”.

Wstali o świcie i odbili od brzegu wraz z pierwszym powiewem chłodnej porannej bryzy. Dirk otworzył skrzynkę odebraną z lotniska i rozpakował elementy składanego holowanego magnetometru. Wkrótce łódź ciągnęła za rufą opływowy czujnik w kształcie ryby, który był połączony przewodem z niewielkim modułem przetwarzania danych, wyposażonym w głośnik. Urządzenie sygnalizowało żelazne obiekty, wydając przenikliwy, brzęczący dźwięk.

Posługując się ręcznym odbiornikiem GPS do wyznaczania kursu, Dirk prowadził łódź w poprzek zatoki i przy każdym nawrocie badał wąski pas dna, natomiast Summer pilnowała magnetometru, skrząc lub wydłużając hol, żeby czujnik nie zarył w piasku lub, co gorsza, nie uderzył o skały. Podczas trzeciego nawrotu moduł zaskrzeczał głośno, sygnalizując obecność jakiegoś dużego przedmiotu. Dirk zatrzymał silnik, a Summer wskoczyła do wody w masce i płetwach, by dokonać pobieżnej identyfikacji. Po chwili wynurzyła się i wróciła do łodzi.

— Ktoś zgubił całkiem porządną kotwicę — oznajmiła. — Jest zbyt nowa, żeby pochodzić z hiszpańskiego galeonu.

— Możemy wydobyć ją później — odparł Dirk, uruchamiając motor.

Pracowali do południa, po czym zrobili sobie przerwę na szybki lunch, który zjedli w domu. Kiedy wracali na przystań, Summer wskazała zatokę i powiedziała:

— Zdaje się, że mamy konkurencję.

Niedaleko brzegu kołysała się niewielka łódka pokryta wyblakłą zielonkawą farbą. Jedyne pasażer, ciemnoskóry mężczyzna odziany tylko w obcięte dżinsy, pomachał do Summer, a potem założył maskę i wyskoczył za burtę, trzymając w ręku kuszę do podwodnych polowań. Po minucie wynurzył się, nabrał powietrza w płuca i znowu zniknął pod powierzchnią.

Dirk skierował łódź na pozycję, w której wcześniej przerwali poszukiwania, i dał znak siostrze, żeby spuściła magnetometr do wody. Obojgu pracowało się lepiej niż przed południem, bo nad zatokę nadciągnęły niskie chmury, przynosząc trochę wytchnienia od słonecznego żaru. Magnetometr brzęczał kilka razy, sygnalizując niewielkie przedmioty, ale niczego ciekawego nie znaleźli.

Po dwóch godzinach zbliżyli się do zielonej łódki. Nurek właśnie wciągnął się do niej przez burtę. Na sznurku, który miał przywiązany do pasa, wisiał rząd srebrzystych ryb. Jamajczyk napił się wody z plastikowej bańki i spytał:

— Czego szukacie?

Dirk zwolnił, więc Summer musiała zwinąć hol magnetometru.

— Hiszpańskiego wraku, który zatonął w tej zatoczce w 1525 roku.

Mężczyzna kiwnął głową.

— Samuel wam pokaże.

Powiedziawszy to, podniósł kotwicę i uruchomił silnik. Zielona łódka z głośnym terkotem oddaliła się od brzegu, kierując się ku wschodowi. Po chwili rybak zgasił motor i rzucił kotwicę. Dirk zatrzymał whalera obok łodzi Jamajczyka i zrobił to samo.

— To tu — oznajmił Samuel. — Dwanaście metrów głębokości.

— Dziękujemy za pomoc — rzekł Dirk i przedstawivszy siostrę i siebie, dodał: — Widzę, że ta zatoczka jest bardzo rybna.

— Cała Jamajka jest bardzo rybna — odparł z uśmiechem Samuel.

Przez stosunkowo płytką wodę przezierało dno. Kilka metrów w bok Dirk widział wznoszący się ku powierzchni zielonkawy wał rafy koralowej. Nagle zerwał się wiatr.

Podstępny szkwał podkraść się od północnego zachodu i powierzchnia morza zrobiła się szara.

Samuel stanął w swojej łódce i skinął na Summer.

— Śliczna pani pójdzie ze mną. Pokażę wrak.

— Bardzo chętnie. — Założyła maskę i płetwy i pierwsza zsunęła się do wody.

Samuel wskoczył tuż po niej i zanurkował niemal pionowo w dół. Szybko go dogoniła, bo wkrótce zwolnił i wskazał coś na dnie. Początkowo widziała tylko postrzępione podłoże, ale po chwili dostrzegła niewielki garb, który ciągnął się w stronę pobliskiego skupiska koralowców. Summer powachlowała nad nim ręką, żeby strącić piasek, i odsłoniła dwa idealnie gładkie, zaokrąglone kamienie. Serce zabiło jej żywiej, bo rozpoznała w nich kamienie rzeczne, często wykorzystywane na żaglowcach jako balast. Wyglądało na to, że niewielką górkę na dnie utworzył balast ze statku, który zatonął dawno temu.

Poczuła pulsowanie w uszach, co oznaczało, że czas wrócić na powierzchnię. Zerknąwszy na Samuela, który spokojnie grzebał w piasku, wynurzyła się, podpłynęła do stojącego nieopodal whalera i chwyciła za linę kotwiczną.

— No i jak? — spytał Dirk.

— Rzeczywiście jest wrak. Dość spory i całkiem zagrzebany w piasku. Samuel ustawił nas dokładnie nad stosem kamieni balastowych.

— A więc znaleźliśmy to, czego szukaliśmy.

Jamajczyk wynurzył się chwilę później.

— Czy to wasz wrak? — zapytał.

— Chyba tak — odparł Dirk. — Co o nim wiesz?

Samuel pokręcił głową.

— Niewiele. Nazywamy go Wrakiem Zielonych Kamieni, bo dawno temu przez wiele lat fale wyrzucały na plażę zielone kamienie, jego ładunek. To wszystko.

Powiedziawszy to, rzucił Dirkowi mały kamyk wydobyty z dna. Był on ciemnozielony, gładki i lśnił promiennym blaskiem. Dirk przyglądał mu się przez moment, po czym schował do kieszeni i pomógł Summer wejść do whalera. Samuel wrócił na swoją łódkę. Chwilę później zrosiły ich pierwsze krople zacinającego deszczu.

— Dziękujemy. A czy to rzeczywiście poszukiwany przez nas wrak. sprawdzimy jutro, kiedy pogoda się poprawi

Jamajczyk błysnął zębami w uśmiechu.

— Jutro wezmę butle i popracujemy razem — zaproponował. — Zapłacicie mi sto dolarów.

— Niech będzie — zgodził się Dirk — ale pod warunkiem że dasz nam jednego lucjana na kolację.

Samuel wybrał największą rybę ze swego obfitego połowu i wrzucił ją na dno whalera.

— Do zobaczenia jutro rano.

Puścił oko do Summer i po chwili jego łódka znikła za zasłoną deszczu.

Dirk zawrócił w kierunku brzegu i z maksymalną prędkością popłynął do przystani. Rosnące fale głośno uderzały o kadłub. Ulewa przybrała na sile, zalewając bliźnięta strugami wody.

— Wrak jest chyba stary. — Summer podniosła głos, żeby przekrzyczeć nawałnicę. — Sądziś, że to naprawdę "Oso Malo"?

— Jestem tego pewien — odkrzyknął Dirk i rzucił siostrze wyjęty z kieszeni zielony kamyk. — To zielony obsydian, prawdopodobnie pochodzący z Meksyku. Madero pokazał mi grot azteckiej włóczni wykonany z takiego samego materiału. Mówił, że Aztekowie cenili go bardzo wysoko. Prawdopodobnie Hiszpanie wywieźli część tego towaru w początkowym okresie podbojów.

Summer obejrzała kamień.

— Na pewno miał sporą wartość, skoro znalazł się na pokładzie galeonu.

Zacumowali łódź i poszli do bungalowu. Mimo ulewy, która przemoczyła ich do suchej nitki, uśmiechali się, zadowoleni z odniesionego sukcesu.

ROZDZIAŁ 27

Myślę, że podobaś się Samuelowi — powiedział Dirk z udawaną powagą, kiedy następnego ranka szli na przystań.

— Wiesz, Samuel to spoko gość — Summer podjęła jego żartobliwy ton. — Dobrze pływa i... ma ładne zęby.

— Ładne zęby?! Właśnie tego szukasz u prawdziwego mężczyzny?

— Bywają sprawy niepodlegające dyskusji. Jedną z nich jest krzywy zgryz.

— Czyżbyś nie słyszała o aparatach korekcyjnych?

— No tak, masz rację. Łatwiej poprawić zły zgryz niż paskudny charakter.

Wsiedli do łodzi i wypłynęli na zatokę. Deszcz dawno przestał padać, morze było prawie całkiem gładkie. Samuel dotrzymał umowy. Cekał nad wrakiem z kilkoma butlami. Dirk przycumował do jego łódki, a Summer wyjrzała przez burtę. Dno było dobrze widoczne, bez problemu dostrzegła tkwiącą w piasku kotwicę Samuela.

— Dzień dobry — przywitał się Jamajczyk. — Rybka smakowała?

— Tak, chociaż brat trochę ją przypalił. Widzę, że masz spory zapas powietrza.

— Gotowa na nurkowanie?

— Tak — odpowiedziała Summer. — Cieszę się, że przyniosłeś nam poprawę pogody.

— Cała przyjemność po mojej stronie — rzekł Samuel z promiennym uśmiechem. — Czego szukacie? Złota? Srebra?

— Muszę cię rozczarować, ale nie chodzi o skarb. Szukamy okrągłego kamienia pokrytego płaskorzeźbami.

Twarz Samuela wyraźnie posmutniała.

— Dobra, i tak wam pomogę.

Zeszli na dno we trójkę. Summer i Dirk zajęli się stosem kamieni balastowych. Za pomocą zwijanej miarki zmierzili jego szerokość i długość aż do miejsca, w którym nikał pod nawisem rafy koralowej. Gdy skończyli, Dirk wykonał gest ku powierzchni.

— Nie spodziewałem się, że wrak zostanie częściowo wchłonięty przez barierę koralową — powiedział po powrocie do łódki.

Summer została w wodzie wraz z Samuelem.

— Z informacji uzyskanych przez St. Juliana wynika, że „Oso Malo” miał dwadzieścia jeden metrów długości. Rafa zakrywa najwyżej połowę wraku.

— Lepsze dziesięć metrów niż nic — powiedział Dirk, uruchamiając spalinową pompę wodną, wypożyczoną dzień wcześniej po przeczesaniu kilku sklepów ze sprzętem nurkowym

w Montego Bay. Wyrzucił rurę ssącą za burtę i podał siostrze zaopatrzoną w prądownicę końcówkę elastycznego węża.

— Gotowa do wykopków?

— Daj mi chwilę na dotarcie do dna.

Włożyła automat oddechowy do ust i zanurzyła się pod wodę. Dirk poczekał, aż dopłynię do końca pokrytej piaskiem przyzmy, i przestawił zawór, otwierając obieg wody przez pompę.

Strumień wody pod ciśnieniem, który wytrysnął z dyszy, splukał piasek ze stosu kamieni balastowych. Samuel obserwował, jak w oczyszczonym pasie o szerokości trzydziestu centymetrów pojawiają się gładkie otoczaki.

Splukiwanie osadu było powolne i wyczerpujące fizycznie, więc pracowali wszyscy troje, zmieniając się przy prądownicy co pół godziny.

Summer dokumentowała postęp prac kupionym jej przez brata nowym aparatem do zdjęć podwodnych i robiła notatki w dzienniku. Dotarcie do koralowej bariery, przy której znaleźli elementy drewnianej konstrukcji statku, zajęło im prawie cały ranek.

Zrobili sobie krótką przerwę na posiłek i wrócili do pracy. Wyplukali w dzień drugi pas sondażowy w odległości metra od sterty kamieni i zabrali się do wmywania trzeciego, z drugiej strony. Był już na ukończeniu, kiedy strumień wody przestał płynąć z prądownicy. Dirk wynurzył się na powierzchnię i zobaczył, że silnik pompy nie działa.

— Wyłączyłaś go? — zapytał siostrę, która siedziała z Samuelem przy pompie.

— Nie, skończyło się paliwo — odparła, potrząsając prawie pustą bańką. — Tego, co zostało, ledwie wystarczy na powrót do brzegu.

Dirk wciągnął się na łódź i zdjął sprzęt.

— No cóż, to chyba wszystko, co mogliśmy zrobić — orzekł. — Prawie skończyłem trzeci pas sondażowy. Gdyby tablica tam była, powinienem był na nią natrafić. Obawiam się, że tkwi gdzieś w rafie, wrosnięta w warstwę koralu, o ile nikt jej wcześniej nie zabrał.

— Jeżeli tkwi w koralu, to przepadła na dobre — powiedziała Summer.

— Ale znaleźliście różne ciekawe rzeczy — zauważył Samuel, wskazując ręcznik rozciągnięty na kratce podłogowej. Leżała na nim cała masa przedmiotów znalezionych w pasach sondażowych. W większości były to kawałki ceramiki, zardzewiałe gwoździe i okucia. Nie zabrakło też kilku odłamków lśniącego w słońcu zielonego obsydianu.

— Przynajmniej żadna z nich nie wskazuje, że to nie jest wrak „Oso Malo” — stwierdziła Summer, siłąc się na pogodny ton. — No i będzie można z tego zrobić ciekawą wystawę w muzeum archeologicznym w Port Royal.

— Jutro znajdziemy ten kamień. — Samuel wyraźnie próbował dodać jej otuchy.

— Obawiam się, że Dirk ma rację — odparła, kręcąc głową. — Powinien leżeć na kamieniach balastowych. Czyli albo po prostu go tam nie ma, albo tkwi w koralu. Tak czy inaczej, jutro wyjeżdżamy.

Dirk sięgnął do kieszeni torby nurkowej po portfel, wyjął z niego dwieście dolarów i wręczył Samuelowi, dziękując mu za pomoc.

— Oboje jesteście pomyleni — powiedział Jamajczyk z uśmiechem. — Ale zanim wyjedziecie, muszę postawić wam drinka.

— Bardzo mi się podoba ten pomysł. — Dirk odwzajemnił uśmiech.

Podnieśli kotwice obu łodzi i wrócili na przystań. Samuel ponowił zaproszenie, więc zapakowali się do volkswagena i ruszyli w kierunku Montego Bay. Ujechali jednak zaledwie kilka kilometrów, gdy Jamajczyk kazał im się zatrzymać przed niewielkim budynkiem. Wyblakły napis nad wejściem głosił: „Bari Muzeum Pod Zielonym Kamieniem”.

— Zielony Kamień — skojarzyła Summer. — Czy nie tak nazywacie ten wrak?

— Owszem. I może jest tu wasz kamień. A na pewno jest zimne piwo — oznajmił Samuel. — Wiem, bo mieszkam w sąsiedniej wiosce.

W środku nie zastali nikogo, jeśli nie liczyć śpiącego w kącie czarnego jamnika. Ku zaskoczeniu Summer i Dirka, pomieszczenie było pełne morskich znalezisk. Zardzewiałe kotwice, kule armatnie i wyroby ceramiczne ozdabiały ściany, a pod sufitem wisiała zakurzona sieć rybacka.

Drewniane półki ugięły się pod dziesiątkami kawałków zielonego obsydianu, takich samych jak te, które znaleźli na wrakowisku.

— To wszystko pochodzi z „Oso Malo” — powiedział Dirk, przyglądając się cynowej misie z wytłoczonym herbem Kastylii, przedstawiającym zamek z trzema wieżami, nad którym unosiła się korona.

Z zaplecza dobiegł brzęk butelek, a po chwili wyszedł stamtąd starszy mężczyzna dźwigający skrzynkę piwa. Miał siwe włosy i brodę, ale był ubrany w pstrokatą hawajską koszulę i poruszał się nader zwawo.

— Przepraszam, nie słyszałem, jak państwo weszliście — powiedział. — Podać coś do picia?

— Dwa razy red stripe i daiquiri dla pani — zamówił Samuel, uśmiechając się do Summer.

— Może być — zgodziła się z jego wyborem.

Podeszli do kontuaru. Gospodarz przygotował koktajl dla Summer i postawił dwie butelki zimnego piwa przed mężczyznami. Wszyscy troje uśmiechnęli się, widząc, że otwiera trzecie piwo dla siebie.

Dirk wziął łyk warzonego na Jamajce piwa i wskazał wiszący nad barem pałasz poryty śladami po pąklach.

— Byliśmy dziś na wraku „Oso Malo”, ale pan chyba nas wyprzedził — zagaił.

W oczach gospodarza pojawiło się wyraźne zaniepokojenie.

— Nie słyszałem tej nazwy od dawna — rzekł. — Nazywano go Wrakiem Zielonych Kamieni albo Szmaragdowym Wrakiem, chociaż nie było na nim żadnych szmaragdów.

— Co pan może powiedzieć o kamieniach, które przewoził?

— Zwykły zielony obsydian. Ładny, ale praktycznie bez wartości. Oczywiście Hiszpanie w szesnastym wieku mogli sądzić inaczej. Był ceniony w Meksyku, więc wyładowali nim cały statek. Na nasze nieszczęście — dodał z błyskiem w oku — złoto i srebro popłynęło w zupełnie innym kierunku.

— O ile nam wiadomo, statek szedł z Veracruz do Kadyksu, kiedy dostał się w zasięg huraganu.

— Zgadza się. Utknął na mieliźnie w White Bay. Choć do brzegu było bardzo blisko, niemal cała załoga zginęła. Ocalało tylko czterech ludzi, którzy schronili się później w hiszpańskim osiedlu Melilla.

— Czy Hiszpanie próbowali wydobyć coś ze statku?

— Nic mi o tym nie wiadomo. Rozbitkowie wrócili do Hiszpanii dopiero po trzech latach. O statku zapomniano, bo nie wiozł złota ani srebra. Leżał tu nienaruszony przez prawie czterysta lat, aż wreszcie został odkryty na przełomie wieków przez amerykańskiego archeologa.

— Znalazł go Amerykanin? — wtrąciła zdziwiona Summer.

— Tak. Nazywał się Ellsworth Boyd. Odkrył kilka osiedli starożytnych Indian Taíno na Jamajce. Podczas prac wykopaliskowych prowadzonych w okolicy dowiedział się od miejscowych o kamieniach zagarnianych sieciami przez rybaków. Przybył nad zatokę i wynajął jamajskich nurków, aby wyciągnęli z dna, co się da. — Wskazał półki zapełnione kamieniami. — Głównie zielony obsydian.

— Co się stało z innymi przedmiotami, które znalazł?

— Większość możecie zobaczyć tutaj. Tylko nieliczne, według niego najcenniejsze, Boyd wysłał muzeum przyrodniczemu w New Haven, należącemu do Uniwersytetu Yale. Pewnie zabrałby resztę, ale zmarł wkrótce po zakończeniu prac. Kilku jego współpracowników, wśród nich mój stryjeczny dziadek, postanowiło założyć tu muzeum, by uczcić jego pamięć. Przez lata mocno podupadło, ale odkąd je odziedziczyłem, robię wszystko, żeby mogło dalej funkcjonować.

— Czy słyszał pan o dużym półkolistym kamieniu z mezoamerykańskimi inskrypcjami, który leżał na wrakowisku? — zapytał Dirk.

Barman zastanawiał się chwilę, po czym odparł:

— Niestety, nic mi się nie kojarzy. Ale możecie rzucić okiem na dziennik Boyda.

Summer zrobiła wielkie oczy

— Czyżby opisywał prace prowadzone na „Oso Malo”?

— Tak — potwierdził barman. — Robił szczegółowe notatki.

Zniknął na zapleczu, aby po minucie pojawić się z pokrytym grubą warstwą kurzu, pomiętym zeszytem w skórzanej okładce.

— Dość długo stał na półce — wyjaśnił — ale jeśli chcecie, mogę go wam pożyczyć.

Okładka zatrzeszczała, kiedy Summer otworzyła zeszyt i odczytała na głos pokrytą ręcznym pismem stronę tytułową:

— „Zapiski z prac wykopaliskowych prowadzonych na wraku hiszpańskiego okrętu w White Bay na Jamajce od listopada 1897 do stycznia 1898 roku, sporządzone przez doktora Ellswortha Boyda”.

Przekartkowała zeszyt, zawierający zarówno dokładne relacje z każdego dnia wykopalisk, jak i szczegółowe rysunki wraku i znalezionych na nim przedmiotów.

— Prawdziwa rewelacja — oceniła. — Jeśli Boyd znalazł kamień, musiał o tym napisać w dzienniku.

— To twój szczęśliwy dzień — powiedział Samuel, zaglądając jej przez ramię.

Dirk dokończył piwo i postawił butelkę na ladzie.

— Zamówmy kolację i sprawdźmy, czy doktorek miał coś ciekawego do przekazania.

— Niestety nie podajemy posiłków — pokręcił głową barman — ale niedaleko stąd przy drodze jest niezła knajpka z owocami morza, U Mabel. Ich lucjan z grilla nie ma sobie równych. Dziennik możecie zabrać ze sobą.

— Dziękujemy — powiedziała Summer. — To bardzo miło z pańskiej strony, panie...

— Mam na imię Clive, ale mówią na mnie Tatko — przedstawił się, puszczając do niej oko. — Zatrzymajcie dziennik, dopóki będzie wam potrzebny. Oddacie przy okazji.

Samuel zapłacił i wszyscy troje wyszli na zewnątrz. Słońce chowało się już za horyzontem.

— Zjesz z nami kolację? — spytał Dirk.

— Nie, muszę wracać do domu, bo żona będzie się pieklić — odparł Jamajczyk. Wymienił z Dirkiem uścisk dłoni i uściskał Summer. — Cieszę się, że was poznałem. Mam nadzieję, że znajdziecie to, czego szukacie.

— Podrzucić cię? — zaproponowała Summer.

— Nie, dzięki. Wolę się przejść. Do widzenia.

Pomachali mu na pożegnanie i wsiedli do samochodu.

— No to jedziemy do Mabel — powiedział Dirk. — Miejmy nadzieję, że podadzą nam grillowanego lucjana na wielkim kamiennym półmisku.

ROZDZIAŁ 28

W maleńkiej knajpce U Mabel posiłki podawano na świeżym powietrzu, pod wysokim, krytym strzechą dachem. Mimo dość wczesnej pory jak na kolację, w lokalu było już sporo gości. Summer i Dirk w ostatniej chwili znaleźli wolny stolik z widokiem na ocean. Arogancka kelnerka z dredami postawiła przed nimi dwie butelki piwa. Oboje zamówili po lucjanie, będącym specjalnością zakładu. Podczas oczekiwania Summer otworzyła dziennik i zaczęła łąpczywie pochłaniać jego treść.

— Boyd pisze, że właśnie szukali pozostałości po wczesnym hiszpańskim osiedlu nad rzeką Martha Brae, kiedy dowiedział się o Wraku Zielonych Kamieni. Zlokalizował go z pomocą kilku miejscowych rybaków. Spora część kadłuba była widoczna nad powierzchnią, co przypisywał silnemu huraganowi, który nawiedził wyspę kilka miesięcy wcześniej i odsłonił wrak.

— I zapewne słusznie — skomentował Dirk. — W tych ciepłych wodach niewiele zostałoby z wraku, gdyby był wystawiony na działanie niesprzyjających warunków atmosferycznych przez czterysta lat.

— Boyd nie miał pieniędzy na wynajęcie zawodowych nurków, więc skorzystał z pomocy miejscowych pływaków. Pracując przez całą zimę, ekipa zdołała wydobyć i skatalogować ponad tysiąc przedmiotów.

Summer przewróciła kartkę i znalazła rysunek wraku po znalezieniu go przez Boyda. Widoczna była cała stępka i krzyżujące się z nią wręgi oraz kilka fragmentów poszycia.

Dirk, który uważnie przyjrzał się rzędom kamieni balastowych, zauważył niewielki koralowy występ w pobliżu rufy.

— Wygląda zupełnie inaczej niż obecnie — powiedział. — Już wtedy koral zaczynał zarastać wrakowisko.

— Przez sto lat dużo może się zmienić — odparła Summer.

Kelnerka przyniosła zamówienie. Lucjana podawano z gotowaną okrą i *festivalem*, czyli cylindrycznym kawałkiem smażonego ciasta. Mimo iż danie wyglądało bardzo apetycznie, Summer grzebała widelcem w talerzu, nie przerywając lektury.

Boyd opisywał rezultaty poszukiwań z kolejnych dni, ilustrując je tu i ówdzie rysunkami co ciekawszych artefaktów. Poza kilkoma ciężkimi metalowymi przedmiotami, takimi jak kotwice, łańcuchy i dwie niewielkie lufy armatnie, zdecydowaną większość stanowiły kawałki meksykańskiego zielonego obsydianu.

Summer przewróciła jedną z końcowych kartek i niemal zadławiła się okrą. Na środku strony widniał rysunek rzeźbionego kamienia w kształcie półkola.

— Znalazł go! — wykrztusiła.

Dirk popatrzył na rysunek i rzekł z uśmiechem:

— Na oko idealnie pasuje do połówki znalezionej w Zimapán . Szkoda, że nie widać szczegółów.

Summer skinęła głową. Poza wizerunkiem fragmentu ptaka Boyd nie uwzględnił żadnych detali. Przekartkowała zeszyt do końca, ale nie znalazła już żadnych ilustracji.

— Dziwne, że nie poświęcił mu więcej uwagi — powiedziała. — Przecież musiał rozpoznać jego mezoamerykańskie pochodzenie.

— A jak go opisuje?

Summer zaczęła czytać na głos:

— „Nasz główny nurek Martin znalazł dwudziestego szóstego stycznia duży kamień pokryty inskrypcjami, który początkowo został uznany za balast. Nie szczędząc trudu, podniesiono go z dna i przeciągnięto na płytką wodę, a stamtąd na brzeg. Kamienna tablica jest przypuszczalnie częścią większego, okrągłego artefaktu, który został celowo przepołowiony. Mimo dokładnego przeszukania okolic wraku przez nurków drugiej części nie odnaleziono”.

— Wyobrażam sobie jego rozczarowanie — powiedział Dirk, kręcąc głową.

— „Kamień jest niewątpliwie dziełem Mexików — czytała dalej Summer — bo, jak stwierdził Roy Burns, zapis sporządzono w języku nahuatl. Kształtem i wykonaniem przypomina Kamień Kalendarzowy, jest jednak od niego znacznie mniejszy. Nie poznaliśmy jeszcze jego znaczenia, ale Roy zdołał przetłumaczyć kilka fragmentów”.

— Powiedz nam o czymś, czego jeszcze nie wiemy — mruknął zniecierpliwiony Dirk.

Summer przerzuciła kilka stron.

— Następne dni spędzili na finalizowaniu prac wykopaliskowych i katalogowaniu artefaktów — powiedziała — ale znalazłam jeszcze jedną wzmiankę o kamieniu. Dwudziestego dziewiątego stycznia Boyd napisał: „Roy poświęcił ostatnie dni na studiowanie kamienia Mexików i sporządzenie szczegółowych rysunków. Jego interpretacja jest siłą rzeczy niekompletna, uważa jednak, że kamień to mapa prowadząca do jakiegoś schowka na wyspie związanego z bóstwem Huitzilopochtli. Bardzo się tym ekscytuje, zaczął nawet nazywać znalezisko Kamieniem Cesarskim Boyda. Obawiam się, że to niedorzeczne”. I tyle — podsumowała. — Żadnej informacji, co na nim jest, czy choćby opisu mapy.

— Burns chyba miał rację — stwierdził Dirk. — Ten schowek na wyspie musiał być bardzo ważny. Szkoda, że nie mamy ich połówki kamienia.

— Ostatni wpis pochodzi z pierwszego lutego — powiedziała Summer. — Posłuchaj, bo jest bardzo ciekawy: „W naszym obozie złożył dziś wizytę nieproszony gość w osobie Julio Rodrigueza, który najwyraźniej prowadzi na Jamajce wykopaliska w pobliżu Kingston. Od razu zaczął się dopytywać o kamień Mexików. Pewnie ma szpiega wśród naszych robotników. Na szczęście kamień został schowany w skrzyni, którą załadowano już na wóz. Nie powiedzieliśmy mu z Royem ani słowa, co ogromnie go wzburzyło i odjechał rozgniewany. Kolejny raz chce zdobyć sławę cudzym kosztem. Dobrze, że jutro wyjeżdżamy z Port Antonio

i będziemy mogli spokojnie popracować w New Haven nad ustaleniem znaczenia artefaktu”. Na tym dziennik się kończy — oznajmiła, zamykając zeszyt.

— Czyli zgodnie z naszymi przewidywaniami druga tablica pokrywa się kurzem w magazynie Muzeum Peabody’ego w Yale.

— Już sama nie wiem. — Summer ścisnęła palcami koniec nosa. — Boyd najwyraźniej zorientował się, jak ważny jest ten kamień, więc przynajmniej jeden z nich powinien opublikować jakiś raport na ten temat.

— Też tak sądzę — zgodził się Dirk — ale raport może być tak samo zapomniany jak sam kamień.

— Musimy wysłać maila do St. Julienu i do muzeum — postanowiła. — A jutro możemy popracować na wrakowisku z pokładu „Sargasso Sea”, o ile tata nie przydzieli nam jakiejś innej roboty.

Skończyli kolację, zapłacili i wsiedli do volkswagena. Mieli do pokonania zaledwie kilka kilometrów, co nie powinno zająć więcej niż pięć minut. Ledwie jednak wyjechali na nadbrzeżną szosę, na ogonie usiadła im poobijana półciężarówka. Dirk przyspieszył, ale jej kierowca twardo trzymał się ich zderzaka.

Summer widziała w lusterku wstecznym zardzewiałą osłonę chłodnicy, balansującą niebezpiecznie blisko za nimi.

— W porównaniu z tym gościem nawet najgorszy nowojorski taksówkarz to dzentelmen kierownicy — mruknęła.

Dirk kiwnął głową i znów dodał gazu. Kręta droga przeszła w długi prosty odcinek. Nie widać było żadnych pojazdów nadjeżdżających z przeciwka. Dirk zjechał na pobocze i zwolnił, pozwalając się wyprzedzić, ale półciężarówka wciąż jechała tuż za nimi.

— Facet jest kompletnie niekumaty — orzekł i przyspieszył.

— Może wziął sobie do serca to ostrzeżenie — powiedziała Summer, wskazując stojącą przy drodze tablicę z napisem „Cmentarze są pełne wyprzedzających”.

Zjechali z niewielkiego wzniesienia i wpadli na most, spinający porośnięte sitowiem brzegi rzeki. Dopiero teraz półciężarówka zjechała na bok i zrównała się z garbusem.

Dirk zerknął w bok i zobaczył, że pasażer półciężarówki wykrzywił twarz w nieprzyjaznym grymasie. A potem wystawił przez okno pistolet, wycelował w niego i pociągnął za spust.

ROZDZIAŁ 29

Dirk przyhamował, a kula świsnęła obok jego głowy. Półciężarówka skręciła gwałtownie, z trzaskiem przywarła do volkswagena i zepchnęła go na balustradę mostu. Lewy błotnik beetle'a uderzył w drewniane słupki podtrzymujące poręcz, łamiąc je jak zapalki.

Dirk zwolnił, walcząc z wyrwijącą mu się z rąk kierownicą. Summer krzyknęła przerażona, kiedy samochód zaczął zsuwać się z jezdni. Lewe koła tylko połową bieżnika trzymały się krawędzi mostu. Przez ogłuszający hałas przebijał się huk wystrzałów. Przednia szyba beetle'a rozprysła się na kawałki. Dirk i Summer skulili się na siedzeniach.

Volkswagen przesunął się do tyłu z rozdzierającym zgrzytem metalu, zanim cięższa półciężarówka zdołała zepchnąć go do rzeki. Dirk skręcił kierownicę w prawo i oderwał się od balustrady. Nie widząc z przodu żadnych pojazdów, zjechał na przeciwległy pas i wcisnął pedał gazu do podłogi.

Turbodoładowany czterocylindrowy motor volkswagena zawył na wysokich obrotach. Mały samochodzik śmignął obok zwalnającej półciężarówki i wyrwał do przodu. Kierowca pikapa natychmiast przyspieszył. Mimo sfatygowanej karoserii wóz miał pod maską dobrze zestrojony silnik Mopar Hemio pojemności 5,7 litra. Zakłęte w nim stado koni mechanicznych ręczo zerwało się do biegu.

— Jak zdołali nas tutaj namierzyć?! — krzyknęła Summer, przytrzymując się deski rozdzielczej, bo Dirk właśnie wprowadził auto w ostry zakręt.

— Nie wiem, ale widać, że bardzo im zależy na odnalezieniu drugiej połowy tablicy.

Volkswagen trafił na głęboki uskok i wybił się w powietrze. Gdy opadał na ziemię, tylny zderzak zawadził o nawierzchnię, strzelając snopem iskier. Summer obejrzała się do tyłu. Pokonując ten sam uskok, półciężarówka zatańczyła na drodze, jej kierowca z najwyższym trudem zapanował nad pojazdem.

Beetle był szybszy na zakrętach, ale na prostych odcinkach pikap błyskawicznie odrabiał straty. W pewnej chwili znalazł się tuż za nimi i uderzył w tył volkswagena. Zarzuciło ich, lecz na szczęście Dirk utrzymał kontrolę i odskoczył na kolejnym zakręcie.

— Dokąd prowadzi ta droga? — spytała Summer, przekrzykując jazgot silnika.

— Do Port Antonio, ale to jeszcze spory kawałek. Jeśli trafimy na jakąś większą miejscowość, spróbujemy ich zgubić albo znaleźć posterunek policji.

Summer, która zauważyła tablicę informującą, że osiemnaście kilometrów dzieli ich od Ocho Rios, powiedziała o tym bratu i dodała:

— Może mają tam policję.

Dirk wyprzedził na raty kilka samochodów, sprawnie chowając się przed autami nadjeżdżającymi z przeciwka. Kierowca półciężarówki próbował zrobić to samo, ale miał mniej szczęścia i został w tyle. Wkrótce musieli zwolnić, bo wjechali do St. Ann's Bay,

pierwszej stolicy Jamajki, założonej jeszcze przez Hiszpanów. Niewielkie skupisko okazałych budynków w stylu georgiańskim wzbudziło w Summer i Dirku nadzieję na znalezienie policjanta. Niestety na krótko, bo nagle za nimi rozległy się strzały.

— Schowaj się! — krzyknął Dirk, zerkając w lusterko.

Pikap jakoś zdołał się przedrzeć przez kolumnę samochodów i był tuż za nimi. Strzelał pasażer, wychylając się przez okno. Jednak albo kiepsko celował, albo myślał, że w nowym wcieleniu popularnego garbusa silnik również znajduje się z tyłu, bo wpakował trzy pociski w bagażnik, nie czyniąc nikomu żadnej szkody.

Dirk nacisnął pedał gazu i nie zważając na znak stopu, przejechał przez skrzyżowanie pół metra przed maską ciężarówki wiozącej owoce.

— Nasi prześladowcy raczej nie przejmują się lokalnymi stróżami prawa — mruknął.

— Musimy dotrzeć do Ocho Rios — powiedziała Summer. — O ile pamiętam, jest tam przystań dla statków wycieczkowych, więc powinien być też posterunek policji.

Dirk ominął zepsuty autobus i wyjechał z miasteczka, zostawiając przyblokowanego pikapa daleko w tyle. Nadmorska droga opustoszała, więc wskazówka prędkościomierza volkswagena nie schodziła poniżej stu czterdziestu kilometrów na godzinę. Po niespełna kwadransie zobaczyli przed sobą trochę większe miasto.

— Spróbuj się połączyć z miejscową policją — polecił Dirk siostrze. — Dowiedz się, jak do nich trafić, i uprzedź ich o naszym przyjeździe.

— Dziewięćset jedenaście? — spytała?

— Tu chyba mają odwrotnie, sto dziewiętnaście.

Gdy Summer zaczęła wybierać numer, Dirk gwałtownie zahamował i telefon wypadł jej z dłoni. Na drodze tuż przed nimi stał autokar. Samochody z przeciwka także się zatrzymały, bo turyści wsiadający do autobusu zajmowali całą szerokość jezdni. Kilka kolejnych autokarów właśnie wyjeżdżało z przydrożnego parkingu.

— Kiepsko to wygląda — mruknął Dirk. Rozejrzył się w poszukiwaniu objazdu albo kryjówki.

Dostrzegłszy szutrową drogę, która odchodziła od głównej szosy i prowadziła prosto w dżunglę, uznał, że to znakomita szansa na ucieczkę. Jeśli zdołają dotrzeć do tej drogi, zanim półciężarówka wyjedzie z zakrętu, ich prześladowcy pomyślą, że przebili się przez zator na szosie.

Puścił hamulec i ruszył prosto na zaparkowany autobus.

Przerażona Summer zapała się rękami o deskę rozdzielczą.

— Co ty wyprawiasz?! — wrzasnęła, ale zamilkła, kiedy Dirk wdepnął w hamulec, wprowadzając samochód w ciasny prawy zakręt.

Krzyki spanikowanych turystów wsiadających do autokaru zginęły w pisku opon volkswagena, który przez chwilę sunął bokiem, a potem wyrwał przed siebie polną drogą.

Dirk wstrzymał oddech, gdy samochód wpadł między zarośla. W ostatniej chwili spojrzął w prawo, by zobaczyć, czy zostali wykryci.

Zza zakrętu właśnie wyłoniła się maska pędzącej półciężarówki. W tym samym momencie Volkswagen zniknął w zielonej gęstwinie. Podskakiwał i kolebał się na boki, bo poznaczona koleinami droga sprawiała wrażenie nieużywanej co najmniej od dekady.

— Myślisz, że nas zauważyli? — spytała Summer.

— Mam nadzieję, że nie, bo na tej drodze nie zdołamy się od nich oderwać — odparł Dirk.

Jego nadzieja okazała się płonna. Kierowca pikapa nie zauważył volkswagena zjeżdżającego z szosy, ale spostrzegł ślady opon prowadzące w boczną drogę i unoszący się nad nią tuman pyłu. Uśmiechnąwszy się jak wilk na widok Czerwonego Kapturka, obrócił kierownicę i po chwili półciężarówka zadygotała na nierównej nawierzchni.

Sto metrów przed nimi Summer zauważyła porośniętą pnączami strzałkę z napisem „Punkt widokowy nad rzeką Dunn”. Kiedy wchodzili w ciasny łuk, obejrzała się do tyłu. W oddali między zaroślami dostrzegła refleks światła.

— Złe wieści — oznajmiła. — Wciąż siedzą nam na ogonie.

Dirk kiwnął głową. Nie miał pojęcia, dokąd prowadzi ta droga, ale był pewien, że długo na niej nie zostaną.

— Kiedy będę musiał się zatrzymać — odparł — biegnij do dżungli, a potem w dół, w stronę drogi. Gdybyśmy się rozdzielili, spotkamy się Pod Zielonym Kamieniem.

— Pierwsza kolejka na twój koszt — powiedziała Summer, zmuszając się do uśmiechu.

Dirk wjechał na niskie wzniesienie i zahamował na maleńkiej polance, którą z trzech stron otaczały drzewa, tylko po lewej szumiała płytka rzeka. Znaleźli się w pułapce.

Usłyszawszy ryk silnika półciężarówki, skrzywił się i popatrzył na siostrę.

— I to by było na tyle.

ROZDZIAŁ 30

Summer zmroziła myśl o bieganiu po dżungli w sandałach, ale słysząc odgłos silnika zbliżającej się półciężarówki, położyła dłoń na klamce.

— Zabierajmy się stąd — powiedziała do brata.

Dirk pokręcił przecząco głową i wrzucił bieg. Dopiero teraz skojarzył, że kaskadowy wodospad na rzece Dunn, której nazwa widniała na zardzewiałym drogowskim znaku, to jedna z głównych atrakcji Jamajki. Przypomnił sobie zdjęcia turystów trzymających się za ręce i wspinających na progi wodne.

— Mam lepszy pomysł — odparł.

Zatoczył rundę wokół polanki i zatrzymał volkswagena tuż przed kamienistym brzegiem szerokiej, płytkiej rzeki.

— Co ty wyprawiasz? — spytała Summer.

— Próbuję nas uratować — wyjaśnił. — Przejdziemy przez rzekę, zjedziemy w dół po drugiej stronie i wsiądziemy do któregoś z autokarów.

Było już jednak za późno. Półciężarówka z ogłuszającym rykiem silnika wystrzeliła nad szczyt pagórka, wpadła na polankę i popędziła prosto na volkswagena. Dirk zaczął zjeżdżać z brzegu do rzeki.

Niewiele brakowało, żeby pikap staranował volkswagena. Kierowca półciężarówki zahamował dosłownie w ostatniej chwili. Rozpędzony samochód obrócił się i zatrzymał tuż przed dorodnym drzewem mango.

Dirk nie zdejmował nogi z gazu. Rzeka w tym miejscu była płytka i miała płaskie dno, więc beetle brnął wytrwale na drugi brzeg.

— Czy ten samochód potrafi pływać? — spytała Summer.

— Podobno oryginalne garbusy unosiły się na wodzie, ale nie wiem, czy dotyczy to również najnowszego modelu — odparł Dirk. — I wolę nie sprawdzać.

Kiedy byli jakieś dziesięć metrów od brzegu, usłyszeli z tyłu głośny plusk. Summer obejrzała się i zobaczyła półciężarówkę sunącą za nimi przez rzekę. Po chwili huknął kolejny strzał. Pocisk świsnął Dirkowi koło ucha i rozbił w drobny mak zegary na desce rozdzielczej.

— W poprzek im nie uciekniemy — powiedziała Summer ze ściśniętym gardłem.

Dirk doszedł do tego samego wniosku. Nie spodziewał się, że pikap wjedzie za nimi do rzeki. Nisko zawieszony beetle mógł w każdej chwili nadzieć się podwoziem na jakiś głaz, co raczej nie groziło półciężarówce. Popatrzył w lusterko wsteczne, krzyknął do siostry, żeby się trzymała, i skręcił zgodnie z biegiem rzeki.

Byli tuż nad wodospadem, w niewielkiej odległości od pierwszego skalnego stopnia, pod którym metr niżej znajdowało się małe rozlewisko. Wykorzystując fakt, że przednie koła

volkswagena wciąż zachowują przyczepność, trafił mniej więcej na środek kamiennego progu i zjechał z jego krawędzi.

Przód wybił się w górę na skośnym brzegu skalnej płyty, dzięki czemu samochód wpadł do wody prawie poziomo, tworząc falę, która spłynęła w dół wodospadu.

Chociaż koła niemal całkiem skryły się pod wodą, silnik wciąż działał, więc Dirk zachował kontrolę nad wozem. Obejrzał się za siebie i zobaczył, że półciężarówka stoi tuż przed progiem. Chwilę później ruszyła w ślad za nimi.

— To jakiś szaleniec! — zawołała Summer, komentując manewr kierowcy pikapa.

— Nie większy od mnie — odparł Dirk i poprowadził volkswagena ku kolejnemu stopniowi, za którym kaskada kilku płaskich półek skalnych opadała dwadzieścia metrów w dół.

Pierwszy, trzymetrowy próg był najwyższy, a na dole znajdowała się wąska kamienna płyta. Volkswagen uderzył w nią przodem, miażdżąc maskę, odbił się i opadł na koła. Poduszki powietrzne wystrzeliły z hukiem i wzbiła się chmura białego dymu, ale samochód już się zbliżał do następnego progu.

Podskakując jak żaba, pokonywał kolejne progi i pochyłości. Gdy odbijał się od wielkich głazów, opony pękały jedna za drugą, a amortyzatory wylatywały z gniazd, lecz wciąż trzymał się prosto. Wreszcie wypadł na gładką skalną płytę i sunął po niej rozpedem, wspomagany wartkim prądem spienionej wody.

Szaleńcza jazda skończyła się na ostatniej kaskadzie, złożonej z kilku stromych progów. Poobijany beetle pokonał ją przy wtórze metalicznych trzasków i zgrzytów. Wreszcie, uderzywszy w ostatni kamienny taras, obrócił się powoli przez przód i wpadł kołami do góry do szerokiego rozlewiska. Przez chwilę utrzymywał się na powierzchni, a potem zniknął pod wodą.

Jamajski przewodnik stojący w pobliżu z wycieczką zostawił swych klientów i wbiegł do rzeki. Brnął coraz głębiej, kierując się na obłok pary i bąble powietrza, które znaczyły miejsce zatonięcia samochodu. Nagle zatrzymał się, czując, że coś otarło mu się o nogę. Wysoka, gibka postać Summer wynurzyła się spod wody. Dziewczyna wciąż ścisnęła w dłoni zeszyt oprawiony w czerwoną skórę. Chwilę później kilka metrów dalej na powierzchni pojawił się Dirk i podpłynął do siostry.

— Jesteście cali? — wysapał Jamajczyk. — To chyba jakiś cud!

— Ten cud nazywa się poduszka powietrzna — odparł Dirk z uśmiechem. — Wszystko w porządku, siostrzyczko?

Summer skinęła głową.

— Mam zwichniętą rękę i obolałe kolano, ale reszta działa bez zarzutu.

— Uwaga! — krzyknął jakiś turysta, wskazując ręką wierzchołek wodospadu.

Summer i Dirk spojrzeli tam i zobaczyli półciężarówkę balansującą na krawędzi progu. Prześladowcy ścigali ich aż do stromego spadku przed kaskadą. Tam zatrzymali się i patrzyli,

co się dzieje z volkswagenem. Nagle jeden z gładów się zapadł i pikap został na trzech kołach. Kierowca zaczął cofać, ale wtedy osunęło się kilka kolejnych kamieni. Półciężarówka na moment zawisła w powietrzu, a potem runęła w dół.

Miała o wiele cięższy przód, więc już przy pierwszym spadku przewróciła się do góry kołami i potem turlała się już do końca, a odpadające koła i zderzaki fruwały na wszystkie strony. Pasażer wyleciał przez szybę i zderzył się z wapiennym gładem, łamiąc sobie kręgosłup.

Kierowca został w środku do momentu, kiedy pikap z ogromnym rozbryzgiem wpadł do rozlewiska. Patrząc na tonący wrak, Dirk wiedział, że nie mógł tego przeżyć.

— Najwyższa pora opuścić to miejsce — powiedział, biorąc siostrę za rękę i ciągnąc do brzegu. Minęli grupę oszołomionych turystów, którzy gapili się na tonące szczątki pikapa, jakby oczekiwali, że martwy kierowca wypłynie na powierzchnię.

Na parkingu pod wodospadem stał autokar jednego z hoteli turystycznych z Montego Bay. Summer i Dirk wsiedli do niego i skulili się na fotelach w ostatnim rzędzie, próbując uniknąć wzroku zajmujących miejsca turystów, którzy z ożywieniem rozmawiali o wypadku.

Kiedy autokar ruszył, Summer zauważyła szeroki uśmiech na twarzy brata.

— Co cię tak bawi? — spytała. — Przecież przed chwilą mogliśmy zginąć.

— Po prostu wyobraziłem sobie, jaką minę zrobi ten facet.

— Jaki znowu facet?

— Ten z wypożyczalni samochodów, kiedy powiemy mu, skąd ma odebrać volkswagena.

ROZDZIAŁ 31

O drugiej w nocy na ganku bungalowu pojawił się jakiś mężczyzna. Przez dłuższą chwilę nasłuchiwał, czy z wnętrza nie dochodzą jakieś odgłosy. Panowała kompletna cisza, jeśli nie liczyć szumu fal na pobliskiej plaży. Położył dłoń na gałce klamki i przekręcił. Obróciła się bez oporu. Ostrożnie uchylił drzwi i zajrzał do środka.

W środku było niemal całkiem ciemno, ale dzięki lekkiej poświacie od otwartego okna zorientował się, że drzwi obu sypialni z tyłu domu są zamknięte. Sytuacja wyglądała lepiej, niż się spodziewał.

Wśliznął się do bungalowu, zamykając za sobą drzwi. Zrobił niepewny krok naprzód i nagle wysoka stojąca lampa rozbłysła oślepiającym blaskiem. Odwrócił się i zmrużył powieki. Poprzez mroczki tańczące mu przed oczami dostrzegł Dirka, który siedział w fotelu naprzeciwko niego z kuszą na kolanach. Kilka pustych butelek po piwie stojących na małym stoliku obok świadczyło, że czekanie w zasadzce wystawiło jego cierpliwość na ciężką próbę.

— To całkiem przyzwoita broń — powiedział, zwracając naciągniętą kuszę w stronę przybysza. — Takie cacko produkcji KOAH kosztuje w Stanach kilkaset dolarów. Nie spodziewałem się takiego narzędzia do podwodnych polowań u prostego rybaka z Trelawny, nie mówiąc o tym, że mógłby zostawić je w łodzi.

— Dobrze mi płacą, panie Dirk — odparł Samuel, zaciskając białe jak twaróg zęby.

— Lepiej odłóż broń — rzekł Dirk z uśmiechem, ale ton jego głosu wyraźnie wskazywał, że nie była to prośba, lecz rozkaz.

Samuel wyciągnął zza pasa rewolwer Smith&Wesson i położył go na podłodze.

— Lubię pana i pańską siostrę — powiedział, prostując się powoli. — Nie przyszedłem tu, żeby was skrzywdzić.

— Ale zrobilibyś to, gdyby ci zapłacili jeszcze lepiej.

— Nie — zaprzeczył Samuel.

— Twoi przyjaciele nie mieli takich oporów. Czy obaj nie żyją?

Samuel kiwnął głową.

Dirk sięgnął nad stolik, na którym leżał, częściowo zasłonięty butelkami, dziennik Ellswortha Boyda, dotknął go czubkiem kuszy i przesunął w kierunku Jamajczyka.

— To po ten zeszyt tu przyszedłeś, prawda? Śmiało, weź go.

Samuel zawahał się.

Dirk zmierzył go wzrokiem.

— Wystarczyło zadać w barze jeszcze kilka pytań, a oszczędziłbyś nam poważnych kłopotów.

Samuel wyciągnął drżącą rękę w stronę dziennika. Kiedy dotknął okładki, Dirk pacnął w nią końcem kuszy.

— Najpierw muszę się czegoś dowiedzieć. Kto ci płaci?

— Pewien człowiek z Montego Bay, dla którego czasem pracuję.

— Jak się nazywa?

— To mój kuzyn. Jest tylko pośrednikiem.

— W takim razie kto jemu płaci?

— Pewien Kubańczyk. Interesuje się zabytkami i znaleziskami z wraków, tak samo jak wy. To wszystko, co o nim wiem.

— Kubańczyk, powiadasz?

— Tak. Przyleciał wojskowym samolotem. Nie zabawi tu długo.

Dirk kiwnął głową i zdjął kuszę z dziennika.

Samuel ostrożnie podniósł zeszyt i wsunął pod pachę.

— Muszę już iść — powiedział. — Gdzie jest ten kamień, którego wszyscy szukają?

— Przypuszczam, że w pewnym amerykańskim muzeum. Twój Kubańczyk nie dostanie go w swoje łapy.

Jamajczyk wzruszył ramionami.

— Mam nadzieję, że to wy go znajdziecie, a nie on. Mój kuzyn mówi, że to jakiś wariat. — Wycofał się do drzwi i obrócił gałkę. — Do widzenia — powiedział cicho.

— Do widzenia, Samuelu. — Dirk przestawił bezpiecznik kuszy i opuścił ją w dół.

Samuel zamknął za sobą drzwi.

Chwilę później Summer wyszła ze swej sypialni w za dużej o kilka numerów podkoszulce z napisem „Instytut Oceanografii Scrippsa”.

— Zdawało mi się, że słyszałam jakieś głosy — mruknęła, tłumiąc ziewnięcie.

— Dałem Samuelowi dziennik Ellswortha.

Summer oprzytomniała w jednej chwili.

— Dałeś mu dziennik!? Dlaczego?!

— Bo właśnie tego szukał Diaz. Teraz przynajmniej nie poderżnie nam gardel we śnie.

— Juan Diaz? Ten Kubańczyk, którego spotkaliśmy w Mexico City?

— Ten sam. Zapłacił Samuelowi, żeby miał na nas oko, i tym dwóm opryszkom z pikapa. Jestem pewien, że to on stoi za kradzieżą kamienia w Zimapán.

— Diaz... — Na twarzy Summer pojawił się wyraz odrazy. — To on był hersztem złodziei, którzy ukradli kamień! Dlaczego od razu go nie rozpoznałam?

— Widzieliśmy go tylko przez chwilę u Madero. Sama mówiłaś, że wszyscy trzej bandyci byli zamaskowani, a ich szef prawie się nie odzywał.

— Mimo to powinnam była się zorientować — stwierdziła Summer, siadając na kanapie.
— To on odpowiada za śmierć Torresa. Dlaczego kubański archeolog posuwa się do zbrodni, żeby zdobyć aztecką kamienną tablicę?

— Wcale nie musi być archeologiem, ale na przykład zajmować się przemytem zabytków. To bardzo intratne zajęcie. Obie połówki tablicy mogą być bardzo dużo warte dla jakiegoś kolekcjonera. A może kryje się za tym coś jeszcze...

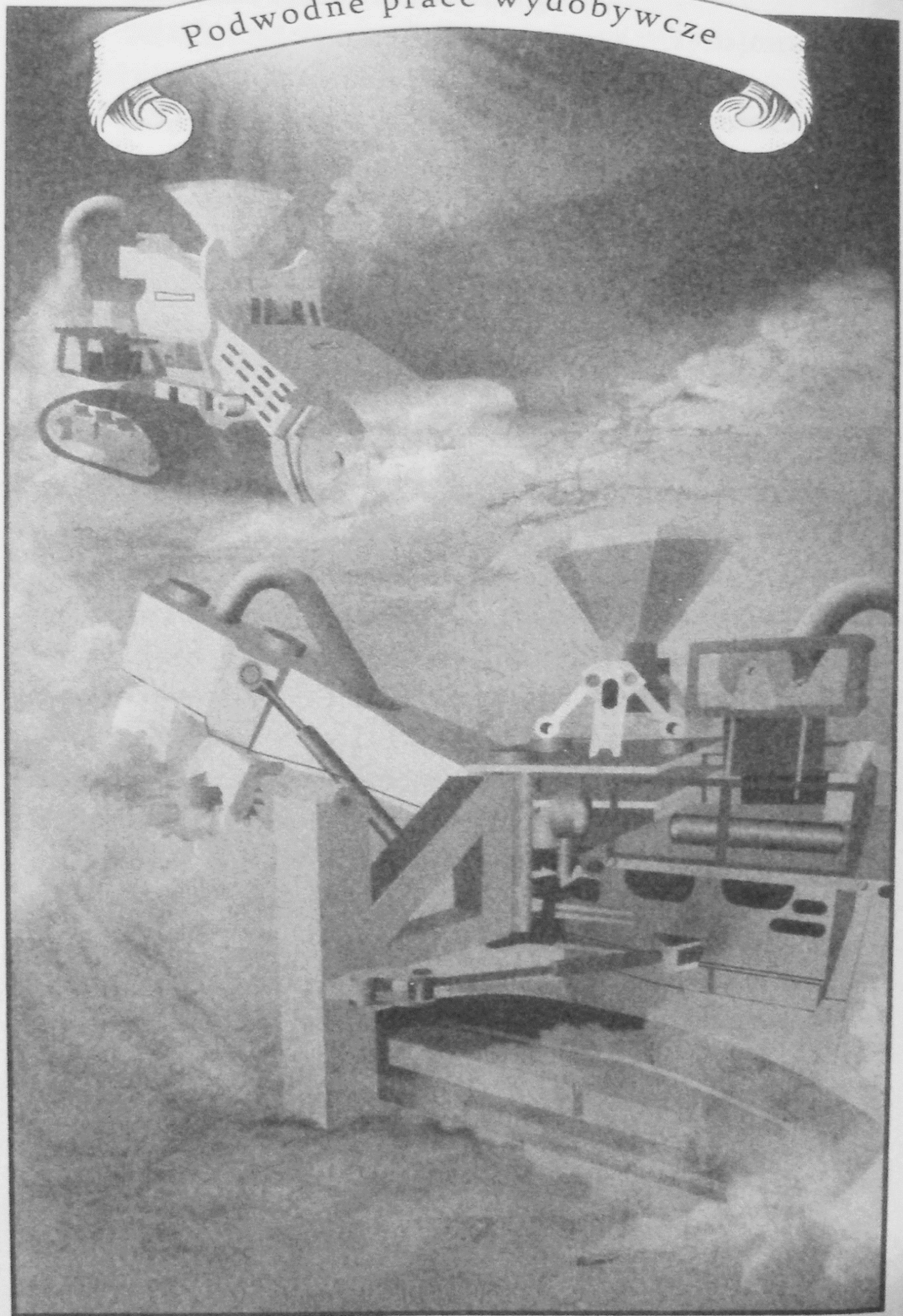
— Co takiego?

Dirk patrzył na kuszę niewidzącym wzrokiem.

— To tylko przypuszczenie — zastrzegł — ale Diaz może wiedzieć, z jakim ładunkiem Aztekowie płynęli do Aztlán.

Część 3
CUBA LIBRE

Podwodne prace wydobywcze



ROZDZIAŁ 32

Ledwie Summer i Dirk weszli na pokład „Sargasso Sea”, maszyny obudziły się do życia i statek badawczy opuścił skrzące się wody zatoki Montego.

— Żadnej chwili wytchnienia dla załogi na słonecznej Jamajce? — spytała Summer ojca, uściskawszy go na powitanie.

Pitt pokręcił głową.

— Naszym celem jest północne wybrzeże Kuby. Musimy dotrzeć tam najszybciej, jak to możliwe.

— Zachowuje się całkiem jak kapitan Bligh — powiedział Giordino.

Pitt popatrzył mu w oczy.

— W załodze mogą być ludzie, którym trudno byłoby zaufać na wyspie słynącej z produkcji rumu — rzekł.

— Jesteś człowiekiem małej wiary — westchnął Al.

— Dostaliśmy od ciebie maila z opisem martwych stref — wtrącił Dirk. — Czy dowiedzieliście się o nich czegoś więcej?

Pitt zaprowadził ich do mesy i wskazał wiszące na ścianie fotografie powiększone do rozmiaru plakatów.

— To są obrazy dna ze zbadanych przez nas trzech martwych stref. Zostały zmontowane z pojedynczych obrazów zarejestrowanych przez AUF. Jak widać, w środku każdej strefy znajduje się symetryczne zagłębienie. Nie potrafiliśmy zidentyfikować źródła skażenia, dopóki z Alem nie popłynęliśmy „Starfishem”, żeby obejrzeć z bliska dno jednej z nich. W centrum znaleźliśmy ujście hydrotermalne.

— Kominy hydrotermalne, które badaliśmy na Pacyfiku, były co prawda otoczone obfitymi złożami minerałów i miały silnie kwaśny odczyn, ale nie stanowiły bezpośredniego zagrożenia dla środowiska — zauważył Dirk.

— Te stwarzają takie zagrożenie — odparł Pitt. — Znajdują się w stosunkowo płytkich wodach, co może prowadzić do nasilenia problemu. Wykryliśmy smugi wody z wysoką zawartością metylortęci o długości ponad dziesięciu mil.

— Rtęć? — zdziwiła się Summer.

Pitt potwierdził skinieniem głowy.

— Zaskakujące, ale nie do końca. Największym naturalnym źródłem rtęci w środowisku są erupcje wulkaniczne. Mniej więcej dwieście pięćdziesiąt milionów lat temu morza zostały skażone rtęcią do tego stopnia, że praktycznie ustało w nich wszelkie życie. Kominy hydrotermalne to pozostałość po dawnej podmorskiej aktywności wulkanicznej. Z nieznanego

powodu podwodne wzniesienia i łańcuchy górskie w tej części oceanu są naszpikowane rtęcią.

— Czytałem kiedyś o podmorskim wulkanie przy południowym krańcu Wysp Japońskich, którego erupcje wywołują wysokie stężenie tego świństwa — wtrącił Dirk.

— Tu mamy podobny efekt — powiedział Pitt.

Summer wskazała jedno ze zdjęć.

— Dziwne jest to obniżenie dna wokół każdego ujścia hydrotermalnego.

— To nie przypadek — odparł Pitt. — Jesteśmy pewni, że kratery powstały wskutek celowych eksplozji, kontrolowanych przez człowieka.

— Ktoś przeorał kawał dna, zabawiając się w podmorskiego górnika — dodał Giordino.

— To oczywiste — przyznała Summer. — Wokół kominów hydrotermalnych osadzają się grube warstwy siarczków cennych metali.

— Wygląda to na zakrojone na dużą skalę poszukiwania złota — powiedział Dirk.

— Tak właśnie przypuszczamy — zgodził się Pitt. — Otwierają ujście za pomocą eksplozji, a potem wysyłają na dno ciężki sprzęt, żeby wygarnąć wszystko do czysta.

— Zabierają złoto, a zostawiają katastrofę ekologiczną — stwierdziła Summer.

— Ustaliliście już winnego? — spytał Dirk.

— Niestety nie — powiedział Pitt. — Hiram sprawdził wszystkie znane firmy zajmujące się podmorskim górnictwem i kontrakty dotyczące praw do eksploatacji złóż. Okazało się, że w tym rejonie nie są prowadzone żadne prace. Przynajmniej legalnie.

— Może to Kubańcy? — zasugerowała Summer.

— Niewykluczone — przyznał Pitt. — Chociaż wątpię, aby dysponowali odpowiednią technologią. Musieliby podpisać kontrakt na wynajęcie ludzi i sprzętu, a coś takiego na pewno by wypłynęło na światło dzienne. Ale mamy pewien trop.

— Jaki? — spytała Summer.

— Popatrzcie na te ślady — Pitt wskazał równoległe linie przecinające zagłębienie we wszystkich kierunkach. — Al i ja widzieliśmy podobne linie wokół głowicy odwiertu w miejscu zatonięcia „Alty”.

— Wyglądały na całkiem świeże — dodał Giordino.

— Podejrzewacie tę firmę, która prowadzi wiercenia w poszukiwaniu ropy? — zapytał Dirk.

— Rozmawiałem z kapitanem statku wiertniczego. Powiedział, że nie używali tam sprzętu, który mógłby zostawić takie ślady.

— Więc przypuszczacie, że ten, kto rozsadził te trzy kominy, teraz działa koło północnych wybrzeży Kuby — upewniła się Summer.

— Tak — potwierdził Pitt — i dlatego wracamy do Cieśniny Florydzkiej. "Alta" zatonała około dwudziestu mil od Hawany.

— Wyjątkowo niefortunne miejsce — zauważył Dirk. — Jeżeli dojdzie tam do skażenia, wody zatrute rtęcią znajdą się w zasięgu Prądu Zatokowego.

— Właśnie to nas najbardziej niepokoi. Skażenie może dotrzeć do wschodnich wybrzeży Florydy, a nawet znacznie dalej.

Do mesy wszedł jeden z członków załogi i zwrócił się do Summer:

— Panno Pitt, telekonferencja gotowa. Pan Perlmutter czeka na linii.

Summer poderwała się z fotela.

— Może dowiedział się, gdzie jest kamień — powiedziała, idąc za załogantem.

— Jaki kamień? — zainteresował się Giordino.

Dirk opowiedział o kodeksie i o burzliwych poszukiwaniach azteckich kamiennych tablic. Jego relacja wyraźnie zaniepokoiła Pitta.

— Widocznie na tego, kto złoży obie połówki do kupy, czeka cenna nagroda — powiedział Giordino, wstając. — Mówisz, że to aztecki kamień? W takim razie musisz poznać Herberta.

Na stole w rogu mesy stała kamienna figurka, którą znaleźli z Pittem na dnie oceanu, służąca teraz jako przycisk do papieru. Giordino wziął ją i leżący obok plik zdjęć.

— Oto Herbert — oznajmił, stawiając posążek przed Dirkiem. — Znaleźliśmy go w wielkim kanoe w pobliżu jednego z kominów. Zdaniem naszego pokładowego archeologa wygląda na robotę Azteków.

Dirk przyjrzał się kamiennej postaci.

— Doktor Madero pokazał nam podobny posążek. Przypomina jedno z azteckich bóstw — powiedział, patrząc pytająco na Giordino. — Znaleźliście go w kanoe?

Al skinął głową i podsunął mu zdjęcia.

— Zrobiliśmy je ze „Starfisha” na głębokości trzystu pięćdziesięciu metrów.

— Zapis wyryty na kamieniu dotyczy podróży, jaką Aztekowie odbyli na kilku wielkich łodziach, pielgrzymując do swoich rodzinnych stron — rzekł Dirk. — Zdaniem Madero, Majowie byli znani z prowadzenia handlu morskiego, ale nie ma żadnych wzmianek o morskich podróżach Azteków.

— W takim razie albo to kanoe należało do Majów, albo trzeba poprawić podręczniki do historii.

— Czy znaleźliście przy kanoe jakieś inne artefakty? — zapytał Dirk.

— Nie — odparł Pitt. — Ale sądząc ze śladów przebiegających w pobliżu, ktoś mógł je wcześniej zabrać.

Do mesy wróciła Summer.

— Coś nie tak? — spytał Dirk, widząc jej niewyraźną minę.

— Niestety — potwierdziła z westchnieniem. — Według ustaleń St. Julienu kamienia nie ma ani w Yale, ani gdziekolwiek indziej w Stanach. Ellsworth Boyd, ten archeolog, który znalazł połowę tablicy, nie wrócił z podróży. Wkrótce po opuszczeniu Jamajki zginął na Kubie. Wierzcie lub nie, ale zginął w wyniku eksplozji, która zatopiła USS „Maine”.

— Co on robił na pokładzie „Maine”? — zdziwił się Giordino.

Summer pokręciła głową.

— Nie wiadomo. St. Julien obiecał jeszcze trochę poszperać. Jego zdaniem jest szansa, że Boyd zabrał tablicę na „Maine”.

Zapadła cisza. Wszyscy myśleli o katastrofie, która stała się zaczątkiem wojny amerykańsko-hiszpańskiej.

Wreszcie Dirk popatrzył na ojca z diabolicznym uśmieszkiem.

— Mówiłeś, że płyniemy do miejsca odległego o dwadzieścia mil od Hawany?

— Zgadza się.

— A więc wciąż pozostajemy w grze.

— W jakiej grze? O co ci chodzi?

— O ile dobrze pamiętam z lekcji historii, gdzieś w pobliżu spoczywa wrak krążownika „Maine”.

ROZDZIAŁ 33

Eksplodzja, która zatopiła krążownik pancerny „Maine” w lutym 1898 roku, powodując śmierć dwustu sześćdziesięciu jeden marynarzy, została wykorzystana jako casus belli. Mimo iż przyczyny wybuchu komór amunicyjnych na okręcie nie udało się wyjaśnić, wkrótce po tym wydarzeniu oskarżycielski palec został wymierzony w Hiszpanię. Nacjonalistyczna gorączka, podsycana przez rozhisteryzowaną prasę, doprowadziła do wypowiedzenia wojny.

Otwarty konflikt, znany jako wojna amerykańsko— — hiszpańska, nie trwał długo. W ciągu kilku miesięcy US Navy zmiażdżyła hiszpańską flotę w bitwach pod Santiago i w Zatoce Manilskiej. W lipcu oddział ochotniczej kawalerii pod wodzą Teddy’ego Roosevelta zdobył wzgórze San Juan, a już w sierpniu doszło do zawieszenia broni.

Po wojnie bardzo szybko zapomniano o jej przyczynie. Rozerwany kadłub „Maine” spoczywał na mulistym dnie hawańskiego portu przez ponad dekadę, a o jego istnieniu przypominały tylko rdzewiejące maszty wystające nad powierzchnię wody. W końcu względy historyczne i konieczność usunięcia podwodnej przeszkody skłoniły Kongres do wyasygnowania środków na podniesienie okrętu.

Choć zdaniem wielu przedsięwzięcie było z góry skazane na niepowodzenie, specjaliści z Korpusu Saperów US Army dokonali niezwykłego wyczynu. Skonstruowali ogromny koferdam wokół wraku i wypompowali wodę. Pokryty grubą warstwą błota okręt wyglądał jak ogromna sterta złomu. Rozerwany dziób odcięto, a powstały w kadłubie otwór zaspawano. W marcu 1912 roku krążownik znów zakołysał się na falach. Odholowano go na morze, gdzie po otwarciu zaworów zatonął z podniesioną banderą.

Pitt siedział w sterowni „Sargasso Sea”, wpatrując się w pochodzące sprzed stu lat koordynaty, które wyznaczały pozycję wraku na cyfrowej mapie Unii brzegowej Kuby.

— Zatopili go cztery mile od lądu. Wówczas było to pełne morze, ale obecnie granica wód terytorialnych przebiega dwanaście mil od brzegu. Jeśli zaczniemy się tam kręcić, niechybnie zostaniemy stałymi gośćmi Rewolucyjnych Sił Zbrojnych Kuby.

Giordino wypuścił chmurę dymu z cygara.

— Ciekawe, czy w kubańskich więzieniach wolno palić.

Summer stała z bratem koło steru, patrząc na bezmiar błękitnego morza.

— Przecież możemy zdalnie zbadać wrak — powiedziała.

Al skinął głową.

— Racja — przyznał. — Chyba nie zranimy niczyich uczuć, wysyłając AUV-a, żeby znalazł wrak i zrobił nad nim kilka nawrotów. Jeżeli kadłub ułożył się na dnie w odpowiedni sposób, może uda się nam dobrze mu przypatrzeć.

— W porządku — zgodził się Pitt. — Ale pamiętajcie, że mamy na głowie poważniejszą sprawę. Daję wam dwanaście godzin. Potem płyniemy do miejsca zatonięcia „Alty”. I postarajcie się, żeby mój AUV wyszedł z tego bez szwanku.

Dirk zastanawiał się chwilę, po czym zwrócił się do Giordino:

— Co z twoimi „Robalami”, Al? Jeśli AUV określi dokładną pozycję wraku, chyba moglibyśmy tam posłać jednego z nich na przeszpiegi.

— Mając w wodzie transponder, możemy nim sterować ze statku w czasie rzeczywistym. Byłby to niezły test jego możliwości. — Giordino wyprostował się w fotelu i odłożył cygaro. — Spróbuję sklecić jakiś zaczep, żeby AUV mógł zawieźć „Robala” na miejsce. Zaoszczędzilibyśmy sporo czasu.

Pitt doskonale zdawał sobie sprawę, że obecność amerykańskiego statku w pobliżu wybrzeży Kuby, a zwłaszcza Hawany, może wydać się podejrzana. Dlatego godzinę później, kiedy tylko Al wyekspediował AUV-a, „Sargasso Sea” odsunął się o kilka mil od granicy wód terytorialnych.

Żółty autonomiczny pojazd podwodny, zaprogramowany przez Giordino, szybko znalazł się na ostatniej znanej pozycji krążownika „Maine” i zanurkował nad samo dno z czujnikami nastawionymi na wykrycie dużego metalowego obiektu.

Po sześciu godzinach AUV zakończył poszukiwania i wrócił do statku badawczego. Pojazd wciągnięto na pokład i natychmiast wyjęto z niego moduł rejestrujący dane. Rodzina Pittów zgromadziła się wokół Ala, który przeglądał zapisy. Na monitorze pojawił się kwadratowy diagram pełen pionowych linii, upstrzonych w wielu miejscach ameboidalnymi kleksami.

— Jak widać, mamy zarejestrowanych sporo anomalii magnetycznych. Największa wystąpiła podczas czternastego przebiegu — powiedział Giordino, wskazując dużą czerwoną plamę.

— Zerknijmy na obraz z sonaru — powiedział Pitt.

Al przywołał na ekran zapis sonarowy i przewijał go na podglądzie, aż na panelu kontrolnym w rogu pojawiła się liczba 14.

— Ślad magnetyczny znajdował się na samym początku przebiegu — wyjaśnił, przywracając normalną prędkość odtwarzania.

Pojawiło się zabarwione na złocisty kolor odwzorowanie dna. Kamienie, górki i wszelkie obiekty wystające z podłoża były pokazywane jako cienie. Po chwili z boku ekranu pojawił się ciemny trapezoidalny kształt.

— Mamy go.

Summer i Dirk pochylili się nad ekranem, aby przyjrzeć się z bliska. Nie sposób było pomylić z niczym innym elegancko ukształtowanej rufy starego okrętu ani charakterystycznego przodu kadłuba, nienaturalnie tępego w miejscu, gdzie odcięto dziób i wstawiono płaską gródź, by zapewnić okrętowi pływalność. „Maine” spoczywał praktycznie na równej stepce, z ledwie zauważalnym przechylem.

Na widok okrętu Summer poczuła mrowienie wzdłuż kręgosłupa.

— Chyba jest cały i w miarę dostępny — powiedziała i zwróciła się do Ala: — Czy zdołasz posadzić na nim „Robala”?

— Bez problemu — zapewnił z uśmiechem Giordino. — Kiedy AUV szukał wraku, poleciłem technikom sporządzić coś w rodzaju uprząży z czasowym mechanizmem zwalnającym. AUV przetransportuje „Robala” na miejsce i zacznie zataczać kręgi w oczekiwaniu na zadziałanie mechanizmu. Po uwolnieniu się „Robal” wypuści transponder, dzięki któremu obejdziemy cały wrak. Jeśli ten kamień tam jest, na pewno go znajdziemy.

— Skąd wiecie, że nie został rozerwany na kawałki podczas eksplozji albo nie leży na dnie portu? — zapytał Pitt.

— Fakt, nie mamy pewności, czy nie zniszczył go wybuch — przyznała Summer. — A co do pozostania w porcie, to mało prawdopodobne. Perlmutter twierdzi, że operacja podniesienia „Maine” została bardzo szczegółowo udokumentowana. Dno wokół wraku zbagrowano i nie ma żadnej wzmianki o znalezieniu kamienia.

— Dlaczego sądzicie, że kamień wciąż jest na wraku? — spytał Giordino.

— Nasze przypuszczenie wynika z dwóch przesłanek. Po pierwsze, ekipa ratunkowa była skupiona na podniesieniu okrętu. Ekspłodował przedni magazyn prochu, dlatego największe zniszczenia powstały w sekcji dziobowej.

Właśnie tam prowadzono najbardziej intensywne prace, polegające na odcięciu dziobu i wstawieniu w jego miejsce grodzi. Na rufie zdjęto tylko muł z pokładów w poszukiwaniu ludzkich szczątków. Wątpię, żeby ktoś zainteresował się wielkim, ciężkim kamieniem, mógł więc pozostać na pokładzie.

— Pod warunkiem, że umieszczono go na rufie — wtrącił Pitt.

— Po drugie — kontynuowała Summer — ciało Ellswortha Boyda zostało odnalezione i nie stwierdzono na nim widocznych obrażeń, co oznacza, że nie znajdował się w pobliżu miejsca wybuchu. Jako gość, prawdopodobnie został zakwaterowany w jednej z kabin rufowych. A skoro Boyd był z dala od epicentrum eksplozji, jest szansa, że to samo dotyczy kamienia.

— To równie prawdopodobne jak główna wygrana w totka — skomentował Pitt, kręcąc głową. — Ale nie ma sprawy, możecie spróbować.

— Spokojnie, szefie — odparł Giordino. — Mam przeczucie, że Herbert nas nie zawiedzie.

ROZDZIAŁ 34

System zrzutowy pomysłu Giordino zadziałał doskonale. Dwie godziny później przyglądali się zafascynowani, jak „Robal” pokonuje piaszczyste wzniesienie przy burcie i wkracza na pokład „Maine”. Zamontowana na nim kamera pokazywała gładki metalowy kadłub, porośnięty tylko cienkim kobiercem morskich organizmów.

Al prowadził robota po stalowych płytach pokładu, za czasów świetności okrętu pokrytych drewnem tekowym. Wprawdzie słabe oświetlenie i denerwujące opóźnienie pomiędzy ruchami dżojstika a reakcją urządzenia nastroczało mu pewnych problemów, ale wkrótce „Robal” zaczął w miarę sprawnie poruszać się po wraku.

Szczątki krążownika, ze względu na całkiem puste pokłady, przypominały widmowy grobowiec ze skorodowanej stali. Robot wszedł do rufowej nadbudówki, w której znajdowały się kabiny oficerów i dowódcy. Z wnętrza, wyłożonych niegdyś dywanami i boazerią, pozostały tylko szare stalowe płyty i grodzie. Drzwi w przejściach były otwarte na oścież, pozwalając zaglądać do pustych kabin nieżyjących od dawna marynarzy.

Giordino sprowadził „Robala” zejściówką w dół, na międzypokład i do pustej mesy. Niewiele tam było do oglądania poza kilkoma oprawami lamp z grubego szkła, które wciąż tkwiły w swoich mocowaniach na suficie. Nie znalazłszy niczego, co przypominałoby dużą kamienną tablicę, Al wyprowadził robota na główny pokład. Pomiął maszynownię i bunkry węglowe, bo wszyscy zgodnie uznali, że nie ma sensu szukać w nich kamienia.

— Widzieliśmy już chyba wszystko, co było warte obejrzenia — podsumował, rozprostowując palce zdrętwiałe od operowania dżojstikiem.

— Ani śladu kamienia — stwierdził Dirk. — Na pewno nie przetrwał eksplozji.

Summer pokiwała głową.

— Chyba nigdy nie poznamy całej azteckiej opowieści. Dzięki za pomoc — zwróciła się do Giordino. — Nie na wiele się to zdało, ale masz przynajmniej niezwykle film ze zwiedzania starego pancernika.

— Przywykłem do porażek w tej robocie — odpowiedział, dzieląc jej rozczarowanie.

— W jaki sposób odzyskasz „Robala”? — zainteresował się Dirk.

— Poślę go na spacer w kierunku Key West. Jeżeli zostaniemy jeszcze kilka dni w tej okolicy, podejmiemy go po drodze.

Gdy rozmawiali, jedna z nóg robota utknęła w powyginanym nawiewniku, przyciśniętym do rufowej nadbudówki. Giordino musiał wycofać „Robala”, żeby uwolnić go z pułapki.

— Zatrzymaj — odezwał się Pitt, stojący za ich plecami. — Wróć do miejsca, w którym utknął.

Giordino wycofał robota o kilkadziesiąt centymetrów.

— Zauważyłeś coś? — spytał.

Pitt potwierdził skinieniem głowy.

— Popatrz tam, koło ściany nadbudówki. Możesz zrobić zbliżenie?

Al nacisnął jakiś klawisz. Na powiększonym obrazie widać było metaliczny obiekt między ścianą i zniszczonym nawiewnikiem.

— To broń — powiedział Giordino, ustawiając ostrość na znalezisko.

Był to rewolwer z minimalnymi śladami korozji na lufie i rękojeści, ale pozbawiony drewnianych okładzin.

— Wygląda jak lefauchaux — zauważył Pitt. — Francuski rewolwer na naboje zespolone, będący popularną bronią boczną unijnych kawalerzystów podczas wojny secesyjnej.

— Tkwi dość głęboko pod tym nawiewnikiem — stwierdził Giordino. — Najwyraźniej nie zauważono go podczas czyszczenia okrętu po podniesieniu wraku z dna.

Zrobił jeszcze jeden krok „Robalem”, uzyskując bardziej szczegółowy obraz.

— Co robi ten stary francuski rewolwer na pokładzie „Maine”? — zastanawiała się Summer.

Nikt nie odpowiedział, a tymczasem Al wyostrzył widok na lufę. Teraz widać było na niej delikatny grawerunek.

— F. de Orbea Hermnos, Eibar 1890 — odczytał Pitt. — To pewnie wytwórca.

Zwrócił się do Summer, unosząc brew.

— Byłaś bardzo blisko, ale prawidłowe pytanie powinno brzmieć: co robi stary hiszpański rewolwer na pokładzie „Maine”?

ROZDZIAŁ 35

Przebiłeś się już przez tę stertę papierów?

St. Julien Perlmutter, który siedział przy stoliku w głównej czytelni Archiwum Narodowego, podniósł wzrok i ujrzał nad sobą uśmiechniętą twarz kierowniczkę działu wojskowego.

— Nie, ale jestem blisko, Martho, bardzo blisko. Przepraszam, że cię zmuszam do tak intensywnej gimnastyki. Materiały dotyczące „Maine” są znacznie bardziej obszerne, niż się spodziewałem.

— Bóg raczy wiedzieć, do czego mogą mi się przydać te ćwiczenia — odparła Martha, kładąc rękę na krągłym biodrze. — Daj znać, gdybyś mnie jeszcze potrzebował.

— Jesteś aniołem, Martho — powiedział z uśmiechem Perlmutter.

Już trzeci dzień siedział w czytelni, wertując stuletnie dokumenty. Chociaż okoliczności zatonięcia „Maine” były mu dobrze znane, z ogromnym zainteresowaniem czytał oficjalne materiały ze śledztwa w sprawie katastrofy i dodatkową dokumentację, zawierającą zeznania naocznych świadków i raporty o uszkodzeniach sporządzone przez zawodowych nurków z marynarki. Przypuszczalne przyczyny eksplozji, obejmujące między innymi samozapłon węgla w bunkrach czy wybuch kotła, zostały kolejno odrzucone.

Za najbardziej prawdopodobne uznano użycie miny podłożonej od zewnątrz.

Początkowo Perlmutter nie natknął się na żadną wzmiankę dotyczącą archeologa Ellswortha Boyda, przeszedł więc do dokumentów opisujących akcję podniesienia okrętu z dna w 1912 roku. Szczegółowe raporty techniczne, pełne czarno—białych fotografii, przedstawiały konstrukcję koferdamu wokół wraku, usuwanie szczątków ludzkich, działania mające na celu przywrócenie mu pływalności i ostateczne zatopienie.

W żadnym z raportów nie znalazł nawet słowa na temat artefaktu Boyda.

Sięgnął po ostatni segregator, który zawierał korespondencję z Hawaną prowadzoną bezpośrednio po eksplozji. Zbliżając się do końca skoroszytu, natknął się na list naczelnego lekarza sądowego szpitala marynarki wojennej w Brooklynie. Adresatem był generał Fitzhugh Lee, konsul generalny na Kubie.

18 marca 1898

Szanowny Panie Generale!

Zgodnie z Pańskim życzeniem, przesyłam kopię raportu z niedawno przeprowadzonej autopsji doktora Ellswortha Boyda.

Z wyrazami szacunku

dr Ralf Bennet

Szpital Marynarki Wojennej, Brooklyn

Perlmutter przestudiował list, zastanawiając się, dlaczego zwłoki Boyda zostały poddane sekcji. Instynkt badacza podpowiadał mu, że coś się za tym kryje. Zamknął skoroszyt i zawołał Marthę.

— To wszystko? — spytała.

— Tak, jeśli chodzi o te materiały, obawiam się jednak, że to nie koniec poszukiwań. Wiesz może, czy Wuj Sam przechowuje w swoich archiwach dziewiętnastowieczną korespondencję dyplomatyczną?

— Oczywiście. Co konkretnie masz na myśli?

— Akta generała Fitzhugh Lee, konsula generalnego na Kubie w 1898 roku.

— Muszę sprawdzić. Mogą być w Bibliotece Kongresu.

Archiwistka wróciła po chwili z promiennym uśmiechem na twarzy.

— Masz szczęście, Julien. Mamy jego akta z interesującego cię roku. Złożyłam pilne zamówienie, ale ich wydobycie może potrwać godzinę albo dwie.

— Jesteś niesamowita. Skoro mamy dwie godziny, może wyskoczymy na sympatyczny lunch do Old Ebbitt Grill?

— Zgoda, pod warunkiem, że nie zajmie nam to więcej niż godzinę — odpowiedziała, oblewając się rumieńcem. — Nie zapomnij, że jestem pracownikiem służby cywilnej.

— Jesteś najmilszym ze wszystkich pracowników tej służby. — Mówiąc to, Perlmutter wstał i skłonił się wytwornie. — Chodźmy, moja droga.

Kiedy półtorej godziny później wrócili do czytelnicy, akta już czekały w plastikowym pojemniku. Perlmutter, pełen energii po lunchu złożonym z potrawy z ostryg i ciasteczek krabowych, zagłębił się w papierach.

Fitzhugh Lee, weteran wojny secesyjnej i kuzyn generała Roberta F. Lee, prowadził bardzo obfitą korespondencję. Dokumenty obejmowały okres od jego nominacji przez prezydenta Clevelanda na placówkę w Hawanie do ewakuacji z Kuby w 1898 roku, u zarania wojny z Hiszpanią.

Perlmutter pominął masę listów opisujących rosnące napięcie w związku z brutalnymi działaniami hiszpańskich władz i coraz silniejszy opór ze strony kubańskiej partyzantki.

Przeglądając istną lawinę korespondencji związaną z zatonięciem „Maine”, nieoczekiwanie znalazł kopię raportu z sekcji zwłok Boyda. Jednostronicowy dokument, zawierający suchy opis badania, okazał się prawdziwą sensacją. Boyd nie zginął w wyniku eksplozji. Za przyczynę śmierci uznano ranę postrzałową w jego piersi, znaleziono też ślady wskazujące na utonięcie.

Perlmutter czuł, że to nie wszystko, i godzinę później natrafił na nową wskazówkę w postaci listu dowódcy „Maine” Charlesa Sigsbee do generała Lee. W odręcznym piśmie znalazł następujący fragment:

Otrzymałem raport dotyczący dr. Boyda. Wydaje się on potwierdzać relację porucznika Holmana o bójce na pokładzie, którą zaobserwował chwilę po eksplozji. Holman uważa, że

doszło do krótkiej walki o skrzynię należącą do Boyda. Nie zdawał sobie sprawy, że Boyd jest śmiertelnie ranny, był przekonany, że opuszcza okręt, schodząc na pokład parowca. Nie jestem w stanie potwierdzić Pańskich podejrzeń odnośnie do sprawców, wydaje się jednak, że będzie to możliwe po aresztowaniu załogi parowca. Wszystko to rodzi podejrzenie, że „Maine” został zniszczony z powodu artefaktu doktora Boyda. To smutne, gdyby miało się okazać, że przyczyną wybuchu wojny jest skarb pochodzący z nieistniejącego od dawna imperium.

C. D. Sigsbee

— Skarb? — mruknął Perlmutter pod nosem. — Zawsze musi być jakiś skarb.

Przekopując się przez resztę dokumentów, znalazł coś jeszcze — pismo z Departamentu Wojny do Lee, datowane tydzień po zatonięciu „Maine”. Konsul został poinformowany, że USS „Indiana” ostrzelał parowiec „San Antonio” w Kanale Starobahamskim w pobliżu północnych wybrzeży Kuby.

Dowódca „Indiany” zameldował z zalem, że statek zatonął na głębokiej wodzie podczas próby zatrzymania. Nie udało się przejąć kontrabandy, natomiast jeden z rozbitków, doktor Julio Rodriguez, ujawnił swoje przypuszczenia co do lokalizacji podejrzanego składu, po czym skonał z powodu ran otrzymanych podczas ostrzału. Lokalizację utajniono i przekazano do Departamentu Wojny do rozporządzenia.

Perlmutter odłożył list, z przerażeniem myśląc o konsekwencjach. Miał teraz więcej pytań niż odpowiedzi. Pojął, że poszukiwania azteckiego kamienia przez rodzeństwo Pittów to sprawa ogromnej wagi.

Przeglądając resztę papierów ze skoroszytu, omal nie przeoczył jednostronicowego dokumentu, sporządzonego na papeterii z Białego Domu w 1908 roku. Początkowo uznał, że trafił tu przez pomyłkę, rozpoznawszy u dołu zamaszty podpis. Ale po zapoznaniu się z treścią zwięzłego dekretu prezydenta Stanów Zjednoczonych poczuł nagły skurcz w wyschniętym gardle.

Godzinę później zgarnął akta Lee i położył je na ladzie, przy której Martha kończyła obsługiwać jakiegoś klienta.

— Jestem ci bardzo wdzięczny za pomoc — powiedział. — Na dziś to koniec moich badań.

— Czyżbyś natrafił na coś tak niezwykłego, że zamierzasz nas odwiedzić także jutro?

— W rzeczy samej — potwierdził rozpromieniony Perlmutter. — Właśnie odkryłem nieznaną dotąd przyczynę wybuchu wojny amerykańsko-hispańskiej.

ROZDZIAŁ 36

Może to bez znaczenia, ale pomyślałem, że warto was poinformować.

Błękitne oczy Rudiego Gunna zalśniły na okrętowym monitorze telekonferencyjnym, kiedy czekał na odpowiedź, oddalony o kilka tysięcy kilometrów stąd.

— Każda wiadomość może być cenna, kiedy ściga się ducha — odparł Pitt.

— Kiedy powiedzieliście mi o tych zagłębieniach w centrum każdej martwej strefy, poprosiłem doktora McCammona z działu geologicznego o dane dotyczące aktywności sejsmicznej w tym rejonie. W ciągu ostatnich sześciu tygodni w każdej z trzech stref odnotowano wstrząsy o magnitudzie cztery, czyli niecałe trzy stopnie w skali Richtera.

— Brzmi poważnie — orzekł Giordino, drepcąc przed ekranem.

— Niekoniecznie. Dziennie na całej kuli ziemskiej dochodzi do około tysiąca takich zdarzeń sejsmicznych, ale w tym przypadku najprawdopodobniej istnieje powiązanie.

— Rozumiem, że aparatura może rejestrować jako wstrząsy także podwodne eksplozje — wtrącił Pitt.

— Naturalnie. Podobny odczyt powoduje wybuch od trzystu do czterystu kilogramów TNT. Doktor McCammon pokazał mi analogiczne dane dotyczące lądowych operacji górniczych.

— To kolejny pośredni dowód na to, że ktoś rozsadza kominy hydrotermalne — powiedział Pitt.

— Istnieje ograniczona liczba systemów do prowadzenia podmorskich prac górniczych — ciągnął Gunn — ale jak dotąd nie udało się nam namierzyć ani jednego na Karaibach. Zdecydowana większość działa obecnie w okolicach Indonezji.

— Biorąc pod uwagę skutki w postaci katastrofy ekologicznej, trudno się dziwić, że sprawcy starają się uniknąć wykrycia — zauważył Pitt.

— Jest jeszcze jedna sprawa — zaznaczył Gunn. — Zdaje się, że wracacie do miejsca zatonięcia tego statku wiertniczego.

— To prawda. Al i ja zauważyliśmy tam ślady podobne do tych, które widzieliśmy wokół ujść hydrotermalnych.

— Sprawdziliśmy rejestr zdarzeń sejsmicznych w tym rejonie i okazało się, że zaledwie cztery dni temu doszło tam do niewielkiego wstrząsu — powiedział Gunn. — Być może przecucie was nie myliło.

— Jesteśmy już niedaleko, więc wkrótce się o tym przekonamy. Dzięki, Rudi.

Gunn kiwnął głową i jego twarz zniknęła z ekranu. Pitt zwrócił się do Ala, który usiadł obok niego.

— Czy „Starfish” jest gotowy do użytku? Chciałbym ponownie rzucić okiem na te ślady, które widzieliśmy koło „Alty”.

— Sprawny i pod parą.

Nad oceanem zapadał zmierzch, kiedy „Sargasso Sea” zbliżał się do miejsca zatonięcia „Alty”. Na powierzchni wody panował niespodziewany tłok. W odległości zaledwie pół mili jarzyły się światła jakiejś stojącej w miejscu jednostki. Kolejną widać było nieco na wschód.

— Co to za statki? — spytał Pitt kapitana „Sargasso Sea”.

Zapytany zerknął na ekran radaru, na którym, za sprawą satelitarnego systemu automatycznej identyfikacji AIS, wyświetlały się nazwy jednostek znajdujących się w pobliżu wraz z ich kursem i aktualną pozycją. Po chwili spojrzął na Pitta i pokręcił głową.

— Brak znaczników identyfikacyjnych. Musieli wyłączyć transpondery AIS.

Pitt pokiwał głową.

— Połącz się z nimi i poinformuj, że będziemy używać pojazdu podwodnego w pobliżu wraku.

Kapitan próbował wywołać oba statki przez radio, ale odpowiedziała mu cisza.

— Może wolisz poczekać i wyruszyć rano?

— Nie, zaczynamy od razu po ustawieniu się na pozycji. W końcu na dnie i tak zawsze jest ciemno.

Trzydzieści minut później, kiedy Pitt szedł na rufę do legowiska „Starfisha”, ktoś zatrzymał go po drodze.

— Czy to pan, panie Pitt?

Odwrócił się i w drzwiach laboratorium zobaczył Kamalę Bhatt z notatkami w dłoni.

— Kiedy statek się zatrzymał, pobrałam próbkę wody i zrobiłam szybki test na zawartość metylortęci.

— No i jak?

Właściwie nie musiał pytać, jej oczy powiedziały mu wszystko.

— Wynik wykracza poza skalę.

ROZDZIAŁ 37

Pitt ubrany w niebieski dres wpełził przez właz do wnętrza głębokościowego pojazdu podwodnego. Kiedy wśliznął się na miejsce pilota, stwierdził z zaskoczeniem, że na fotelu obok siedzi jego córka.

— Wygryzłaś Ala z miejsca na koźle? — spytał.

— Dlaczego tylko on ma mieć zawsze najlepszą zabawę? — odparowała Summer. — Będzie mnie to kosztowało pudełko cygar, kiedy wrócimy do portu. W dodatku musiałam oszukać Dirka, że wyruszenie dopiero za godzinę, żeby usunąć go z drogi.

— Nie wiedziałem, że moja córka jest takim potworem.

— Który w dodatku bardzo chce się zmoczyć — powiedziała ze śmiechem.

Po wykonaniu procedur poprzedzających zanurzenie zgodnie z listą kontrolną zameldowali gotowość na mostek. Giordino uruchomił żuraw i delikatnie opuścił „Starfisha” do wody. W świetle reflektorów pojazd zniknął pod powierzchnią.

Pitt popatrywał na córkę, która sprawdziła odczyty na konsoli i zameldowała na statek o prawidłowym rozpoczęciu zanurzenia.

— Zdaje się, że ostatni raz mnie wiozłaś, gdy uczyłem cię podwójnego wysprzęglania w packardzie z 1933 roku.

— Dziękuję Bogu, że w pojazdach podwodnych nie ma czegoś takiego jak sprzęgło. — Pokręciła głową na to wspomnienie. — Potem przez tydzień bolała mnie noga.

Kiedy dno pojawiło się w polu widzenia, Pitt wyważył miniaturową łódź podwodną i uruchomił pędniki.

— Czy wrak znajduje się na południe od nas? — spytała Summer.

— O ile nie odpełź. Spróbujemy zobaczyć go na sonarze. Podobno Al zainstalował nowy system na „Starfishu”.

Uprzedzając ojca, Summer przestawiła kilka przełączników na górnym panelu.

— Wielowiązkowy system przedniego skanowania o zasięgu do trzystu metrów — wyrecytowała. — Miesiąc temu testowaliśmy go z Dirkiem na Morzu Śródziemnym. Działał całkiem przyzwoicie.

Na niewielkim monitorze pokazał się wielobarwny obraz dna znajdującego się przed nimi. Summer wyregulowała częstotliwość sygnału, aby zwiększyć zasięg sonaru.

Pitt pokręcił głową.

— Czuję, że spędzam w Waszyngtonie za dużo czasu.

Ustawił moc pędników tak, aby „Starfish” sunął nad dnem. Płynęli na południe. Wkrótce w narożniku ekranu monitora pokazała się ciemna plama. Po minucie wyrósł przed nimi

kadłub „Alty”. Dziób został zgnieciony w chwili uderzenia o dno, a nadbudówki nosiły ślady nadpalenia.

— Ślady powinny się znajdować po drugiej stronie — powiedział Pitt, prowadząc pojazd wzdłuż wraku.

— Statek zatonął na skutek pożaru? — spytała Summer.

— Poszedł na dno po wybuchu przedniego zbiornika paliwa. Jego przyczyna nie została ustalona.

Zmniejszył nieco prędkość, kiedy zbliżyli się do otworu ziejącego w kadłubie kilka metrów od dziobu.

— To musiała być całkiem spora eksplozja — stwierdziła Summer. — Wewnętrzna czy zewnętrzna?

— Ciekawe pytanie. Zapewne firma ubezpieczeniowa spyta o to samo.

Opłynęli dziób i znaleźli się nad płaskim obszarem pokrytym fałdami piasku. Wkrótce reflektory „Starfisha” oświetliły ślady, które Pitt widział podczas wcześniejszego zanurzenia.

— Są identyczne z tymi, które widziałeś przy ujściu hydrotermalnym? — zapytała Summer.

— Tak. Sprawdźmy, dokąd prowadzą.

Pitt zwiększył prędkość. Sunęli wzdłuż śladów, płosząc napotykaną z rzadka rybę głębinową.

Summer obserwowała monitor sonaru.

— Wiele obiektów na wprost przed nami.

— Widzę je — powiedział Pitt. Nie patrzył na ekran, lecz w mrok rozświetlany odległymi błyskami.

Dno stopniowo opadało. Pitt widział teraz, że światła koncentrują się u podstawy krateru w kształcie miski. W polu widzenia pojawiły się dwa jasno oświetlone potężne pojazdy. Pełzały po dnie, wyrzucając z tyłu chmury osadów. Były to podwodne roboty do prac głębinowych, sterowane z powierzchni za pośrednictwem grubych czarnych przewodów.

— Ale ogromne — powiedziała Summer. — Co najmniej wielkości autobusu.

— Przynajmniej przyłapaliśmy ich na gorącym uczynku — odrzekł Pitt. — Teraz dowiemy się, kto odpowiada za zniszczenia.

Wyłączył reflektory „Starfisha” i podpłynął bliżej do obu pojazdów. Pierwszym była wrębiarka, przypominająca przerośnięty traktor z zamocowaną z przodu obrotową głowicą w postaci gigantycznego walca.

Na walcu obracały się bębny najeżone potężnymi zębami z węgliku wolframu, które z łatwością kruszyły skały i twarde warstwy osadów. Poruszająca się na gaśnicach maszyna zagarniała urobek i wyrzucała go grubą rurą do tyłu. Za nią podążał drugi pojazd, podobnych

rozmiarów, ale pozbawiony walca. Był to agregat zbierający, który zasysał odsłonięte surowce i wypompowywał je na powierzchnię poprzez kevlarowy wąż o dużej średnicy.

Pitt zbliżył się do wrębiarki, podziwiając wydajność i skuteczność urządzenia, które cięło dno morza z bezduszną precyzją robota. Summer zarejestrowała obraz ciemnopopielatego wehikułu pokładową kamerą wideo, mając świadomość, że niewiele jest na świecie firm zdolnych do skonstruowania tak wyspecjalizowanej maszyny.

Pitt płynął wolno obok mechanicznego potwora, chcąc mu się lepiej przyjrzeć, gdy nagle zza jego pleców dobiegł donośny odgłos uderzenia. „Starfish” zszedł z kursu i uderzył w bok wrębiarki. Pitt odwrócił ciąg pędników, a wtedy metaliczny dźwięk rozległ się z tyłu ich pojazdu.

Summer odwróciła się i spojrzała wstecz przez niewielki iluminator.

— To ROV — oznajmiła. — Właśnie nas staranował.

— Zniszczył główny pędnik — odparł Pitt, manewrując działającymi jeszcze bocznymi pędnikami, aby zejść z drogi obcemu pojazdowi.

„Starfish” zaczął skręcać, ale kolejne uderzenie znów zepchnęło go na wrębiarkę.

— Celowo spycha nas na tę maszynę — jęknęła Summer.

Pitt odczuł skutki zderzenia sterownicy. ROV unieruchomił jeden z pozostałych pędników. Pitt obrócił „Starfisha” i wirując, odsunął się od wrębiarki. W przednim iluminatorze rozbłyły oślepiające światła ROV-a. Pitt zdołał dostrzec, że był to duży, głębinowy pojazd podwodny o krępym skrzynekowatym kadłubie, niemal dwa razy większy od miniaturowej łodzi podwodnej NUMA. W tym momencie ROV zaszarżował ponownie.

Uderzył nieco z boku w dziobową sekcję „Starfisha”, spychając niesprawny pojazd na wrębiarkę tuż za głowicą skrawającą.

Pitt sięgnął między fotele i pociągnął dźwignię awaryjnego zrzutu jednego z obciążników balastowych. Pojazd natychmiast zaczął się wznosić, ale nagle rozległ się głośny huk i ruch w górę został zatrzymany.

„Starfish” zderzył się z wyprostowanym ramieniem potężnego manipulatora zamontowanego na górnej części obudowy wrębiarki. Teraz ramię opadło w dół, przyciskając pojazd do kadłuba maszyny.

Pitt dał maksymalny wsteczny ciąg jedyne działającego pędnika. „Starfish” wysliznął się spod manipulatora, ale z boku nadpłynął ROV i uderzył w górną część pojazdu NUMA. Światła na panelu przyrządów zamigotały ostrzegawczo, a „Starfish” obrócił się do góry dnem.

W tym momencie ramię manipulatora wśliznęło się między ramę podstawy pojazdu, a chwytak zacisnął się na metalowej osłonie przewodów.

Pitt gorączkowo szamotał się z dźwignią sterującą ciągiem pędników, ale jego działania nie przyniosły żadnego skutku. Wrębiarka trzymała ich mocno i nic nie mogli na to poradzić.

— Zaraz rozbije nam szybę! — krzyknęła Summer.

ROV ustawił się na wprost „Starfisha” i ruszył do przodu, wyraźnie celując w akrylowy iluminator. W ostatniej chwili wzniosł się i przejechał po górnej części kadłuba miniaturowej łodzi podwodnej. Potem zawrócił, prezentując żółtą rysę na obudowie i ciągnąc za sobą pęk kabli.

— To nasz awaryjny transponder — powiedział Pitt, wpatrzony w wiązkę przewodów. — Straciliśmy łączność z powierzchnią.

— Zostawię nas tu na zawsze? — wyszeptała przerażona Summer.

— Tylko oni znają odpowiedź na to pytanie — odrzekł, wyglądając przez iluminator.

ROV unosił się tuż przed nimi jak jakiś wszechwładny byt, a w jaskrawym świetle zalewającym wnętrze „Starfisha” czaiła się zapowiedź śmierci.

ROZDZIAŁ 38

Łączność ze „Starfishem” została zerwana!

— Zaraz tam będę — rzucił Giordino i odłożył słuchawkę telefonu.

Zawołał Dirka, który w czasie, gdy pojazd przebywał w zanurzeniu, sprawdzał wyniki dodatkowych badań próbek wody. Obaj wybiegli z mesy i pognali na stanowisko kontrolne, mieszczące się w ciasnym pomieszczeniu na rufie.

Technik odpowiedzialny za łączność powitał ich ponurym skinieniem głowy.

— Około pięciu minut temu przestaliśmy odbierać dane i straciliśmy kontakt głosowy. Próbowałem różnych częstotliwości i kanałów, ale wszędzie panuje cisza.

— Czy wcześniej wystąpiły jakiegokolwiek problemy? — spytał Giordino.

— Żadnych. Ostatnie odebrane parametry były najzupełniej prawidłowe. Kilka minut wcześniej Summer zameldowała, że zlokalizowali "Altę" i płyną wzdłuż śladów prowadzących na południowy wschód.

— Pokaż mi ich ostatnią zarejestrowaną pozycję — rozkazał Al, podchodząc do monitora wyświetlającego mapę akwenu.

Technik wklepał najświeższe koordynaty i na ekranie pojawił się czerwony trójkąt.

— To około tysiąca metrów na południe od nas.

Giordino podszedł do okna i popatrzył na światła stojącego w oddali statku.

— Mniej więcej w tym kierunku, gdzie znajdują się nasi sąsiedzi.

— Obwołam ich z mostka i dowiem się, co robią — powiedział Dirk. — Może mają w wodzie jakiś sprzęt.

— Niech kapitan ustawi statek dokładnie nad ostatnią pozycją „Starfisha” — polecił Giordino. — Ja zajmę się naszym ROV-em, będzie gotowy za pięć minut.

Przemieszczenie statku trwało dziesięć minut. Dirk skontaktował się z sąsiednią jednostką przez megafon, ale praktycznie odesłano go z kwitkiem. Statek nawet nie raczył się przedstawić. Poinformował, że prowadzi badania dna morskiego i nie widział „Starfisha”, a na koniec nakazał, aby „Sargasso Sea” trzymał się w odległości co najmniej pół mili.

Kapitan statku NUMA nic sobie nie robił z tego żądania. Zatrzymał „Sargasso Sea” ćwierć mili od obcej jednostki w nadziei na jak najszybsze szybsze zlokalizowanie miniaturowej łodzi podwodnej.

Giordino opuścił ROV-a do wody i z maksymalną prędkością nawinął linę nośną na bęben wyciągarki. Dirk zasiadł na stanowisku kontrolnym i wpatrywał się w obraz przekazywany przez kamerę robota. W drodze na dno zauważył w oddali jakieś niewyraźne światła, ale zaraz stracił je z oczu.

Na głębokości dwustu metrów Dirk włączył dżojstik i zaczął zataczać ciasne kręgi aż do chwili pokazania się dna.

Chwilę później na stanowisku kontrolnym pokazał się Al.

— Widzisz coś? — spytał.

— Były jakieś błyski światła na głębokości siedemdziesięciu metrów, ale rozstawione dużo szerzej niż reflektory „Starfisha”.

— Ten statek mi się nie podoba. Popatrz na te ślady na dnie.

ROV zawisł nad zatrzęsieniem śladów przecinających dno. Dirk skierował go do miejsca ich największej koncentracji.

— Chyba widziałem coś z boku po prawej — powiedział Giordino.

Dirk przechylił robota. Na obrazie z jego kamery pojawiły się odległe rozbłyski.

— Sprawdźmy to.

Al zdalnie uruchomił wydawanie dodatkowego kabla, a Dirk skierował robota ku światłom. Wkrótce stało się jasne, że nie były to reflektory „Starfisha”.

Światłem skrzył się potężny agregat zbierający, przeznaczony do zasysania skruszonego urobku. Wielki pojazd stał w miejscu. Nigdzie w pobliżu nie było widać towarzyszącej mu zwykle wrębiarki. Wartę przy nim pełnił duży, kanciasty ROV, unoszący się kilka metrów nad dnem.

Kiedy robot NUMA podpłynął bliżej, ogromna maszyna oderwała się od dna, wzbudzając obłoki osadu. Unosiła się na dwóch grubych linach, które powoli wyciągały ją na powierzchnię. Przez chwilę Dirk podążał za nią w niewielkiej odległości, ale zaraz odskoczył, bo podpłynął do niego obcy ROV.

Oba roboty przez chwilę obserwowały się z rezerwą, po czym większy zawrócił i pomknął w górę za unoszącą się ku powierzchni maszyną.

— Badanie dna morskiego, dobre sobie — burknął Giordino. — Zabrali ze sobą większą część wierzchniej warstwy i dali nogę.

— Pewnie tata i Summer nakryli ich podczas prac.

— Czy to nie dziwne, że tak nagle się zwinęli? Pozostaje nam tylko kontynuować poszukiwania.

Przeczesywali dno jeszcze dwie godziny, zmieniając kilkakrotnie pozycję „Sargasso Sea”, aby powiększyć obszar poszukiwań. Nie znaleźli jednak żadnego śladu zaginionej miniaturowej łodzi podwodnej.

Giordino wzruszył ramionami.

— Nie mogę uwierzyć, że nie usłyszeliśmy choćby jednego sygnału z awaryjnego transpondera.

— Czy to urządzenie znajduje się na zewnątrz pojazdu? — spytał Dirk.

— Tak — potwierdził Al. — Jest zamontowane na wierzchu kadłuba.

Dirk zwrócił się do łącznościowca.

— Nagrywałeś przekaz wideo z robota?

— Tak, to standardowa procedura.

— Przewiń do tego miejsca, gdzie gapiliśmy się na tego drugiego ROV-a.

Technik zaczął przewijać nagranie.

— Zatrzymaj — polecił Dirk, pochylając się nad ekranem monitora. — Popatrz tutaj, na dolną część ROV-a. Zwisają z niej jakieś zerwane kable, a niżej zaklinowany jest kawałek plastiku.

Al zastygł w bezruchu.

— To chyba część obudowy transpondera. A na ramie ROV-a widać żółtą rysę.

Twarz Giordina pociemniała ze złości. Wstał i ruszył w kierunku drzwi.

— Ściągnij ROV-a na pokład. Natychmiast! Najwyższy czas złożyć wizytę naszym sąsiadom!

ROZDZIAŁ 39

Głowica skrawająca obracała się coraz wolniej, wreszcie zatrzymała się na dobre. Przestały działać wewnętrzne pompy i przenośniki. Wielka maszyna górnicza wypuła ostatnią porcję pokruszonej skały i dokoła zapadła cisza.

Summer jeszcze nigdy nie była tak wytrącona z równowagi. Wyglądając przez iluminator „Starfisha”, odezwała się do ojca:

— Jak sądzisz, czy będą nas tu trzymać tak długo, aż zabraknie nam powietrza?

Pitt tylko pokręcił głową, zajęty unieruchamianiem zbędnych systemów pojazdu.

— Wszystko będzie dobrze. Wcześniej znajdzie nas „Sargasso Sea”. Ani się obejrzymy, jak Dirk i Al wyślą ROV-a na dno.

— Ale ten kanciasty potwór może jego też uszkodzić.

— Miejmy nadzieję, że wcześniej zdołają nas zobaczyć.

Tak się jednak nie stało. W chwili, gdy Giordino wodował ROV-a, wrębiarka została podniesiona z dna wraz z przygwożdżonym do boku „Starfishem”. Dwie liny szybko nawijały się na masywny bęben wciągarki na pokładzie statku, przez co Pitt i Summer czuli się jak w windzie.

W drodze na powierzchnię zauważyli światła zdalnego robota NUMA, zdążającego w przeciwnym kierunku. Pitt chwycił latarkę i przez iluminator nadał świetlny sygnał SOS, ale ROV szybko zniknął im z pola widzenia.

Niedługo potem wrębiarka wynurzyła się obok burty jednostki przystosowanej do podmorskich prac górniczych. Po podniesieniu z dna obu maszyn układ automatycznego pozycjonowania został wyłączony i statek zdryfował na odległość mili od „Sargasso Sea”, ustawiając się tak, aby prawa burta nie była z niego widoczna.

Potężny dźwig bramowy ustawiony na śródkręciu wyciągnął wrębiarkę z wody. Po przeciwnej stronie kadłuba bliźniaczy dźwig czekał na wynurzenie się agregatu zbierającego.

Pitt i Summer wyglądali na zewnątrz, mrużąc oczy przed blaskiem lamp wiszących nad pokładem. Ich widok wywołał zdziwienie na twarzach kilku ludzi w kaskach, którzy nakierowywali wrębiarkę do półotwartego hangaru. Kilku ubranych w zielone mundury żołnierzy, uzbrojonych w karabinki AK, otoczyło „Starfisha” ze wszystkich stron.

— Nie spodziewałem się takiego komitetu powitalnego — mruknął Pitt.

— Czy to żołnierze regularnej armii kubańskiej? — spytała Summer.

— Na to wygląda — odparł, widząc na jednym z mundurów emblemat w postaci białej gwiazdy na tle czerwonego trójkąta.

Jeden z żołnierzy zaświecił im latarką w oczy i gestem nakazał wyjść na zewnątrz. Pitt ruszył za córką do włazu. Po drodze zabrał niepostrzeżenie mały scyzoryk z szafki z narzędziami i wsunął go do kieszeni.

Żołnierze powitali ich milczeniem.

Pitt zareagował wybuchem niepohamowanego gniewu.

— Co wyście narobili! — wrzasnął.

Podszedł do tylnej części pojazdu i pokazał zgniecione pędniki.

— To poważne uszkodzenia. Żądam natychmiastowego powiadomienia mojego statku.

Niepewność żołnierzy ustąpiła wraz z pojawieniem się autorytetu w osobie oficera o psiej twarzy.

— Zabrać ich na dół i zamknąć! — rozkazał swoim ludziom, po czym zwrócił się do jednego z członków załogi: — Trzeba ukryć tę ich łódź podwodną.

Czterej żołnierze zmusili Summer i Pitta do odejścia od "Starfisha", poszturchując ich karabinami. Gdy mijali wrębiarkę, Pitt zauważył na niej niewielkie logo przedstawiające czerwonego niedźwiedzia grizzly z oskardem w pysku.

Sprowadzono ich schodnią do hangaru technicznego, w którym stał wyciągnięty z wody ROV. Jeden z techników wyjął skądś parę plastikowych opasek zaciskowych, którymi żołnierze skrępowali swoim podopiecznym ręce na plecach. Następnie pchnięto ich na pokład i rozkazano usiąść tak, żeby plecami opierali się o gródź.

Wkrótce pojawił się oficer nazwiskiem Cazaldo w towarzystwie jednego z oficerów statku. Przez chwilę mężczyźni spierali się głośno, gestykulując w kierunku więźniów, a potem obaj wyszli.

— O co im poszło? — szepnęła Pitt do córki. Co prawda znał hiszpański, ale jeden z żołnierzy zasłaniał mu uczestników sprzeczki.

— Kapitan nie jest zadowolony z naszej obecności na pokładzie — odparła Summer. — Wspomniał coś o narażeniu całego projektu na niepowodzenie. Mam wrażenie, że będą chcieli nas stąd zabrać.

Tym razem przeczucie jej nie myliło. Pół godziny później zaprowadzono ich na główny pokład. Przy burcie statku stał przycumowany stary holownik, a przed nim znajdowała się drewniana barka z urobkiem z morskiego dna. Kazano im przejść na pokład holownika i umieszczono w ciasnej kabinie, stawiając wartownika w jej otwartych drzwiach.

— Widziałeś „Sargasso Sea” podczas przesiadki? — spytała Summer.

— Nie. Pewnie stoimy przeciwną burtą do niego. Ale jestem pewien, że już nas szukają.

— Tyle że nie mają pojęcia, gdzie jesteśmy — zauważyła ze smutkiem.

Maszyna holownika obudziła się do życia. Kilka minut później pękaty stateczek był w drodze, pchając przed sobą barkę po wzburzonym morzu.

Płynęli w noc, zostawiwszy za sobą statek NUMA i nadzieję na szybkie odzyskanie wolności.

ROZDZIAŁ 40

Potężny kuter wyłączył silniki i zaczął dryfować wraz z prądem pod pochmurnym nocnym niebem. Daleko na południu linię horyzontu przecięło kilka snopów światła, ale wszędzie wokół łodzi powierzchnia oceanu pozostawała pusta. Kapitan spojrział na radar, aby się upewnić, że w okolicy nie ma żadnej innej jednostki. Zadowolony z odczytu sięgnął po radio.

— Mostek. Jesteśmy na miejscu. Zaczynajcie wodowanie.

Stojący na otwartym pokładzie rufowym James Maguire odpowiedział natychmiast.

— Przyjąłem. Zaczynamy — rzekł, po czym zwrócił się do wysokiego, muskularnego mężczyzny, który opierał się o reling i palił papierosa. — Dobra, Gomez. Zrzucamy ją.

Podeszli do dużego obiektu przymocowanego do pokładu. Zwolnili mocowania i zdjęli plandekę, odkrywając zdezelowaną łódź rybacką, napędzaną niewielkim i porzdewiałym przyczepnym motorem. A przynajmniej tak to wyglądało na pierwszy rzut oka.

W rzeczywistości łódka była zrobiona z kewlarowego kompozytu, co czyniło ją praktycznie niezniszczalną. Zewnętrzna powłoka została uformowana i pomalowana w taki sposób, aby przypominać wyblakłe, gnijące drewno.

— Bak pełen? — spytał Maguire.

Gomez sprawdził parę zbiorników paliwa ukrytych przy dziobie i kiwnął głową. Zbiorniki zasilaly dwa ukryte pod ławeczką poziome silniki o mocy stu pięćdziesięciu koni mechanicznych. Silniki zapewniały moc dwóm przymocowanym do kadłuba wirnikom.

Maguire podniósł kilka desek podłogowych skrywających tajne przegródki i za pomocą latarki dokonał przeglądu zawartości. W jednej znajdował się pokaźny arsenał, obejmujący pistolety, karabiny i jedną wyrzutnię raket, wraz z amunicją. Druga zawierała sprzęt do nurkowania. Do trzeciej przegródki mężczyzna włożył ciężki plastikowy pojemnik, który przyniósł ze swojej kabiny. Ułokowawszy deski z powrotem na miejscu, zawołał do Gomeza:

— Do wody z nią.

Gomez stanął za sterami niewielkiego dźwigu, uniósł łódź za pasy mocujące i osadził ją na powierzchni oceanu.

Wchodząc na pokład, Maguire dostrzegł kątem oka wypisaną na burcie nazwę łodzi: „Surprise”. Odpiął pasy mocujące i podał Gomezowi, który wciągnął je na pokład kutra, a następnie dołączył do Maguire’a.

Maguire uruchomił silniki i połączył się przez radio z mostkiem na większej jednostce.

— „Surprise” rusza. Do zobaczenia za czterdzieści osiem godzin.

— Przyjąłem — padła odpowiedź kapitana. — Będziemy tu na was czekać, rozkoszując się słońcem.

Maguire dodał gazu i niepozorna łajba ruszyła ostro w środek nocy. Najemnik skierował dziób w stronę odległych świateł wyspy Wielki Kajman i popędził po czarnych wodach oceanu, by wykonać swoje zabójcze zadanie.

ROZDZIAŁ 41

Zodiak z „Sargasso Sea” podpłynął do celu niemal bezdźwięcznie. Jedyнным odgłosem świadczącym o jego obecności był plusk fal. Giordino dziękował losowi, że znalazł na pokładzie statku silnik elektryczny, używany przez naukowców podczas badania miejsc o szczególnie wrażliwej równowadze ekologicznej. Znacznie mniej cieszył go fakt, że musiał pilotować pomarańczowy ponton w pełnym świetle księżyca. Co prawda przed wypłynięciem załoga wysmarowała jego zewnętrzną powierzchnię czarną farbą, ale słona morska woda zdążyła już poważnie naruszyć ten prowizoryczny kamuflaż.

Al prowadził zodiaka prosto w kierunku statku wydobywczego, który znajdował się milę na wschód od „Sargasso Sea”. Światła pokładowe oświetlały go ze wszystkich stron, ukazując imponujące nowoczesne wyposażenie. Statek dysponował szeregiem dźwigów, pomp i przenośników zaprojektowanych na potrzeby górnictwa podwodnego. Poza nim Giordino zauważył światła innej jednostki, która oddalała się na południe.

Podpłynął od strony rufy, żeby uniknąć czujnych spojrzeń ludzi pracujących na mostku, i zaczął się rozglądać za możliwością dostania się na pokład. Szczęście wciąż mu sprzyjało, gdyż po zaledwie kilku chwilach dostrzegł drabinę, spuszczoną od strony prawej burty. Ponton był już na tyle blisko statku, że Al mógł odczytać jego nazwę: „Sea Raker”.

Na dziobie zodiaka siedział Dirk, ubrany na czarno, i ścisnął w dłoni zwój liny. Ponieważ ustalili wcześniej, że muszą działać szybko, by zminimalizować ryzyko wykrycia, Giordino, nie zwalniając obrotów silnika, skierował ponton bezpośrednio pod drabinę. Zodiak odbił się od kadłuba statku, a tymczasem Dirk błyskawicznie wskoczył na pierwsze stopnie, przywiązał do nich cumę i wspiął się na pokład. Przeskoczywszy przez reling, przycupnął za pobliskim dźwigiem w oczekiwaniu na Alę.

Ten minutę później przetoczył się tuż obok niego.

— Jak wygląda sytuacja? — spytał.

— Nie najlepiej — odparł Dirk. — O włos minęliśmy się z parą strażników idących w stronę lewej burty. Są umundurowani i uzbrojeni w automaty.

— Karabiny na statku wydobywczym. Cudnie — skwitował Giordino, przeklinając w duchu, że wyruszyli na wyprawę ratunkową nieuzbrojeni.

— Postarajmy się nie rzucać w oczy. Po pokładzie kręci się jeszcze kilka zespołów roboczych.

— To akurat możemy wykorzystać na naszą korzyść i spróbować wmieszać się w tłum.

Dirk skupił wzrok na zadaszonej kabinie operatora dźwigu, za którym się ukrywali.

— Chyba coś mam — rzekł po chwili.

Podkradł się do drzwi kabiny i wszedł do środka. Na fotelu ktoś zostawił roboczy płaszcz, a na ścianie wisiał kask. Zabrał oba znaleźiska i wrócił do Giordino.

— Na mnie jest za krótki — powiedział, oddając płaszcz towarzyszowi. — Wygląda na to, że tobie przypadnie zaszczyt dołączenia do załogi.

Al z trudem wcisnął się w płaszcz i nasunął kask nisko na oczy.

— To powinno ich zmylić — orzekł. — Pora trochę się rozejrzeć.

Wyszedł z ukrycia i ruszył wzdłuż relingu prawej burty pewnym krokiem człowieka, który przepracował na tym pokładzie wiele lat. Dirk szedł kilka metrów za nim, starając się pozostawać w cieniu. Minęli potężny przenośnik służący do rozładunku wydobywanej rudy, kierując się w stronę hangaru podwodnych maszyn górniczych.

W pobliżu kręciło się trochę ludzi, niektórzy w kombinezonach ochronnych i aparatach tlenowych. Giordino starał się nie rzucać w oczy, ale po chwili dostrzegł zbliżającego się do niego mężczyznę trzymającego podkładkę do pisania. Zamachał rękami, próbując dać do zrozumienia, że coś jest nie tak z jedną z maszyn. Gdy zaciekawiony mężczyzna podszedł bliżej, Al położył mu rękę na ramieniu i spytał:

— Gdzie są kobieta i mężczyzna z łodzi podwodnej?

Zdumiony mężczyzna wytrzeszczył oczy i zaczął zadawać własne pytania, ale w tym momencie za jego plecami pojawił się Dirk, który błyskawicznym ruchem chwycił jego rękę, pozwalając Alowi wymierzyć szybki cios prosto w niezamykającą się szczękę. Nieprzytomny mężczyzna osunął się w ramiona Dirka.

— Nie był to pokaz sportowego zachowania — szepnął Giordino, rozcierając pięść.

— Kara za złą odpowiedź — skwitował Dirk.

Zaciągnął ogłuszonego mężczyznę za potężną wciągarkę bębnową, a tam pozbawił go kombinezonu i podkładki. Po minucie, już przebrany, dołączył do Ala lustrującego dalsze partie pokładu. Chwilę później musieli się jednak ukryć w hangarze, by uniknąć nadchodzących z drugiej strony uzbrojonych strażników.

Podeszli do ogromnej wrębiarki, udając, że sprawdzają stan jej stalowych gaśnic. Strażnicy poszli dalej, nie zwracając na nich uwagi, i wkrótce zniknęli im z oczu. Giordino skierował się do wyjścia z hangaru, ale Dirk złapał go za rękę.

— Tutaj, Al.

Odsunęli się pod ścianę, by usunąć się z drogi wychodzącemu z hangaru, upapranemu smarem mechanikowi. Oczekali kilka chwil, po czym Dirk poprowadził Giordino w głąb pomieszczenia, gdzie znajdował się duży podłużny obiekt przykryty plandeką. Uchylił ją i zobaczył znajomy żółty pojazd.

— To „Starfish” — powiedział. — Wciągnęli go na pokład.

Oznaczało to, że Pitt i Summer nie są uwięzieni na dnie oceanu, ale znajdują się gdzieś na pokładzie tego statku, cali i zdrowi.

— Tylko po co by ich wyławiali, a potem próbowali to ukryć? — Chłopak zaczął głośno myśleć.

— Kto wie? — odparł Al. — Może pracują tutaj bez zezwolenia.

Wyszli z hangaru i rozejrzeli się.

— Pewnie trzymają ich zamkniętych w jakiejś kajucie — orzekł Giordino. — Poszukajmy ich.

Ruszyli do znajdującego się bliżej dziobu sześciopoziomowego bloku kwaterunkowego. Przeszukali dwa pierwsze pokłady, na których znajdowały się kambuz, mesa oficerska i kilkanaście szafek. O tak późnej porze kręciła się tu zaledwie garstka marynarzy, niecierpliwie wyczekujących końca zmiany. Na trzecim pokładzie zajrzeli do salonu, za którym znajdowały się kajuty załogi. Przy jednym ze stolików trzej żołnierze grali w karty. Giordino rozejrzał się po korytarzach prowadzących do kabin. Upewniwszy się, że są puste, uśmiechnął się do graczy i poprowadził Dirka do zejściówki.

Jeden z żołnierzy obrzucił dwóch nieznanym w źle dopasowanych kombinezonach chłodnym spojrzeniem, ale jego towarzysze byli całkowicie skupieni na grze.

— Dobra nasza — powiedział Al, gdy schodzili na czwarty pokład. — Wygląda na to, że załoga nie koleguje się za bardzo z żołnierzami.

— Możliwe, ale zbliżamy się do ostatniego pokładu, a Pitta i Summer ani śladu — mruknął Dirk w odpowiedzi.

Czwarty poziom wyglądał identycznie jak poprzedni, pomijając brak karciarzy. Tu również nie znaleźli żadnego śladu strzeżonych intruzów.

Gdy wchodzili na piąty pokład, rozległo się wycie syreny alarmowej. Po trzydziestu sekundach ucichło, a z głośników dobiegł męski głos wykrzykujący coś po hiszpańsku.

— Chyba ktoś się obudził i domaga się zwrotu swoich ciuchów — uznał Giordino.

— Nie powiesz mi chyba, że twój prawy sierpowy stracił skuteczność.

Al wzruszył ramionami.

— Wszyscy mamy gorsze dni. Rzućmy okiem na piąty pokład i bierzmy nogi za pas.

Wspięli się pospiesznie na następny poziom, gdzie po jednej stronie znajdowały się kajuty oficerskie, a po drugiej kabiny starszych członków załogi. Kilkoro drzwi już się otworzyło i z kajut wychynęły zaspane twarze. Upewniwszy się, że i tutaj nie ma żadnych strażników, Al i Dirk pobiegli w stronę schodów. Z dołu nadbiegł żołnierz. Rzucił im krótkie spojrzenie, po czym krzyknął:

— *Alto, alto!*

Giordino rozpoznał w nim jednego z graczy na trzecim pokładzie. Zobaczył też, że mężczyzna nie jest uzbrojony. Przyskoczył do niego, chwycił za kołnierz i cisnął nim na drugi koniec pomieszczenia. Żołnierz wyrznął o ścianę i bezwładnie osunął się na ziemię.

— Biegiem! — krzyknął Giordino, rzucając się do ucieczki. Dirk pędził tuż za nim.

Schody wciąż były puste, więc szybko zbiegli na sam dół i ruszyli do drzwi wyjściowych. Al, który szedł pierwszy, już na zewnątrz wpadł prosto na uzbrojonego żołnierza zmierzającego w przeciwnym kierunku. Mężczyźni zatoczyli się i przewrócili na pokład.

Choć żołnierz upadł z większą siłą, zareagował szybciej od Giordino. Błyskawicznie zerwał się na równe nogi i przycisnął lufę karabinu do jego piersi.

— Nie ruszaj się! — warknął.

Podnosząc ręce do góry, Al mógł sobie pozwolić tylko na grymas wściekłości.

ROZDZIAŁ 42

W momencie gdy mężczyźni się zderzyli, Dirk zdążył dopiero zejść ze schodów. Błyskawicznie ukrył się za nimi, zanim żołnierz zdążył zauważyć, że Giordino nie jest sam.

Ciężkie kroki i narastająca kakofonia głosów uprzedziły go, że z góry nadciąga pogoń. Wiedząc, że od niewoli dzieli go zaledwie sekundy, wziął głęboki oddech i czekał, aż Giordino umożliwi mu atak.

Tymczasem Al, wciąż z rękami w górze, zasypywał żołnierza potokiem wymowy, aby odwrócić jego uwagę.

— Co ty wyrabiasz? — zawołał. — Muszę sprawdzić hydraulikę. Zabierz tę pukawkę. Jestem członkiem załogi.

Symulował uraz nogi i podskoczył do relingu, żeby się na nim oprzeć. Żołnierz obracał się, żeby cały czas mieć go przed sobą, i krzyczał, każąc mu się zatrzymać. Wyraźnie się rozluźnił, gdy Giordino wreszcie stanął i ponownie uniósł ręce do góry.

Chwilę później Al tak wymanewrował żołnierza, że ten stanął plecami do schodów. Dirk zareagował natychmiast. Wyskoczył z kryjówki i rzucił się na mężczyznę z impetem rozjuszonego byka. Nawet nie próbował odebrać mu broni, tylko wysunął łokieć i uderzył z całej siły.

Żołnierz, który kątem oka zauważył zamieszanie za swoimi plecami, zaczął się odwracać dokładnie w momencie, gdy Dirk się z nim zderzył.

Pofrunął w kierunku Ala, a ten wyrznął go pięścią w brzuch.

Przed upadkiem żołnierz instynktownie nacisnął spust swojego AK, posyłając pół tuzina kul w pokład.

Siła obu uderzeń całkiem pozbawiła go tchu. Zwalił się ciężko na ziemię, przysiadając na swojej broni i ściskając się za brzuch.

— Dzięki — rzucił Giordino do Dirka. — A teraz zmywajmy się stąd.

Popędzili wzdłuż prawej burty, ale że przypadkowe strzały zaalarmowały załogę statku, z bloku kwaterunkowego zaczęli wybiegać uzbrojeni żołnierze.

Dirk i Al zdążyli pokonać zaledwie kilkanaście metrów, nim usłyszeli za sobą huk kolejnych wystrzałów. Musieli ponownie wskoczyć do hangaru z wrębiarką.

Nie było tam nikogo poza samotnym technikiem, który stał na platformie i doglądał jednego z paneli sterowania. Giordino rozejrzał się, po czym wskazał ręką w stronę rufy.

— Biegnij do pontonu — poleciał Dirkowi. — Ja ich zatrzymam.

— Nie dasz rady.

— Dam. Wypatruj mnie za burtą.

Dirk wiedział, że dalszymi sprzeciwami nic nie wskóra, więc przebiegł przez hangar i przemknął na rufę.

Tymczasem Al podszedł do platformy kontrolnej. Wystraszony hukiem wystrzałów technik odwrócił się i zobaczył zbliżającego się mężczyznę.

— Tu nie wolno wchodzić! — krzyknął.

Giordino, widząc, że facet jest przerażony, pokazał kciukiem za siebie i rzucił krótko:

— Spadaj stąd!

Technik kiwnął posłusznie głową, precyzyjnie przesunął się obok niego na schodach i wybiegł z hangaru.

Al przyjrzał się panelowi sterowania, który okazał się stacją diagnostyczną wrębiarki. Paląca się zielona lampka wskazywała, że pojazd jest uruchomiony. Zaczął manipulować przyciskami i dźwigniami na kontrolce, aż trafił na dwie gałki, którymi mógł sterować maszyną. Przesunął je mocno do przodu i wrębiarka ruszyła przed siebie na ciężkich gąsienicach.

Giordino zmienił ustawienia, spowalniając pracę lewej gąsienicy i kierując maszynę w stronę dziobu statku. Zadowolony z efektu, uruchomił głowicę skrawającą.

Dwaj żołnierze zajrzeli do hangaru dokładnie w momencie, kiedy wrębiarka zaczęła rozszarpać jego ścianę. Chwilę później fragment ściany osunął się prosto na nich.

Jeden z żołnierzy zdążył uskoczyć i próbował wyciągnąć towarzysza z rumowiska, ale ten był całkiem przygwożdżony. Maszyna nieubłaganie parła naprzód, a przygnieciony mężczyzna zdążył tylko zawyć przeciągle, zanim został zmielony wraz z resztkami ściany i fragmentami pokładu na krwawą miazgę.

Wrębiarka przemieszczała się wzdłuż prawej burty, tarasując przejście kolejnym żołnierzom, nadbiegającym z innych części statku. Giordino zszedł z platformy i pobiegł w kierunku rufy. Już widział przed sobą reling, gdy nagle drogę zagroziło mu dwóch żołnierzy, którzy wyrosli jak spod ziemi. Obaj przyklękli w pozycjach strzeleckich i unieśli karabiny.

Al nie zamierzał czekać, aż zdążą porządnie wycelować. Nie zwalniając, skręcił w stronę burty, odbił się i skoczył.

Kiedy sekundę później od relingu odbiła się seria pocisków, Al był już za burtą. Zanurkował i zaczął mocno pracować rękami i nogami, aby jak najszybciej oddalić się od statku. Wypłynął dopiero po kilkunastu metrach, żeby zaczerpnąć powietrza i rozejrzeć się.

Do jego uszu dobiegł głos Dirka:

— Łap linę i trzymaj się mocno!

W pobliżu głowy zamajaczył mu duży ciemny kształt, upstrzony gdzieniegdzie pomarańczowymi plamami. Poczul linę prześlizgującą się po ciele i ścisnął ją obiema rękami.

Silne szarpnięcie porwało go do przodu. Czuł się, jakby ramiona miały wyskoczyć mu ze stawów, ale wytrzymał prawie minutę. Za każdym razem, gdy jego głowa wynurzała się na

powierzchnię, słyszał coraz odleglejszy huk wystrzałów. Niemal całkiem stracił oddech i wypił pewnie ponad litr wody, kiedy wreszcie poczuł, że lina w jego dłoniach się rozluźnia.

Przez dobre pół minuty dryfował swobodnie na powierzchni, napelniając obolałe płuca powietrzem. W końcu dotarł do pontonu, z którego Dirk wyciągał pomocną dłoń. Z oddali dobiegały odgłosy pojedynczych wystrzałów.

Giordino chwycił rękę Dirka i przy jego pomocy wciągnął się do środka.

— Teraz już wiem, jak to jest być przeciąganym pod kilem — jęknął.

— Wybacz. Uznałem, że muszę wyciągnąć cię stamtąd jak najszybciej, bez względu na komfort. Ponton zdrowo oberwał, ale jesteśmy już poza ich zasięgiem.

Al dopiero teraz zauważył, że dwie z pięciu pneumatycznych komór zodiaka zwiotczały.

— Najwyraźniej nie oszczędzają amunicji — skomentował.

— I pewnie nie zachwycił ich twój pokaz górnictwa okrętowego — dodał Dirk, włączając silnik.

Giordino spojrział na oddalony o kilkaset metrów statek. Załozce „Sea Raker” udało się wyłączyć zasilanie wrębiarki, ale do tego czasu maszyna zdążyła przeorać dobrze ponad dwadzieścia metrów pokładu. Wyteżywszy wzrok, dostrzegł sylwetki żołnierzy buszujących po statku niczym rój pszczół.

Zodiak sunął po coraz bardziej niespokojnym morzu, a on z ponurym grymasem rozmyślał o tym, co dzieje się teraz na pokładzie „Sea Raker”. Ich wypad okazał się kompletną porażką. Gdzieś tam, w środku tego chaosu wciąż tkwili Pitt i Summer. W obecnej sytuacji uratowanie ich będzie graniczyło z niemożliwością.

ROZDZIAŁ 43

Księżyc wciąż był wysoko na nocnym niebie, gdy holownik, na którym przewożono Pitta i Summer, zaczął wreszcie zwalniać. Wkrótce silnik łodzi ucichł, a kadłub zaskrobał o nabrzeże. Pitt obudził córkę, lekko potrząsając ją za ramię.

— Jak długo spałam? — zapytała, tłumiąc ziewnięcie.

— Około godziny.

— Czyli powinniśmy być gdzieś w pobliżu Key West.

Strażnik o kamiennej twarzy, który pilnował Pitta i Summer przez całą podróż, pozostał z nimi również po przybiciu do brzegu. Siedzieli w kabinie, prawie się nie odzywając, a na jego ponurym obliczu nie drgnął ani jeden mięsień. Dopiero po godzinie pojawił się drugi żołnierz i obaj wyprowadzili Pitta i Summer na długi pomost.

— Nie wygląda to na Florydę — stwierdziła Summer, rozejrzawszy się.

Brzeg był gęsto porośnięty drzewami, a chociaż na wzgórzach widocznych w oddali majaczyły tu i ówdzie pojedyncze światła, okolica wyglądała na niezamieszkaną. Pomost ciągnął się wzdłuż otoczonej skałami zatoki. Na jego końcu wznosiły się dwa oświetlone budynki.

Dok miał dobrze ponad sto metrów długości, ale stalowe platformy pomalowano szarozieloną farbą, więc z powietrza były praktycznie niewidoczne. Ich holownik stał przycumowany za barką, którą dopchnął do brzegu, wyładowaną wyschniętą już rudą wydobytą z dna oceanu przez załogę „Sea Raker”.

Gdy strażnicy prowadzili Pitta i Summer przez pomost, od strony brzegu nadeszła grupa robotników. Większość nosiła takie same mundury jak żołnierze z pokładu „Sea Raker”, ale kilku było ubranych w specjalne kombinezony do pracy z materiałami toksycznymi. Mężczyźni skierowali się w stronę dużego przenośnika taśmowego, najwyraźniej zamierzając rozładować barkę.

Dotarłszy do końca pomostu, Pitt zauważył na brzegu kilka stert rudy, zanim jednak zdążył im się dokładnie przyjrzeć, poczuł mocne szturchnięcie w plecy lufą karabinu, przypominające mu, że to nie wycieczka krajoznawcza.

Strażnicy zaprowadzili ich do niewielkiego budynku ze spadzistym dachem, sąsiadującego z dwupiętrowym blokiem sypialnym i lądowiskiem dla helikopterów. Wystrój wnętrza — z pluszowymi dywanami i boazerią na ścianach — pasowałby raczej do korporacyjnego biurowca, a nie do skromnego parterowego domku.

Summer wyraźnie się ożywiła, dostrzegłszy w stojącej pod ścianą przeszklonej gablocie kolekcję mezoamerykańskich artefaktów. Nie miała jednak okazji im się przyjrzeć, bo od razu wprowadzono ich do niedużego gabinetu, w którym stało tylko puste biurko i dwa tapicerowane krzesła. Jeden z żołnierzy stanął w otwartych drzwiach, blokując wyjście.

— Przynajmniej zapewnili nam odrobinę komfortu przed egzekucją — stwierdził Pitt, siadając bokiem na jednym z krzeseł. W dalszym ciągu ręce miał związane za plecami.

— To wcale nie jest śmieszne. — Summer usiadła na drugim krześle, pochyliła się w stronę ojca i spytała ściszym głosem: — Jak myślisz, po co nas tu przywieźli?

— Najwyraźniej nie chcieli, żebyśmy się kręcili w rejonie ich prac wydobywczych. Może zamierzają nas tylko przetrzymać w bezpiecznym miejscu, dopóki nie skończą przy „Alcie”.

— Jak to? Chyba „Sargasso Sea” nie będzie beczynnym stałem?

— Mogą nie mieć innego wyjścia, jeżeli sprawą zainteresuje się kubańska marynarka.

— Al nie będzie zachwycony.

— Nie będzie, ale nic na to nie poradzi. Jeśli to jest operacja wojskowa, nie obejdziesz się bez interwencji na wysokim szczeblu. Być może będziemy musieli tu zostać, dopóki oficjele Wujy Sama nie zechcą nas wykupić.

Summer pokręciła głową.

— Przecież nie zdołają ukryć szkód spowodowanych wyciekami rtęci.

— Słuszna uwaga. I przyszło mi do głowy jeszcze coś. Zwróciłaś uwagę na tych robotników w kombinezonach ochronnych i aparatach tlenowych?

— Tak. Muszą wiedzieć, że w kopalinach znajduje się rtęć.

— Na pewno. Ale zauważyłem też, że wszyscy mieli przypięte do kombinezonów małe urządzenia pomiarowe, takie jak dozymetry używane przez marynarzy na atomowych okrętach podwodnych.

Summer zastanowiła się chwilę.

— Możesz mieć rację. Sprawdzalam kiedyś skład geologiczny jednego z kominów hydrotermalnych w strefie Grzbietu Wschodniopacyficznego. W bazalcie stwierdzono wysoką zawartość uranu i kilku innych rzadkich pierwiastków. — Popatrzyła ojcu w oczy. — Podejrzewasz, że wydobywają uran?

— Tak — odparł. — To by wyjaśniało wysoki poziom zabezpieczeń. I zatopienie „Alty”.

— Myślisz, że to robota Kubańczyków?

— Jeden z ludzi z dzwonu nurkowego powiedział, że tuż przed zatonięciem statku widział niezidentyfikowany pojazd podwodny.

— Ale po co Kubańczykom uran? Przecież nie mają technologii niezbędnej do produkcji broni atomowej.

— Tego nie wiem — przyznał Pitt.

Zamilkli oboje, czując, że natknęli się na coś znacznie bardziej złowieszczonego, niż początkowo sądzili.

ROZDZIAŁ 44

Zniecierpliwiony Giordino potrząsnął nerwowo głową. — Czyżbyśmy stali na kotwicy? — mruknął.

Mimo że światła „Sargasso Sea” błyszcząły w niewielkiej odległości, nic nie wskazywało na to, aby przez ostatnich kilka minut zbliżyli się choćby o piędź do statku. Malutki silnik nie był w stanie przełamać oporu stawianego przez przebite komory zodiaka i przybierający na sile wiatr. Dopłynięcie do „Sea Raker” zajęło im niecały kwadrans, a powrót trwał już prawie godzinę.

— Płyniemy na pełnej mocy. — Dirk dla pewności dokręcił manetkę do oporu. — To przez ten czołowy wiatr.

Tymczasem z mostka „Sargasso Sea” dowódca załogi, kapitan Malcomb Smith, obserwował przez lornetkę powierzchnię wody pomiędzy dwoma statkami.

— Tam! Widzę ich! — zawołał do sternika.

— Są z nimi Summer i pan Pitt?

— Za ciemno, żeby zobaczyć. Zejdę na dół i się przekonam.

Kapitan podszedł do relingu na lewej burcie, gdzie przy żurawiu już czekało dwóch marynarzy, żeby podjąć zodiaka z wody. Pneumatyczna łódź opłynęła rufę i podeszła do burty statku. Była tuż przy kadłubie, więc cień padający z „Sargasso Sea” skrywał ją, gdy zbliżała się do żurawia.

Smith wychylił się, chcąc jak najszybciej zobaczyć, czy Pitt i Summer są w środku. Zamiast nich ujrzał w łodzi oddział ubranych na czarno komandosów. Tuż za nią do kadłuba dobił drugi ponton. W tym samym momencie przez reling statku przeleciały dwa haki z podczepionymi drabinkami linowymi. Chwilę później dwaj żołnierze wspięli się po nich na pokład.

Kapitan krzyknął ostrzegawczo i wypchnął bliższego napastnika za burtę, z powrotem do łodzi. Niestety drugi komandos nie czekał, aż spotka go podobny los. Wycelował w Smitha z pistoletu i pociągnął za spust.

Dirk i Giordino, znajdujący się niecałe sto metrów dalej, usłyszeli huk wystrzału. Wprawdzie nie widzieli, jak wyprzedzały ich łodzie komandosów, ale od razu pojęli, co musiało się wydarzyć.

Gdy byli zaledwie kilka metrów od „Sargasso Sea”, Dirk zrobił szeroki zwrot przed burtą. W świetle reflektorów statku dostrzegł dwie pneumatyczne łodzie szturmowe przywiązane na śródkręciu, których pilnował jeden człowiek.

Al wskazał wartownika palcem, a Dirk pokiwał głową na znak, że zrozumiał. Zawracając, ustawili się dokładnie za plecami żołnierza, po czym ruszyli w jego stronę. Bezgłośny silnik elektryczny pozwalał im na atak z zaskoczenia.

Wartownik skupił swą uwagę na tym, co działo się nad nim, na pokładzie statku, gdy nagle zodiak uderzył w burtę jego łodzi. Giordino zeskoczył z dziobu i zbił z nóg zaskoczonego komandosa. Ten upadając, uderzył głową w silnik łodzi i stracił przytomność. Al wyrwał mu z rąk karabin i zaczął się wspinać na pokład „Sargasso Sea”.

Gdy pół minuty później Dirk wszedł po drabince na górę, Giordino już gdzieś zniknął. Ruszył przed siebie, by po kilku krokach potknąć się o leżące twarzą do ziemi zakrwawione zwłoki jednego z członków załogi.

Na statku panowała złowieszcza cisza, główny pokład był całkiem pusty. Gdzie się podziała reszta komandosów? I gdzie jest Al?

Uznawszy, że Giordino najprawdopodobniej poszedł na mostek, skierował się w tę stronę. Kiedy dotarł do schodni na lewej burcie, zobaczył wymierzony w siebie pistolet.

Dopiero w następnej chwili dostrzegł, że korytarz jest pełen ludzi. Kapitan Smith siedział na stopniu, doglądając ogłuszonego marynarza. Sam miał zakrwawione ramię i nogę. Trochę dalej stał Giordino z paskudnym rozcięciem na czole i dwoma naukowcami u boku. Pilnowało ich dwóch komandosów.

Do Dirka mierzył Calzado, dowódca żołnierzy.

— Miło z waszej strony, że raczyliście się zjawić — powiedział. — Było mi niezmiernie przykro, że nie zdążyliśmy się spotkać na „Sea Rakerze”.

Zanim Dirk zdążył wymyślić kąśliwą ripostę, z góry nadszedł kolejny komandos.

— Mostek zabezpieczony, sir — zameldował. — Przejęliśmy całkowitą kontrolę nad statkiem.

ROZDZIAŁ 45

Na rozkaz Calzado Dirk i Giordino postawili rannego Smitha na nogi i na pół prowadzili, na pół nieśli w stronę rufy. Z każdym krokiem kapitan zostawiał na pokładzie ślady krwi. Wreszcie dotarli do dwóch pomieszczeń laboratoryjnych, w których żołnierze zebrali resztę załogi. Calzado kazał im wejść do bliższego z pomieszczeń. Wśród zgromadzonych tam ludzi Dirk wypatrzył lekarza pokładowego i zaprowadził go do Smitha.

— Straty w ludziach? — spytał kapitan słabym głosem, gdy oglądał ranę na jego ramieniu. Wyglądał, jakby lada chwila miał stracić przytomność.

Na pytanie dowódcy statku odpowiedział pierwszy oficer, tyczkowaty mężczyzna nazwiskiem Barnes. Był tylko w bieliźnie, zapewne obudzono go karabinem wycelowanym w głowę.

— Młodszy inżynier Dyer zginął na pokładzie, sir. Czterech innych zostało ciężko rannych, ale ich życie nie jest zagrożone.

— Czy na mostku zdążyli nadać wezwanie o pomoc albo sygnał ratunkowy?

— Niestety nie, sir. Wtargnęli na mostek, nim ktokolwiek zdał sobie sprawę, co się dzieje. Sternik potwierdził, że nie nadali żadnej wiadomości. Żołnierze wciąż trzymają **Rossa** na mostku.

Smith kiwnął głową i zwrócił się do Giordino.

— Udało wam się dowiedzieć czegoś o Summer i Pitcie?

— Znaleźliśmy "Starfisha" w hangarze z urządzeniami wydobywczymi, więc muszą w dalszym ciągu być na pokładzie — odparł Al. Nie chciał nawet myśleć o złowieszczej alternatywie.

Kapitan wypuścił powietrze z głośnym świstem.

— Kim oni są, do cholery?

— Statek nazywa się „Sea Raker” — odrzekł Giordino. — Ale załoga przypomina raczej obstawę niszczyciela niż statku wydobywczego. Wszyscy uzbrojeni po zęby. Wyglądali mi na regularnych żołnierzy armii kubańskiej.

Potwierdzenie jego słów nadeszło chwilę później, gdy drzwi laboratorium otworzyły się z trzaskiem. Stał w nich Calzado, który obrzucił stłoczonych więźniów **wrogim** spojrzeniem.

— „Sargasso Sea” został przejęty w wyniku naruszenia kubańskich wód terytorialnych — ogłosił. — Wszyscy członkowie załogi są od tej chwili więźniami naszego państwa.

— Nie wpłynęliśmy na wody terytorialne Kuby — zaprotestował Barnes.

Calzado popatrzył na pierwszego oficera z lodowatym uśmiechem.

— Mam obowiązek was uprzedzić, że wszelkie próby ucieczki lub sabotażu na pokładzie statku będą karane z najwyższą surowością. Macie pozostać tutaj, w ciszy i spokoju.

Powiedziawszy to, odwrócił się i wyszedł. Dwaj żołnierze zatrzasnęli za nim drzwi i przekręcili klucz w zamku.

— To jakieś kpiny! — wykrzyknął Barnes. — Znajdujemy się ponad osiem kilometrów od wód terytorialnych Kuby.

W tym momencie rozległ się warkot silników, a po chwili wszyscy poczuli, że statek ruszył.

— Na razie nie jesteśmy na kubańskich wodach — stwierdził Dirk — **ale** wygląda na to, że niebawem będziemy.

Smith miał zamknięte oczy. Wyglądało na to, że zasnął, po chwili jednak się odezwał.

— Nie ma co kusić losu — powiedział. — W siedzibie głównej śledzą nasze położenie i na pewno zorientują się, że coś jest nie tak, gdy nie dostaną od nas żadnego meldunku. Zanim się spostrzeżemy, wyślą kogoś na ratunek. Niech wszyscy zachowają spokój i słuchają poleceń tego typu.

Giordino ani myślał słuchać poleceń Calzado. Już od jakiegoś czasu krążył nerwowo po laboratorium niczym tygrys w klatce, rozmyślając, jak dostać swoich dozorców między pazury.

ROZDZIAŁ 46

Pitt i Summer spędzili prawie pół dnia w gabinecie, zanim usłyszeli, jak do budynku wchodzi kilka osób i zajmuje pokój obok. Drzwi obu pomieszczeń były otwarte, słyszeli więc każde wypowiedziane słowo.

— No dobra, Molina, co to za nadzwyczajny wypadek wymagający mojej obecności?

Juan Diaz wyciągnął nogi na potężnym mahoniowym biurku i popatrzył spode łba na siedzącego naprzeciwko zarządcę prac wydobywczych. Mimo iż sam spędził sporo czasu w kubańskiej armii, traktował wojskowych z nieskrywaną pogardą.

— Na każdym kroku podkreślał pan, *comandante*, że operacja wydobywcza musi się odbywać w całkowitej tajemnicy — zaczął swoje wyjaśnienia porucznik Silvio Molina. Co prawda Diaz nie miał już stopnia wojskowego, ale żołnierze na terenie placówki zwracali się do niego w ten sposób ze względu na jego powiązania rodzinne.

— Tak, oczywiście — przyznał. — Ty i twoi podkomendni zostaliście wybrani z uwagi na waszą pełną lojalność wobec generała.

— Ubiegłej nocy doszło do wtargnięcia w rejonie Domingo 1.

Diaz skierował spojrzenie na wiszącą na ścianie wielką mapę Cieśniny Florydzkiej. Rejon oznaczony na zielono i opisany jako „Domingo 1” znajdował się na północny wschód od Hawany.

— Mów dalej.

— Z nadejściem zmroku przyplłynął amerykański statek badawczy „Sargasso Sea” i rzucił kotwicę w pobliżu źródła...

— „Sargasso Sea”? — powtórzył Diaz. — Czy to nie ten statek kręcił się tam po zatopieniu „Alty”?

— Tak, to jednostka należąca do Narodowej Agencji Badań Podwodnych i Morskich. Właśnie oni wyłowili rozbitków ze statku wiertniczego.

— Dlaczego wrócili w to miejsce?

— Nie wiem — odparł Molina. — Może zamierzali przeprowadzić rozeznanie na zlecenie norweskich właścicieli statku. A może pracują dla CIA.

— Zatopienie „Alty” miało wyglądać na wypadek — warknął Diaz. — Takie mieliście rozkazy.

— I wykonaliśmy je co do joty. Ale ostrzegałem, że to i tak może zwrócić uwagę osób postronnych.

— Gdyby zmarły śmiercią tragiczną minister Ortiz nie wydał im zezwolenia na odwierty w tym konkretnym miejscu, nie byłoby sprawy. A tak nie mieliśmy innego wyboru, musieliśmy

ich usunąć z tego rejonu. — Diaz nachmurzył się. — Widziałem, że na brzegu pojawiła się kolejna dostawa. Jakie są aktualne wyniki wydobywania?

— Włączając najnowszą dostawę, szacujemy, że mamy już łącznie dwieście osiemdziesiąt ton gotowego materiału. Rankiem spodziewamy się statku naszych klientów, który odbierze pierwszą część zamówienia — dwieście pięćdziesiąt ton.

Diaz wstał i podszedł do mapy. Oprócz zielonego rejonu znajdowały się na niej jeszcze dwa, czerwone, ulokowane trzydzieści i pięćdziesiąt kilometrów dalej na północ. Wskazał je i rzekł:

— Ujścia hydrotermalne w rejonach Domingo 2 i Domingo 3 są dziesięć razy większe od tego w Domingo 1. Zdążymy przy nich wykopać resztę zamówienia, o ile można wierzyć przewidywanym współczynnikom zawartości kopaliny.

— Wyniki wydobywania z Domingo 1 okazały się lepsze, niż oczekiwaliśmy — stwierdził Molina. — Zawartość tlenu uranu w kopalinach przekroczyła pięćdziesiąt procent. To znacznie więcej niż w przypadku jakichkolwiek tradycyjnych przedsięwzięć wydobywczych, nawet w kanadyjskiej Athabascie.

— Właśnie dlatego zainwestowaliśmy w bardzo kosztowną podwodną operację wydobywczą. Kiedy „Sea Raker” zakończy prace w aktualnym miejscu?

— Tego nie potrafimy przewidzieć. — Molina nagle bardzo zainteresował się czubkami swoich butów. — Wykonali zadanie w osiemdziesięciu pięciu procentach, ale musieli przerwać prace, żeby dokonać napraw na pokładzie.

— Jakich napraw? — Diaz nawet nie próbował ukryć zaskoczenia.

— To przez ten amerykański statek badawczy. Gdy prowadzono prace wydobywcze, ktoś od nich podpłynął do naszej wrębiarki w łodzi podwodnej. Udało nam się przechwycić łódź i przenieść na pokład naszego statku.

— Co takiego?! — Diaz aż podskoczył.

— Nagrywali nasze działania, więc trzeba było zareagować. Calzado zameldował z „Sea Raker”, że łódź podwodną ukrył na statku, a jej operatorów przysłał tutaj razem z najnowszym ładunkiem dziś rano. Wkrótce potem dwóch innych ludzi ze statku NUMA wtargnęło na pokład „Sea Raker”, prawdopodobnie w poszukiwaniu towarzyszy. Zostali wykryci, ale zdołali uciec, a przedtem udało im się dokonać pewnych szkód za pomocą wrębiarki.

Twarz Diaza przybrała barwę purpury.

— Więc ci z okrętu badawczego wiedzą, że prowadzimy tam prace górnicze i porwaliśmy ich łódź podwodną?

— Tak — przyznał Molina — ale Calzado doniósł również, że wraz z grupą żołnierzy przejął amerykański statek. Twierdzi, że nie zdążyli wysłać sygnału ratunkowego.

— I zrobiliście to wszystko bez mojej wiedzy? — Diaz obrzucił rozmówcę lodowatym spojrzeniem.

— To były pilne decyzje wojskowe, do tego należało je podjąć w środku nocy — odparł porucznik. — Pozwoliłem sobie obudzić generała i uzyskać jego zgodę.

Diaz nie spuszczał z niego wzroku.

— A nie przyszło wam do głowy — wycodził przez zęby — że Amerykanie mogą zauważyć nagłe zniknięcie ich statku badawczego?

— Statek został przemieszczony bliżej wybrzeża. Jeśli Amerykanie zaczną się pieklić, powiemy, że naruszyli nasze wody terytorialne.

— Naraziliście na szwank bezpieczeństwo całej operacji, i to właśnie teraz, w ostatnim stadium — warknął Diaz, ale po chwili wściekłość w jego oczach ustąpiła miejsca determinacji. — Trzeba przyspieszyć prace w rejonach Domingo 2 i 3. Muszę też sprawdzić, czy nasz klient jest gotowy przyjąć drugą dostawę przed czasem.

— „Sea Raker” może popłynąć do następnych rejonów i przygotować materiały wybuchowe przed **zakończeniem** naprawy wrębiarki.

— Kiedy będą mogli wznowić wydobywanie?

— W ciągu dwudziestu czterech godzin, jeśli nie wcześniej.

— Niech płyną natychmiast — zdecydował Diaz. — Bo może się okazać, że ten amerykański statek stanie się dla nas obciążeniem nie do udźwignięcia. Ja wracam do Hawany na spotkanie z generałem, a „Sea Raker” rusza do Domingo 2.

Już wychodził, gdy Molina spytał:

— A co z pilotami łodzi podwodnej?

— Dalej trzymacie ich na barce?

— Nie, są w pokoju obok.

Diaz ciężko opadł na krzesło i westchnął z rezygnacją.

— Dobra, dajcie ich tutaj.

ROZDZIAŁ 47

Pitt i Summer słyszeli całą rozmowę. Wiadomość o wtargnięciu na „Sea Raker” i spowodowaniu zniszczeń na pokładzie nie zaskoczyła Pitta. Był pewien, że to sprawka Ala i Dirka.

Jednak sytuacja okazała się bardzo poważna. Porwanie łodzi podwodnej i przechwycenie „Sargasso Sea” wskazywały, że mają do czynienia z niezwykle delikatną intrygą. Ponadto kolejnymi celami podwodnych górników były dwa dużo większe kominy hydrotermalne, co groziło katastrofą ekologiczną na znacznie poważniejszą skalę. Summer najwyraźniej podzielała jego obawy, bo spytała:

— Jeżeli ujścia hydrotermalne w tych dwóch rejonach są dziesięć razy większe niż w miejscu zatopienia „Alty”, co się stanie, kiedy je wysadzą? Rudi mówił, że już odnotowali podwyższone stężenie rtęci w pobliżu wyspy Andros na Bahamach.

— Pomnóżmy obecny poziom skażenia przez dwadzieścia. a otrzymamy prawdziwą katastrofę — przyznał Pitt. — Zagrożenie dla życia morskiego migrującego w rejonach skażenia jest ogromne.

— Podczas wycieku ropy z platformy BP najbardziej obawiano się, że zanieczyszczenia dotrą do Cieśniny Florydzkiej i stamtąd przeniosą się do Wschodniego Wybrzeża — powiedziała Summer. — Tym razem zagrożenie jest nieproporcjonalnie większe. Jeśli skażenie będzie miało źródło w samym środku cieśniny, metylortęć błyskawicznie rozprzestrzeni się w łańcuchu pokarmowym i wszystkie łowiska od Teksasu po Nową Anglię staną się toksyczne.

W tym momencie do pokoju weszło dwóch żołnierzy, którzy bez słowa podnieśli Pitta i Summer z krzeseł i zaprowadzili do gabinetu obok.

— To oni kręcili się na terenie naszych prac wydobywczych — oznajmił Molina.

Na widok Summer Diazowi oczy o mało nie wyszły z orbit. Dziewczyna była nie mniej zaskoczona, widząc, kto jest jej porywaczem, ale pierwsza zdołała odzyskać mowę.

— Profesor Diaz — powiedziała, akcentując tytuł naukowy. — Nie wiedziałam, że uprawianie antropologii obejmuje według pana morderstwa i porwania.

— Nie wiesz o mnie wielu rzeczy, Summer Pitt — odparł.

Już miała się odciąć, gdy jej wzrok przykuł przedmiot znajdujący się za jego plecami. Na stole w głębi pomieszczenia leżała połówka azteckiej tablicy, którą wyłowiała w Zimapan. Zalała ją fala koszmarnych wspomnień.

— Zamordowałeś doktora Torresa z zimną krwią — rzuciła lodowato.

W odpowiedzi Diaz tylko uśmiechnął się krzywo.

— Zna pan tę kobietę? — spytał Molina.

— Owszem. Dzielimy zainteresowanie historią Azteków — mówiąc to, podszedł do połówki kamiennej tablicy i musnął jej powierzchnię opuszkami palców. — Jaka szkoda, że drugiej połowy nie było na pokładzie „Oso Malo” na Jamajce.

— Tak, wielka szkoda — mruknęła ironicznie Summer, która zdążyła już opanować emocje. — Druga połowa wylądowała w Hawanie, na pokładzie „Maine”. Cały czas była tuż pod twoim nosem.

— Dobrze wiem — odparował Diaz — że doktor Boyd był na pokładzie z drugą połową tablicy, kiedy „Maine” zatonął. Mimo to jestem ci winien podziękowania za ułatwienie mi odkrycia miejsca ukrycia skarbu.

— Jakiego skarbu?

Popatrzył na nią z nieskrywanym zdziwieniem.

— Więc nie wiesz, o czym mówią napisy na kamieniu? — roześmiał się i podszedł do gabloty wypełnionej niewielkimi kamiennymi rzeźbami i innymi artefaktami. Sięgnął po jedną z figurek i postawił na biurku tuż przed Summer. — Tylko kompletny dureń ryzykowałby życie dla dobra nauki

Figurka, wykonana z czystego złota, przedstawiała psa. Zarówno kruszec, jak i kształt wskazywały, że to wyrób Azteków.

— Skąd ją ukradłeś? — zapytała Summer. — Z Muzeum Antropologicznego przy Uniwersytecie Veracruz?

— Została znaleziona na dnie oceanu podczas prowadzenia pomiarów wiertniczych.

— W wielkim canoe, niecałe pięćdziesiąt kilometrów na północny zachód od Montego Bay — dokończył Pitt.

Do tej pory milczał, próbując niepostrzeżenie przysunąć się do wiszącej na ścianie mapy, ale szturchnięcie kolbą karabinu uniemożliwiło mu odcyfrowanie znajdujących się na niej znaków.

Twarz Diaza stężała na dźwięk jego słów. Podniósł figurkę i odstawił z powrotem na półkę. Następnie podszedł do Summer, zacisnął dłoń na jej długich rudych włosach i mocno szarpnął.

— Gadaj, ale już! — warknął. — Po co tu przyplłynęliście?

Pitt rzucił się przez pokój, a że ręce wciąż miał związane za plecami, z całej siły uderzył Diaza ramieniem.

Ten upadł na biurko, a dwaj żołnierze chwycili rozwścieczonego Pitta i przytrzymali w miejscu. Molina wyciągnął z kabury pistolet i wycelował go w pierś więźnia.

Diaz wstał, zerknął na Pitta i przeniósł wzrok na Summer.

— Dostrzegam rodzinne podobieństwo — orzekł. — Czyżby córka?

Jedyną odpowiedzią Pitta było pełne odrazy spojrzenie.

— Może na czas waszego pobytu zapewni odrobinę rozrywki moim ludziom — powiedział Diaz i odwrócił się do żołnierzy. — Zabierzcie go stąd!

Gdy uzbrojeni mężczyźni wyprowadzili Pitta, Diaz otworzył szufladę biurka i wyjął z niej nóż z zakrzywionym obsydianowym ostrzem. Pokazał go Summer, a potem przystawił do jej policzka.

— Odpowiesz wreszcie na moje pytanie?

Summer uznała, że zatajanie prawdy nie ma najmniejszego sensu.

— Badamy zwiększone stężenie rtęci w okolicznych wodach — powiedziała.

Diaz kiwnął głową i opuścił nóż. Z miejsca, gdzie ostrze dotykało skóry, pociekła cieniutka wstążka krwi.

— Wasze prace wydobywcze doprowadziły do emisji toksycznych oparów, które zabijają okoliczną faunę — ciągnęła Summer. — Wykryliśmy to za pomocą satelity. Najświeższe ślady emisji odkryliśmy tutaj, więc przyплыliśmy, aby zbadać przyczyny. Rtęć wydobywająca się z rozerwanych kominów hydrotermalnych ma fatalne skutki dla środowiska.

Diaz znów pokiwał głową. Wiedział, że podczas prac wydobywczych uwalnia się metylortęć, ale nie obchodził go jej wpływ na środowisko.

— Z czasem stężenie rtęci spadnie — powiedział.

— Co z tego, skoro już doszło do nieodwracalnych szkód w podwodnym ekosystemie — odparła Summer. — A dalsze prace w Cieśninie Florydzkiej mogą doprowadzić do skażenia całej Zatoki Meksykańskiej i wybrzeża atlantyckiego.

— Czyli mogą zaszkodzić Stanom Zjednoczonym? — Diaz zaśmiał się. — Szczerze mówiąc, niespecjalnie mnie to martwi. I obawiam się, że już za późno, aby coś na to poradzić.

Podszedł do leżącej na stole połówki tablicy i postukał w nią ostrzem noża.

— Zdecydowanie za późno. Ale może... — zawiesił głos i jeszcze raz stuknął w kamień — ... może będziesz miała okazję być przy tym, jak wydobędę drugą połowę tablicy i poznam całą zapisaną na niej wiadomość.

ROZDZIAŁ 48

Pilot wyłączył zamontowany na burcie silnik i łódź zaczęła dryfować z prądem. Mężczyzna na dziobie rzucił do wody okrężnicę i chwilę poczekał, aż jej pływaki rozejdą się pod wpływem ruchu. Potem rozsiadł się na przedniej ławeczce i zaczął niemal teatralnie poprawiać linki sieci. W pewnej chwili przerwał i mocno zamachał dłonią przed nosem, wpatrując się w dotychczasowy efekt połowu.

— Jezu, te ryby są zepsute — mruknął z odrazą.

Siedzący przy motorze James Maguire zaśmiał się i odparł:

— Może zapach zniechęci ciekawskich do przeszukania łodzi.

Obaj byli ubrani w T— shirty, a na głowach mieli sfatygowane czapki z daszkiem, upodabniające ich do pływających po okolicy kajmańskich rybaków. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że w rzeczywistości są najemnikami. Maguire służył swego czasu w korpusie marines jako snajper, a później przeszedł do CIA. Marty Gomez był emerytowanym komandosem Navy SEALs. Tylko wyjątkowo uważny obserwator zwróciłby uwagę, jak mizernie wyglądał ich połów po sześciu godzinach nieprzerwanej pracy. I musiałby się naprawdę mocno wysilić, aby zauważyć, że na dnie ich sieci znajduje się dziura wycięta nożem Maguire'a.

Podczas gdy Gomez kontynuował swoje przedstawienie przy sieci, jego towarzysz usadowił się na rufie i uniósł do oczu lornetkę. Skupił wzrok na niewielkim białym jachcie przywiązany do boi jakieś sto metrów od nich. Jacht nie wyróżniał się niczym, poza powiewającą nad pokładem kubańską banderą.

Maguire popatrzył trochę dalej, na dwie łódki patrolowe armii kubańskiej, które zataczały powolne koła wokół jachtu.

— Słońce zaczyna zachodzić — odezwał się Gomez. — Idziesz pod wodę?

Większość dnia spędzili na powolnym, lecz konsekwentnym zbliżaniu się do jachtu. Kilka godzin wcześniej jedna z łodzi patrolowych podpłynęła do nich, ale żołnierze na pokładzie nie wykazali większego zainteresowania zdezelowaną łajbą.

Maguire jeszcze raz powiódł wzrokiem od jednego patrolu do drugiego i odłożył lornetkę.

— Te chłopaki zasypiają na stojąco — oznajmił. — Moja babcia w wiosłowej łódce dałaby sobie radę. Rzucaj kotwicę, pora z tym skończyć.

Gomez zanurzył kotwicę pod linkami pływającymi przy sieci i przywiązał ją do jednej z nich.

Maguire odgarnął garść ryb z leżącej w kącie niewielkiej kupki i wyciągnął niewielkie plastikowe pudełko zawierające komputer nurkowy. Uruchomił kompas cyfrowy, ustalił kurs do jachtu i zaprogramowawszy trasę do przybliżonego punktu, w którym się znajdował, założył urządzenie na rękę.

— Gotowe — powiedział, zdejmując czapkę i sandały. — Oślaniaj mnie.

— Tak jest. — Gomez stał, trzymając przed sobą skłębioną sieć, dzięki czemu zasłaniał Maguire'a przed wzrokiem żołnierzy. — Poczekam z obiadem, aż wrócisz.

Jeszcze raz zerknąwszy na jacht, Maguire wysunął się za burtę. Wpłynął pod łódź, której spód zupełnie nie pasował do unoszącej się nad wodą ruiny. Przecisnął się obok wirników i hydroplątów, dzięki którym „Surprise” przybyła tutaj zeszłej nocy, po wyładowaniu z głównego statku, z prędkością ponad czterdziestu węzłów.

Gładki kadłub wyglądał w tej chwili jak półka w sklepie ze sprzętem sportowym. Maguire sięgnął po zamocowane na hakach butlę i kamizelkę wypornościową. Wsunął do ust automat oddechowy, założył przygotowane wcześniej płetwy, maskę i pas balastowy i podpłynął do dwóch pozostałych przedmiotów. Pierwszym była wzmocniona plastikowa skrzynka, przymocowana do kadłuba potężną ssawką. Przekręcił uchwyt pakunku, odczepiając go od kadłuba, i przymocował do kamizelki. Następnie ściągnął zawieszony na linie mały skuter podwodny. Określiwszy za pomocą komputera kierunek do celu, wysunął skuter przed siebie i uruchomił silnik.

Płynął w dół pod kątem, dopóki nie zszedł na głębokość dwudziestu siedmiu metrów, tracąc z zasięgu wzroku powierzchnię oceanu. Widoczność była bardzo dobra, wyraźnie widział uciekające mu z drogi ławice ryb. Cały czas śledził przebieg trasy na komputerze, więc bardzo się zdziwił, gdy po dotarciu do ustalonego punktu niczego nie znalazł. Postanowił płynąć dalej tym samym kursem i po pokonaniu czterdziestu pięciu metrów wreszcie natrafił na martwą kotwicę betonową. Wyszło na to, że tylko źle oszacował odległość.

Wyłączył skuter, zostawił go na powierzchni kotwicy zaczął się wspinać po lince przypiętej do metalowej boi nad nim. Wkrótce zobaczył zarys jachtu kołyszącego się na wodzie. Upewniwszy się, w którą stronę skierowany jest dziób, podpłynął do śródkręcia. Tuż obok kila odczepił od kadłuba morskie wodorosty i przyczepił w to miejsce plastikową skrzynkę, w której znajdowało się dwa i pół kilograma materiału wybuchowego z detonatorem elektrycznym.

Rozwinął wiązkę cienkiego kabla wychodzącego z detonatora, przeciągnął go do boi, przymocował do jej łańcucha za pomocą kilku plastikowych wiązadełek i ostrożnie poprowadził do góry. Tuż pod powierzchnią przyczepił do boi małej nadajnik. Wysunął do góry jego antenę i następnie przymocował do boi odrobiną kitu. Dla pewności pociągnął delikatnie za kabel. Usatysfakcjonowany efektem, popłynął z powrotem do martwej kotwicy po skuter.

Dziesięć minut później stał obok Gomeza, prowadząc łódź wzdłuż brzegu skąpanego w świetle zachodzącego słońca. Znowu przypominał jednego ze zmęczonych rybaków wracających do domu z marnym połowem.

ROZDZIAŁ 49

Przez głowę Pitta przebiegały tysiące myśli, ale jedna zdecydowanie górowała nad pozostałymi: strach o córkę. Summer i Dirk od dzieciństwa mieszkali ze zmarłą już matką, więc niedane mu było patrzeć, jak dorastają. Kiedy wreszcie pojawili się w jego życiu, już jako osoby dorosłe, szybko wytworzyła się między nimi silna więź. Dzięki wspólnej pracy w NUMA nabrali do siebie bezgranicznego zaufania, a miłość do morza zbliżyła ich do siebie jeszcze bardziej. Pitt wiedział, że Summer jest wyjątkowo twardą i bystrą dziewczyną, ale nie zmieniało to faktu, że w tej chwili miał duszę na ramieniu.

Aby nie myśleć o tym, co może ją spotkać, postanowił najpierw skoncentrować się na tym, co był w stanie zrobić. Zamknęli go w pustym schowku niedaleko pokoju Diaza, z mocnymi, grubymi drzwiami. W środku nie było nic oprócz zwisającej z sufitu lampy.

Ręce nadal miał związane za plecami, ale to nie był duży problem, bo Kubańczycy nie zadali sobie trudu, by go przeszukać. Położył się na podłodze, przekręcił na bok i zaczął manewrować dłońmi, aż udało mu się wsunąć jedną do kieszeni. Scyzoryk ze „Starfisha” był na samym dnie, lecz w końcu zdołał go chwycić i wyciągnąć. Po kolejnych kilku minutach otworzył nóż i przeciął więzy.

Już wolny, wstał i rozmasowując nadgarstki, przyjrzał się drzwiom schowka. Najwyraźniej szczęście go nie opuszczało. Co prawda zamknięto je od zewnątrz, ale otwierały się do środka i były zawieszane na trzech zawiasach rurowych. Ostrze scyzoryka znowu poszło w ruch i niebawem dwa zawiasy zostały całkiem odkręcone, a trzeci poluzowany. Teraz pozostawało tylko czekać.

Ponieważ z gabinetu obok wciąż dochodziły odgłosy rozmowy, Pitt usiadł na podłodze przy drzwiach i nasłuchiwał. Nagle ktoś zaczął przekręcać zamek, odskoczył więc w dalszy kąt pomieszczenia, nie zapominając o schowaniu w kieszeni noża i odkręconych zawiasów. W ostatniej chwili zdążył jeszcze złożyć ręce za plecami. W lekko uchylonych drzwiach pojawiła się twarz żołnierza. Mężczyzna wrzucił do pokoju butelkę wody i puste wiadro i na powrót zamknął drzwi.

Gdy przez następną godzinę Pitt nie usłyszał żadnego dźwięku, zdecydował się odkręcić ostatni zawias. Potem wsunął ostrze noża w szparę przy framudze, delikatnie odgiął krawędź drzwi od ściany i spojrzał przez powstały otwór. W gabinecie nikogo nie było, więc chwycił drzwi oburącz i przesunął tak, jakby je otwierał. Następnie wyszedł ze schowka, zamocował jeden z zawiasów i zamknął drzwi za sobą.

Znów zaczął nasłuchiwać. Z głębi korytarza dobiegały głosy rozmawiających mężczyzn, skierował się więc w przeciwną stronę, do wyjścia. Zajrzał do pomieszczenia, w którym trzymali go z Summer, ale było puste. Uznał, że córki prawdopodobnie nie ma już w budynku.

Głosy za jego plecami stawały się coraz bardziej wyraźne, wślizgnął się więc pospiesznie do gabinetu Diaza i podszedł do mapy ukazującej Cieśninę Florydzką. Widniały na niej trzy

zielone i czerwone okręgi. Najmniejszy wskazywał miejsce, w którym zatonała "Alta". Pitt poczuł nieprzyjemny dreszcz, widząc, że dwa pozostałe są dalej od brzegu, mniej więcej na środku cieśniny. Niewątpliwie były to kolejne ujścia hydrotermalne przeznaczone do wysadzenia, a traf chciał, że znajdowały się w najgorszej możliwej lokalizacji.

Prąd Florydzki jest najsilniejszy właśnie w centrum cieśniny, gdzie płynie na północny wschód z prędkością dochodzącą do trzech węzłów. W rezultacie powstają wiry, obracające się przeciwnie do ruchu wskazówek zegara i przemieszczające wodę w kierunku wschodniego wybrzeża Florydy. Przesuwał palcem po mapie wraz z biegiem Prądu Florydzkiego, który zakręcał bliżej brzegu i nieco dalej łączył się z Prądem Zatokowym. Miami Beach znajdowało się zaledwie sto sześćdziesiąt kilometrów stamtąd. Gdyby nawet górnicy zamierzali doprowadzić do skażenia na możliwie największą skalę, nie mogliby wybrać lepszego miejsca.

Pitt z przerażeniem zaczął wyobrażać sobie nadchodzącą niewidzialną falę śmierci. Jeśli dojdzie do wysadzenia tych otworów i emisji rtęci na skalę proporcjonalną do obecnej, ogrom zniszczeń będzie przytłaczający. W rejonie całego Wschodniego Wybrzeża nastąpi zatrucie wody, co spowoduje masowe wymieranie organizmów wodnych i całkowite unicestwienie łowisk. W porównaniu z taką katastrofą wyciek oleju z platformy BP to tylko drobny problem.

Rzucił okiem na blat biurka i zauważył kalendarz, na którym zrobiono kilka notatek. Jedna z nich dotyczyła statku "Algonquin", który lada moment miał przybyć do portu. Pod nazwą statku dopisano jeszcze: "dwieście pięćdziesiąt ton przy średnim wydobywaniu rządu czterdziestu pięciu procent".

Pitt przeszukał też szuflady, ale znalazł w nich tylko jakieś nieistotne urzędowe papiery i starodawny nóż z obsydianu. Słyszając głosy dobiegające zza drzwi, szybko schował go do kieszeni.

Kiedy po jakimś czasie głosy przycichły, podszedł do szafki z artefaktami. Była wypełniona glinianymi naczyniami, kamiennymi rzeźbami i złotą biżuterią. Najwyższą półkę zajmowało mahoniowe wiosło, zdaniem Pitta replika egzemplarza znalezionej w azteckim kanoe. Za nim, na samym końcu półki, stał oprawiony w ramkę rysunek strony z mezoamerykańskiego kodeksu.

Przysunąwszy go bliżej, zobaczył, że przedstawia mężczyznę w pierzastym nakryciu głowy, leżącego na brzuchu. Na drugim planie dwaj kolejni mężczyźni w maskach przedstawiających orły ładowali skrzynię do małego kanoe. Pitt dłuższą chwilę wpatrywał się w rysunek, a potem przesunął wzrok na leżącą obok połówkę kamiennej tablicy.

— A niech mnie... — mruknął, gładząc kamień. — To stąd całe to zamieszanie.

Nie miał jednak czasu na zastanawianie się nad znaczeniem kamiennej tablicy. Musiał jak najszybciej znaleźć Summer i wymyślić sposób na niedopuszczenie do wysadzenia kominów hydrotermalnych. No a przede wszystkim wydostać się z budynku, w którym cały czas przebywał.

O ile się orientował, było tu tylko jedno wyjście, niewątpliwie dobrze strzeżone.

Otworzył drzwi gabinetu i nadstawił uszu. Panowała całkowita cisza, mężczyźni z końca korytarza najwyraźniej już wyszli.

Wyszedł z pokoju i skierował się do holu. Zamarł w bezruchu na widok uzbrojonego strażnika stojącego przy recepcji i wyglądającego przez okno. Uznał, że nie zdoła do niego dobiec niedostrzeżony, wycofał się więc w głąb korytarza.

Wrócił do gabinetu Diaza i popatrzył na telefon stojący na biurku. Był to staromodny aparat biurowy, z przyciskami wywołującymi poszczególne linie wewnętrzne. Pitt podniósł słuchawkę i wcisnął kolejne guziki, aż wreszcie usłyszał dźwięk dzwonka w okolicy recepcji. Odłożył słuchawkę na blat, podszedł do szafki i zdjął z najwyższej półki mahoniowe wosło.

Ponownie wyszedł do holu i bardzo wolno ruszył w stronę wyjścia. Telefon w recepcji ciągle dzwonił, a przechadzający się w tę i z powrotem strażnik co i rusz zerkał na niego z niechęcią. Po pięciu minutach nerwy w końcu mu puściły i odebrał.

— Halo? Halo?

Nie usłyszawszy żadnej odpowiedzi, odłożył słuchawkę. W tym samym momencie wyczuł ruch za plecami. Odwracając się, zobaczył, jak Pitt właśnie kończy szeroki zamach wiosłem. Mahoniowy oręż trafił go w bok głowy, powalając na biurko. Strażnik natychmiast się poderwał, ale tylko po to, by zaliczyć kolejne uderzenie, tym razem w drugą stronę czaszki. To wystarczyło, żeby pozbawić go przytomności.

Pitt złapał ogłuszonego mężczyznę pod pachy i zaciągnął do schowka, w którym niedawno sam był przetrzymywany.

Ułożywszy go, zdjął mu kurtkę kamuflażową i spodnie i założył na własne ubranie. Potem zamknął drzwi schowka i wrócił do wyjścia, nie zapominając po drodze podnieść z ziemi AK— 47 pechowego strażnika.

Wyjrzał na zewnątrz. W pobliżu nikogo nie było, więc wyszedł z budynku i rozpoczął poszukiwania córki.

ROZDZIAŁ 50

Admirał Rafael Semmes, wyrwany ze snu przez dźwięk dobiegający z głębi mieszkania, nadstawił uszu i zamruczał. Po chwili pręgowany kot wstał ze swojego posłania i przeciągnawszy się, wskoczył na stojące w pokoju ogromne łóżko. Podeszedł do opatulonego kołdrą pana i z ponagląjącym miauknięciem musnął wąsami jego policzek.

To wystarczyło, by obudzić St. Julienu Perlmuttera. Mężczyzna delikatnie odsunął zwierzę i zwrócił się do niego z lekkim wyrzutem:

— Czy coś się stało, Admirale?

Kot zamiauczał głośno, po czym zeskoczył na podłogę i usadowił się przy drzwiach, wyraźnie czekając, aż pan podaży za nim. Perlmutter, chcąc nie chcąc, wygramolił się z posłania. Wiedział, że Admirał nigdy nie bywa nachalny bez powodu, za to już kilkakrotnie znakomicie się sprawdził w roli stróża. Choćby wtedy, gdy zawiadomił go o zostawionym w piecu, przypalającym się strudlu. Czy innym razem, kiedy dzieciak sąsiadów przymierzał się do „pożyczenia” jego odnowionego rolls—royce'a na amatorską przejażdżkę.

Perlmutter włożył szlafrok i kaptcie i podeszedł do drzwi. Już miał je otworzyć, gdy nagle usłyszał dobiegające z dołu dziwne odgłosy. Cofnął się i z gablotki stojącej na szafie wyjął metalowy szpikuliec długości mniej więcej policyjnej pałki. Takie szpikulce, niegdyś służące marynarzom do splatania grubych lin okrętowych, mogły być w razie potrzeby całkiem dobrą bronią.

Wyszedł na korytarz i ruszył w dół po schodach, starając się iść jak najciszej.

Dotarłszy na parter, zauważył błysk latarki w swoim gabinecie. Podeszedł na palcach do drzwi pokoju i już sięgał do włącznika światła, kiedy jego ruch uprzedziło głośne miauknięcie Admirała Semmesa. Promień latarki natychmiast skierował się w stronę drzwi, prosto w oczy historyka.

— Co tu się dzieje? — zawołał Perlmutter, osłaniając twarz ręką.

Odpowiedział mu tylko szelest pospiesznie przesuwanych papierów, więc ponownie spróbował zapalić światło. Tym razem przeszkodziła mu rzucona z całej siły w twarz książka.

— Barbarzyńca! — krzyknął Perlmutter, otrząsając się po uderzeniu i wpadając do tonącego w mroku pokoju.

Latarka zgasła, ale Perlmutter skoczył w miejsce, gdzie świeciła, i zamachnął się szpikulcem. Narzędzie nie natrafiło na żaden opór, a chwilę później Perlmutter dostał silny cios w bok.

Błyskawicznie sięgnął wolną ręką i zdołał chwycić kurtkę spowitego czernią złodziejaszka. Pociągnął z całej siły i mężczyzna pofrunął w jego stronę. Chociaż był niski i drobny, wrywał się niczym rozjuszony wąż.

Perlmutter zakręcił szpikulcem i dźgnął intruza tępym końcem w żebro. Usłyszał słaby jęk. Próbował wykorzystać przewagę masy i zamknąć przeciwnika w stalowym uścisku, ale ten zdołał się uwolnić i zripostować kopniakiem w kolano.

Perlmutter zgiął się w paroksyzmie bólu i lekko zatoczył do tyłu, następując na koci ogon. Admirał Semmes zapiszczał przeraźliwie i wbił pazury w podłogę. Jego pan próbował odskoczyć w bok, ale nie zdołał ominąć spanikowanego kota. Nogi mu się zaplątały i runął na ziemię, po drodze uderzając głową w kant biurka. Zanim upadł nieprzytomny na podłogę, włamywacz zdążył czmychnąć.

Pierwszą rzeczą, którą poczuł, gdy odzyskał świadomość, był chropowaty język Admirała Semmesa w okolicy podbródka. Ostrożnie podniósł się do pozycji siedzącej i zaczął rozmasowywać guza na głowie. Dopiero po kilku minutach pulsujący ból zelżał na tyle, że Perlmutter zdecydował się wstać. Zapalił światło i rozejrzał się, by oszacować straty.

Nie ulegało wątpliwości, że złodziej wszedł przez wyłamane okno. Ale wyglądało na to, że niczego nie ukradł. Drogocenne antyki i artefakty z zatopionych okrętów były na swoich miejscach, a w bogatej bibliotece nie brakowało żadnej pozycji oprócz oprawionego w skórę wydania *Moby Dicka*, którym napastnik w niego rzucił.

Perlmutter sprawdził szuflady biurka, lecz i tam nie dostrzegł śladów włamania. Dopiero gdy kolejny raz przyjrzał się blatowi, zauważył, że zniknęły dokumenty dotyczące Ellswortha Boyda i zatopienia „Maine”.

Usiadł na krześle i sięgnął po telefon z zamiarem powiadomienia policji. Zanim wybrał numer, kot skorzystał z okazji i wskoczył mu na kolana.

— Wygląda na to, panie Admirale — powiedział Perlmutter — że rodzina Pittów wywołała wilka z lasu, pakując się w tę całą hecę z „Maine” i azteckim artefaktem. Na ich szczęście zdążyłem przeanalizować wszystkie te zapiski.

Kot szturchnął łbem jego dłoń, na co Perlmutter posłusznie pogłaskał go po grzbiecie.

— Będę z tobą szczerzy — rzekł. — Nie sprawdzamy się jako para zapaśników, ale twój autorski system ostrzegawczy na wypadek włamania spisał się bezbłędnie. Rano czeka cię dodatkowa porcja mleka.

Admirał Semmes spojrział mu w oczy i zamruczał rozkosznie.

ROZDZIAŁ 51

Pitt zauważył wzmożony ruch w pobliżu portu. Barka została już rozładowana, a teraz zapelniano ją małymi drewnianymi skrzynkami i dużymi metalowymi pojemnikami, w których leżały ciężkie płócienne worki.

Skrzył się pod osłoną cienia i obserwował, jak mężczyźni pracujący w strzeżonym obszarze załadunkowym przygotowują worki, napełniając je czymś, co przypominało wyschniętą zaprawę budowlaną. W pobliżu wisiała tabliczka z napisem „Explosivos”. Worki najprawdopodobniej zawierały ANFO, zwane też saletrolem, czyli mieszankę azotanu amonu i benzyny. Był to kruszący materiał wybuchowy, często używany w przemyśle. W mniejszych skrzyniach znajdował się zapewne trotyl. Cały ładunek miał wkrótce trafić na pokład „Sea Raker”, by posłużyć do wysadzenia ujęć hydrotermalnych.

Pitt przekradł się do stojącego nieopodal piętrowego budynku. Na parterze znajdowały się szafki żołnierzy i warsztat maszynowy, a na piętrze kwatery żołnierzy — i najprawdopodobniej właśnie tam przetrzymywano Summer. Za budynkiem, przy otwartych drzwiach do garażu, ktoś zostawił wózek załadunkowy.

Pitt bez trudu znalazł schody i ruszył nimi na górę. Gdy był w połowie drogi, drzwi prowadzące na korytarz otworzyły się i wyszedł z nich żołnierz niosący skrzynkę z narzędziami. Pitt nie miał czasu na wycofanie się czy ukrycie. Jedyne, co mógł zrobić, to opuścić głowę i przyspieszyć kroku. Mężczyzna minął go, nawet się nie obejrzał.

Dotarłszy na szczyt schodów, Pitt wziął głęboki oddech i wszedł na pogrążony w półmroku korytarz, wzdłuż którego znajdowały się drzwi prowadzące do pokoi, prawie wszystkie otwarte. Na samym końcu korytarza, pod ścianą naprzeciwko jedynych zamkniętych drzwi, stali dwaj żołnierze, paląc papierosy.

Pitt ruszył w ich kierunku. Szedł swobodnym krokiem, ale mocniej ścisnął uchwyt przerzuconego przez ramię karabinu.

Gdy po chwili jeden z żołnierzy zauważył go, powiedział coś do towarzysza i wybiegł drugim wyjściem, zapewne w obawie, że zostanie nakryty na miganiu się od obowiązków. Mniej spostrzegawczy żołnierz zgasił papierosa i wyprostował się w postawie na baczność.

Pitt podszedł do niego i spytał:

— Cigarillo?

Żołnierz odruchowo sięgnął do kieszeni i dopiero w tym momencie zorientował się, że stojący przed nim mężczyzna ma mundur o kilka rozmiarów za mały, jest znacznie starszy, niż wskazywałby na to niski stopień, a co gorsza, zamiast wyciągnąć rękę po papierosa, celuje do niego z karabinu.

— Rzuć broń — warknął Pitt.

Kiedy żołnierz posłusznie odłożył swój automat na podłogę, Pitt skinął w stronę drzwi i kazał mu je otworzyć. Nie były zamknięte na zamek, mężczyzna przekręcił tylko klamkę i pchnął je do wewnątrz.

Pitt zajął do środka i zobaczył Summer, która siedziała na prycy, wyraźnie starając się uwolnić z krępujących ją więzów. Na moment zamarła w przerażeniu, ale rozluźniła się, dostrzegłszy stojącego za żołnierzem ojca.

— Postanowiłeś się zaciągnąć do kubańskiej armii? — spytała, posyłając mu zmęczony uśmiech.

— Na skauta jestem już trochę za stary — odparł i podał Summer swój scyzoryk. Zauważył cieniutkie rozcięcie na jej policzku. — Nie zrobili ci krzywdy?

— Nie — zapewniła. — Nasz gospodarz ograniczył się do pogroźek. Większość czasu spędziłam na liczeniu much.

— Przyda ci się jego uniform. — Pitt wskazał kubańskiego żołnierza.

— Co z nim zrobimy? — zapytała Summer, pozbawiwszy mężczyznę munduru i czapki.

— Trzeba go związać. Możesz skorzystać z pościeli, ale zacznij od tego — odparł i wręczył jej pasek swojego karabinu.

Związawszy nim ręce żołnierza za plecami, zdjęła z prycy pościel. Jednym prześcieradłem skrępowała mu ramiona przy łokciach, drugim związała mu nogi w kostkach, a na koniec zakneblowała go poszewką z poduszki.

— Całkiem sprawnie ci to poszło — pochwalił ją Pitt.

— Ostatnio miałam sporo do czynienia z więzami, chociaż głównie od drugiej strony — zauważyła Summer.

Gdy przebrała się w rzeczy żołnierza i wyszli na korytarz, Pitt podniósł z podłogi karabin żołnierza i wręczył córce.

— Nigdy nie strzelałam z czegoś takiego.

— I mam nadzieję, że nie będziesz musiała. Ale zachowuj się tak, jakbyś robiła to już wiele razy.

Wyszli z budynku schodami na tyłach i ukryli się za śmietnikiem, skąd mogli obserwować rozwój wypadków w porcie.

— Jak się stąd wydostaniemy? — spytała Summer.

— Holownikiem — odparł Pitt.

Popatrzyła na ojca ze zdumieniem.

— A nie lepiej uciec, trzymając się blisko brzegu, i potem rozejrzeć za inną łodzią? Tutaj mogą nas zatrzymać w ciągu minuty.

— Pewnie lepiej, ale właśnie ładują na barkę materiał wybuchowy, którym zamierzają wysadzić ostatnie dwa ujścia hydrotermalne — wyjaśnił. — Nie możemy im na to pozwolić.

Summer dobrze znała ten pełen determinacji ton. Wiedziała, że ojciec za żadne skarby świata nie zmieni zdania. Zresztą miał rację. Gdyby Kubańczycy wysadzili kominy hydrotermalne, doszłoby do katastrofy ekologicznej na niespotykaną dotąd skalę. Trzeba ich powstrzymać, a czasu było coraz mniej.

— Jaki masz plan? — spytała rzeczowo.

— Podpalimy ładunki albo jeszcze w porcie, albo na barce. Przy odrobinie szczęścia może uda nam się ją zatopić. Kiedy zaczną panikować, spróbujemy się niepostrzeżenie wymknąć holownikiem.

— A przy odrobinie pecha wylecimy w powietrze?

Pitt uśmiechnął się i pokręcił przecząco głową.

— W tych workach jest saletrol, który sam z siebie nie eksploduje. Trzeba użyć innego materiału wybuchowego jako detonatora. Za to po podpaleniu powinien płonąć jak szalony.

— Słowo „szalony” pasuje do twojego planu jak ulał — skomentowała Summer, ale wyraz niczym niezmażonego spokoju na twarzy ojca uspokoił ją. — No dobrze, co mam robić?

— Będziesz musiała zanurkować w śmieciach — odparł, stukając knykiem w pojemnik, za którym się ukrywali. — Potrzebujemy pustej butelki, a najlepiej dwóch, i jakiegoś otwartego naczynia. Szukaj, tymczasem ja spróbuję zorganizować jakiś środek transportu. Postaram się zaraz wrócić.

Zanim zdążyła jeszcze o coś zapytać, pobiegł w stronę piętrowego budynku. Garaż nadal był otwarty, a benzynowy wózek przeładunkowy stał na swoim miejscu. Pitt zaczekał, aż przejedzie ciężarówka z kolejną partią materiałów wybuchowych, i przekradł się w stronę garażu. Dobiegały z niego głosy dwóch mechaników pracujących przy silniku samochodowym.

Pitt ostrożnie podszedł do wózka i odblokował hamulec. Gdy pchnął wózek w stronę śmietnika, ten pojechał bez oporu, a zajęci robotą mechanicy nie usłyszeli dźwięku trzeszczącego pod kołami żwiru.

Chwilę później wózek zatrzymał się pod kontenerem, z którego właśnie wynurzyła się Summer.

— Co znalazłaś? — spytał Pitt.

— Trzy butelki po rumie, puszkę po kawie i dwa szczury, które niemal przyprawiły mnie o zawał serca — odpowiedziała.

Podawała ojcu pojemniki i wyskoczyła z kontenera z gracją mistrzyni olimpijskiej w skoku wzwyż.

Pitt przyjrzał się butelkom.

— Nie zostawili nawet kropli — orzekł.

— Ja w tej chwili oddałabym całą skrzynkę rumu za ciepły prysznic — westchnęła Summer, wycierając dłonie o pożyczony mundur.

Stała na czatach, a Pitt zabrał się do pracy. Otworzył obudowę silnika wózka, wyjął z gaźnika gumową rurkę paliwową i nalał benzyny do puszki. Potem przelał benzynę do butelek, wypełniając je do połowy, i umieścił rurkę z powrotem na miejscu. Wreszcie wyciął kawałki materiału ze swojej **kamizelki i** wcisnął po jednym do każdej butelki, otrzymując w ten sposób trzy koktajle Mołotowa.

— Nadjeżdża ciężarówka — szepnęła Summer.

Schylili się za wózkiem, żeby kierowca ich nie zauważył.

Gdy ciężarówka się oddaliła, Pitt wstał i umieścił butelki w tylnej części wózka.

— Przy nabrzeżu nikogo nie ma — stwierdził. — Pospieszmy się, zanim ciężarówka wróci.

— Jak odpalimy butelki?

— Usiądź za kierownicą i uruchom silnik, kiedy ci powiem.

Gdy Summer gramoliła się na siedzenie kierowcy, Pitt zebrał z ziemi trochę suchych liści i patyczków. Włożył je do puszki po kawie, na której dnie została resztką benzyny. Podszedł do silnika wózka, wyciągnął kabel startowy i wsunawszy go do puszki, dał córce znak, żeby przekręciła kluczyk w stacyjce.

Z końca kabla wystrzeliła niebieska iskra, natychmiast podpalając benzynę. Pitt wcisnął kabel na miejsce i usiadł obok Summer, ściskając w dłoniach swoje przenośne ognisko. Uruchomiła silnik i skierowała pojazd w dół zbocza prowadzącego do brzegu.

Barka była wciąż przycumowana, a holownik znajdował się tuż za nią. Summer wjechała na nabrzeże, dziękując w duchu losowi, że w pobliżu nie ma żadnych żołnierzy. Kilku mężczyzn kręciło się przy dźwigu, który przenosił na barkę skrzynki z materiałami wybuchowymi. Paru innych na pokładzie odbierało skrzynki i ustawiało je w równych rzędach.

— Spróbuj ominąć dźwig bez zatrzymywania się — polecił Pitt, stawiając puszkę i butelki przy nogach.

Summer przejechała wózkiem między skrzyniami i minęła dźwig. Robotnicy byli zbyt pochłonięci pracą, by zwracać na nich uwagę. Tylko operator dźwigu obrzucił nieufnym spojrzeniem mężczyznę w za ciasnym mundurze. Gdy Summer mijała dwa stosy skrzyń, Pitt kazał jej się zatrzymać.

Częściowo schowany za skrzyniami, porwał z podłogi szoferki pierwszą butelkę, podpalił ogniem z puszki, podbiegł na skraj nabrzeża i rzucił ją na pokład barki.

Butelka zahaczyła o krawędź pojemnika, roztrzaskując się i posyłając deszcz płomieni na leżące w nim worki z saletrolem.

Pitt ledwo zdążył wskoczyć z powrotem do wózka, gdy usłyszał głośnie „Hej!”. Tuż przed nimi pojawiło się dwóch uzbrojonych żołnierzy.

— Ruszaj — szepnął do córki.

Summer wdepnęła pedał gazu, kierując przód wózka na żołnierzy stojących im na drodze. Jeden zdążył odskoczyć, drugi wykazał się gorszym refleksem. Wózek uderzył go w udo i odrzucił na bok.

Pitt odwrócił się i zobaczył, że pierwszy z żołnierzy już odzyskał równowagę i właśnie unosi karabin do strzału. Błyskawicznie podpalił drugą butelkę i rzucił ją pod nogi Kubańczyka. Szkło rozprysło się i kula ognia objęła nogi mężczyzny. W tył wózka uderzyła krótka seria pocisków, którą zdążył posłać za nimi po czym padł na ziemię i zaczął się turlać, próbując ugasić płomienie.

— Skąd oni się tu wzięli? — zastanawiał się Pitt.

— Pewnie objali się po drugiej stronie skrzyń. Holownik jest tuż przed nami.

Pitt podpalił ostatni koktajl i posłał go na stertę skrzyń leżących, jeszcze na nabrzeżu. Momentalnie zajęły się ogniem.

Chwilę później Summer zatrzymała pojazd tuż przed holownikiem i oboje zeskoczyli na ziemię.

— Rzuć cumę rufową — polecił Pitt — a potem przejdź do sterówki i spróbuj uruchomić silnik.

— A jeśli ktoś jest w środku? — spytała.

— Jeśli nawet, nie powinni być uzbrojeni — odparł poklepując kolbę automatu.

Pitt popędził zdjąć cumy boczne, po czym wskoczył na wąski pokład. Przeszedł na dziób, gdzie na trzech polerach obwiązanych było kilka lin holowniczych, przytwierdzających holownik do barki. Były mocno zaciśnięte, więc musiał porządnie się natrudzić, żeby w końcu je zwolnić.

Niewiele dalej przed sobą słyszał krzyki ludzi usiłujących ugasić pożar na barce. Inni starali się uporać ze skrzynkami płonącymi na nabrzeżu. W każdej chwili któryś z ranionych żołnierzy mógł uprzedzić resztę o ich obecności. Dlatego Pitt poczuł ogromną ulgę, słysząc, jak silnik holownika budzi się do życia.

Zwolnił ostatnią linę łączącą holownik z barką, wycofał się na pokład i skierował w stronę sterówki, ściskając w dłoniach karabin. Wpadł pędem przez otwarte drzwi i stanął jak wryty.

Sterówka była ciasna i słabo oświetlona, ale od razu dostrzegł stojącego przed nim Molinę, ściskającego Summer za szyję i trzymającego pistolet tuż przy jej skroni.

— Odłóż broń — zażądał Molina. — Nie zamierzamy żegnać się z wami tak prędko.

Pitt usłyszał za sobą kroki kolejnych żołnierzy wchodzących na pokład holownika. Spojrzał przepaszającym wzrokiem na córkę i powoli odłożył karabin na ziemię.

ROZDZIAŁ 52

Nie za wcześnie, Rudi?

Wiceprezydent James Sandecker wpadł na korytarz przed swoim gabinetem w budynku Eisenhowera niczym wściekła hiena. Był fanatykiem zdrowego trybu życia i w tej chwili miał na sobie czarny kombinezon do biegania. Za jego plecami sapali ze zmęczenia dwaj podobnie ubrani agenci Secret Service.

— Chciałem pana złapać, zanim ktoś inny zajmie panu czas — odpowiedział z kanapy Rudi Gunn. — Jak się udała poranna przebieżka?

Tajemnicą poliszynela w Waszyngtonie było, że pomimo nieustannych protestów swoich ochroniarzy wiceprezydent codziennie o wpół do piątej rano pokonywał pięciokilometrową trasę.

— Jakaś taksówka o mało nie rozjechała mi kolegi — Sandecker wskazał jednego z agentów — ale poza tym ranek jest idealny do rozprostowania kulasów.

Otworzył drzwi swojego gabinetu i gestem zaprosił Gunna do środka, natomiast agenci zostali w korytarzu, czekając na zmianę ubrań. Wiceprezydent usadowił się na swoim miejscu za potężnym biurkiem, które zbudowano z desek pochodzących z rozebranego okrętu Konfederacji. Był emerytowanym admirałem i założycielem NUMA, a Gunn był jedną z pierwszych osób, które zatrudnił w agencji. Nadal traktował ją jak swoje ukochane dziecko i utrzymywał bliskie relacje z Gunnem i Pittem.

— Czemuż to zawdzięczam wizytę o tak wczesnej porze?

— Chodzi o „Sargasso Sea”. Wykonywali zadanie w Cieśninie Florydzkiej, około pięćdziesięciu kilometrów na północny wschód od Hawany. Od ponad dwudziestu czterech godzin nie mamy z nimi łączności radiowej ani cyfrowej.

— Wysyłali sygnały alarmowe?

— Nie.

— Dowodzi tam Malcomb Smith, o ile pamiętam?

— Zgadza się.

— To dobry chłop.

— Na pokładzie są również Pitt i Giordino.

Sandecker sięgnął po cygaro, jedyną używkę, na jaką sobie pozwalał.

— Co oni robili tak blisko Kuby? Nie chodzi chyba o jakąś misję dla CIA?

— Nie, nic z tych rzeczy. Usiłowali poznać przyczyny kilku przypadków emisji trujących oparów rtęci na Karaibach — odparł Gunn i opowiedział o martwych strefach, które odkryli w pobliżu południowego wybrzeża Kuby. — Pitt sądzi, że rtęć przedostaje się do oceanu w

wyniku podwodnych prac górniczych przy ujściach hydrotermalnych. W każdym z badanych miejsc przeprowadziliśmy badania sejsmiczne i wyniki były zbliżone do tych, jakie otrzymuje się w przypadku kontrolowanych eksplozji górniczych.

— Ktoś wysadził te kominy?

— Tak przypuszczamy. Pitt właśnie zamierzał sprawdzić pewne podejrzone działania w jednym z rejonów Cieśniny Florydzkiej, gdy straciliśmy kontakt.

— Kto prowadzi te prace górnicze? — spytał Sandecker.

— Jeszcze nie wiemy, ale podejrzewamy, że Kubańczycy są w to zamieszani.

— Próbowaliście odnaleźć statek?

Gunn kiwnął głową i wyjął z trzymanej na kolanach aktówki fotografię satelitarną.

— Pochodzi sprzed sześciu godzin — wyjaśnił — i wskazuje, że „Sargasso Sea” wciąż był wtedy na powierzchni.

Sandecker przyjrzał się zdjęciu. Było ciemne, tylko na środku widniały dwie jaśniejsze plamki.

— W nocy nie widać zbyt wiele — mruknął.

Gunn wyjął drugą fotografię, wykonaną w podczerwieni, na której wyraźnie było widać dwa czerwone owale na niebieskim morzu.

— Uważamy, że na zdjęciu znajdują się „Sargasso Sea” i drugi statek, „Sea Raker”. Dla pewności przejrzelśmy zdjęcia z ostatniego tygodnia i udało nam się potwierdzić ruchy „Sargasso Sea”.

— Do kogo należy „Sea Raker”? — zapytał wiceprezydent.

— Do kanadyjskiego konsorcjum wydobywczego Bruin Mining and Exploration — odparł Gunn. — Statek został wynajęty przez zarejestrowaną w Panamie firmę o właściwie zerowej historii funkcjonowania. Przedstawiciel Bruin powiedział nam, że statek brał udział w projekcie wydobywczym przy zachodnim wybrzeżu Nikaragui, ale nie potrafił określić, gdzie znajduje się w tej chwili.

— Czy ktoś próbował się skontaktować z „Sea Rakerem”?

— Tak. Kuter straży przybrzeżnej „Knight Island” popłynął w ten rejon z Key West. Wywoływali „Sea Raker”, ale nie dostali żadnej odpowiedzi.

— Sądysz, że ci z „Sea Rakerem” dokonali abordażu na „Sargasso Sea”?

— Tak podejrzewam.

— Czemu ludzie ze straży przybrzeżnej nie podплыnęli bliżej, żeby się przekonać?

— Według najnowszych informacji oba statki znajdują się osiem kilometrów w głąb kubańskich wód terytorialnych. „Knight Island” przekroczył granicę i zbliżył się na tyle, by mieć ich w zasięgu wzroku, ale wkrótce potem został przepędzony przez kubańską korwetę.

Sandecker wypuścił pod sufit perfekcyjne kółko dymu.

— Czyli trzeba przykręcić śrubę w kubańskim rządzie.

— Zachodzi podejrzenie popełnienia aktu piractwa.

— Zakładając, że na pokładzie „Sea Raker” rzeczywiście są Kubańczycy. I że Pitt nie z własnej woli znalazł się na ich wodach terytorialnych.

Obaj dobrze znali Pitta i jego skłonność do łamania zasad, ilekroć uważał to za konieczne.

— Z naszych danych wynika, że w momencie zerwania łączności byli daleko przed punktem granicznym. Ale teraz to i tak bez znaczenia. Najważniejsze jest, żeby ich stamtąd wydostać.

Sandecker przez dłuższą chwilę bawił się cygarem. Wreszcie odłożył je do popielniczki i powiedział:

— Przykro mi, Rudi, ale w tej sprawie nic nie mogę zrobić.

Na te słowa Gunn aż podskoczył. Wiedział, że dla wiceprezydenta Pitt jest jak syn.

— Co to niby znaczy, że nic nie możesz zrobić?!

Sandecker pokręcił głową.

— W tej chwili mamy w tym rejonie inne bardzo poważne problemy i nie możemy sobie pozwolić na pogorszenie stosunków z Kubą. Jakakolwiek ingerencja marynarki wojennej, straży przybrzeżnej czy Departamentu Stanu nie wchodzi w grę. A tym bardziej jakaś brawurowa akcja ratunkowa w wykonaniu pracowników NUMA. Wróć do mnie za czterdzieści osiem godzin, wtedy zobaczymy, co da się zrobić.

— Dla nich czterdzieści osiem godzin to może być za dużo.

— Wiem, ale naprawdę mam związane ręce. — Sandecker wstał. — A teraz musisz mi wybaczyć, bo chcę wziąć prysznic i przygotować się do spotkania gabinetu.

Gunn tylko kiwnął głową i wyszedł z gabinetu zrezygnowany i rozczarowany. Ale kiedy wychodził z budynku, rezygnację zastąpiła determinacja. Sięgnął do kieszeni po telefon komórkowy i wybrał numer. Gdy tylko usłyszał w słuchawce znajomy głos, powiedział:

— Witaj, Jack. Jak szybko możemy się spotkać w Miami?

ROZDZIAŁ 53

Ciepłe poranne słońce tylko potęgowało zmęczenie Maguire. Przez całą noc prowadzili z Gomezem obserwację jachtu i obaj byli wyczerpani. Maguire opuścił kapelusz niżej, by osłonić zaczerwienione oczy, i pogrążył się w rozmyślaniach. Myślał o tym, że już niebawem zarobią kolejną okazałą sumkę, i o duszonych rakach, które zamierzał sobie zafundować w ramach uczczenia sukcesu po powrocie do domu w Baton Rouge.

Z zadumy wyrwał go głos Gomeza, który siedział w kucki pod górną częścią nadburcia i lustrował okolicę przez lornetkę.

— Jakaś mała łódź zbliża się do jachtu.

Maguire uchylił ciężące mu coraz bardziej powieki.

— Ilu ludzi na pokładzie? — spytał.

— Trzech plus pilot. Jeden z nich wygląda na nasz cel.

Znajdowali się w odległości niespełna dwustu metrów od cumującego w pobliżu lądu jachtu i nadal udawali rybaków. Maguire sięgnął po swoją lornetkę i przyjrzał się wypływającej z wyspy motorowce. Jedna z łodzi ochraniających jacht podpłynęła do niej, ale zamiast zmusić pilota do zawrócenia, zaczęła ją eskortować.

— Zaczynaj nagrywać — polecił Maguire. — Ja spróbuję potwierdzić, że to ten, o którego nam chodzi.

Gdy Gomez zamieniał lornetkę na kamerę wideo, sięgnął do wodoszczelnej torby i wyjął z niej kilka fotografii. Wszystkie przedstawiały tę samą osobę: niskiego, dobrze zbudowanego mężczyznę w sile wieku, w okularach i z rzadkim wąsikiem. Większość zrobiono z dużej odległości i żadna nie była całkiem ostra, ale lepszych nie udało im się zdobyć.

— I co myślisz? — zapytał Maguire, podając Gomezowi najwyraźniejszą.

Gomez, który już wcześniej przyjrzał się dokładnie wszystkim fotografiom, teraz tylko rzucił okiem na wybraną przez towarzysza, po czym spojrział na wyświetlacz kamery, ukazujący motorówkę w dużym zbliżeniu.

— Wydaje mi się, że to ten facet w szarym garniturze — powiedział i jeszcze raz zarknął na zdjęcie. — Mam wrażenie że już go kiedyś widziałem.

Maguire kiwnął głową, nie odrywając wzroku od motorówki i znajdującego się na niej mężczyzny w garniturze. Uczesanie, okulary, a nawet strój były takie same jak na zdjęciu. Zwykle nie podejmował decyzji tylko na podstawie pasujących elementów wyglądu, wolał mieć sto procent pewności przed wykonaniem zadania. Ale w tym konkretnym przypadku zleceniodawca powiedział, że powinni spodziewać się celu nad ranem, i oto jest. Ponownie sięgnął do torby, tym razem po mały nadajnik.

Motorówka zwolniła i po chwili zatrzymała się przy rufie jachtu. Dwaj mężczyźni, którzy wyglądali na ochroniarzy, pierwsi weszli na pokład, a następnie pomogli Szaremu Garniturowi. Odprowadzili go do głównego salonu, wrócili do motorówki, która odpłynęła z powrotem do brzegu, ponownie pod eskortą jednej z łodzi patrolowych.

— Dziwne, że zostawili go samego — skomentował Gomez.

— Pewnie czeka na swoją panienkę — odparł Maguire — albo ona czekała na niego.

— To drugie odpada, chyba że panienka ma czapkę niewidkę — zażartował Gomez. — Obserwuję tę łajbę od dwudziestu czterech godzin i nie zauważyłem na pokładzie żywej duszy. — Popatrzył na towarzysza i dodał poważniejszym tonem: — Kamera cały czas działa.

Maguire odpowiedział mu skinieniem głowy i ruchem tak swobodnym, jakby włączał światło w łazience, wcisnął czerwony guzik na nadajniku.

Sygnal radiowy powędrował do anteny zamontowanej poprzedniego dnia na boi i uruchomił przepływ energii z baterii do detonatora, znajdującego się w pojemniku przyczepionym do spodu jachtu. Zapalnik wywołał eksplozję trzech kilogramów plastiku.

Nad powierzchnią oceanu rozniosło się echo wybuchu, a jacht poszybował w górę w fontannie dymu i płomieni.

Zanim zwęglone szczątki zaczęły opadać, Gomez zdążył uruchomić przyczepny silnik ich łodzi. Chwilę później ostatnie fragmenty jachtu zniknęły pośród fal.

Gomez prowadził ich w drogę powrotną, a Maguire przyglądał się swojemu dziełu z nieskrywaną satysfakcją. Wiedział, że nikt nie mógł przeżyć takiej eksplozji. Nagle znowu usłyszał głośne dudnienie, ale tym razem był to tylko jego żołądek. Uśmiechnął się od ucha do ucha i pomyślał o duszonych rakach.

ROZDZIAŁ 54

Gabinet Alberto Gutiera w gmachu kubańskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych stanowił — jakżeby inaczej — odzwierciedlenie umiłowania komfortu połączonego z narcyzmem w czystej postaci. Luksusowo urządzone, z wysokimi oknami oferującymi pierwszorzędny widok na hawański Plaza de la Revolución, był pełen zdjęć generała w najrozmaitszych pozach i z najróżniejszych okresów. Jedne ukazywały go jako przystojnego, młodego oficera dowodzącego żołnierzami w Angoli. Na innych towarzyszył braciom Castro — Fidelowi, Raulowi lub obu naraz. Było również kilka fotografii uwieczniających Gutiera z własnym bratem. Jednak zdecydowana większość przedstawiała go samego. Na wszystkich patrzył w obiektyw ze spokojną pewnością siebie człowieka przekonanego o własnej wartości.

Na obliczu żywego generała pojawił się wyraz poirytowania, kiedy do gabinetu wszedł jego młodszy brat. Juan Diaz, który otrzymał nazwisko po nieżyjącym już ojczymie, rozsiadł się w fotelu stojącym przed ogromnym biurkiem.

— Wyjeżdżasz z kraju zaledwie na tydzień, a gdy wracasz, wszędzie panuje kompletny chaos — Gutier nie marnował czasu na czcze formuły powitalne. — Dobrze wiesz, że nie mogę sobie pozwolić na powiązanie mojej osoby z pracami wydobywczymi, a już zwłaszcza teraz. Co tam się dzieje?

— Gdy kończyliśmy nasze zadanie przy punkcie Domingo 1, w okolicy zaczął się kręcić amerykański statek badawczy „Sargasso Sea”.

— Czy to nie on pojawił się na miejscu chwilę po tym, jak zatopiliście statek wiertniczy?

— "Altę" — uściślił Juan. — „Sargasso Sea” znalazł się tam przez przypadek. Ale jego powrót w to miejsce na pewno nie był przypadkowy. Twierdzą, że badają wzrost poziomu rtęci po wysadzeniu kominów hydrotermalnych.

— Mówiłem ci, że zatopienie statku wiertniczego było błędem — wycedził Gutier, a jego usta wykrzywiły się w gniewnym grymasie.

— Nie mogliśmy zakończyć wydobywania bez pozbycia się świadków. A gdybyśmy nie zakończyli wydobywania, nie zdążylibyśmy z terminem dostawy — tłumaczył się Juan.

— Nie bądź dzieckiem — odparł Alberto. — Ten statek z pewnością należy do CIA. Amerykanie musieli się dowiedzieć o naszej umowie z Koreą Północną.

— Nie sądzę. Udało mi się potwierdzić, że w tych miejscach rzeczywiście bardzo wzrósł poziom rtęci. Przy Domingo 1 doszło do poważnego naruszenia wodnego ekosystemu.

— Czy to może zagrozić Kubie?

— Nie, prądy poniosą rtęć na północny wschód.

— Świetnie, ale to w żaden sposób nie wyjaśnia prawdziwych intencji Amerykanów.

— Do tej pory „Sargasso Sea” uczestniczył wyłącznie w projektach oceanograficznych — odparł Diaz. — Poza tym na pokładzie nie znaleźliśmy żadnej broni ani urządzeń wywiadowczych. Jak wiesz, jeden z ich pojazdów podwodnych zbliżył się do miejsca wydobywania. Dwaj Amerykanie zakradli się na „Sea Raker” i zdołali dokonać niewielkich szkód. Za twoim pozwoleniem komandor Calzado przeprowadził atak odwetowy, dzięki któremu zdołaliśmy przechwycić statek i przenieść na nasze wody terytorialne.

— Nie było innego wyboru — przyznał Gutier — ale od tej chwili naprawdę igramy z ogniem.

— No cóż, mleko już się rozlało. Na szczęście rząd amerykański jeszcze nie zareagował, więc może uda się wyciszyć sprawę.

Gutier wyraźnie się odprężył.

— Ale czy to nie zniweczy naszych planów? — spytał.

— Nie — zapewnił go Diaz. — Z moich obliczeń wynika, że mamy dość surowca, by w pierwszej, jutrzejszej dostawie przekazać o dwadzieścia ton więcej, niż uzgodniliśmy. Termin drugiej dostawy pozwoliłem sobie przełożyć, ale nasi klienci nie mają nic przeciwko temu. Już potwierdzili gotowość odbioru reszty surowca za trzy tygodnie.

— To o dwa miesiące wcześniej, niż zakładaliśmy — zdziwił się Gutier.

— Ruda z Domingo 1 okazała się znacznie bogatsza niż w poprzednich miejscach — wyjaśnił Diaz — a klienci zgadzają się na mniejszą ilość surowca w drugiej dostawie, jeśli zawartość tlenu uranu będzie wyższa niż trzydzieści procent. Już teraz mamy próbki o zawartości przekraczającej pięćdziesiąt procent, a spodziewam się, że przy Domingo 2 i Domingo 3 czeka nas ruda podobnej jakości. Wysłałem w oba punkty załogi z ładunkami wybuchowymi, żeby jak najszybciej wysadzić kominy. Jeśli niezwłocznie wznowimy wydobywanie, zdążymy na nowy termin dostawy i będziemy musieli zwodzić Amerykanów tylko przez trzy tygodnie.

— Nie będzie to łatwe, ale chyba nie mamy innego wyjścia — orzekł Gutier. — A co z zatruciem rtęcią? O ile wiem, kominy hydrotermalne przy Domingo 2 i Domingo 3 są znacznie większe.

— Zgadza się, Amerykanów może czekać katastrofa ekologiczna — odparł Diaz, przyglądając się portretowi, na którym jego brat w mundurze galowym dosiadał czarnego ogiera.

— To ja odkryłem złoża uranu podczas naszych poszukiwań z Meksykanami — podjął po chwili. — Spodziewałem się, że z kominów hydrotermalnych można będzie wydobywać złoto lub srebro, i byłem kompletnie zaskoczony, gdy okazało się, że znajdują się w nich bogate pokłady uranu. Ale ty natychmiast wymyśliłeś, jak można wykorzystać te złoża do zwiększenia siły Kuby na arenie międzynarodowej. Nawet przywódcy naszego kraju nie wiedzą, jak bardzo przysłużyłeś się ojczyźnie.

— A przedwczesne ujawnienie tego osiągnięcia może się skończyć tragicznie.

— Znałeś konsekwencje, zwracając się z propozycją do Koreańczyków. Zgoda na wymianę tysiąca ton uranu wysokiej jakości za dwie rakiety z głowicami nuklearnymi była odważnym posunięciem — i nadal nim pozostaje.

— Odważnym, ale i niebezpiecznym — zauważył Gutier. — Z żalem przyznaję, że to nawet nie był mój pomysł. Koreańczycy zamierzają powiększyć swój arsenał nuklearny, a brakuje im surowców. Pomysł wypłynął podczas omawiania układu handlowego na broń ręczną. Tak czy siak, była to genialna propozycja.

— Dzięki broni nuklearnej Kuba przestanie być popychadłem Amerykanów — powiedział Diaz.

— Wreszcie zajmiemy należne nam miejsce pośród największych światowych potęg. — Gutier zacisnął pięści, przypominając sobie o śmierci ich ojca podczas inwazji w Zatoce Świń. — Niestety, układ w każdej chwili może zostać rozwiązany.

— Nie, jeśli jutro wyślemy im połowę zamówienia. A co z twoją pozycją? Wydawało mi się, że spodziewasz się niedługo jakichś ważnych zmian.

Gutier zerknął na telefon.

— Właśnie czekam na wiadomość w tej sprawie.

— Ludzie lgną do silnych — powiedział Diaz. — Po sprowadzeniu rakiet staniesz się najpotężniejszym człowiekiem na Kubie. Dokonasz tego, co nie udało się nawet Fidelowi.

Te słowa mile polechtały rozbuchane ego Gutiera, znacznie łagodząc jego gniew.

— W dalszym ciągu martwi mnie ten amerykański statek.

— Możemy powiedzieć, że załoga postanowiła przejść na naszą stronę — zasugerował Diaz z uśmiechem. — Obsadźmy statek naszymi ludźmi, a Amerykanów odeślijmy po cichu do więzienia politycznego.

Gutier przez chwilę patrzył przez okno, zastanawiając się nad lepszym rozwiązaniem. Jego rozważania przerwał dzwonek telefonu, informujący o przyjeździe anonimowego maila z załączonym plikiem wideo. Odtworzył dwudziestosekundowy filmik i jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

— No to sprawy uległy zmianie. — Ponownie uruchomił nagranie i podał telefon bratu.

Gdy Diaz zobaczył mężczyznę wchodzącego na jacht, który chwilę później eksplodował, ledwo mógł uwierzyć własnym oczom.

— Ten człowiek wyglądał jak Raul — wykrztusił zszokowany.

— Bo to był Raul. Wyjechał na Kajmany na spotkanie Wspólnoty Państw Ameryki Łacińskiej i Karaibów. Otrzymałem z pewnych źródeł informację, że będzie przebywał na jachcie wicegubernatora Kajmanów. — Uśmiech Gutiera z każdym zdaniem stawał się coraz szerszy. — Wygląda na to, że doszło do nieszczęśliwego wypadku.

Diaz pokręcił głową z niedowierzaniem.

— To dopiero była niebezpieczna operacja, mój drogi bracie.

— Przeprowadziły ją siły niezwiązane z Kubą. Grupa profesjonalistów, którzy nie mają zwyczaju chwalić się tym, co robią, bez względu na to, kogo zabijają. — Uśmiech Gutiera zmienił się w cierpki grymas. — Żałuję tylko, że na pokładzie nie było ministra spraw zagranicznych. Ruiz miał umówione spotkanie z Raulem, ale w ostatniej chwili je odwołał.

— Mimo wszystko to bardzo śmiałe posunięcie, w dodatku tak szybko po śmierci Fidela... Ludzie będą wstrząśnięci. Może lepiej, że nie było tam Ruiza, bo od razu stałbyś się głównym podejrzanym. Ale i tak znalazłeś się w bardzo niebezpiecznym położeniu. Po śmierci naszego schorowanego wiceprezydenta jego miejsce zajmie minister spraw zagranicznych, a kiedy to się stanie, na pewno niedługo utrzymasz się na obecnym stanowisku.

Gutier nie okazywał żadnych oznak zdenerwowania.

— Chyba właśnie podsunąłeś mi sposób rozwiązania tego problemu — rzekł.

— O ty czym mówisz? — zdziwił się Diaz.

— O Amerykanach. Wpadli nam w ręce w idealnym momencie. Ruiz zawsze otwarcie deklarował, że będzie dążył do poprawy stosunków ze Stanami Zjednoczonymi i do rozwoju wzajemnego handlu i turystyki. Słabość do USA zawsze była jego największą wadą. Wykorzystamy to, obarczając odpowiedzialnością za śmierć Raula ludzi ze statku NUMA.

— Oczywiście! — Diaz pojął, na czym polega plan jego brata. — Ludzie oszaleją z wściekłości, gdy się dowiedzą, że Raula zabili Amerykanie. Trzeba to urządzić tak, żeby wyglądało na zamach stanu, mający na celu objęcie władzy przez ministra spraw zagranicznych.

— Wystarczy sugestia takiego powiązania, aby obrócić całą Radę Państwa przeciwko Ruizowi — odparł Gutier. — A jeśli nie, na pewno uda mi się nakłonić wystarczającą liczbę ludzi z armii do przejęcia władzy do czasu wyjaśnienia sprawy.

— Jeszcze lepiej byłoby, gdybyś to ty zdemaskował zabójcę. — Oczy Diaza błyszczały w oparach wyobraźni. — Zostawmy ten statek badawczy, a zamiast tego dam ci ich dowódcę, człowieka nazwiskiem Pitt, którego złapaliśmy w pojeździe podwodnym. Zrobimy z niego kozła ofiarnego.

Gutier rozważył propozycję.

— Podoba mi się ten pomysł — zdecydował. — Sfabrykujemy odpowiednie dowody, żeby powiązać go z wybuchem, urządzimy proces pokazowy, który dodatkowo spotęguje antyamerykańskie nastroje, i dopilnujemy, żeby podczas tego procesu Ruiz został całkowicie skompromitowany.

— W ten sposób zagwarantujemy także zakończenie wymiany z Koreańczykami. Ale co zrobimy ze statkiem NUMA?

— O ile wiem, do tej pory nikt od Amerykanów nie zainteresował się tą sprawą.

— Zgadza się — potwierdził Diaz. — W kraju też nikt nie porusza tego tematu.

— W takim razie zatopcie statek ze wszystkimi na pokładzie — uznał Gutier. — Możemy powiedzieć, że doszło do wypadku. A gdyby Amerykanie zaczęli naciskać, ogłosimy, że była

to jednostka CIA, która bez pozwolenia znalazła się na naszych wodach terytorialnych i była zamieszana w zabójstwo Raula. A na razie weź helikopter i leć do bazy po swojego więźnia, a ja dopilnuję, aby oficjalna wersja brzmiała, że złapaliśmy go na Kajmanach.

Diaz kiwnął głową i w tym momencie rozległo się pukanie, a po chwili do gabinetu weszła korpulentna sekretarka Gutiera.

— Przepraszam, że przeszkadzam, panie generale, ale właśnie przyszła pilna wiadomość z Kajmanów. Na jachcie, na którym przebywał prezydent, wybuchł pożar, wyrządzając duże szkody. Podejrzewają, że prezydent mógł odnieść obrażenia.

Gutier skinieniem głowy dał bratu znak, aby na niego zaczekał, i w stał zza biurka.

— To straszne — powiedział z udawaną troską, kierując się do drzwi. — Trzeba jak najszybciej ustalić, co dokładnie się stało.

ROZDZIAŁ 55

Śmigłowiec Mil Mi— 8 rosyjskiej produkcji z dużą prędkością wyleciał z za wzgórz i zwolnił dopiero nad tajną bazą wydobywczą. Pilot sprawnie podprowadził maszynę nad lądowisko i posadziwszy ją na samym środku platformy, zostawił silniki na biegu jałowym. Siedzący w kabinie Diaz odpiął pasy, podszedł do drzwi i wyskoczył na ziemię. Na jego przybycie czekał Molina z uzbrojonym strażnikiem u boku. Diaz rozejrzał się po porcie. Barka i holownik już odpłynęły, zamiast nich przy pomoście stał masowiec „Algonquin” pod liberyjską banderą. Robotnicy portowi uwijali się przy przenośniku taśmowym, ładując uran na pokład statku.

— Widzę, że „Algonquin” pojawił się o czasie — zauważył Diaz. — Czy barka odpłynęła bez dalszych problemów?

Molina potwierdził skinieniem głowy.

— Ogień ugaszono, zanim doszło do eksplozji — odparł. — Jest już z „Sea Rakerem” i za kilka godzin zaczną rozkładać materiały wybuchowe przy Domingo Dwa.

— To dobrze. A gdzie są Amerykanie?

— Proszę za mną.

Molina zaprowadził Diaza do otwartego garażu przy barakach. Pitt i Summer siedzieli na ławce pod ścianą naprzeciwko drzwi, pilnowani przez dwóch uzbrojonych strażników.

Diaz podszedł do nich i powiedział z cierpkim uśmiechem:

— Słyszałem, że pod moją nieobecność zapewniliście sobie trochę nieplanowanej rozrywki. Niestety, wasza próba uszkodzenia barki i doku okazała się daremna. Już wznowiliśmy prace i nie przewidujemy żadnych opóźnień.

— Wyszalenie kominów hydrotermalnych zatruje tysiące mil oceanu — odparł Pitt. — Dotyczy to także wód i plaż Kuby.

— Myli się pan, panie Pitt. Prąd Florydzki sprawi, że to będzie wasz problem, nie nasz.

Pitt rzucił mu lodowate spojrzenie.

— Stanie się wasz, kiedy cały świat się dowie, że świadomie doprowadziliście do skażenia, aby wykopać trochę uranu.

— Nikt się o tym nie dowie, przyjacielu — zapewnił Diaz i rzucił ostro: — Wstawaj!

Gdy strażnicy wycelowali karabiny w głowę Pitta, wstał, a córka razem z nim.

Diaz spojrział na Summer i pokręcił głową.

— Przykro mi, ale tym razem nie możesz iść z tatą — oznajmił i zwrócił się do strażników. — Polecicie z nim do Hawany. Helikopter już czeka.

Summer popatrzyła na Kubańczyka.

— Po co zabieracie go do Hawany? — spytała.

— Jak to po co? — Krzywy uśmiech nadał twarzy Diaza istic gadzi wygląd. — Prezydent Castro nie żyje, a twój ojciec jest w to zamieszany. Leci do Hawany, żeby stanąć przed sądem.

— To nonsens!

— Bynajmniej. Wielu świadków potwierdzi, że był na miejscu w chwili zabójstwa.

Diaz skinął na strażników, którzy pchnęli Pitta do przodu.

Summer wyprzedziła ich i objęła ojca.

Popatrzył na nią ciepło i szepnął jej do ucha, żeby zachowała spokój. Sam wcale nie był spokojny. Nie przejmował się własnym losem, ale świadomość, że zostawi córkę samą z Diazem, przerażała go. Niestety strażnicy nie pozostawili mu wyboru, siłą prowadząc na lądowisko.

W helikopterze posadzili go przy otwartym włazie załadunkowym, zapięli mu pasy i usiedli naprzeciwko. Jeden pokazał pilotowi uniesiony kciuk. Wirnik zakręcił się, a kilka sekund później maszyna uniosła się w powietrze. Pitt jeszcze przez chwilę obserwował, jak Diaz i Molina prowadzą Summer do jednego z baraków. Potem baza wydobywcza zniknęła z zasięgu jego wzroku, jej miejsce zajął błękitny bezkres oceanu.

Diaz w milczeniu przyglądał się kamieniowi Azteków. Wreszcie podniósł głowę i powiedział do Summer:

— Otrzymałem ciekawe informacje od mojego człowieka w Stanach. Twój przyjaciel Perlmutter jest naprawdę dobrym historykiem.

Rzuciła mu gniewne spojrzenie.

— Skrzywdziliście go? — spytała z ogniem w głosie.

— Skądże znowu. Włos nie spadł mu z głowy, ale stracił kilka dokumentów, z których wynika, że druga część tablicy nie została zniszczona podczas zatopienia „Maine”.

— Więc wciąż mamy szansę odnaleźć skarb? — spytał Molina.

— Jak najbardziej — potwierdził Diaz.

Summer starała się panować nad emocjami. Ojciec próbował jej opowiedzieć o swoich podejrzeniach dotyczących powiązania tablicy z pewnym skarbem, ale strażnicy zmusili go do milczenia.

— A gdzie jest druga część tablicy? — Molina zadał kolejne pytanie.

— Jeśli informacje zebrane przez Perlmuttera są prawdziwe — odparł Diaz — została skradziona, gdy „Maine” szedł na dno. Podobno przeniesiono ją na parowiec „San Antonio”, który wypłynął z Hawany. Amerykańska marynarka wojenna przechwyciła go przy Wschodnim Wybrzeżu, ale statek zatonął, zanim ktokolwiek miał szansę odzyskać artefakt. Według raportów morskich „San Antonio” znajduje się obecnie niecałe sto metrów pod wodą, dwadzieścia dwa kilometry na wschód od Punta Maisi.

— Wraku może poszukać statek „Kelowna” — stwierdził Molina. — Jest wynajęty do końca przyszłego miesiąca.

— Dobrze, Silvio, zajmij się tym natychmiast po wypłynięciu „Algonquina” — powiedział Diaz. — Ja muszę nadzorować postępy prac wydobywczych, żeby nie doszło do żadnych nieplanowanych przerw.

— Natychmiast przekażę polecenia załodze „Kelowna”.

Diaz poddał Molinie kartkę papieru.

— Masz tu przybliżone koordynaty miejsca zatonięcia „San Antonio”. Przeszukujcie ten rejon, a ja dołączę do was, kiedy tylko będę mógł.

— Jeśli znajdziemy tablicę wcześniej, będziemy czekać — powiedział Molina i ruchem głowy wskazał Summer. — A co z nią?

Diaz popatrzył na dziewczynę z diabolicznym uśmiechem, po czym odparł:

— Ona zostanie ze mną.

ROZDZIAŁ 56

Śmigłowiec leciał nisko nad wodą, trzymając się oddalonego o kilkaset metrów wybrzeża Kuby. Co jakiś czas machał w jego stronę jakiś samotny rybak albo dzieciaki pluskające się w morzu.

Pitt wyglądał przez otwarty właz ładunkowy i zastanawiał się, jakie ma szanse na ucieczkę. Oprócz niego na pokładzie było trzech, członków załogi i dwóch strażników. Obezwładnienie wszystkich pięciu przekraczało jego możliwości, a skok przez otwarty właz równałby się samobójstwu. Rozejrzał się dokładniej po wnętrzu maszyny w poszukiwaniu innej możliwości.

Wiekowy Mi— 8 był wojskowym helikopterem transportowym, zdolnym pomieścić w przedziale ładunkowym dwudziestu czterech żołnierzy. Pitt zauważył, że ten konkretny egzemplarz został specjalnie przystosowany do prowadzenia operacji poszukiwawczych i ratunkowych. Z tyłu kabiny znajdował się kosz ratowniczy i kilkanaście kamizelek ratunkowych, a nad włazem ładunkowym zamontowano wciągarkę. Pitt niepostrzeżenie przyjrzał się opisanym po hiszpańsku przełącznikom wciągarki, szukając dźwigni podnoszącej i opuszczającej hak.

Poza tym helikopter był wyposażony zgodnie z wojskowymi standardami: pełny minimalizm i nieokryte wręgi. Jako były pilot wojskowy i zdolny mechanik natychmiast rozpoznał poszczególne kable i przewody hydrauliczne w pajęczynie oplatającej wewnętrzną stronę ścian maszyny. Gdy przesuwając stopę, trafił na leżącą pod jego siedzeniem małą gaśnicę, w jego głowie zaczął kielkować plan. Bardzo ryzykowny, ale na pewno lepszy niż spotkanie z plutonem egzekucyjnym w Hawanie.

Wszystko zależało od wyczucia czasu i zachowania strażników siedzących naprzeciwko. Mężczyźni byli zawodowymi żołnierzami, ale spędzili na służbie większość poprzedniego dnia i nocy. Jeden drzemał już od jakiegoś czasu, a drugi popatrywał na więźnia spod opadających powiek.

Pitt posłał wciąż przytomnemu strażnikowi swoją najlepszą imitację znudzonego spojrzenia i zamknął oczy. Złożył ręce na kolanach i udawał, że zasnął. Tkwił nieruchomo w takiej pozycji przez kilkanaście minut, nim zaryzykował ponowne spojrzenie. Strażnik nadal nie spał, ale obrócił się tak, żeby móc wyglądać przez przednie okno kokpitu.

Dyskretnymi, powolnymi ruchami Pitt odpiął pas, zasłaniając swoje poczynania jedną ręką. Przekręcił się na siedzeniu i wolno opuszczał rękę pod kolano, dopóki jego palce nie dosięgły gaśnicy. Zamarł, gdy strażnik spojrzał w jego stronę. Na szczęście po chwili mężczyzna, nie zauważywszy niczego podejrzanego, wrócił do obserwacji oceanu za oknem.

Pitt zacisnął palce na gaśnicy, wziął głęboki oddech i wyskoczył z fotela. Wyszarpnął gaśnicę, zataczając nią w powietrzu szeroki łuk. Nie rzucił się z nią jednak na strażników, tylko uderzył z całej siły w najbliższą wręgę. Nie był to wcale akt frustracji. Celował dokładnie w parę rurek ze stali nierdzewnej, które zgięły się pod siłą trafienia.

— Hej! — krzyknął przytomny strażnik, patrząc na więźnia jak na wariata, już sięgał po karabin, ale Pitt był szybszy.

Obrócił gaśnicę, wyrwał zawleczkę i ścisnął dźwignię, zalewając twarze obu żołnierzy potężnym strumieniem fosforanu amonowego. Jeden z nich próbował unieść rękę z pistoletem, ale Pitt cisnął w niego gaśnicą.

— *Adiós!* — rzucił na pożegnanie, uruchamiając wciągarkę. Złapał opadający hak, zrobił krok naprzód i zniknął w otwartym włazie.

W tym czasie drugi żołnierz przetarł oczy i błyskawicznie uniósł karabin do ramienia, ale więźnia już nie było na pokładzie.

— Łądujcie! Natychmiast! — krzyknął do pilotów.

Ci jednak zignorowali go, bo nagle tablica przyrządów w kokpicie rozjarzyła się czerwonymi światełkami, a maszyna zaczęła się miotać na wszystkie strony.

— Brak paliwa — powiedział drugi pilot. — W obu silnikach.

Pierwszy pilot spojrział na wskaźniki.

— Przecież zewnętrzne zbiorniki są pełne!

Przełączył dopływ paliwa z jednego zbiornika na drugi, ale nie przyniosło to żadnego efektu. Dławiące się silniki wydawały charkotliwy dźwięk.

Pitt nieprzypadkowo wybrał miejsce uderzenia gaśnicą. Dwa stalowe przewody w pobliżu osłony silnika były opatrzone napisem *COMBUSTIBLE DE AVIACIÓN*. Pech załogi polegał na tym, że doprowadzały one paliwo z obu zbiorników. Jak słusznie założył, zbiornik wewnętrzny był prawdę pusty po przylocie z Hawany. Została tylko odrobina rezerwy na kilka minut. Mając zaledwie kilka sekund na reakcję, pilot nie był w stanie zlokalizować problemu, zwłaszcza że oba zbiorniki zewnętrzne były pełne.

Silniki helikoptera zakrzuszyły się jeszcze kilka razy, po czym całkiem stanęły. Teraz słychać było tylko sygnały alarmowe z kokpitu i szum zamierających wirników.

Pilot usiłował opuścić nos maszyny, aby wprowadzić ją w autorotację, ale ciężki śmigłowiec nie reagował na stery. Resztą rozpędu zatoczył krótki łuk, po czym runął w dół jak kamień.

Uderzyli przodem w powierzchnię oceanu. Kokpit został całkowicie zmiażdżony, a główny wirnik oderwał się i koziołkując, zapadł się pod wodę. Kadłub jeszcze przez kilka sekund kołysał się na fali, ale potem zatonął, a wraz z nim wszyscy na pokładzie.

ROZDZIAŁ 57

Wyskakując z helikoptera, Pitt niemal wypuścił kabel z rąk. Hak na jego końcu wbił mu się w wierzch dłoni, boleśnie powstrzymując zbyt szybki upadek. Zawisł z rękami wyciągniętymi nad głową, tuż pod płozami maszyny, która zaczęła kołysać się w powietrzu.

Wciągarka stopniowo wypuszczała dalsze zwoje kabla, ale Pitt przeklinał w duchu powolność urządzenia. Musiał znaleźć się na wysokości pozwalającej na skok, a wciąż był zdecydowanie za wysoko. Nie miał innego wyboru, niż czekać, aż kabel opuści się niżej. Tymczasem helikopter nad nim rozpoczął powolny taniec śmierci. Na szczęście strażnicy byli zbyt przejęci rozwojem wydarzeń, aby pomyśleć o zatrzymaniu wciągarki.

Kabel szarpnął silnie, podczas gdy helikopter zakolebał się i zaczął zwalniać. Pitt z najwyższym trudem utrzymywał się na haku, który kołysał się mocno na wszystkie strony. Śmigłowiec obniżył lot, lecz odległość do ziemi wciąż była za duża.

Po chwili główne śmigło zaczęło zwalniać, a silniki pracowały coraz ciszej, aż wreszcie całkiem umilkły. Gdy pilot przechylił dziób, wprowadzając maszynę w słaby lot nurkowy, kabel zawisł luźno w rękach Pitta. Spadł przynajmniej sześć metrów w dół, zanim kabel ponownie się naprężył, niemal wrywając mu ramiona ze stawów.

Poczuł silne szarpnięcie do przodu i w dół, w reakcji na chwilowe przyspieszenie pochylonego helikoptera, po chwili jednak maszyna straciła cały impet, a Pitt, wciąż trzymając się kabla, wyleciał przed kokpit maszyny. Obawiając się uderzenia w szklane okna, puścił kabel i zwinął się w kulkę.

Chociaż znajdował się już tylko dziesięć metrów nad powierzchnią oceanu, w dalszym ciągu leciał naprzód z dużą prędkością. Uderzył mocno i woda zamknęła się nad nim, ale szybko zaczął wypływać.

Zachłysnął się wdychanym powietrzem. Zderzenie całkiem pozbawiło go tchu. Próbował płynąć dalej, lecz silny ból w ramieniu uniemożliwiał mu uniesienie lewej ręki nad głowę. Mocno pracował nogami i zdrową ręką, żeby utrzymać się na powierzchni.

Uniósł głowę w samą porę, by zobaczyć, jak wirujący helikopter wpada do wody zaledwie kilka metrów przed nim. Zignorował głośny syk dochodzący z tonącej kabiny i skierował się na majaczącą w oddali piaszczystą plażę.

Płynął spokojnie, dopóki nie poczuł, że prąd niesie go w stronę części wybrzeża zalewanej falami. Wziąwszy głęboki oddech, zmobilizował resztki energii i zaczął przebierać rękami i nogami pod prąd, w stronę plaży. Ból nie ustawał, ale ignorował go. Wreszcie zobaczył nieznaczne kłęбки piany wzbijane przez niewielkie fale. Stopami wyczuł grunt i pokuśtykał w stronę kępki krzaków za plażą. Czując na karku i lewym ramieniu ciepłe strużki, uświadomił sobie, że kabel musiał rozciąć mu skórę, gdy skakał.

Kompletnie wykończony, doczłapał między krzewy. Gdy zbliżał się do rosnącego nieopodal baniana, zmęczenie i ból wzięły górę. Osunął się na kolana i zemdłał.

ROZDZIAŁ 58

Kapitan proszony na mostek. Powtarzam, kapitan proszony na mostek.

Bill Stenseth sięgnął po przenośne radio i przysunął je do twarzy.

— Już idę.

Doświadczony kapitan przerwał poranną inspekcję maszynowni i wspiął się na mostek „Caroline”. Był to jeden z najnowszych statków NUMA, wyposażony w basen zanurzeniowy w centralnej części kadłuba oraz potężny dźwig bramowy na rufie, służący do wodowania pojazdów podwodnych. Jak wszystkie jednostki NUMA, kadłub miał pomalowany na kolor turkusowy.

Gdy tylko Stenseth pojawił się na mostku, podszedł do niego młody oficer w starannie odprasowanym białym mundurze.

— Przepraszam, że zawracamy panu głowę, kapitanie, ale otrzymaliśmy przed chwilą bardzo dziwną wiadomość.

— Słucham, Roberts.

— Zmierzający ku nam statek powietrzny poprosił o podjęcie z wody trzech nurków. Mają się znajdować w pobliżu dziobu od strony bakburty.

Stenseth spojrział w tamtym kierunku. „Caroline” stała na kotwicy, kołysząc się łagodnie czterysta metrów od South Cat Cay, niewielkiej wyspy w dystrykcie Bimini.

— O ile dobrze widzę, w wodzie nikogo nie ma — powiedział. — Kto zgłosił tę prośbę?

— Nie wiemy — odparł Roberts. — Ten, kto nadał wiadomość, nie ujawnił swojej tożsamości.

Marynarz stojący po drugiej stronie mostka wskazał w stronę dziobu.

— Panie kapitanie, zbliża się śmigłowiec.

Stenseth podszedł bliżej i patrzył na helikopter lecący bardzo nisko nad powierzchnią wody. Był to cywilny bell 407, często używany przez służby porządku publicznego oraz do przewozu pasażerów.

Śmigłowiec okrążył kadłub „Caroline” i zawisł z lewej strony dziobu, zniżając się niemal na wysokość fal. Po chwili boczne drzwi otworzyły się i wyskoczyli z nich trzej mężczyźni w kombinezonach nurkowych. Za nimi wyrzucono pomarańczowy pojemnik, po czym helikopter wzniósł się w powietrze, zwiększył obroty wirnika i odleciał tam, skąd przybył.

Gdy mężczyźni wypłynęli na powierzchnię i zaczęli zbliżać się do statku, kapitan wydał krótki rozkaz:

— Spuścić na wodę zodiaka, natychmiast!

Zanim załoga „Caroline” zdążyła przygotować ponton, nurkowie podpłynęli do rufy, ciągnąc pomarańczowy pojemnik. Opuszczono platformę nurkową, na którą wdrapali się ze swoim pakunkiem.

Stenseth czekał na nich przy relingu. Najniższy z nurków wyciągnął do niego rękę na powitanie, a drugą ściągnął z twarzy akwalung.

— Cześć, Bill. Dobrze cię widzieć.

Stenseth nawet nie próbował ukrywać zdziwienia na widok człowieka, którego do tej pory widywał raczej w okularach w rogowej oprawie.

— Rudi, to naprawdę ty?

— Przepraszam za tak nagłą i niespodziewaną wizytę — Gunn uśmiechnął się i wskazał swoich towarzyszy. — Znasz już chyba Jacka Dahlgrena i Pierce’a Russella.

— Owszem. — Stenseth skinął im głową. — Ale po co ten helikopter? Mogliśmy zabrać was z portu.

— Niestety, czas pracuje na naszą niekorzyść. Poza tym, kiedy łamie się wyraźne polecenie wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych, lepiej, żeby wiedziało o tym jak najmniej osób.

— To znaczy o czym konkretnie? — spytał Stenseth.

— Chodzi o „Sargasso Sea”. Mamy powody sądzić, że został porwany w pobliżu Hawany. Z przyczyn, które najwyraźniej wykraczają poza moje upoważnienia, wiceprezydent nie tylko odmówił udzielenia pomocy, ale wręcz kazał nam nie mieszać się do sprawy. — Gunn pokręcił głową. — Jednak nie mogę sobie na to pozwolić. Załodze może grozić niebezpieczeństwo i musimy jak najprędzej ustalić, co tam się dzieje.

— Czy na pokładzie są Pitt i Giordino?

— Są, co czyni sprawę jeszcze bardziej niepokojącą. Straciliśmy kontakt ze statkiem już kilka dni temu. Badali podwodne emisje rtęci i podejrzewam, że odkryli ich źródło.

— Kubańczycy?

— Tego nie wiemy.

— Teraz rozumiem ten lot anonimowym, wynajętym helikopterem.

— Pilot uważa, że wybraliśmy się na delfiny. Nie rwał się do przewiezienia nas tutaj z Miami, ale odpowiednie wynagrodzenie rozwiało jego wątpliwości.

— Mocno się narażasz, Rudi, ale chętnie ci w tym pomogę — powiedział Stenseth. — Nie pamiętam już, ile razy Pitt ratował mi tyłek.

— Wiedziałem, że można na ciebie liczyć.

— Co mamy robić?

Gunn wskazał w kierunku pokładu otwartego, gdzie na drewnianym rusztowaniu stał kształtny pojazd podwodny o kadłubie z włókna szklanego.

— Chcę, żebyś powiedział mi dwie rzeczy. — Od razu przeszedł do sedna. — Po pierwsze, że „Bullet” jest w pełni sprawny i gotowy do akcji. I po drugie, że „Caroline” może wyruszyć na morze w ciągu godziny.

Stenseth pokiwał głową z uśmiechem.

— „Bulletowi” trzeba tylko uzupełnić poziom paliwa i może iść pod wodę. A co do „Caroline”, to jeśli za dwadzieścia minut nie będzie płynąć pełną parą w stronę Kuby, możesz przejąć dowództwo.

— Dziękuję, Bill. Każda sekunda może być na wagę złota.

— No to bierzmy się do roboty. — Stenseth już zrobił krok w kierunku mostka, ale zatrzymał się i spytał: — A tak na marginesie, co przywieźliście w tym pojemniku?

Brwi Gunna zmarszczyły się, gdy z kamienną twarzą odpowiedział na pytanie kapitana:

— Zabezpieczenie.

ROZDZIAŁ 59

Summer prawie godzinę siedziała na pomoście w promieniach porannego słońca i z uzbrojonym strażnikiem u boku. Cały czas myślała o ojcu i czekającym go losie. Nagle na horyzoncie zamajaczył szybko rosnący niebieski kształt, który wkrótce przeistoczył się w zgrabną motorówkę, pędzącą do brzegu z mocą dwóch silników Diesla z turbosprężarkami.

Strażnicy zaprowadzili Summer do klimatyzowanej kabiny pasażerskiej, z której widziała mężczyzn wnoszących na pokład skrzynie z materiałami wybuchowymi.

Chwilę później na pomost weszli Diaz i Molina. Wymienili uścisk dłoni, po czym Diaz wskoczył do motorówki, która ruszyła z głośnym rykiem silników. Summer aż się wzdrygnęła, gdy wszedł do kabiny i usiadł obok niej.

— Nastąpiła drobna zmiana planów — oznajmił. — Zrobimy krótki postój przy „Sargasso Sea”.

— Czy będę mogła tam zostać?

Diaz roześmiał się.

— Nie, kochanie. Zresztą wątpię, żebyś naprawdę tego chciała. Będziesz mi towarzyszyć na „Sea Rakerze”.

— Nie zdajesz sobie sprawy ze skali zniszczeń, jakie nastąpią po wysadzeniu kominów.

— A ty nie zdajesz sobie sprawy, jakie pieniądze i jaka władza przeszłyby mi koło nosa, gdybym tego nie zrobił — odparł z uśmiechem. — Oczywiście może się okazać, że będzie to śmiesznie mało w porównaniu z tym, co mnie czeka po odkryciu tajemnicy azteckiej tablicy.

— Skąd to przypuszczenie?

— Właśnie z powodu tej tablicy byłem w Meksyku. Nasz statek natknął się w pobliżu Jamajki na zatopione kanoe, na którym znaleźliśmy tę złotą statuetkę. Dzięki waszym zapiskom wiemy, że to kanoe było tylko jednym z wielu.

Doktor Torres potwierdził moje podejrzenia, że statuetka to aztecki wyrób. Na pozostałych łodziach na pewno było ich znacznie więcej.

— Tak daleko idące wnioski na podstawie jednej złotej figurki? Brzmi to jak sen o złocie głupców — skwitowała Summer.

— Statuetka była jedynym artefaktem pozostałym na pokładzie. Zapewne łódź tonęła powoli i załoga zdążyła przenieść się do pozostałych kanoe z resztą ładunku.

— Mogło tak być — przyznała. — Ale skoro już wiesz, gdzie szukać drugiej części tablicy, czemu nie przerwiesz tego wybuchowego szaleństwa i nie zajmiesz się skarbem?

— I może jeszcze powinienem puścić ciebie i twojego ojca wolno? — ironizował.

Summer spojrzała w czarne oczy Diaza, ale nie zobaczyła w nich nawet odrobiny współczucia.

— Nie, raczej nie — odpowiedział sam sobie, wstając. — A teraz muszę cię opuścić, bo mamy z bratem kilka bardzo ważnych spraw do załatwienia.

Wyszedł na mostek, zostawiając Summer sam na sam z domysłami, kim może być jego brat.

Motorówka właśnie dopłynęła do „Sargasso Sea” i zatrzymała się tuż pod drabinką linową, obok dwóch pontonów nadal przywiązanych do burty. Najpierw wniesiono na pokład materiały wybuchowe, a potem po drabince wspiął się sam Diaz. Calzado, dowódca komandosów, czekał przy relingu.

— Jakies problemy? — zapytał Diaz.

— Nie. Więźniowie są pod nadzorem, na pokładzie panuje spokój. Czekamy na rozkazy.

— Molina twierdzi, że podczas ataku ze statku nie wysłano żadnej wiadomości.

— Udało nam się zaskoczyć ludzi na mostku, więc tak przypuszczamy. Po wpłynięciu na nasze wody terytorialne przez jakiś czas wywoływał nas jakiś okręt amerykańskiej Straży Wybrzeża, ale odpłynął, gdy powiadomiliśmy o tym przebywający w okolicy kuter patrolowy naszej marynarki wojennej.

— Bardzo dobrze.

— Otrzymaliśmy złą wiadomość od naszych ludzi z kraju. Helikopter, który wyleciał dziś rano z bazy wydobywczej, rozbił się w pobliżu Puerto Escondido w drodze do Hawany.

— Czy ktoś ocalał?

— Nie wiadomo. Na miejsce wezwano wojsko i ekipę nurków. Odezwą się, kiedy dowiedzą się czegoś nowego.

Twarz Diaza wyraźnie stężała. Czy to Pitt jakimś cudem zdołał doprowadzić do katastrofy? Niewykluczone, ale nawet jeśli zginął, może córka zdoła go zastąpić w roli zabójcy Raula.

Odwrócił się i wskazał skrzynie ustawione na pokładzie.

— Generał kazał zatopić statek — oznajmił. — Gdzie są Amerykanie?

— W dwóch laboratoriach przy rufie.

— Niech tam zostaną. Po zmroku zatopicie statek z całą załogą na pokładzie. Wszyscy mają zginąć. Zrozumiano?

— Tak jest! — Komandos energicznie skinął głową i powtórzył: — Wszyscy mają zginąć.

ROZDZIAŁ 60

Członkowie załogi zamknięci w laboratorium odskoczyli odruchowo, gdy drzwi nagle się otworzyły. Do środka został wepchnięty jeden ze sterników, drobny mężczyzna nazwiskiem Ross, ściskający w rękach duże kartonowe pudło. Za nim do pomieszczenia weszło dwóch strażników z karabinami gotowymi do strzału. Szturchnęli Rossa, nakazując mu rozdać zawartość pudła.

— To ty, Ross? — rozległ się głos kapitana Smitha, który siedział na krześle w głębi laboratorium. Nogi opierał na stołku i miał zabandażowaną klatkę piersiową. Wciąż był bardzo osłabiony, ale wzrok miał bystry i uważny.

Ross ruszył w stronę dowódcy, rozdając po drodze butelki wody. Poruszał się niepewnie, miał podbite oko i dużego siniaka na policzku.

— Statek został przemieszczony na odległość dziewięciu mil od brzegu, sir — zameldował. — Przed kilkoma minutami przyплыła jakaś motorówka. Wprawdzie mój hiszpański nie jest najlepszy, ale o ile dobrze zrozumiałem, jeden z komandosów na mostku mówił, że na jej pokładzie przywieziono materiały wybuchowe i że zamierzają wysadzić statek jeszcze tej nocy, z nami na pokładzie.

Szara twarz Smitha stała się jeszcze bledsza, ale po chwili pojawił się na niej rumieniec gniewu.

— Na razie, zachowaj te informacje dla siebie — polecił sternikowi.

— Tak jest.

— Wiesz, co z ludźmi zamkniętymi w drugim laboratorium?

— Chyba wszystko z nimi w porządku, nie licząc Tylera, który stracił sporo krwi. Byłem już tam z zapasami.

— Nam też coś przyniosłeś?

— Tak, wszystko, co wpadło mi w ręce i nadawało się do jedzenia. Dali mi dziesięć sekund na zapełnienie tego pudła, więc nie miałem czasu na przebieranie.

— Hej, ty! — Jeden ze strażników machnął karabinem w jego stronę. — Pośpiesz się! I bez gadania!

— Rozdaj wszystko — poinstruował sternika Smith.

Ross kiwnął głową i ruszył w stronę drzwi, dając każdemu mijanemu towarzyszowi jabłko i butelkę wody. Kiedy strażnicy wyprowadzili go z pomieszczenia i zamknęli za sobą drzwi, kapitan zwrócił się do Dirka i Ala.

— Jesteśmy w kiepskim położeniu — powiedział cicho. — Jakies pomysły?

— Wygląda na to, że postanowili posłać nas na dno — odparł Dirk. — Niestety, nic mi nie przychodzi do głowy.

— Nie ma sposobu, żeby się stąd wydostać — dodał Giordino. Gdy tylko zamknęli ich w laboratorium, dokładnie zbadał każdy zakamarek, szukając drogi ucieczki. Nie znalazł niczego, co dawałoby jakąś nadzieję. Laboratorium okazało się wielką stalową klatką z jednym wyjściem. — Jedyne, co możemy zrobić, to obezwładnić strażników, kiedy następnym razem otworzą drzwi.

— Tak, to nasza jedyna szansa — zgodził się Dirk.

— Przy wejściu zawsze jest co najmniej dwóch uzbrojonych ludzi — sprzeciwił się Smith. — Zabiliby was w mgnieniu oka.

Gdy to mówił, targnął nim silny skurcz, od którego nogi zsunęły mu się ze stołka i spadły ciężko na ziemię. Zaklął szpetnie, bo jego ramię przeszył ostry ból.

Dirk, który stał najbliżej, pomógł kapitanowi poprawić się na krześle. Kiedy się schylał, zauważył, że na jednej z niższych półek szaf laboratoryjnych stoi duża butla z jodyną i kilka mniejszych, z innymi odczynnikami używanymi przez naukowców. W jego głowie zaczął kiełkować pewien plan.

— Wracając do tego, o czym mówił Al... — powiedział, wstając z paroma butelkami w ręku. — Chyba wiem, jak zwiększyć nasze szanse.

ROZDZIAŁ 61

Pitt ocknął się na dźwięk podniesionych głosów. Przetarł oczy, otrząsając się z chwilowego otępienia i przypominając sobie, gdzie się znajduje i co tu robi. Gdy przekreślił się na brzuch, przeszywający ból w ramieniu natychmiast przywrócił wspomnienia desperackiego wyczynu w helikopterze. Wyrzął zza kępki krzaków, by zobaczyć, kto rozmawia w pobliżu.

Głosy należały do nurków wojskowych, którzy pracowali w wodzie nieopodal brzegu, prawdopodobnie szukając ocalonych z katastrofy. Kilku kolejnych mężczyzn siedziało w pontonie, unoszącym się na falach kilka metrów dalej. W pierwszej chwili Pitt zdziwił się, że akcję ratunkową zorganizowano tak szybko, ale gdy spojrzął na swój zegarek Doxa, okazało się, że był nieprzytomny ponad dwie godziny. Powiódł dłonią po rozcięciu na karku i ramieniu i wyczuł pod palcami gruby strup zaschniętej krwi. To wyjaśniało, dlaczego zemdlął.

Podniesione głosy nurków wskazywały, że już znaleźli wrak śmigłowca. Pitt obserwował, jak z pontonu podają nurkom pięć worków na zwłoki. Na pewno niedługo zorientują się, że ciało powinno być sześć.

Rozejrzał się po okolicy i zobaczył, że niewielka kępa zieleni, za którą leży, to jedyna osłona w promieniu kilkudziesięciu metrów. Po lewej stronie rozciągał się niemal kilometrowy odcinek gołej plaży, a z prawej znajdowała się kamienista skarpa. Za plecami miał niewielkie wzniesienie prowadzące w głąb dżungli.

Gdy zastanawiał się, jak niepostrzeżenie wbiec na górę, usłyszał pisk hamującego samochodu. Popatrzył w stronę dżungli i tuż przed granicą drzew dostrzegł dach wojskowej ciężarówki. Oznaczało to, że na wzgórze prowadzi droga. W tej chwili była jednak niedostępna, bo z ciężarówki wyskoczył oddział kubańskich żołnierzy, którzy utworzyli tyralierę i ruszyli w kierunku plaży.

Kiedy dwaj z nich zbliżali się do jego kryjówki, Pitt ukrył się pod gęstym krzewem. Mężczyźni, nie poświęciwszy krzakom większej uwagi, minęli je i poszli dalej. Po chwili jednak jeden się zatrzymał i uważnie przyjrzał ziemi pod nogami.

Pitt dobrze wiedział, co zobaczył żołnierz — ślady jego stóp, prowadzące od strony brzegu do krzaków. Z rosnącym przerażeniem patrzył, jak żołnierz idzie po śladach, zbliżając się powoli do baniana. Ziemia wokół drzewa była znacznie twardsza, więc ślady zrobiły się prawie niewidoczne, ale żołnierz nie rezygnował. Pitt, świadomy, że prędzej czy później go znajdzie, postanowił przejść do ofensywy. Począł, aż mężczyzna odwróci się do niego plecami, i wyskoczył z kryjówki.

Dopadł żołnierza w dwóch susach i uderzył z całej siły, trafiając go pięścią w łędźwie i pozbawiając równowagi. Zaatakowany odwrócił się chwiejnie, żeby strzelić, ale Pitt był na to przygotowany, jedną ręką chwycił lufę karabinu i pchnął go w brzuch mężczyzny, a drugą ręką wymierzył mu cios w podbródek.

Żołnierz opadł na kolana i wypuścił karabin. Pitt natychmiast obrócił go lufą w jego stronę i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że mierzy nie do mężczyzny, ale do chłopca mającego nie więcej niż siedemnaście lat. Bez wątplenia był ofiarą obowiązkowego poboru, a nie jednym z dobrze wyszkolonych ludzi Diaza. Teraz, rozbrojony i obolały, patrzył na Pitta z wyraźnym przerażeniem.

— Spadaj! — rzucił Pitt i na wypadek, gdyby dzieciak nie znał angielskiego, machnął karabinem w stronę plaży.

Chłopak podniósł się z klęczek i odszedł, powłócząc nogami. Pitt ruszył w przeciwnym kierunku najszybciej, jak mógł. Gdy po chwili usłyszał, że chłopak coś woła do swoich towarzyszy, nawet się nie obejrzał, tylko natychmiast padł na ziemię. Ułamek sekundy później seria strzałów roztrzaskała kilka pobliskich kamieni.

Pitt uniósł odebrany żołnierzowi AK— 47, posłał krótką serię w stronę napastników i ponownie poderwał się do biegu. Zanim Kubańczycy ponownie otworzyli ogień, tym razem z kilku stron, miał kilka sekund spokoju dokładnie tyle, ile potrzebował by dotrzeć do szczytu wzniesienia. Modlił się w duchu, żeby pozostali żołnierze byli równie młodzi i niedoświadczeni jak napotkany chłopak. Jego prośba została wysłuchana, bo chociaż na ostatnich kilku metrach ścigały go serpentyny pocisków, zdołał bez szwanku przeskoczyć za grzbiet pagórka i zniknąć z pola widzenia napastników.

Przeturlał się po niewielkim nasypie, przylegającym do utwardzonej drogi. Niedaleko stała pusta ciężarówka. W pierwszym odruchu chciał ją porwać, ale zrezygnował z tego pomysłu, gdy zobaczył dwóch żołnierzy przygotowujących punkt kontrolny. W tej chwili kryli się za prowizoryczną barykadą i patrzyli z przestrachem nad krawędzią, ciekawi co jest źródłem zamieszania.

Pitt poderwał się z ziemi i pobiegł wzdłuż drogi. Już myślał, że pozostanie niezauważony, gdy nagle jeden z żołnierzy dostrzegł go i krzyknął coś w jego stronę. Pitt oddał w jego kierunku kilka strzałów i poprawił, celując w silnik ciężarówki. Opróżniwszy magazynek, rzucił bezużyteczny już karabin między drzewa.

Na drogę zaczęli wybiegać żołnierze ścigający go od plaży. Ci zza barykady pokazywali im, w którą stronę pobiegł. Pogoń zbliżała się nieubłaganie.

Pitt wpadł do dzungli, a kawałek dalej skręcił w prawo i popędził równoległe do drogi. Gdy przebiegł kilkadziesiąt metrów, przystanął, podniósł z ziemi kamień i rzucił go w głąb lasu. Odgłos trafienia w drzewa wywołał kolejną kanonadę i skierował pogoń — przynajmniej taką miał nadzieję — w złym kierunku.

Po pokonaniu kilkuset metrów odbił w lewo a gdy dotarł do granicy drzew, sprawdził co się dzieje na drodze za nim.

Przy punkcie kontrolnym zatrzymano starego sedana. Znacznie bliżej dostrzegł dwóch żołnierzy, którzy szli wzdłuż drogi, raz po raz zerkając między drzewa. Zrozumiał, że nie może sobie pozwolić na odpoczynek.

Wycofał się w głąb dżungli i kontynuował bieg równoległe do drogi. Po kilku minutach nastąpił na urwany konar, potknął się i przewrócił. Podnosząc się z wysiłkiem, usłyszał dźwięk nadjeżdżającego samochodu.

Bez namysłu chwycił gałąź i pociągnął na drogę. Szczęśliwie znajdował się przy zakręcie, więc był niewidoczny i dla żołnierzy przy punkcie kontrolnym, i dla ludzi w zbliżającym się aucie. Ustawił przeszkodę na środku drogi i skoczył między krzaki. Tymczasem samochód już pokonał zakręt i zaczął gwałtownie hamować.

Pitt poznał plymoutha fury z 1957 roku, jeden z wielu starych amerykańskich wozów, wciąż używanych na Kubie ze względu na trwające od dziesięcioleci embargo handlowe. Karoseria była w wielu miejscach powyginana, a kołpaki niedopasowane, ale biały lakier lśnił po latach sumiennego polerowania, które starło go niemal do blachy.

Za kierownicą dwudrzwiowego auta siedział starszy mężczyzna, a obok niego kobieta mniej więcej w tym samym wieku. Oboje wysiedli i wspólnymi siłami ściągnęli konar blokujący drogę. Zanim wsiedli z powrotem, Pitt wychynął spomiędzy krzaków i uniósł ręce, by pokazać, że nie jest uzbrojony. Patrzył bez słowa na parę elegancko ubranych, wdzięcznie starzejących się Kubańczyków.

— Hola! — powiedział wreszcie mężczyzna, odsuwając się o kilka kroków.

— Witam — odrzekł Pitt z uśmiechem. — Potrzebuję podwiezienia. Bardzo przepraszam za kłopot.

Kobieta przyjrzała mu się uważnie.

— Jest pan ranny? — spytała.

Zanim zdążył odpowiedzieć, już była przy nim i prowadziła go do samochodu.

— Salvador, szybko! — zwróciła się do męża — Pomóż panu usiąść z tyłu. Musimy zawieźć go do domu.

Ledwo ruszyli, Pitt zobaczył dwóch żołnierzy, którzy wyłonili się z dżungli w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą się ukrywał. Rzucili tylko przelotne spojrzenie w stronę odjeżdżającego samochodu.

ROZDZIAŁ 62

Samochód zjechał z wyboistej szosy na równie kiepską drogę gruntową. Przy każdej dziurze zdezelowane zawieszenie oddawało cały impet uderzenia, wywołując ukłucia bólu w ramieniu Pitta. W dodatku coś pod jego siedzeniem drapało go nieprzyjemnie w bok przy każdym ruchu.

Po pokonaniu wyjątkowo nierównego odcinka samochód wreszcie się zatrzymał i kierowca wyłączył silnik.

Jego żona, mimo mizernej postury, roztaczała aurę dominacji. Regularne rysy twarzy i duże oczy świadczyły, że w młodości musiała być bardzo urodziwa.

— Jesteśmy na miejscu, señor — powiedziała i odwróciła się do męża. — Salvador, zaprowadź pana do środka i pomóż mu się umyć. Zaprosimy go na obiad. Mam nadzieję, że nie stłamsił nam kurczaków.

Pomogła Pittowi wydostać się z auta i wyciągnęła spod tylnego siedzenia dwa martwe kurczaki, których pazury były źródłem jego dyskomfortu. Przyglądała im się przez chwilę, a potem machnęła ręką i ruszyła w stronę małego domku stojącego przy pochylej drodze.

Pitt spojrzał na Salvadora.

— Pańska żona to silna kobieta — rzekł z uśmiechem.

— Maria? — Mężczyzna odwzajemnił uśmiech. — Tak, jest silna jak wół, pod każdym względem. Jeśli coś sobie postanowi, nic nie jest w stanie pokrzyżować jej szyków. Już dawno nauczyłem się unikać jej rogów.

Pitt nie zdołał powstrzymać chichotu.

— Mądrze powiedziane.

— Nazywam się Salvador Farinas — przedstawił się mężczyzna, wyciągając rękę.

— Dirk Pitt.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.

— Proszę wchodzić, panie Pitt. Umyjemy pana, zgodnie z życzeniem Marii.

Dom Farinasów, ze spadzistym dachem i podniszczoną fasadą, wznosił się na skraju urwiska, dzięki czemu roztaczał się z niego wspaniały widok na morze. Pitt widział w dole szosę i brzeg małej zatoczki.

Ku jego zaskoczeniu, wewnątrz było urządzone bardzo interesująco. Na podłogach wyłożonych ciemnymi płytkami Saltillo stały nowoczesne meble. Nagie białe ściany oświetlało światło słoneczne padające z ogromnego okna. Tylko nad kominkiem wisiał obraz o jaskrawej kolorystyce, w stylu Gauguina. Pitt podziwiał sylwetkę rybaka prezentującego swoją dorodną zdobycz.

— Całkiem niezły — ocenił.

— To Marii — wyjaśnił Salvador. — Przed laty była znaną malarką. To jedyny jej obraz, jaki nam pozostał.

— Szkoda, bo naprawdę ma talent.

Farinas zaprowadził gościa do łazienki i dał mu mydło i ręcznik. Pitt wszedł do ciasnej kabiny prysznicowej. Pozbycie się zaschniętej krwi i potwornego znużenia zajęło mu prawie dwadzieścia minut. Zrobił sobie kilka opatrunków i włożył koszulę pożyczoną od gospodarza. Gdy wrócił do salonu, wyglądał, a przede wszystkim czuł się, jak nowo narodzony.

Maria, która zdążyła już oskubać i opłukać kurczaki, teraz zajmowała się gotowaniem. Salvador podał Pittowi szklankę aguardiente, lokalnej odmiany mocnego rumu. Pitt wychylił ją do dna, a gdy gospodarz nalał drugą porcję, wznosił toast:

— Wasze zdrowie, za gościnność dla nieznajomych.

— I twoje — odparł Farinas.

— Macie telefon? — spytał Pitt, kiedy spełnili toast.

Salvador pokręcił przecząco głową.

— Niestety nie. Udało nam się załatwić porządną kanalizację i instalację elektryczną, ale linie telefoniczne jeszcze do nas nie dotarły, a Maria odmawia kupna telefonu komórkowego.

— To niedobrze. Muszę jak najszybciej zadzwonić za granicę.

— Jeśli chcesz, po obiedzie zawiozę cię do Santa Cruz del Norte. Stamtąd będziesz mógł zadzwonić.

Maria wyszła z kuchni, niosąc *arroz con polio*, potrawę przypominającą paellę.

— Salvadorze, otwórz dla naszego gościa butelkę soroa — powiedziała i wyjaśniła, zwracając się do Pitta: — To tutejsze białe wino, powinno panu smakować.

— Mówmy sobie po imieniu — zaproponował.

— Bardzo chętnie — zgodziła się.

Usiedli i zabrali się do jedzenia. Pitt, który ostatni ciepły posiłek zjadł dwa dni temu, błyskawicznie uporał się ze swoją porcją i pochłonął dwie dokładki.

— Twój talent kulinarny dorównuje artystycznemu, Mario — powiedział, gdy skończył.

— Bardzo się cieszę, że jedzenie ci smakowało — odparła i zmieniła temat. — Czy słyszałeś o zamordowaniu prezydenta Castro?

— Tak — potwierdził.

— Strażnicy na punkcie kontrolnym mówili, że jest w to zamieszany jakiś Amerykanin, który zbiegł w tamtej okolicy.

Pitt spojrzał jej w oczy.

— Chodziło im o mnie — powiedział. — Ale przysięgam, że nie miałem nic wspólnego ze śmiercią Castro, chociaż chyba wiem, kto mógł mieć.

Na twarzy Marii odmalowało się rozczarowanie.

— Nie martw się, Pitt — oznajmił ze śmiechem Salvador. — Moja żona na pewno cię nie wyda. Sama spędziła trzy lata w więzieniu za obraz, który władze uznały za wywrotowy.

— Tak było — potwierdziła Maria, a jej oczy zapłonęły gniewem. — Skretyniały pułkownik zarządzający ministerstwem kultury poczuł się urażony obrazem, który przedstawiał przystrojony kwiatami punkt ogniowy. Zniszczyli moją pracownię i zabrali wszystkie obrazy. Tylko ten udało mi się przed nimi ukryć. — Wskazała płótno wiszące nad kominkiem.

— Dlaczego przestałaś malować? — spytał Pitt.

— Bo razem z obrazami wyrwali mi z piersi część duszy. Postanowiłam, że nie wezmę pędzla do ręki, dopóki władze będą prześladowały moją sztukę — wyjaśniła i po chwili dodała: — Kuba zbyt długo nosi całun skrywający jej prawdziwego ducha. Ale może wreszcie nadszedł czas zmian. Modłę się, żeby były to zmiany na lepsze.

— W walce o władzę pierwszą ofiarą jest zwykle wolność — odparł sentencjonalnie Pitt.

— Powiedz mi, co właściwie robisz na Kubie — poprosiła.

Opowiedział Farinasom o poszukiwaniach źródła zatrucia rtęcią i o tym, jak został porwany przez załogę „Sea Raker”. Wyjaśnił, jak ważne jest powstrzymanie wysadzania kominów hydrotermalnych. Wspomniał też o córce, wciąż przetrzymywanej przez złoczyńców.

— Pomożemy ci wrócić na statek — orzekła Maria i zwróciła się do męża: — Zajmiemy się zmywaniem, a potem zawieziesz naszego gościa do Santa Cruz.

Gdy wszystkie brudne naczynia znalazły się w zlewie, Pitt stanął przy oknie, przed którym ustawiono teleskop żeglarski. Słońce już zachodziło, ale zdołał dojrzeć luksusowy jacht stojący w niedużej odległości od brzegu. Gdy przyjrzał mu się dokładniej, stwierdził z zaskoczeniem, że na banderze znajduje się czerwony niedźwiedź z siekierą w pysku.

— Gotowy do wyjścia? — spytał Farinas, ściskający w dłoni kluczyki samochodowe.

— Tak, ale nie pojedziemy do Santa Cruz — odparł Pitt i wskazał przez okno. — Możesz przetransportować mnie na ten jacht?

Salvador kiwnął głową.

— Ja nie, ale mój kuzyn ma łódź i może cię zabrać. Jesteś pewien, że pozwolą ci wejść na pokład?

Pitt uśmiechnął się i odparł:

— Stawiam dolary przeciw orzechom, że nie będą mieli nic przeciwko.

ROZDZIAŁ 63

Późnym popołudniem pięćdziesiąt kilometrów na południe od Key West doszło do spotkania dwóch motorówek kabinowych. Każdego dnia wody u wybrzeży Florydy przemierzały setki takich łodzi, ale te nie należały do nasączonych alkoholem i uprażonych na słońcu lekarzy, na obu aż się roilo od dyskretnie uzbrojonych ochroniarzy. Miejsce spotkania nadzorowały znajdujące się trzy mile dalej dwa śmigłowce bojowe Apache.

Motorówki zbliżyły się do siebie bardzo ostrożnie, niczym bokserzy pierwszy raz spotykający się w ringu. Na delikatnej bryzie powiewały flagi zawieszane nad sterówkami, kubańska i amerykańska.

Ludzie z obu łodzi wymienili się linami i związali motorówki burta przy burcie. Z amerykańskiej kabiny wyłonił się wiceprezydent James Sandecker. Podszedł do relingu i po-
dał dłoń stojącemu po drugiej stronie siwemu mężczyźnie.

— Dzień dobry, panie prezydencie — powiedział.

Raul Castro mocno uściskał rękę Amerykanina.

— To dla mnie zaszczyt, panie wiceprezydencie.

— Proszę mówić mi James. Czy mogę wejść na pańską łódź?

— Naturalnie — odpowiedział Castro i nie puszczając ręki rozmówcy, pomógł mu przejść na drugą stronę.

Uważniej przyjrzał się Sandeckerowi i zauważył, że jest niższy, niż pokazywały to telewizyjne wystąpienia. W jego oczach dostrzegł załóżki rewolucyjnego ognia, co bardzo mu się spodobało.

— A ty mów mi Raul — dodał. — Usiądźmy na rufie i porozmawiajmy.

Sandecker odprawił agentów Secret Service, a Castro uczynił to samo ze swoimi ochroniarzami. Mężczyźni przeszli na rufę i usiedli w cieniu rzucanym przez niski daszek.

— Przynieś nam rumu z brandy — polecił Kubańczyk jednemu ze swoich podkomendnych, po czym zwrócił się do Sandeckera: — Dziękuję ci za to spotkanie, James. Nigdy bym nie pomyślał, że rząd Stanów Zjednoczonych ostrzeże mnie przed zamachem. To dzięki wam wciąż jestem wśród żywych. Chciałbym podziękować tobie i twojemu prezydentowi za uratowanie mnie przed śmiercią.

— Prezydent był ogromnie zaskoczony, gdy nasi agenci przedstawili mu informacje o planowanym zamachu, zwłaszcza że spisek zawiązano w twoim kraju. Obaj cieszymy się, że jesteś cały i zdrowy. — Sandecker odchrząknął i mówił dalej: — Sądzimy, że to idealna okazja do poprawienia stosunków między naszymi krajami i zażegnania sporów panujących od czasu zimnej wojny.

Castro pokiwał głową, wpatrując się w spokojne morze.

— Problemy między naszymi państwami są dla mnie największym ciężarem od śmierci brata. Przed laty mój kraj potrzebował Fidela w równym stopniu jak on potrzebował ludu. Ale te czasy minęły bezpowrotnie. Fidel zrobił dla Kuby dużo dobrego, lecz zatrzymał możliwości rozwoju. Najwyższa pora dać moim obywatelom prawdziwy dobrobyt. — Przeniósł spojrzenie na Sandeckera. — Jak zapewne wiesz, zadeklarowałem, że w 2018 nie będę się ubiegać o reelekcję. Zamierzam ogłosić swoim następcą ministra spraw zagranicznych Ruiza. To gorący zwolennik gospodarki rynkowej i poprawy stosunków z twoim krajem. — Przerwał na chwilę i wziął głęboki oddech. — Do końca mojej kadencji chciałbym położyć fundamenty pod jego plany.

— Mamy dwieście pięćdziesiąt lat doświadczenia z wolnorynkowym ustrojem demokratycznym. Możemy wskazać wam właściwą drogę — zaproponował Sandecker.

Stary marksista wyraźnie się rozluźnił na te słowa.

— Niełatwo porzucić wieloletnie przekonania, ale czasem daje to poczucie wyzwolenia.

W tym momencie jeden z ludzi Castro przyniósł zamówione drinki i mężczyźni wzniesli toast za poprawę stosunków między ich krajami.

— Chciałbym cię o coś spytać, Raul — wznowił rozmowę Sandecker. — Na Kubie aż huczy od niepotwierdzonych plotek na temat twojej śmierci na Kajmanach. Czemu do tej pory ich nie rozwiąłeś?

W oczach Castro zapłonął gniew.

— Nadal nie wiemy, kto wynajął zamachowców. Jeżeli uda mi się utrzymać przekonanie, że nie żyję, wkrótce prawdziwi sprawcy ujawnią się w taki czy inny sposób.

— Słuszne posunięcie — przyznał Sandecker — ale sądzę, że mogę ci pomóc.

Wyjął z kieszeni koszuli złożoną kartkę i podał Kubańczykowi.

— Nas również interesowało, kto był zleceniodawcą, więc sprawdziliśmy źródło wpłat na konta zamachowców. Podążając tym tropem, odkryliśmy, że pieniądze przekazano z aż trzech kont kajmańskich, każde w innym banku. Ślady skierowały nas następnie do banku w Wenezueli, a na końcu do rachunku państwowego w Hawanie. Zwróć uwagę, że rachunek ten jest zarządzany przez wasze Ministerstwo Spraw Wewnętrznych.

Castro wpatrywał się w kartkę z rosnącym zdumieniem.

— Gutier! Oczywiście! Słynie z ekstremistycznych przekonań, a jego ambicja jest wprost legendarna. Pozbywszy się mnie, mógłby liczyć na poparcie armii i w rezultacie objęcie fotela prezydenta. Od dawna wiedziałem, że marzy o zajęciu mojego miejsca. Najwyraźniej albo stracił cierpliwość, albo nie mógł znieść myśli, że moim zastępcą będzie Ruiz.

— Przykro mi — powiedział Sandecker. — Zdrada z wewnątrz to okropna sprawa.

— Niepotrzebnie się martwisz, a ja ponownie dziękuję, tym razem za zdemaskowanie tego kundla. Nigdy za nim nie przepadałem, ale to zdolny dowódca z wieloletnią historią oddanej służby.

— Czy jego pozycja w armii nie będzie stanowić problemu?

— Absolutnie nie. Obecny minister sił zbrojnych był lojalny przez ostatnie czterdzieści lat.
— Głos Kubańczyka wyraźnie złagodniał. — Wybacz mi, że się uniosłem, James, ale wiadomość o zdradzie naprawdę mną wstrząsnęła.

— Doskonale cię rozumiem. Musisz rozwiązać swoje sprawy.

— Z drugiej strony, właśnie ten podły spisek pchnął nas ku zawarciu porozumienia — zauważył optymistycznie Castro, dopijając drinka.

— To prawda — zgodził się Sandecker. — Niestety są jeszcze dwie sprawy, które mogą nieco opóźnić twoje plany.

— Co masz na myśli?

— Pierwsza dotyczy Azji. Wywiad naszych przyjaciół z Korei Południowej przekazał nam niepokojące informacje na temat układu między Pjongjangiem a twoim krajem. Podobno Kuba ma przekazać Korei Północnej duże ilości uranu do produkcji nowych bomb atomowych. W zamian za to Koreańczycy oferują kilka rakiet z głowicami nuklearnymi.

— Co?! — Castro zerwał się z krzesła — To niedorzeczne! Te informacje muszą być fałszywe.

— To nie pierwszy wasz układ handlowy z Koreą Północną.

— To prawda, ale do tej pory zawsze chodziło o znikome ilości broni. Nie mamy bliskich stosunków z Koreańczykami. Zapewniam cię, James, że nic mi nie wiadomo o tym porozumieniu. Przecież na Kubie nie wydobywa się uranu. I z pewnością nie ma zapotrzebowania na broń nuklearną.

— Miło mi to słyszeć. Oczywiście mogło dojść do pomyłki, wiele informacji dotyczących Korei Północnej okazuje się fałszywych.

Castro kiwnął głową.

— Tak musi być i w tym przypadku. Nie obawiaj się, to kompletnie szalony pomysł. Mówiłeś jednak o dwóch sprawach.

— Tak, jest jeszcze coś, czym martwię się osobiście. Chodzi o statek badawczy NUMA „Sargasso Sea”. Przetrzyście go na swoich wodach terytorialnych.

— To znaczy? — Castro nie miał pojęcia, o co chodzi.

Sandecker wyjaśnił mu, że kontakt z załogą został nagle zerwany, a zdjęcia satelitarne pokazują, że statek znajduje się na wodach terytorialnych Kuby.

Gdy skończył, Castro pokręcił głową i rzekł:

— Przykro mi, James, ale o tym również nic mi nie wiadomo. Jesteś pewien, że to nie kwestia zwykłej awarii?

— Na zdjęciach satelitarnych nie widać żadnych śladów pożaru czy innych uszkodzeń. Poza tym statek jest wyposażony w kilka form komunikacji. Wysłaliśmy tam okręt Straży Wybrzeża, ale został przegnany przez waszą marynarkę wojenną. Sądzymy, że „Sargasso Sea” został porwany.

— Możliwe, że jest w to zamieszana jakaś jednostka operująca w tym rejonie, ale żadne informacje na ten temat nie dotarły do Hawany.

— Na pokładzie jest pięćdziesięciu ludzi, wśród nich kilku moich przyjaciół. Zwracam się teraz do ciebie prywatnie i proszę o przysługę. Czy możesz się dowiedzieć, co tam zaszło?

— Oczywiście. W pełni rozumiem twój niepokój. Gdy tylko wrócę do stolicy, natychmiast się tym zajmę.

Niespodziewanie bardzo blisko rufy z wody wyskoczyła potężna ryba, przyciągając uwagę obu mężczyzn.

— Lubisz łowić ryby, James? — spytał Castro.

— Tak, ale minęło już dobrych kilka lat od mojego ostatniego pojedynku z większym okazem — wyznał ze smutkiem Sandecker.

— W takim razie przy kolejnej okazji wybierzemy się na ryby. Marliny błękitne znad Cieśniny Florydzkiej są najlepsze na świecie.

— Wygląda na to, że mamy świetny powód, aby rychło powtórzyć spotkanie — odparł Sandecker, wstając i podając Raulowi rękę. — Będzie to dla mnie prawdziwa przyjemność.

ROZDZIAŁ 64

Tym razem Pitt siedział obok kierowcy, kiedy kubańskie małżeństwo zawiozło go w dół zbocza. Przed wyjściem

założył słomkowy kapelusz i okulary przeciwsłoneczne, aby w choć niewielkim stopniu ukryć swoją tożsamość. Po drodze nie napotkali żadnych punktów kontrolnych, minęli jednak pędzącą gdzieś wojskową ciężarówkę.

Farinas wjechał do dzielnicy zniszczonych bloków mieszkalnych i zatrzymał się przy jednym z nich, pomalowanym na różowo i stojącym blisko morza. Z budynku wyszedł tryskający energią mężczyzna, którego przedstawił jako swojego kuzyna.

— Chodźmy do mojej łodzi — powiedział przybysz. — Przewiozę cię od razu.

Pitt pożegnał się z Salvadorem i uściskał Marię.

— Nie zapomnę waszej gościnności.

— Nie ustawaj w swoich wysiłkach — odpowiedziała mu. — Życzymy szczęścia tobie i twojej córce.

Kuzyn Farinasa zaprowadził Pitta do stojącej na plaży małej rybackiej łajby. Wciągnęli ją do wody i wsiedli, uruchamiając rżący silnik. Po zaledwie kilku minutach byli już przy należącej do Marka Ramseya jachcie „Gold Digger”. Jakiś potężny, mocno umięśniony mężczyzna podszedł do burty i kazał im odpłynąć.

— Czy Mark jest na pokładzie? — zwrócił się do niego Pitt.

— A kto pyta? — warknął osilek.

— Kierowca bentleya o nazwisku Pitt.

Mężczyzna posłał mu niechętnie spojrzenie, po czym powiedział kilka słów do trzymanego w rękę radia. Gdy po chwili otrzymał odpowiedź, jego chmurna twarz rozjaśniła się i zamachał do nich, żeby podpłynęli bliżej. Pitt podziękował krewniakowi Farinasa i wspiął się na pokład.

— Pan Ramsey z przyjemnością przyjmie pana w swoim salonie — oznajmił mięśniak i poprowadził Pitta po pokładzie do francuskich drzwi.

Ramsey siedział przy stole zavalonym raportami dotyczącymi aktywności sejsmicznej. Miał na sobie sportową koszulę i luźne spodnie. Na widok Pitta wstał i przywitał go z uśmiechem:

— Wyjechałeś daleko z toru, Pitt. Jak mnie tu znalazłeś?

— Poznałem logo twojej firmy. Takie samo było na ciężarówce, w której trzymałeś swój samochód w Waszyngtonie. Widziałem je również na innym statku w tej okolicy, nazywa się „Sea Raker”.

— A tak, to nasz główny statek do podwodnych prac wydobywczych. Ale musiałeś się pomylić. „Sea Raker” jest w tej chwili wypożyczony i pracuje na Pacyfiku, niedaleko Nikaragui.

Zauważywszy opatrunki Pitta, wskazał mu krzesło.

— Co cię tu właściwie sprowadza? — zapytał.

— Ujmując rzecz jednym słowem: rtęć. Szukałem źródła wzmożonej emisji rtęci na Karaibach. Okazuje się, że przyczyną są wysadzenia podwodnych kominów hydrotermalnych, które przeprowadza twój statek „Sea Raker”.

— Przecież mówiłem ci, że „Sea Raker” jest na Pacyfiku — odparł Ramsey, kręcąc z powątpiewaniem głową.

— Dwa dni temu byłem na jego pokładzie, niecałe pięćdziesiąt kilometrów stąd. Badaliśmy dno oceanu w pojeździe podwodnym i zostaliśmy porwani przez jedną z maszyn wydobywczych. Z „Sea Raker” siłą przetransportowano nas na ląd. Udało mi się uciec, ale moja córka w dalszym ciągu jest przetrzymywana.

— W jakim celu ktokolwiek z „Sea Raker” miałby cię porywać?

— Ponieważ ktoś z tego statku wysadza kominy hydrotermalne, żeby wydobywać z nich uran.

Ramsey popatrzył na Pitta tak, jakby właśnie usłyszał, że muzułmanin został papieżem.

— Uran? Chyba oszalałeś. Statek został oddelegowany do wydobywania złota przy wybrzeżach Nikaragui.

Pitt pokręcił przecząco głową.

— Być może początkowo chodziło im o złoto, ale na Karaibach przerwali się na uran. Na lądzie mają już ogromny ładunek, który dziś rano załadowali na transportowiec.

— To niemożliwe. Wiem, że pokłady uranu pojawiają się często w pobliżu złóż innych minerałów, ale nigdy nie słyszałem, aby wydobywano go spod wody. I niby dlaczego mój statek miałby się tym zajmować?

— O to powinieneś zapytać Kubańczyka nazwiskiem Juan Diaz.

— Diaz? To właśnie on przejął dowodzenie na statku, zgodnie z warunkami umowy z Panamą. Znasz go?

— Przypuszczam, że to on dowodzi całą akcją. I więzi moją córkę.

Ramsey wreszcie uwierzył, że jego gość mówi prawdę.

— Nawet nie wiesz, jak bardzo mi przykro — wykrztusił.

— To jeszcze nie wszystko — podjął Pitt. — Najwyraźniej wewnątrz kominów hydrotermalnych w tym rejonie znajdują się wyjątkowo bogate złoża uranu. Gdzieś pomiędzy warstwami osadowymi nagromadziła się rtęć, prawdopodobnie jeszcze w czasach okresu triasowego. Diaz i jego pomagierzy z kubańskiej armii już wysadzili kilka takich kominów na Karaibach — w tym jeden całkiem niedaleko stąd — uwalniając tym samym tę rtęć do

oceanu. A teraz przygotowują się do wysadzenia jednego z kominów w samym środku Cieśniny Florydzkiej. Jeśli to zrobią, wody skażone rtęcią popłyną z Prądem Zatokowym. Dojdzie do największej katastrofy ekologicznej stulecia.

Na twarzy Ramseya pojawił się wyraz przerażenia.

— Zbudowałem moją reputację, promując wykorzystywanie metod wydobywania surowców jak najmniej szkodliwych dla środowiska. Nigdy nie przekazałbym swoich środków, gdybym wiedział, że zostaną wykorzystane w taki sposób — zapewnił i pokręcił głową z westchnieniem. — Powinienem był się domyślić, że coś jest nie tak. Nie chcieli nic mówić na temat swoich planów, co samo w sobie nie jest dziwne, gdy w grę wchodzi złoto. Ale wszystko było prowadzone jak akcja wojskowa. Nalegali na to, żeby załoga składała się wyłącznie z ich ludzi. Do głowy by mi nie przyszło, że przez kilka miesięcy zdołają spowodować takie szkody.

— Prawdopodobnie są również odpowiedzialni za zatopienie statku wiertniczego „Alta”.

Ramsey wbił spojrzenie w podłogę, zdruzgotany tym, co usłyszał.

— I twierdzisz, że zamierzają wysadzić kolejne kominy? Jak możemy ich powstrzymać?

— Musisz mnie jak najszybciej zabrać do „Sea Raker” i pomóc dostać się na pokład — odparł Pitt bez namysłu. — Ale przedtem chciałbym się skontaktować ze swoim statkiem.

ROZDZIAŁ 65

Komin hydrotermalny oznaczony jako Domingo 2 pojawił się nagle niczym jaskrawy kryształ w pustynnym kalejdoskopie. Dno, znajdujące się na głębokości ponad trzech i pół tysiąca metrów, było zimnym i grząskim polem pozbawionym życia i barw.

Pomocnicza wrębiarka z „Sea Raker” sporządziła w pobliżu ujścia podłużny wykop, w którym wkrótce miały zostać umieszczone kruszące materiały wybuchowe. Na jego dnie w samym środku wydrążony został wąski, głębszy otwór na trotyl.

Gdy z góry opuszczono podwieszoną platformę wypełnioną paletami z saletrolem, operator wrębiarki chwycił mechanicznym ramieniem jedną z nich, ułożył w rowie i sięgnął po następną. W ten sposób w ciągu kilku godzin przy ujściu hydrotermalnym umieszczono dwie i pół tony materiałów wybuchowych.

Tymczasem na powierzchni do „Sea Raker” zbliżała się motorówka Diaza. Summer zauważyła blask reflektorów pokładowych, odbijający się w morskiej wodzie w zapadającym zmierzchu. Przy lewej burcie statku stała przycumowana barka, wypełniona skrzyniami z materiałami wybuchowymi przeznaczonymi do wysadzenia drugiego komina hydrotermalnego. Kiedy się do niej zbliżali, spod wody wynurzyła się pomocnicza wrębiarka, wciągana na pokład po spełnieniu swojego zadania.

Diaz przywiązał motorówkę do rufy barki i wspiął się po podanej mu drabince. Gdy Summer nie ruszyła się z miejsca, na łódź weszło dwóch żołnierzy. Jeden zajął pozycję wartowniczą w sterówce, a drugi złapał ją mocno za ramię i zmusił do wspięcia się na pokład „Sea Raker”.

Tam jeden z inżynierów przywitał się z Diazem, po czym zaprowadził oboje do budynku na środku głównego pokładu. Summer miała wrażenie, jakby znalazła się w mniejszej replice słynnego Centrum Kontroli Lotów NASA w Houston. Pomieszczenie wypełniały szeregi stanowisk komputerowych, wszystkie skierowane w stronę ogromnego ekranu. Każde stanowisko obsługiwało jeden z elementów operacji wydobywczej, przy czym agregat zbierający, wrębiarki i ROV-y były sterowane za pomocą paneli z przełącznikami i dżojstikami. Obrazy wideo przekazywane przez te pojazdy były wyświetlane na wiszącej na ścianie tablicy wieloekranowej.

Summer dostrzegła, że przekazy z obu ROV-ów ukazują obraz spod wody, a te z wrębiarek — pokład z kilku różnych perspektyw.

Inżynier zwrócił się do Diaza.

— Zakończyliśmy kopanie i rozkładanie materiałów wybuchowych. Zatrzymaliśmy się w dogodnej pozycji w stosunku do ujścia, więc praca zajęła nam mniej czasu, niż przewidywaliśmy. Jak pan zapewne widział, obie wrębiarki wróciły już na pokład.

— Ale ładunek inicjujący nie został jeszcze podłożony? — spytał Diaz, wskazując ekran, na którym widać było kilku ludzi kręcących się przy długiej tubie.

— Zgadza się — potwierdził inżynier. — Wrębiarka musi jeszcze umieścić trotyl i detonator u podstawy szczeliny. Dopiero wtedy będziemy mogli odpalać. Powinniśmy być gotowi do opuszczenia maszyny z trotylem za dziesięć minut.

— Dobrze. Będę obserwował dalsze postępy stąd.

W tym momencie zadzwonił telefon. Inżynier odebrał, a po chwili podał słuchawkę Diazowi.

— To kapitan — powiedział. — Chce pana o coś spytać, a jest w tej chwili na mostku.

Diaz wziął słuchawkę, a inżynier odszedł do jednego ze stanowisk komputerowych i wdał się w rozmowę z jego operatorem.

Summer rozglądała się uważnie, zwracając uwagę na każdy szczegół. Szybko doszła do wniosku, że wszyscy operatorzy są zbyt pochłonięci swoimi zadaniami, aby zwracać na nią uwagę. Teraz, gdy zarówno inżynier, jak i Diaz byli chwilowo zajęci, zaczęła się rozglądać za pilnującym ją strażnikiem. Po chwili dostrzegła go w głębi pomieszczenia. Opierał się o ścianę i gapił na podwodne zdjęcia.

Cichutko wstała z miejsca, podeszła do drzwi po drugiej stronie i wymknęła się niepostrzeżenie. Niestety, na zewnątrz czekał na nią inny strażnik, ściskający w dłoniach karabin. Wbił jej brutalnie lufę w brzuch i wepchnął z powrotem do centrum dowodzenia.

Przyglądający się tej scenie Diaz podeszedł do Summer i powiedział, kręcąc głową:

— Odważna, ale bezowocna próba.

— Dlaczego nie chcesz mnie wypuścić? I tak nie zdołam w żaden sposób cię powstrzymać.

— Nie odpowiada ci nasza gościnność? Skoro tak, możesz opuścić pokład „Sea Raker”. Ale nie na mojej motorówce — dodał z szyderczym uśmiechem.

ROZDZIAŁ 66

Prując fale z prędkością niemal trzydziestu węzłów, jacht Ramseya odnalazł „Sea Raker” w niecałe dwie godziny. Pitt spędził ten czas, usiłując wywołać „Sargasso Sea”, ale bez rezultatu. Nawet gdy w końcu zdecydował się zadzwonić do Rudiego Gunna w NUMA, usłyszał tylko powtarzający się sygnał.

Zachodzące słońce posyłało ostatnie promienie w kierunku rosnącej sylwetki „Sea Raker”. Ramsey nawiązał kontakt radiowy ze statkiem, a po krótkiej wymianie zdań zwrócił się do Pitta.

— Są zaskoczeni i bardzo niezadowoleni z mojej wizyty. Chcieli mnie splawić, tłumacząc, że właśnie prowadzą prace. Nawet nie próbowali wyjaśnić, co tutaj robią — rzekł. — Powiedziałem im, że chociaż jestem bardzo zdziwiony, spotykając ich na Karaibach, to będzie tylko krótka wizyta towarzyska i nie muszą obawiać się inspekcji. W końcu ustąpili, ale obawiam się, że ich nastawienie jeszcze się pogorszy, jeżeli wejdiesz na statek razem ze mną.

— Wejście od frontu nie wchodzi w grę, zbyt wielu ludzi mogłoby mnie rozpoznać — odparł Pitt, przyglądając się statkowi wydobywczemu i przywiązanej do niego barce. — Będę musiał się zakraść. Czy możesz podpłynąć do nich z lewej strony dziobu i ustawić się tak, żeby motorówka podczas spuszczenia na wodę była niewidoczna z pokładu „Sea Raker”?

— Bez problemu. — Ramsey przekazał polecenie kapitanowi jachtu i wręczył Pittowi przenośne radio. — Obawiam się, że dalej będziesz musiał działać na własną rękę. Będziemy krążyć kilka kilometrów stąd, czekając na jakiś sygnał od ciebie.

— Dzięki, Mark. — Pitt uściśnął dłoń Kanadyjczyka.

— Uważaj na siebie. Powodzenia.

„Gold Digger” stanął dziobem do „Sea Raker”, a z rufy opuszczono motorówkę. Gdy Ramsey ze swoim potężnym ochroniarzem zajął przednią ławkę, sternik uruchomił silnik i skierował łódź w stronę burty statku wydobywczego.

Na prawej burcie ludzie Diaza byli zajęci procedurą wodowania wrębiarki. Z boku jej kadłuba spoczywał, niczym bombka na choince, pojazd podwodny „Starfish”, przytrzymywany przez chwytak maszyny. Wkrótce oba pojazdy skryły się pod taflą wody. Diaz patrzył jeszcze przez chwilę, jak schodzą coraz niżej, po czym ruszył na drugą stronę statku, by powitać Ramseya.

Motorówka podpłynęła wzdłuż burty do opuszczonej drabinki. Ramsey i jego ochroniarz chwycili najniższe szczeble i szybko wspięli się na pokład. Diaz już tam czekał, a za nim stało kilku uzbrojonych żołnierzy.

— Cóż za przemiła niespodzianka, panie Ramsey — powiedział, choć tylko głuchy mógłby określić jego ton jako miły.

— Witaj, Juan. Płynąłem właśnie do Nowego Orleanu, gdy nagle zauważył was mój kapitan.

— Cieszę się, że miał pan czas do nas zajrzeć. Proszę za mną, napijmy się z tej okazji.

Diaz zaprowadził Kanadyjczyka do mesy oficerskiej, gdzie jeden z załogantów już nalewał drinki.

— Co robicie na Kubie? — spytał otwarcie Ramsey. — Mielicie przecież szukać złota u wybrzeży Nikaragui.

— Tamte złoża okazały się kompletnym rozczarowaniem. Postanowiliśmy więc wykonać kilka próbnych wykopów tutaj, bo otrzymaliśmy bardzo obiecujące odczyty sejsmologiczne.

— Macie pozwolenie na prowadzenie prac wydobywczych w tym rejonie? — drążył Ramsey.

— Tak, zadaliśmy o to zgodnie ze standardową procedurą.

— Podziwiam pańską sprawność. Jak sprawuje się statek?

— Fenomenalnie. Musieliśmy się oswoić z obsługą sprzętu wydobywczego, ale obecnie pracujemy bardzo wydajnie.

— Właśnie dlatego wołałem, żebyście zaangażowali moich ludzi.

Diaz zignorował tę uwagę.

— Żałuję, że nie przybył pan w bardziej dogodnym momencie. W tej chwili opuszczamy jedną z wrębiarek w ramach kolejnej próby.

— Czy mógłbym rzucić okiem na wasze dane sejsmologiczne? Ostatnio przeglądałem sporo map dna morskiego w tym rejonie. Może będę mógł coś wam doradzić.

— Niestety, nie mamy tych danych na statku.

Ramsey nie skomentował tego oczywistego kłamstwa.

Zamiast tego zadał kolejne pytanie:

— Przeprowadziliście ocenę potencjalnego zagrożenia dla środowiska?

— Nasi naukowcy stwierdzili, że nie ma żadnego zagrożenia — usłyszał w odpowiedzi.

— Nawet przy robotach strzałowych?

— Przy robotach strzałowych? — powtórzył Diaz z wyrazem kompletnego zdziwienia na twarzy. — Nie prowadzimy takich działań.

— W umowie znajdują się wyraźne zastrzeżenia, dotyczące przeprowadzenia dokładnego badania potencjalnego zagrożenia dla środowiska oraz stosowania najmniej inwazyjnych metod w każdej operacji wydobywczej. Moja reputacja opiera się na bezpiecznym i ekologicznym pozyskiwaniu surowców naturalnych. Chciałbym podkreślić, że wymagam od pana przestrzegania tych zasad.

— Oczywiście. Postaram się, żeby wszystkie raporty trafiły do pana przed końcem przyszłego tygodnia.

Diaz dokończył swojego drinka i wstał.

— Pozwolę sobie powtórzyć, że jest mi ogromnie miło pana gościć, panie Ramsey. Mam nadzieję, że dalsza podróż do Nowego Orleanu upłynie panu przyjemnie.

Ramsey powoli opróżnił swoją szklankę. Teraz już nie miał cienia wątpliwości, że wszystko, co usłyszał od Pitta, było prawdą. Oddał swój statek w ręce najemników pracujących na zlecenie kubańskiego rządu. A ci najemnicy zamierzali lada moment wywołać gigantyczną katastrofę ekologiczną. Znalazł się w sytuacji bez wyjścia.

— Nie wiedziałem, że jest już tak późno — powiedział. — Dziękuję za drinka. Muszę wracać na jacht.

Opuścili mesę i wrócili na pokład. Przechodząc obok hangaru z maszynami Ramsey zauważył mężczyznę w kombinezonie ochronnym, zmywającego z pokładu resztki dennych osadów. Widok ten przypomniał mu o Pitcie i machinalnie obrócił głowę w stronę barki stojącej przy burcie „Sea Raker”.

Pożegnawszy się z Diazem, wrócił do motorówki i odpłynął w stronę swojego jachtu. Gdy sylwetka statku wydobywczego powoli niknęła w ciemności, kopnął z irytacją planckę leżącą na podłodze łodzi i mruknął sam do siebie:

— Powodzenia, Dirku Pitcie. Zdaje się, że będziesz go potrzebował.

ROZDZIAŁ 67

Pitt, ukryty między skrzynkami na barce, obserwował, jak Ramsey odpływa z powrotem na swój jacht, po czym jego myśli znów wróciły do córki. Fakt, że na pokładzie „Sea Raker” był Diaz, zmieniał wszystko. Pojawiła się nadzieja, że być może Summer jest tu razem z nim. Oznaczało to, że musiał zmienić plan. Początkowo zamierzał zakraść się na statek i unieruchomić sprzęt wydobywczy. Teraz jego priorytetem stało się znalezienie córki.

Udało mu się dostać tak blisko dzięki pomocy Ramseya. Był schowany pod plandeką na motorówce, gdy Kanadyjczyk wchodził na pokład statku wydobywczego. Kiedy mężczyźni na pokładzie rozmawiali, pilot motorówki wyłączył silnik i pozwolił łódce dryfować przy burcie „Sea Raker”. Członkowie załogi kręcący się przy relingu wreszcie się znudzili i odeszli w tylko sobie znanych kierunkach. Motorówka szybko podpłynęła do barki, a Pitt przedostał się na nią jednym susem, pozostając niezauważony.

Teraz przemykał szybko między skrzynkami. Pokład barki był zasypany białym proszkiem, w którym rozpoznał saletrol, najwyraźniej wysypany z podziurawionych przypadkiem worków. Łódź wypełniono materiałami wybuchowymi tylko w połowie, co oznaczało, że duża część została już rozłożona przy kominie hydrotermalnym. Do rozładowywania zawartości skrzyń na dnie morza służyła okrętowa platforma zawieszona na mocnym kablu. Pitt widział, jak kilku członków załogi ułożyło na niej długą, skręconą rurę i zanurzyło ją w wodzie.

Gdy wreszcie dotarł na rufę barki i upewnił się, że nikt nie może go zauważyć, wspiał się na pokład „Sea Raker”. Na statku panował ożywiony ruch, najwyraźniej prowadzono ostatnią fazę przygotowań do wysadzenia komina.

Poczuł w trzewiach załążki niepokoju — może pojawił się zbyt późno, by powstrzymać katastrofę.

Szybko jednak odsunął na bok ponure myśli, przypominając sobie, że przede wszystkim przybył tu po Summer.

Chowając się w cieniu, zaczął ostrożnie posuwać się naprzód, ale zdążył przejść zaledwie kilka kroków, gdy za jego plecami pojawiła się grupa robotników dźwigających zapasową głowicę do pomocniczej wrębiarki. Jeden z mężczyzn nagle się potknął i upuścił swoją część. Szef grupy, stękający z wysiłku pod zwiększonym ciężarem, zauważył Pitta.

— Ej, ty! — zawołał. — Chodź tu pomóc!

Pitt był w pułapce. Jeśli zdecyduje się pomóc, marynarze natychmiast rozpoznają przy świetle reflektorów, że nie jest jednym z nich. Jeżeli jednak zignoruje polecenie, tym bardziej zwróci na siebie uwagę.

Postanowił zaryzykować, dostrzegłszy tuż obok wejście do jednego z budynków. Wzruszył ramionami, wskazał ręką na drzwi, po czym podszedł do nich i sięgnął po klamkę. Miał

szczęście, drzwi były otwarte. Natychmiast wszedł do środka, uciekając przed stekiem wyzwisk, jakim pożegnał go szef robotników.

Spodziewał się, że drzwi prowadzą do jakiegoś magazynu, więc bardzo go zdziwiło, gdy znalazł się na tyłach centrum sterowania pracami wydobywczymi. Na ogromnym wieloekranowym panelu widniały przekazy wideo z kilku kamer, a salę wypełniał odbijający się od stalowych ścian szmer rozmów prowadzonych między operatorami stanowisk komputerowych. Pitt przycupnął w najciemniejszym kącie, zauważając jednocześnie, że operacją dowodzi Diaz, który siedział w fotelu najbliżej ekranów.

Przy kominie hydrotermalnym znajdowało się kilka ROV-ów, a zamontowane na nich kamery przekazywały widok długiego wykopu wypełnionego materiałami wybuchowymi. Jeden z pojazdów skierował się w górę, rejestrując opuszczanie wrębiarki, która zniknęła w tumanie pyłu, gdy wylądowała na dnie.

Pył szybko opadł, a robot zbliżył się, by umożliwić dokładną obserwację poczynąń maszyny. Kiedy na ekranie ukazała się druga strona wrębiarki, Pitt z trudem powstrzymał okrzyk przerażenia. U jej boku, w żelaznym uścisku ramienia manipulatora tkwił „Starfish”.

Ale to nie widok pojazdu podwodnego NUMA wprowadził Pitta w stan bliski paniki, lecz fakt, że na miejscu pilota siedziała jego córka, zupełnie sama i kompletnie bezbronna.

ROZDZIAŁ 68

Dziewięćdziesiąt minut.

Tyle czasu pozostało do wyczerpania się rezerwowego akumulatora „Starfisha”. Potem przestaną działać pochłaniacze dwutlenku węgla, a Summer zacznie się dusić. Czekala ją powolna śmierć; jedyne, na co mogła liczyć, to że wcześniej zamarznie.

Gdy ludzie Diaza zamknęli ją w pojeździe i zaczęli opuszczać go pod wodę, wiedziała, że Kubańczyk nie zamierza jej wyciągać. Czym prędzej uruchomiła systemy podtrzymywania życia i wyłączyła zbędne urządzenia. Dziękowała w duchu ojcu, że wyłączył wszystko w momencie, kiedy przeniesiono ich na pokład „Sea Raker”, bo dzięki temu dysponowała jeszcze odrobiną energii.

Po dotarciu na dno wrębiarka uruchomiła gąsienice i zaczęła powoli przeć naprzód. Summer zobaczyła ogromny rów wypełniony materiałem wybuchowym i uświadomiła sobie, że tych dziewięćdziesiąt minut było tylko złudną nadzieją. Śmierć czekała ją dużo wcześniej — i w o wiele bardziej spektakularnej formie.

Maszyna pokonała krótki dystans i zatrzymała się na skraju rowu. Ramię, które ścisnęło „Starfisha”, poruszyło się i wyciągnęło do przodu. Następnie operator sterujący wrębiarką z pokładu „Sea Raker” rozluźnił uścisk ramienia i pojazd NUMA opadł do rowu, lądując na szczycie sterty saletrolu.

Obserwowały to dwa ROV-y, które, zbliżając się do „Starfisha”, na moment oślepiły Summer światłami reflektorów. Po chwili jednak wróciły do nadzorowania wrębiarki, znikającej powoli we wszechobecnej ciemności.

Summer zaczekała, aż ich światła staną się prawie niewidoczne, po czym zabrała się do pracy.

Została jej tylko jedna szansa: zwiększyć pływalność „Starfisha”. Pędniki pojazdu zostały wprawdzie zniszczone, ale to jeszcze nie pozbawiało go możliwości wynurzenia.

Uruchomiła procedurę opróżniania zbiorników balastowych i odczekała chwilę, ale nie stwierdziła żadnego efektu. Normalnie powinna słyszeć świst sprężonego powietrza i szum wypychanej wody, lecz otaczała ją kompletna cisza. Sprawdziła poziom mocy i stan bezpieczników i ponownie spróbowała uruchomić procedurę.

Znowu bezskutecznie. Tym razem sprawdziła ciśnienie w zbiorniku sprężonego powietrza, służącego do opróżniania balastów. Manometr wskazywał zero. Okazało się, że ludzie z „Sea Raker” przewidzieli i tę ewentualność. Zbiornik był pusty.

Spojrzała przez szybę na otaczające ją materiały wybuchowe i starała się nie panikować. Wzięła głęboki oddech i przypomniała sobie o czymś jeszcze. „Starfish” miał dwa ołowiane obciążniki, które w razie konieczności można było odczepić, aby przyspieszyć wynurzenie. Jej ojciec pozbył się jednego z nich, gdy próbowali wymknąć się wrębiarce, ale drugi wciąż był na miejscu.

Przecisnęła się za siedzenie, gdzie pod panelem podłogowym znajdowała się awaryjna dźwignia zrzutu obciążników. Chwyła ją mocno i przekreśliła.

Nic.

Kubańczycy pomyśleli również o tym, blokując możliwość pozbycia się obciążnika. Diaz zrobił wszystko, co było w jego mocy, by się upewnić, że wysła ją w podróż w jedną stronę.

Zrezygnowana wróciła na fotel pilota i wpatrując się bez celu w otaczającą ją ciemność, zastanawiała się, ile minut jej zostało.

ROZDZIAŁ 69

Strużka zimnego potu spływała po plecach Pitta, gdy patrzył, jak „Starfish” opada na stertę materiałów wybuchowych. Kamery zamontowane na ROV-ach podążały za wrębiarką, która podjechała do opuszczonej niedaleko platformy i chwyciła ramieniem koniec wypełnionego trotylem ładunku inicjującego.

Następnie ruszyła z powrotem, wyciągając ładunek z platformy. Do jego drugiego końca był przyczepiony cienki przewód, który ciągnął się w górę aż do statku, gdzie jeden z operatorów siedzących kilka metrów od Pitta mógł w każdej chwili wcisnąć przycisk uruchamiający detonację.

Pitt rozejrzał się po pomieszczeniu i uznał, że przejęcie kontroli nad wrębiarką nie wchodzi w grę. Sterowało nią aż trzech ludzi, którzy w dodatku siedzieli w drugim końcu pomieszczenia, niedaleko bocznego wyjścia pilnowanego przez dwóch żołnierzy. Dalej stał nieużywany w tej chwili panel kontrolny wrębiarki pomocniczej i około dwudziestu stanowisk komputerowych, obsługujących ROV-y, platformę zanurzeniową i kamery na statku.

Pitt patrzył przez chwilę na ekran, na którym widać było ładunek inicjujący sunący obok wrębiarki, i wpadł na pewien pomysł. Ryzykowny, ale nie miał czasu na wymyślenie czegoś lepszego.

Kluczowym elementem był ROV sterowany przez drobnego umundurowanego mężczyznę, obsługującego stanowisko najbliżej Pitta. Operator pochylał się nad dużym stołem, na którym stały dwa monitory. Pitt nie był uzbrojony, podszedł więc do pobliskiej szafy z podręcznikami technicznymi, wybrał najcięższy i dzierżąc go w dłoniach, podkraść się do mężczyzny. Operator był zbyt pochłonięty rejestrowaniem ruchów wrębiarki, by zauważyć Pitta, zanim ten znalazł się za jego plecami i z całej siły uderzył go książką w głowę.

Mężczyzna jęknął cicho i osunął się na podłogę, gubiąc po drodze słuchawki z uszu. Pitt błyskawicznie otoczył jego szyję ramieniem i mocno ścisnął. Otumaniony operator nawet się nie opierał, kiedy wyciągał go za drzwi. Całe zamieszanie pozostało niezauważone. Światło padające z monitorów rozjaśniało przód pomieszczenia, ale nie docierało do drugiego końca.

Już na zewnątrz mężczyzna zaczął się wyrывać, ale Pitt pchnął go na gródź. Operator nie zdążył osłonić się rękami i wyrznął głową w stalową ścianę. Pitt poczuł, jak ciało w jego rękach wiotczeje.

— Diaz na pewno wykupił wam ubezpieczenie pracownicze — mruknął, ukrywając ofiarę za jedną z szaf. Założył na głowę czapkę operatora i wróciwszy do centrum kontroli, zajął jego miejsce przy stanowisku.

Diaz krzyczał coś gniewnie, wskazując na ekran, bo pozbawiony kontroli robot opadł na dno i przestał się poruszać, a obraz z jego kamery ukazywał tylko wyjątkowo ostre ujęcie skały. Pitt, kryjąc twarz za monitorami, sięgnął do panelu sterowniczego. Miał spore

doświadczenie w posługiwaniu się tego typu sprzętem, więc całkiem sprawnie przemieścił urządzenie, usuwając tym samym przyczynę irytacji Kubańczyka.

Prowadzenie ROV-a przypominało zabawę sterowanym radiem modelem śmigłowca. Pitt prowadził pojazd wzdłuż śladów zostawionych przez wrębiarkę, aż wreszcie ukazała się przed nim sama maszyna i ciągnięty przez nią ładunek inicjujący.

Na każdym stanowisku operatora stały dwa monitory, pokazujące obraz z kamer umieszczonych z przodu i z tyłu ROV-a, ale tylko widok z tej przedniej był przekazywany również na główny ekran. Pitt zaczął eksperymentować z dostępnymi opcjami i wkrótce znalazł rozwijane menu zarządzające jakością obrazu. Diaz chciał z bliska obserwować układanie ładunku inicjującego, więc Pitt celowo zniekształcił obraz ze swojej kamery. Nie spodobało się to Kubańczykowi, który kazał usunąć widok z jego ROV-a z ekranu głównego i zastąpić go obrazem z innego, znajdującego się w pobliżu.

Pitt natychmiast przywrócił prawidłowe parametry i stwierdził z ulgą, że wrębiarka wraca w pobliże „Starfisha”. Z trudem powstrzymał się przed natychmiastowym sprawdzeniem, co się dzieje z Summer. Zamiast tego przyjrzał się dokładnie ogromnej maszynie i ciągniętemu przez nią ładunkowi.

Wrębiarka minęła „Starfisha” i zatrzymała się kilka metrów dalej. Jej ramię wyciągnęło się na pełną długość, pociągając za sobą detonator.

Gdy na rozkaz Diaza podłużny ładunek został umieszczony w przygotowanym wcześniej otworze, jego dolny koniec sięgnął podstawy wykopu, a górny, wraz z przewodem, wystawał nieco skośnie ze sterty saletrolu. Trotyl miał spowodować punktową detonację u podstawy szczeliny hydro termalnej, a zarazem zainicjować gigantyczną eksplozję saletrolu.

Pitt obserwował całą operację, a potem wycofał ROV-a, uzyskując szerszą panoramę wykopu. Następnie, unikając kamer pojazdu pracującego nieco dalej, ruszył w kierunku „Starfisha”.

Żółty kadłub „Starfisha” stawał się coraz większy. Wreszcie Pitt dostrzegł Summer, siedzącą w fotelu pilota. Miał nadzieję, że córka zrozumie jego intencje i pomoże mu ocalić swoje życie.

ROZDZIAŁ 70

Odgłosy dobiegające zza ściany uprzedziły zamkniętych w laboratorium członków załogi „Sargasso Sea”, że drzwi ich więzienia niebawem zostaną otwarte. Wszyscy przesunęli się na tył pomieszczenia i pochowali za wysokimi biurkami. Wszyscy oprócz Dirka i Ala, którzy stanęli po obu stronach drzwi, kryjąc się za dwiema ławkami.

Chwilę później drzwi się otworzyły i ukazał się w nich Ross, prowadzony pod bronią przez jednego z komandosów. Uzbrojony mężczyzna rozejrzał się po pomieszczeniu i w jego oczach pojawił się wyraz bezbrzeżnego zdumienia. Zupełnie się nie spodziewał tego, co zobaczył.

Dirk i Al mieli głowy owinięte ręcznikami, zakrywającymi im nos i usta, a na oczach prowizoryczne okulary ochronne zrobione z plastikowych butelek. Zanim komandos zdążył zareagować na ten niecodzienny widok, Giordino rzucił w niego szklaną zlewką. Mężczyzna uchylił się i zlewka rozbiła się o drzwi nad jego głową, oblewając go potokiem gazu i cieczy.

— Ross, padnij! — krzyknął Dirk.

Sternik błyskawicznie rzucił się na ziemię, a dosłownie ułamek sekundy później spanikowany komandos pociągnął za spust. Przewidziawszy taki rozwój wypadków, Dirk i Giordino schowali się za swoimi ławkami. Strzały szybko ucichły, bo żołnierz upuścił karabin na ziemię i zaczął wściekle trzeć łzawiące oczy.

Gdy do laboratorium wbiegł drugi komandos, zaalarmowany hukem wystrzałów, Dirk wychylił się zza osłony i posłał w jego stronę kolejną zlewkę. Roztrzaskała się o drzwi zaledwie kilka centymetrów od mężczyzny, który natychmiast zaczął się krtusić i trzeć oczy.

Zawartość obu zlewek była chałupniczą odmianą gazu łzawiącego, sporządzoną przez Dirka i Kamalę Bhatt z chemikaliów znalezionych w laboratorium. Mieszaninę jodyny, kwasu azotowego i rozpuszczalnika acetonowego podgrzali w zamkniętym pojemniku, otrzymując w rezultacie substancję o właściwościach bardzo przypominających gaz używany przez siły porządkowe do opanowywania rozjuszonych tłumów.

Przed akcją wypróbowali ją na ochotniku, który przez godzinę nie mógł przestać trzeć oczu, potwierdzając tym samym skuteczność preparatu. W jednej z szafek Giordino znalazł dwie puste zlewki, które idealnie nadawały się na pociski.

Dirk i Al, odczekawszy, aż gaz choć trochę się ulotni, wynurzyli się zza swoich osłon. Pierwszy komandos czołgał się w stronę drzwi, a jego towarzysz człapał za nim na uginających się nogach. Dirk podniósł z ziemi karabin tego, który pełzł, a Giordino doskoczył do drugiego żołnierza. Uderzył go w bok głowy i razem wypadli z pomieszczenia.

Dirk wybiegł za nimi i zobaczył, że Al zdążył rozbroić przeciwnika, zajętego przede wszystkim drapaniem się w okolicach oczu. Już miał pomóc Giordino wstać, gdy nagle w korytarzu rozległ się huk wystrzałów. Pociski przeleciały tuż nad ich głowami.

— Rzućcie broń! — krzyknął Calzado, stojący kilka metrów przed nimi. Zaalarmowany hałasem, przybiegł tu w towarzystwie dwóch swoich podkomendnych.

Dirk i Giordino nie mieli wyboru. Położyli karabiny na ziemi i unieśli ręce.

Otumanieni strażnicy, którzy jakoś zdołali podnieść się na nogi, oczy mieli czerwone i opuchnięte.

— Zamknijcie drzwi do laboratorium — rozkazał Calzado.

Skinęli głowami i wykonali polecenie, a potem jeden z nich wskazał Dirka i Ala i spytał:

— Co z nimi?

— Nie możemy sobie pozwolić na kolejne tego typu atrakcje — zdecydował Calzado. — Odsuńcie się. Rozprawię się z nimi od razu.

Uniósł karabin, wycelował i położył palec na spuście.

ROZDZIAŁ 71

Wobec wyłączenia wszelkiej wydzielającej ciepło elektroniki, „Starfish” zaczął przypominać chłodzię. Summer siedziała w fotelu pilota i szczękając zębami, obserwowała wrębiarkę, ciągnącą długi ładunek inicjujący. Próbowła obserwować opuszczanie go do wykopu, ale wtedy jej pole widzenia przesłonił jeden z ROV-ów.

Podpłynął bardzo blisko i zatrzymał się tuż przed iluminatorem „Starfisha”. Summer uniosła rękę z zamiarem wystawienia do kamery środkowego palca, ale zamiast tego osłoniła oczy przed drażniącym światłem reflektorów.

I wtedy stało się coś niespodziewanego. Robot zamrugał światłami.

Tego było już za wiele. Nie zważając na konwenanse, wykonała sprośny gest, popierając go serią soczystych przekleństw pod adresem Diaza, który nawet w takim momencie nie przepuścił okazji, by z niej zakpić.

Kierujący ROV-em, kimkolwiek był, uważnie obserwował jej poczynania i wcale nie zamierzał odpłynąć. Ponownie zamrugał światłami w krótkiej sekwencji przypominającej sygnał SOS.

W pierwszej chwili Summer była pewna, że coś jej się przywidziało, ale pojazd powtórzył sygnał jeszcze dwukrotnie, więc sięgnęła do przyrządów „Starfisha” i uruchomiła własne światła.

Mało jej szczęka nie opadła, gdy ROV dygnął z góry na dół w cudacznej imitacji kiwnięcia głową. Wyglądało na to, że sterujący nim człowiek chce jej pomóc.

Przysunęła się do szyby i patrzyła z rosnącym zdumieniem, jak robot podpływa bliżej, lekko skręca w bok, ociera się delikatnie o ramię robocze „Starfisha” i na koniec znowu błyska reflektorami.

Uruchomiła system sterowania ramieniem i uniosła je nieznacznie z pozycji wyjściowej.

ROV skwitował ten wyczyn ponownym „kiwnięciem głowy, ale kiedy Summer zaczęła unosić ramię wyżej, pokręcił się na boki w wyrazie dezaprobaty.

Metodą prób i błędów dostosowała się do poleceń operatora pojazdu, wyciągając ramię „Starfish” na maksymalny zasięg i rozwierając jego uchwyt.

Wrębiarka wykonała już swoje zadanie i teraz wracała po własnych śladach do punktu wynurzenia. Powinna znaleźć się w pobliżu „Starfisha” za około dwie minuty.

ROV przez moment obserwował maszynę, a potem przemknął wzdłuż boku „Starfisha”. Summer musiała przysunąć twarz do szyby, żeby widzieć jego dalsze poczynania.

ROV obrócił się, opadł na dno i podpłynął w jej kierunku, przeorując warstwę piasku niczym pług. Summer dopiero po chwili zrozumiała poczynania swojego tajemniczego sojusznika. Usiłował pchać w jej stronę kabel łączący ładunek inicjujący ze stacją kontrolną na

pokładzie „Sea Raker”. A dokładniej — w stronę chwytaka na ramieniu roboczym „Starfisha”. Najwyraźniej chciał, żeby chwyciła kabel. Odczekała, aż powtórzy ten ruch, a gdy kabel znalazł się w jej zasięgu, zacisnęła na nim pazury chwytaka.

ROV krótko błysnął światłami i podpłynął do wrębiarki tak blisko, że niemal otarł się o wystający z niej pod kątem prostym wspornik stabilizujący, który opuszczano, kiedy potrzebne było dodatkowe oparcie podczas przebijania się przez wyjątkowo twarde skały.

Gdy tajemniczy sojusznik sterujący robotem zaczął unosić go i obniżać przy szerokiej, płaskiej stopie wspornika, nie przestając błyskać światłami, Summer natychmiast domyśliła się, co ma zrobić. Cofnęła ramię „Starfisha” i czekała na wrębiarkę.

Podłoże drgało pod ciężkimi stalowymi gąsienicami ogromnej maszyny. Operator trzymał się pozostawionych wcześniej śladów, prowadząc ją tuż obok „Starfisha”. Summer ujrzała przód wrębiarki naprzeciw iluminatora i uniosła ramię robocze.

Gdy wspornik znalazł się w jej zasięgu, za pomocą ramienia owinęła przewód detonatora wokół jego stopy. Wrębiarka posuwała się wolno, więc miała dość czasu, by powtórzyć ruch, zanim wypuściła kabel z chwytaka. Wraz z oddalaniem się maszyny pętla zacisnęła się na wsporniku.

ROV ponownie zjawił się przed szybą „Starfisha” i pokiwał z uznaniem. Zamrugał jeszcze raz światłami i odpłynął, aby obserwować poczynania wrębiarki. Summer odczekała minutę, po czym włączyła światła zewnętrzne. Zobaczyła, jak ładunek inicjujący wysuwa się z wykopu i powoli sunie po dnie tuż obok niej w ślad za wrębiarką. Wyłączyła światła i patrzyła, jak reflektory oddalających się maszyn znikają w oddali.

Sprawdziła poziom mocy w akumulatorze, a potem siedziała w ciemnościach, zastanawiając się nad tożsamością tajemniczego operatora ROV-a. Zdołał uratować ją przed śmiercią w wybuchu, ale czy znajdzie sposób na wyciągnięcie jej na powierzchnię?

ROZDZIAŁ 72

Pitt również się nad tym zastanawiał, gdy nagle drzwi niedaleko jego stanowiska otworzyły się gwałtownie. Do pomieszczenia wszedł uzbrojony żołnierz, podtrzymujący poturbowanego operatora, którego oczy błysnęły gniewnie na widok Pitta, siedzącego na jego miejscu.

— To on! — krzyknął, wskazując swojego napastnika — To on mnie pobił! Zastrzelcie go!

Pitt błyskawicznie poderwał się z miejsca, ale na nic więcej nie starczyło mu czasu, bo żołnierz już trzymał go na muszce. Z drugiego końca pomieszczenia nadbiegło jeszcze dwóch uzbrojonych strażników. Był otoczony.

— Co tu się wyprawia? — rozległ się głos Diaza. Gdy zobaczył Pitta, dosłownie zaniemówił.

— W dalszym ciągu nie oddałeś mi mojej łodzi podwodnej — powiedział Pitt spokojnie. — Przyszedłem się o nią upomnieć.

Ranny operator podszedł bliżej.

— Ten człowiek mnie pobił, wyciągnął na zewnątrz i przejął kontrolę nad robotem numer dwa.

Diaz kiwnął głową, nawet na moment nie spuszczać wzroku z Pitta.

— Raz uciekłeś, ale teraz już ci się to nie uda. Osobiście przetransportuję cię do Hawany i będę siedział w pierwszym rzędzie podczas twojej egzekucji. Ale najpierw pozwolę ci podziwiać razem ze mną... śmierć twojej córki.

Zwrócił się do operatora.

— Pokaż mi, co się dzieje na dole — polecił. — Za chwilę wyciągamy sprzęt.

Diaz wrócił na swój fotel w przedniej części pomieszczenia, a strażnicy poprowadzili więźnia, otaczając go z obu stron.

Pitt spojrzał na duży ekran, który ukazywał obraz z ROV-a numer dwa podpływającego do „Starfisha”. Zobaczył, że Summer poruszyła się, zapewne spodziewając się jakiegoś znaku od maszyny. Ale pojazd tylko wpatrywał się w nią zimnym okiem kamery.

Pitt wstrzymał oddech na myśl o ładunku inicjującym. ROV w każdej chwili mógł przesunąć się nieco w bok, a wtedy operator natychmiast zauważyłby jego brak. Na szczęście mężczyzna nie miał zamiaru kolejny raz sprawdzać stosu materiałów wybuchowych. Pokręcił się jeszcze kilka minut w pobliżu „Starfisha” i posłał robota w ślad za wrębiarką.

Diaz wpatrywał się w ekran z nieskrywaną satysfakcją.

— Mam nadzieję, że miał pan okazję się z nią pożegnać — powiedział do Pitta, po czym zwrócił się do swoich ludzi: — Wyciągnąć sprzęt na powierzchnię. Przygotować się do detonacji.

Na pokładzie głównym ruszyły cztery potężne wyciągarki, ściągając kable przymocowane do wrębiarki, platformy zanurzeniowej i dwóch pojazdów podwodnych. Podczas gdy sprzęt wolno zmierzał ku górze, w centrum operacyjnym obraz spod wody zastąpił biały śnieg zakłóceń.

Kiedy wszystkie urządzenia znalazły się trzydzieści metrów pod powierzchnią, Diaz połączył się z mostkiem.

— Przesunąć statek o dwieście metrów. Za chwilę przeprowadzimy wysadzenie.

Silniki „Sea Raker” ożyły i po kilku minutach kapitan zakomunikował, że są na wyznaczonej pozycji. Diaz zapytał naczelnego inżyniera, jak wygląda sytuacja z wyciąganym sprzętem.

— Oba ROV-y są już na pokładzie, platforma właśnie się wynurzyła, a wrębiarka znajduje się obecnie na głębokości dwudziestu metrów — usłyszał w odpowiedzi.

— Jesteśmy daleko poza zasięgiem siły rażenia. Możemy zaczynać — powiedziawszy to, odwrócił się do Pitta. — Czy miałby pan ochotę odpalić ładunki?

— Nie — odparł Pitt, posyłając mu pogardliwe spojrzenie. — Ostatni akt należy do pana.

Diaz podszedł do panelu kontrolnego, położył palec na przycisku uruchamiającym detonację i uśmiechnąwszy się do Pitta, nacisnął guzik.

ROZDZIAŁ 73

Dirk osunął się na kolana i w desperackim geście sięgnął po leżący na ziemi karabin, w każdej chwili spodziewając się śmiertelnego trafienia. Zamiast tego poczuł koszmarny ból głowy. Miał wrażenie, że jego czaszka za chwilę eksploduje i rozpadnie się na kawałki.

Sądził, że dostał postrzał w głowę, ale gdy sięgnął dłońmi do pulsujących z bólu skroni, nie poczuł ani śladu krwi. Z wysiłkiem uniósł wzrok i zobaczył, że zarówno Calzado i jego ludzie, jak i Giordino wiją się jak w agonii, trzymając się za głowy.

Zaciskanie uszu nie uśmierzało bólu, ale była to naturalna reakcja organizmu w obronie przed niewidzialną siłą.

Giordino opuścił ręce i chciał sięgnąć po broń, lecz ból okazał się tak silny, że musiał porzucić ten zamiar i ponownie zatkać sobie uszy.

Chociaż oczy zaczęły zachodzić mu mgłą, dostrzegł trzech ludzi nadchodzących od strony rufy. Byli w mundurach podobnych do tych, jakie nosili kubańscy komandosi, ale całych czarnych, a na głowach mieli dziwne hełmy z zaciemnionymi wizjerami, przywodzących na myśl kaski motocyklowe. Dwaj byli uzbrojeni, trzeci szedł przed nimi, trzymając w ręku przypominający wiosło kij połączony kablami z plecakiem, który niósł.

Najwyraźniej przybysze byli odporni na ból obezwładniający pozostałych ludzi. Podeszedł bliżej, dwaj uzbrojeni wykopali broń z zasięgu rąk otumanionych Kubańczyków i zaczęli ich skuwać. Trzeci przykucnął przy Dirku i Giordino, kierując swoje urządzenie w stronę żołnierzy.

Dirk poczuł, że ból znacznie zelżał, i doszedł do wniosku, że właśnie ono musiało być jego źródłem. Gdy wszyscy Kubańczycy zostali skrupowani, mężczyzna wcisnął jakiś guzik na kiju i odłożył go.

Potem Rudi Gunn uniósł wizjer swojego hełmu, ukazując przyjaciołom uśmiechniętą twarz.

— Wybaczcie chwilowe niedogodności — rzekł — ale wasza brawurowa akcja zmusiła nas do natychmiastowego działania.

— Rudi, twój widok jest jak miód dla moich oczu, ale niestety uszy są innego zdania — powiedział Giordino, wciąż czując pulsowanie w głowie. — Co to za narzędzie tortur?

— MRAD, paralizator akustyczny średniego zasięgu. Przenośna wersja urządzenia skonstruowanego na potrzeby marynarki wojennej do odpierania ataków małych jednostek albo somalijskich piratów. A konkretnie, generator kierunkowy intensywnych fal akustycznych, zdolny do wytwarzania niezwykle potężnych fal dźwiękowych.

— Krótko mówiąc, podkrecony głośnik — podsumował Dirk, masując małżowiny.

— Można tak powiedzieć. Jack pożyczył to cacko z laboratorium badań morskich.

Jack Dahlgren, inżynier morski i bliski przyjaciel Dirka, podszedł do nich, wciąż z karabinem w rękach.

— Cieszę się, że widzę was całych i zdrowych, chłopaki. Rudi, chyba najwyższa pora zająć się mostkiem. Wiecie, ilu komandosów jest na pokładzie?

— Na moje oko dziewięciu — odparł Giordino, podnosząc z ziemi broń jednego z Kubańczyków. — Jeśli obiecacie trzymać to ustrojstwo jak najdalej ode mnie, będę wam towarzyszył.

— To powinno pomóc. — Gunn podał im obu niewielkie słuchawki.

Gdy je założyli, ponownie uruchomił urządzenie i wszyscy ruszyli do nadbudówki. Fale generowane przez MRAD nie przenikały przez stalowe ściany korytarzy, więc Gunn czym prędzej wbiegł po schodach na mostek.

Pozostali czterej komandosi byli przygotowani na atak, bo słyszeli dochodzące z dołu odgłosy zamieszania. Dwaj, którzy pilnowali wejścia z bronią gotową do strzału, natychmiast wymierzili karabiny w nadchodzącego Gunna. Ten padł na ziemię, kierując w ich stronę swoją nowoczesną zabawkę. W tym czasie Dahlgren i jego towarzysz wychynęli zza rogu i otworzyli ogień. Obaj trafili i martwi Kubańczycy padli na ziemię. Pozostali dwaj komandosi, nieuzbrojeni, osunęli się na ziemię w spazmach bólu, gdy tylko dosięgło ich działanie MRAD. Kiedy urządzenie zostało wyłączone, Dirk i Giordino mieli ich na muszce, więc od razu się poddali.

Dirk podszedł do Gunna i pomógł mu wstać.

— Wszystko w porządku, Rudi?

— Tak, nic mi nie jest. Czy reszta załogi jest cała?

— Owszem, ale nie na długo — odparł Giordino. — Nasi nieproszeni goście rozmieścili na pokładzie ładunki wybuchowe z zamiarem posłania nas na dno.

Powiedziawszy to, podszedł do niższego z Kubańczyków. Chwycił go za kłapy munduru, uniósł i krzyknął mu prosto w nos:

— Gdzie ustawiliście materiały wybuchowe? *Donde estan los explosivos?*

Żołnierz, widząc że Amerykanin nie cofnie się przed niczym, wystękał posłusznie:

— *La sala de maquinas.*

— W maszynowni — przetłumaczył Dirk. — Idziemy.

Razem z Alem ruszyli biegiem, docierając do maszynowni w niecałe dwie minuty. Znalezienie skrzyń z materiałami wybuchowymi, ustawionymi pod **zaworem** wody morskiej, nie zajęło im wiele czasu. Wybuch doprowadziłby do zatopienia statku w ciągu kilku minut.

Giordino znalazł prosty minutnik przymocowany do detonatora. Oderwał go jednym ruchem.

— Za dwie godziny bylibyśmy karmą dla ryb — powiedział.

— Rudi i Jack zjawili się w samą porę — stwierdził Dirk.

Wrócili na główny pokład i uwolnili resztę załogi z laboratoriów. Pomogli Dahlgrenowi zamknąć obezwładnionych komandosów, a potem dołączyli do Gunna na mostku. Po drodze Giordino wyrzucił minutnik i detonator za burtę,

Gunn stał przy przyrządach komunikacyjnych, kręcąc głową z rezygnacją.

— System komunikacji satelitarnej uległ uszkodzeniu podczas strzelaniny.

— Ale wciąż mamy zwykłe radio — zauważył Al. — A tak swoją drogą, jak nas znaleźliście?

— Obserwowaliśmy was przez satelitę do momentu, gdy wsiedliśmy na pokład „Caroline”. Na szczęście od tamtej pory nie zmieniliście położenia.

— Gdzie w tej chwili jest „Caroline”?

— Na przyjaznych wodach, około piętnastu kilometrów na północ stąd. — Gunn zawiesił głos, a po chwili zapytał z niepokojem w głosie: — Czy wiecie, gdzie są Pitt i Summer?

— Od przedwczoraj znajdują się na statku o nazwie „Sea Raker” — odparł Giordino. — Zostali porwani, gdy na pokładzie „Starfisha” badali prowadzone przez nich podejrzanе prace wydobywcze. „Sea Raker” był też w pobliżu miejsca zatopienia „Alty”. Musimy go znaleźć, i to jak najszybciej.

Gunn kiwnął głową, stanął przy sterze i uruchomił silniki „Sargasso Sea”.

— Znajdziemy ich — powiedział, wskazując ekran radaru, który jakimś cudem przetrwał krótką potyczkę z komandosami. — Chyba że przed nami zrobi to „Caroline”.

ROZDZIAŁ 74

Ładunek elektryczny pobiegł po kablu i aktywował pełniący rolę zapalnika azydek ołowiu. Detonacja spłonki wywołała eksplozję czterystu kilogramów trotylu zwisającego w tej chwili z wrębiarki zaledwie dwadzieścia metrów pod kadłubem „Sea Raker”.

W wodzie rozeszła się potężna fala uderzeniowa, a na skutek eksplozji powstał wielki pęcherz gazów, który rozszerzał się wraz ze zbliżaniem się do powierzchni.

Do „Sea Raker” najpierw dotarła fala uderzeniowa, kołysząc statkiem niczym nagły sztorm.

— Co to było? — zapytał Diaz, czując drżenie podłogi pod stopami.

— Nie wiem. — Główny inżynier pokręcił głową. — Z takiej odległości nie powinniśmy odczuć żadnego efektu.

Pitt uśmiechnął się i wskazał ręką ekran.

— Może wasza bomba gdzieś się zaplątała.

Diaz spojrział na ekran. Przekaz z kamery zamontowanej na wrębiarce został przerwany.

— Co ty zrobiłeś? — warknął, po czym odwrócił się błyskawicznie i wyszarpnął karabin z rąk stojącego najbliżej żołnierza.

Pitt nie musiał odpowiadać. Chwilę później wywołany przez eksplozję pęcherz gazów uderzył w spód kadłuba. Statek niemal w całości wynurzył się z wody, a stępka pękła w trzech miejscach. Płyty kadłuba popękały i teraz strumienie wody zalewały „Sea Raker” od dziobu po rufę. Rozległ się alarm, a główne zasilanie zostało odcięte.

Technicy przekazali kapitanowi złe wieści. Statek nabierał wody w szybkim tempie, nie było żadnej szansy utrzymania się na powierzchni. Dowódca wydał rozkaz ewakuacji.

W centrum operacyjnym wszyscy poprzewracali się na ziemię. Wskutek utraty zasilania zgasły światła i sala utonęła w mroku. Diaz właśnie zaczął się podnosić, wciąż trzymając w ręce karabin, gdy aktywowało się oświetlenie awaryjne, zalewając pomieszczenie czerwoną poświatą.

Główny inżynier podszedł do niego i chwycił za ramię.

— Niech pan wstaje, musimy uciekać.

Diaz potrząsnął wściekle głową, odepchnął inżyniera i powiódł wzrokiem po sali, unosząc broń.

— Gdzie on jest?

Jego żądza mordu jeszcze wzrosła, gdy okazało się, że Pitt zdążył się ulotnić.

ROZDZIAŁ 75

Pitt spieszył na ratunek córce. Jego jedyną, nikłą nadzieją była znajdująca się na pokładzie pomocnicza wrębiarka. Gdyby udało mu się szybko opuścić maszynę na dno i dotrzeć nią do „Starfisha”. powinien zdołać pochwycić miniaturową łódź i wyciągnąć ją na powierzchnię.

Gdyby.

Na poły wychodząc, na poły wyczołgując się z centrum kontroli, zobaczył, że dookoła panuje kompletny chaos. Spanikowana załoga pchała się do szalup ratunkowych. Ze wszystkich stron dobiegały krzyki i przekleństwa żołnierzy, którzy, w większości bez żadnego morskiego doświadczenia, biegali w tę i z powrotem w poszukiwaniu drogi ucieczki.

Pomocnicza wrębiarka znajdowała się na drugim końcu pokładu. Pitt popędził więc koniarzem na śródokręciu. Przystanął na chwilę przy relingu i skontaktował się z Ramseyem, każąc mu jak najszybciej zawrócić "Gold Diggera" w celu podjęcia z wody rozbitków. Poprosił go też o wezwanie ekipy ratownictwa morskiego, wątpił jednak, żeby nurkowie zdołali przybyć na czas.

Biegając dalej, zauważył, że chociaż „Sea Raker” nabrał wyczuwalnego przechyłu, to jednak tonie bardzo wolno. Zyskał więc kilka dodatkowych minut, których się nie spodziewał.

Przecisnął się przez grupę mężczyzn tłoczących się wokół szalupy i minął barkę z materiałami wybuchowymi, wciąż przywiązaną do burty. Kawałek dalej znajdował się zaciemniony hangar, w którym stała wrębiarka. Ponieważ statek operował w tej chwili na zasilaniu awaryjnym, obawiał się, że maszyna może być wyłączona. Odnalazłszy panel kontrolny, przekonał się, że przynajmniej pod tym względem szczęście go nie opuściło. Przyrządy sterownicze jarzyły się światłami, co oznaczało, że wrębiarka nadal jest sprawna.

Poświęciwszy chwilę na odcyfrowanie funkcji poszczególnych przyrządów, uruchomił mechanizm sterujący i włączył reflektory oraz kamerę wrębiarki. Do opuszczania maszyny na dno służyła winda hydrauliczna. Właśnie szukał właściwych dźwigni, gdy do hangaru wpadło kilku ludzi.

— Tam jest! — krzyknął biegnący na przedzie Diaz.

Padając na ziemię, Pitt zdążył wcisnąć przycisk uruchamiający windę i przełożyć w przednie położenie dźwignię sterową wrębiarki. Chwilę później panel kontrolny przeszła seria pocisków, zasypując go plastikowymi odłamkami. Mimo półmroku panującego w hangarze żołnierze mogli go dostrzec, przeturlał się więc w bok, zanim dosięgły go kolejne strzały.

Na tyłach hangaru było jeszcze ciemniej. Pitt wstał i ukrył się za wrębiarką, która powoli posuwała się naprzód. Głowica znajdowała się zaledwie trzy metry od relingu i wkrótce maszyna miała wyjechać za burtę.

Diaz krzyknął do jednego ze swoich ludzi po prawej stronie, więc Pitt przemieścił się na drugą stronę maszyny. W hangarze ponownie rozległ się huk wystrzałów, ale tym razem to nie on był ich celem. Ktoś strzelał w sufit.

Wrębiarka zatrzymała się, a z góry coś spadło, uderzając o pokład tuż przed Pittem. Był to podwieszony kabel zasilający maszynę, zniszczony, aby ją unieruchomić. Na odstrzelonym końcu tańczyły iskry, a kolejne metry kabla rozwijały się po pokładzie, bo winda wciąż pracowała.

Pitt usłyszał w pobliżu jakiś hałas. Spojrzał w tamtą stronę. Jeden z żołnierzy wskoczył na wrębiarkę i właśnie się przymierzał, by go zastrzelić.

Pitt skoczył do przodu, chwycił kabel i przyłożył iskrzącą końcówkę do stalowego kadłuba maszyny. Mężczyzna, porażony śmiertelną dawką prądu, zawył z bólu i runął martwy na pokład.

Pitt odrzucił kabel i ruszył w jego kierunku, chcąc podnieść broń zabitego. Zawahał się, słysząc dźwięk kroków. Z lewej strony nadbiegał Diaz, a dwaj kolejni żołnierze nadchodzili od tyłu.

Bez chwili namysłu pchnął zwoje kabla w stronę relingu, a gdy strzelająca iskrami końcówka wypadła za burtę, wyszedł zza maszyny z rękami uniesionymi nad głową.

Dwaj żołnierze trzymali go na muszce, dopóki nie dołączył do nich Diaz.

Kubańczyk zauważył zabitego strażnika.

— Obawiam się, że jednak nie pojedziesz do Hawany — powiedział, obrzucając Pitta nienawistnym spojrzeniem. — Załatwię to tutaj.

Uniósł broń, wycelował i kiedy kładł palec na spuście, za jego plecami rozległ się ogłuszający huk. Chwilę potem Diaza pochłonęła ogromna kula ognia.

Pitt nie zrzucił kabla na chybił trafił. Celował w barkę stojącą obok „Sea Raker”. Kiedy rozwijający się kabel opadł na jej pokład, zapalił się rozsypany na nim saletrol. Płomienie szybko dotarły do skrzynki z trotylem i nastąpił wybuch.

Barka wyleciała w powietrze w potężnej eksplozji, która wstrząsnęła kadłubem „Sea Raker” i roztrzaskała nadbudówkę. Statek przechylił się gwałtownie na burtę, wskutek czego wrębiarka i inne nieumocowane urządzenia górnicze zsunęły się do wody. Po chwili dziób zapadł się pod powierzchnię, a rufa uniosła się w powietrze. „Sea Raker” ruszył w swą ostatnią podróż, przyjmując kurs kolizyjny z dnem.

W miejscu, gdzie kadłub zniknął pod wodą, przez chwilę wznosił się gejzer spienionej wody, a potem na powierzchnię morza i pozostałych przy życiu rozbitków spłynęła kojąca cisza.

ROZDZIAŁ 76

Pomocnicza wrębiarka drugi raz ocaliła Pittowi życie. Stojąc za nią, był osłonięty przed siłą rażenia wybuchu, podczas gdy ludzi grożących mu bronią pochłonął ogień. Mimo to wstrząs zwałił go z nóg, a zaraz potem omal nie zmiażdżyła go stalowa gaśnica maszyny zsuwającej się w kierunku relingu.

Kaszłąc od dymu, Pitt podciągnął się na nieosłonięty górny segment gaśnicy i chwycił za klamrę. Trzymał się mocno, kiedy wrębiarka zerwała reling i wypadła za burtę. Ogromny ciężar ciągnął go na dno, ale odepchnął się, wy dostał na powierzchnię i odpłynął najszybciej, jak mógł, aby oddalić się od tonącego statku. Znalazłszy się w bezpiecznej odległości, odwrócił się i patrzył, jak ostatni członkowie załogi wyskakują za burtę. Wkrótce „Sea Raker” zniknął pod wodą.

Kilka minut później, hucząc pracującymi na najwyższych obrotach silnikami, na miejsce katastrofy dotarł „Gold Digger”. Zatrzymał się przy jednej z szalup, a reflektory umieszczone na dziobie wypatrywały pozostałych rozbitków. Pamiętając, że każda sekunda zmniejsza szanse uratowania Summer, Pitt czym prędzej popłynął w stronę jachtu.

Ramsey stał przy relingu, dowodząc akcją ratunkową. Odetchnął z wyraźną ulgą, gdy zobaczył, jak Pitt gramoli się na pokład.

— Zacząłem się o ciebie martwić, gdy zobaczyliśmy wybuch — rzekł.

Pitt tylko kiwnął głową. W uszach mu dudniło, a obolałe płuca paliły żywym ogniem. Wszystko to jednak było niczym wobec przerażenia, jakie go ogarniało na myśl, że mógł zawieść Summer i dopuścić do jej śmierci.

— Przepraszam, że popsulem ci statek — wydyszał w końcu.

— Ty... ty to zrobiłeś? — Ramsey popatrzył na niego z niedowierzaniem. — Znajomość z tobą zaczyna mnie drogo kosztować.

Pitt puścił ten komentarz mimo uszu.

— Wezwałeś oddział ratunkowy? Kiedy tu będą?

— Udało mi się zrobić coś lepszego. Skontaktowałem się ze znajdującą się niedaleko jednostką, o której mogłeś coś słyszeć. — Mówiąc to, Kanadyjczyk wskazał ręką w stronę prawej burty.

Dopiero w tej chwili Pitt **zauważył** światła nadpływającego statku. Jego sylwetka wyglądała dziwnie znajomo, a gdy zbliżył się nieco bardziej, rozpoznał turkusowy kolor kadłuba.

— „Sargasso Sea”

— Nie inaczej. Odpowiedzieli na moje wezwanie. Wygląda na to, że także szukali „Sea Raker”, a konkretnie ciebie i twojej córki.

— Kto tam teraz dowodzi?

— Niejaki Gunn. Bardzo się zdziwił, gdy wspomniałem mu o tobie.

Ramsey zawołał jednego ze swoich ludzi i ponownie zwrócił się do Pitta.

— Spuszczę zodiaka na wodę, żebyś mógł do nich dołączyć.

Na zmęczonej twarzy Pitta pojawił się cień uśmiechu. Uścisnął z wdzięcznością dłoń Kanadyjczyka.

— Dobry z ciebie chłop, Mark. A w ramach częściowej rekompensaty mogę ci coś obiecać.

— Co takiego? — spytał Ramsey.

— Że już nigdy nie przegrasz ze mną żadnego wyścigu.

Pitt uruchomił silnik zodiaka i popędził w stronę „Sargasso Sea”, który zatrzymał się niedaleko luksusowego jachtu. Przy relingu już czekali Dirk, Gunn i Giordino. Al pomógł mu wejść na pokład.

— Wyglądasz, jakbyś uciął sobie drzemkę w kruszarce — powiedział, patrząc na mokre i nadpalone ubranie przyjaciela.

— Byłem bardzo śpiący — odciął się Pitt.

— Gdzie jest Summer? — spytał Dirk. — Ludzie z „Gold Diggera” mówili o jakimś wypadku pod wodą.

— Zostawili ją uwięzioną na dnie w „Starfishu” — odpowiedział Pitt. — Naprawdę się cieszę, że jesteście cali i zdrowi, ale na „Sargasso Sea” nie ma innego pojazdu podwodnego. Potrzebujemy pomocy z zewnątrz, natychmiast.

— Już o to zadbałem. — Gunn wyciągnął dłoń niczym kelner zapraszający gościa do stolika. — Gdybyś chciał przejść się ze mną kawałek...

Poprowadził Pitta na pokład rufowy, gdzie Jack Dahlgren doglądał pojazdu podwodnego, który Gunn wypożyczył z „Caroline”. „Bullet”, bo tak go nazwano, stanowił połączenie łodzi podwodnej z motorówką. Dzięki silnikom konwencjonalnym i elektrycznym mógł płynąć po powierzchni z ogromną prędkością.

Pitt był obeznany z tą maszyną, miał okazję wypróbować ją w Turcji kilka lat wcześniej.

— Skąd się tu wziął „Bullet”? — zapytał.

— Musieliśmy szybko i niepostrzeżenie dostać się na pokład „Sargasso Sea”, więc zabraliśmy go z „Caroline”, która prowadzi badania w pobliżu Bimini — wyjaśnił Gunn.

Dahlgren kiwnął Pittowi głową.

— Dobrze pana widzieć, szefie — rzekł. — Słyszałem, że potrzebuje pan szybkiej podwózki na dno.

— Od tego zależy życie Summer — odparł Pitt poważnie.

— Pojazd jest gotowy do wodowania — poinformował Dahlgren, klepiąc kadłub maszyny. — Zapraszam do środka, zaraz go przerzucimy.

Przed wejściem do „Bulleta” Pitt zwrócił się jeszcze do Gunna:

— Ramsey będzie potrzebował pomocy przy wylawianiu rozbitków.

— Pomożemy mu, jak tylko wrzucimy cię do wody — zapewnił Gunn.

Giordino zajął miejsce w kabinie obok Pitta i już po chwili pojazd znalazł się na wodzie. Pitt obrał kurs na jacht i płynąc, rozpoczął proces zanurzenia.

W normalnych warunkach pojazd podwodny zanurza się pod wpływem grawitacji, ale nie mogli sobie pozwolić na czekanie. Po zalaniu zbiorników balastowych Pitt skierował dziób „Bulleta” w dół i aktywował pełną moc silników. Pojazd wystrzelił naprzód. Na głębokości dwustu metrów Pitt zredukował moc silników, a minutę później byli już przy dnie.

„Bullet” nie był wyposażony w sonar, więc musieli polegać na bystrości swojego wzroku. Giordino oznaczył ich położenie i Pitt zaczął płynąć, zataczając szeroki łuk.

— Widzę coś po prawej — powiedział w pewnej chwili Al i wskazał ręką.

Pitt popłynął w stronę ciemnego, ledwie widocznego obiektu. Była to pomocnicza wrębiarka, która w miarę opadania wyprostowała się i spoczęła na dnie na potężnych gąsienicach. Pitt okrążył ją i stanął, ujrawszy, co znajduje się po drugiej stronie — na ostrzach głowicy wisiało ciało mężczyzny w spopielonym mundurze. Jego twarz zastygła w wyrazie przedśmiertnego krzyku.

— Przedstawiam ci Juana Diaza — powiedział Pitt do przyjaciela. — To on rządził na „Sea Rakerze”.

— Widzę, że zdrowo go poharatałeś swoim ostrym dowcipem — skomentował Al.

— Na wszelki wypadek dołożyłem pół tony materiałów wybuchowych.

Giordino oznaczył ten punkt na mapie i ruszyli dalej. Summer musiała być około stu metrów stąd. Pokonawszy ten dystans, skręcił w lewo. Dno pod nimi stało się bardziej skaliste i pofałdowane.

— Temperatura wody jest tu wyższa o kilka stopni — poinformował Al. — Musimy się zbliżyć do komina hydrotermalnego.

Chwilę później zauważyli ślady gąsienic, prowadzące do wykopu wypełnionego materiałami wybuchowymi. Wkrótce zobaczyli żółty kadłub „Starfisha”. Pitt podpłynął do niego i zatrzymał „Bulleta” naprzeciwko iluminatora swojej miniaturowej łodzi.

Summer pólężała w fotelu pilota. Gdy światła reflektorów rozjaśniły wnętrze kabiny, podniosła głowę i otworzyła oczy. Zamrugęła kilka razy, po czym odwróciła wzrok i ponownie opadła na fotel.

— Pewnie przytruła się tlenkiem węgla — stwierdził Giordino.

— Będziemy musieli sami ją wyciągnąć — orzekł Pitt.

Wycofał „Bulleta” i zaczął wolno okrążyć „Starfisha”.

— Hej, kolego — odezwał się Giordino. — Spójrz tam.

Pitt popatrzył we wskazanym kierunku, a gdy zobaczył kilka zwojów drutu przyczepionych do bocznej wręgi i znikających pod pojazdem, przepłynął na przeciwną stronę „Starfisha”. Przewody były przywiązane do drugiego boku.

— Drugi obciążnik — powiedział. — Przymocowali go, żeby Summer nie miała szansy się wynurzyć.

— Gotowy na precyzyjne cięcie? — spytał Al.

— Jasne.

Pitt przysunął się do „Starfisha” i zawisł pod kątem, a Giordino wziął się do roboty. Operując niewielkim manipulatorem „Bulleta”, złapał wiązkę przewodów i przekręcił chwytak. Drut pękł prawie natychmiast.

Giordino szybko rozprawił się z pozostałymi wiązkami. Mimo to „Starfish” nie wynurzał się.

Pitt zwiększył moc silnika i lekko pchnął żółty kadłub, ale i to nie dało żadnego efektu.

— Może przyssał się do dna — zasugerował Al.

— Musimy go wyciągnąć.

Popłynął w górę i zatrzymał się dokładnie nad „Starfishem”, a Giordino chwycił ramieniem zaczep na wierzchu kadłuba.

— Mam go — powiedział — ale to ramię nie jest przystosowane do holowania.

Pitt bez słowa skinął głową i zaczął usuwać wodę ze zbiorników balastowych. „Bullet” powoli się unosił, ale zatrzymał się, gdy ramię wyciągnęło się na pełną długość.

Pitt opróżnił zbiorniki do końca i włączył silnik. Pojazd wyrwał w górę, ale „Starfish” ani drgnął. Pitt spróbował rozkołysać tkwiącą w mule miniaturową łódź podwodną. Wreszcie po około minucie „Starfish” odkleił się od dna i zaczął wynurzać się samoistnie.

Oba pojazdy szły w górę, ale zdecydowanie za wolno. Pitt zwiększył moc silników i skierował dziób „Bulleta” w stronę powierzchni. Tempo wynurzania było jednak wciąż powolne. W kabinie „Starfisha” nie paliły się żadne światła, co oznaczało, że akumulatory są całkiem rozładowane.

Na głębokości piętnastu metrów Giordino puścił zaczep i po chwili oba pojazdy wynurzyły się jednocześnie. Pitt, poleciwszy Alowi podpłynąć do „Starfisha”, otworzył właz i wyskoczył na zewnątrz.

Gdy okolicę rozświetlił jeden z reflektorów z „Sargasso Sea”, już był przy miniaturowej łodzi. Przypadł do głównego włazu, zwolnił zabezpieczenia i otworzył go. Ledwie znalazł się w środku, poczuł przejmujący chłód.

Summer objęła go, kiedy pochylił się, żeby podnieść ją z fotela. Drżała i oddychała z trudem.

— Tato — zdołała wyszeptać.

Zaniósł córkę do włazu, gdzie już czekał Giordino.

— Podaj mi ją.

Wyciągnął Summer bez najmniejszego trudu, jakby była szmacianą lalką.

Otoczona ramionami obu mężczyzn, kurczowo chwytła potężne hausty powietrza. Po chwili otworzyła oczy i próbowała się uśmiechnąć.

— Czuję się już dużo lepiej — powiedziała — ale potwornie boli mnie głowa.

— Jeszcze chwila, a nie obudziłabyś się z tej drzemki — odparł Giordino.

„Sargasso Sea” już się zbliżał, by ich wyłowić.

— Zobaczyłam światło — ciągnęła Summer słabym głosem. — Myślałam, że to anioł przyszedł zabrać mnie do nieba, ale później uświadomiłam sobie, że to ktoś inny.

— Kto? — zapytał Pitt, przysuwając się bliżej.

— Ty, tato — odpowiedziała i uniosła rękę, żeby otrzeć łzę płynącą mu po policzku.

Epilog
PUERTO GRANDE

Zatrzymanie „Kelowny”



ROZDZIAŁ 78

Generał Albert Gutier wkroczył do gabinetu wiceprezydenta i rozejrzał się, myśląc o chwili, w którym sam go zajmie. Przestronne pomieszczenie mieściło się na najwyższym piętrze głównej siedziby Komunistycznej Partii Kuby i było wyposażone w luksusową łazienkę. Z okien roztaczał się wspaniały widok na miasto. Gutier podziwiał przez chwilę panoramę. Pomyślał, że podświetlany w nocy pomnik Jose Marti wygląda imponująco. Tak, uznał, ten pokój będzie w sam raz, tylko trzeba z niego wywalić przestarzałe graty obecnego właściciela.

Wiceprezydent Cesar Alvarez przekroczył osiemdziesiątkę i od kilku lat skarżył się na zdrowie, ale umysł nadal miał lotny. Gdy wprowadzono Gutiera, siedział w swoim ulubionym fotelu za biurkiem.

— Znakomicie pan dziś wygląda, panie prezydencie — zagaił generał.

— Dziękuję — odpowiedział Alvarez ochryplym głosem i wskazał krzesło naprzeciwko biurka. — Proszę usiąść.

— Czemu zawdzięczam wezwanie o tak późnej porze? — spytał Gutier, zajmując miejsce.

— Wieści z Kajmanów nie są dobre.

— Tak, doszło do potwornej tragedii.

— Jakie ma pan informacje na ten temat?

— Nic, co nie znalazłoby się już w oficjalnych raportach. Jacht wyleciał w powietrze kilka chwil po tym, jak prezydent wszedł na pokład. Od tamtej pory nikt go nie widział, więc przyjmuje się, że zginął w wybuchu.

— Zespół ratunkowy nie odnalazł żadnych szczątków... — Alvarez zawiesił głos i westchnął. — Cóż, chyba nie ma już nadziei. Ale kto mógł chcieć skrzywdzić prezydenta?

— CIA, ktoś by inny? — odparł Gutier bez namysłu. — Dziesiątki razy próbowali zabić Fidela, a z Raulem wreszcie dopięli swego.

— Co pan sugeruje? — zachnął się wiceprezydent. — Naprawdę przypuszcza pan, że to sprawka Amerykanów?

— Nie przypuszczam, ale jestem pewien. Moim ludziom udało się zatrzymać człowieka, który to zrobił. To amerykański inżynier morski. Znalezione go nieopodal brzegu z zapasem materiałów wybuchowych. Niestety, zginął w katastrofie helikoptera podczas transportu do Hawany.

— To poważne oskarżenie.

— Proszę się nie obawiać, panie prezydencie. Razem pokierujemy sprawami kraju. Amerykanie będą bezradni, bo już niebawem staniemy się potężniejsi niż kiedykolwiek wcześniej.

— Razem? — zdziwił się Alvarez.

— Gdy obejmie pan stanowisko prezydenta, będzie pan potrzebował zastępcy. Jestem gotowy przyjąć tę zaszczytną funkcję, dla dobra naszego kraju.

— Prezydent wyznaczył na mojego zastępcę ministra spraw zagranicznych Ruiza. Sądziłem, że pan o tym wiedział.

— W obecnej sytuacji Ruiz nie powinien zajmować tak ważnego stanowiska. Przecież wszyscy wiedzą o jego słabości do Amerykanów — odparł Gutier, patrząc wiceprezydentowi prosto w oczy. — Chyba nie muszę panu mówić, jak na taką nominację zareagowałaby armia.

Alvarez wytrzymał spojrzenie generała.

— Doskonale rozumiem, co pan ma na myśli — rzekł. — W obecnej sytuacji byłaby to bardzo niefortunna decyzja.

Spojrzał na zegarek, jakby o czymś sobie przypomniał, i podniósł się z fotela.

— Proszę mi wybaczyć, generale, za chwilę do pana wrócę.

Wyszedł wolnym krokiem z gabinetu, zamykając za sobą drzwi.

Gutier usadowił się wygodniej i uśmiechnął sam do siebie. Stanowisko wiceprezydenta miał w kieszeni. Objęcie najwyższego urzędu było tylko kwestią czasu. Już nie mógł się doczekać, kiedy wyda swoją pierwszą decyzję — o odwołaniu Ruiza i mianowaniu go na sekretarza partii w jakiejś mieścinie na głębokiej prowincji.

Jego rozmyślania przerwał odgłos kroków. Ktoś wyszedł z prywatnej łazienki. Generał spojrzał w tamtą stronę i zdrętwiał.

Raul Castro, w szarym garniturze i białej koszuli, ani trochę nie przypominał ducha, którym przecież powinien być.

— Dobry wieczór, generale — powiedział, siadając w fotelu Alvaraza.

— Panie prezydencie... — wykrztusił zszokowany Gutier. — Myślałem, że pan nie żyje.

— Doskonale wiem, że tak myślałeś — odparł Raul. — Bardzo sprytne posunięcie, oskarżyć o wszystko Amerykanów. Ale tak się składa, że właśnie oni uprzedzili mnie o zamachu. Gdy powiedzieli, kto go zaplanował, początkowo nie chciałem im uwierzyć, ale teraz pozbyłem się wszelkich wątpliwości.

— Nie miałem z tym nic wspólnego. Przysięgam — bronił się Gutier.

— Ależ miałeś. Oficjalne raporty z Kajmanów mówią o pożarze na pokładzie jachtu. Nikt nie wspomina o wybuchu. Nikt oprócz ciebie.

Gutier był zbyt oszołomiony, żeby rozsądnie myśleć.

— Ale przecież widziałem nagranie, na którym wchodzi pan na łódź tuż przed eksplozją.

— Niezły sobowtór, prawda? — Castro uśmiechnął się. — Jorge Castenada. Rolnik, który kilka lat temu wpadł w szal i zamordował całą swoją rodzinę. Odsiadywał dożywocie w więzieniu Boniato. Niedawno stwierdzono u niego raka trzustki, więc i tak niewiele mu zostało. Radzę ci jednak zapamiętać to nazwisko, bo od dzisiaj będziesz je nosił.

Drzwi gabinetu stanęły otworem i do środka wpadło czterech uzbrojonych ochroniarzy. Za nimi pojawił się Alvarez. Mężczyźni podnieśli Gutiera z krzesła i skuli mu ręce. Gdy go wyprowadzali, szarpnął się i krzyknął do Castro:

— To jakieś nieporozumienie, panie prezydencie! Musi mnie pan wysłuchać!

— Żegnam, panie Castenada — odpowiedział Raul.

— Czemu mnie pan tak nazywa?!

Castro gestem dłoni kazał ochroniarzom się zatrzymać. Potem podszedł do Gutiera, zmierzył go pogardliwym spojrzeniem i wyjaśnił:

— Generał Alberto Gutier zginął wczoraj w katastrofie helikoptera lecącego nad północnym wybrzeżem. A Jorge Castenada właśnie wraca do swojej pojedynczej celi w Boniato, gdzie odsiedzi resztę wyroku, bez szansy na warunkowe zwolnienie.

Powiedziawszy to, skinął głową i ochroniarze wyprowadzili Gutiera z gabinetu. Głośne protesty przerażonego generała szybko ucichły.

— Zawsze uważałem, że to gnida — powiedział Alvarez.

— Taka sama, jak jego brat — zgodził się Raul. — Nie możemy dopuścić, aby ludzie tego pokroju przejęli władzę.

— Minister Ruiz też tak sądzi i uważa, że uchroniłoby nas przed tym przeprowadzenie wolnych wyborów.

— Być może ma rację.

— Co teraz, panie prezydencie?

Castro nie odpowiedział od razu. Patrzył w zamyśleniu na wciąż otwarte drzwi.

— Sądzę, że powinienem złożyć wizytę w porcie — rzekł wreszcie.

ROZDZIAŁ 79

Promienie wschodzącego słońca rozjaśniły kadłuby „Gold Diggera” i „Sargasso Sea”, stojących jeden za drugim w hawańskim porcie przy terminalu Sierra Maestra. Krótco po uratowaniu „Starfisha” na miejsce zatonięcia „Sea Raker” przyплыnęła korweta kubańskiej marynarki wojennej, która uczestniczyła w akcji ratunkowej. Gdy ją zakończono, kubański okręt odeskortaował obie jednostki do stolicy. Na nabrzeżu już czekały wojskowe karetki, które zawiozły rozbitków do wojskowego szpitala.

Pitt i Gunn rozmawiali na mostku, mając na zawietrznej Ala Giordino, który rozkoszował się trzymanym w zębach cygarem Ramon Allones. Przerwali konwersację, widząc, że podchodzi do nich jeden z marynarzy.

— Ma pan gościa, panie Pitt — powiedział i natychmiast się cofnął, wyraźnie onieśmielony.

Zanim marynarz zdążył odejść, na mostek wkroczył Raul Castro. Zdumieni Amerykanie przedstawili się kubańskiemu prezydentowi. Castro uściskał im dłonie, po czym zwrócił się do Pitta:

— Powiedziano mi, że zdemaskował pan nielegalne przedsięwzięcie mające na celu wydobywanie uranu na terenie mojego kraju i zapobiegł poważnej katastrofie ekologicznej.

Pitt potwierdził skinieniem głowy.

— Cieszę się, że ta operacja nie była prowadzona z polecenia pańskiego rządu — odparł. — Ale zginęło wielu ludzi i zatonał kosztowny statek wydobywczy, a wina może spaść na pana kraj.

Castro nie przejął się ani trochę.

— Razem z bratem często łowiliśmy ryby w wodach koło Hawany i Matanzas. Byłby to dla mnie potworny cios, gdyby coś złego stało się na morzu. Czy kominy hydrotermalne są już bezpieczne?

— Tak, choć przy jednym z nich nadal znajduje się duża ilość materiału wybuchowego, który trzeba będzie usunąć.

— Co z emisją rtęci? — pytał dalej Castro.

— Ten problem wciąż jest aktualny — oparł Gunn. — Zarówno tutaj, jak i na południu Kuby w dalszym ciągu do wody przedostają się duże ilości rtęci.

— Ale chyba mamy już rozwiązanie — dodał Pitt. — Mark Ramsey uważa, że może zmodyfikować jedną ze swoich podwodnych maszyn w coś w rodzaju podwodnego buldożera. Za jego pomocą możliwe będzie zatkanie rozerwanych kominów gruntem z dna oceanu, co znacznie zmniejszyłoby lub nawet całkiem zatrzymało emisję.

— Mój rząd jest gotów wesprzeć tę działalność.

— Jesteśmy panu bardzo wdzięczni, panie prezydencie — Gunn lekko skłonił głowę.

Tymczasem Castro zwrócił się jeszcze do Pitta.

— Mój brat wspomniał kiedyś pańskie nazwisko. Już raz ocalił pan to miasto przed klęską.

— To było wiele lat temu — zbagatelizował Pitt.

— Jest pan prawdziwym przyjacielem Kuby.

Wzrok prezydenta spoczął na pudełku cygar, które

Giordino zostawił na mostku.

— Widzę, że już poczęstowali się panowie naszym wysmienitym tytoniem. Czy jest jeszcze coś, czym mógłbym się wam odwdziaczyć?

— Niedaleko Punta Maisi spoczywa wrak hiszpańskiego statku, który chcielibyśmy zbadać. Być może znajduje się na nim mezoamerykański artefakt, którego szukał Juan Diaz.

— Słyszałem, że Diaz miał cały magazyn pełen starożytnych znalezisk, które teraz trafiają do naszego Muzeum Narodowego Historii Naturalnej. Udzielam panom pozwolenia na przeszukanie wraku, ale proszę, by wszelkie znalezione artefakty zostały przekazane do muzeum.

— Naturalnie.

Gdy Castro zwrócił się do wyjścia, Pitt odprowadził go na skrzydło mostka. Poranne światło nadawało budowlom starej Hawany złocisty blask. Castro wykonał gest w stronę miasta.

— To szczególne miejsce — rzekł. — Chciałbym pana zapewnić, że mieszkańcy Hawany i całej Kuby są panu niezmiernie wdzięczni za ocalenie przed niebezpieczeństwem. To zapewne więcej, niż się pan spodziewał.

— Mieszkańcy Kuby zasługują na szczęście — odparł Pitt.

Patrzył na prezydenta podziwiającego uroki starego miasta i nagle przysła mu do głowy pewna myśl.

— Panie prezydencie, nie wiem, co jeszcze mógłby pan zrobić dla mnie, ale jest coś, co mógłby pan zrobić dla Kuby.

Castro spojrzał mu głęboko w oczy i pokiwał głową z powagą.

— Dla Kuby wszystko.

ROZDZIAŁ 80

"Algonquin" został namierzony. Haasisowi nie uśmiechało się strzelanie do nieuzbrojonego statku handlowego, ale otrzymał wyraźne rozkazy. Miał zatopić cel jedną precyzyjnie wymierzoną torpedą. Dowództwo Floty Pacyfiku chciało, żeby wyglądało to na wypadek — na tyle, na ile było to możliwe przy użyciu torpedy. Nie ma szans, pomyślał Haasis. Chociaż tu, na samym środku Pacyfiku, ustalenie prawdziwej przyczyny wymagałoby naprawdę sporo wysiłku.

— Przygotować wyrzutnię numer jeden — rzucił komendę.

Haasis nie odrywał się od peryskopu. Po chwili odebrał meldunek o otwarciu pokrywy wyrzutni. Obserwował statek jeszcze minutę, po czym spokojnym głosem wydał kolejny rozkaz:

— Numer jeden, pal!

Na dziobie okrętu rozległ się cichy szum, a Haasis zaczął odliczać sekundy do trafienia. Po chwili statek płynący pod liberyjską banderą drgnął, a ze śródokręcia uniósł się kłęb czarnego dymu. Haasis poczuł ogromną ulgę na widok dwóch szalup, które błyskawicznie opuszczono z tonącej jednostki. Masowiec złamał się na dwie części, które zniknęły pod powierzchnią niemal jednocześnie dziesięć minut później.

— Dobry strzał, panowie — pochwalił załogę. — Puścimy nagranie z akcji w mesie podczas kolacji. — Następnie zwrócił się do oficera wachtowego: — Parker, powiadomcie „Oregon” o zatopieniu statku. Niech wyłowią rozbitków.

— Tak jest — odpowiedział porucznik.

Po kilku chwilach wrócił przed oblicze dowódcy.

— Wiadomość nadana i potwierdzona. „Oregon” już jest w drodze.

— Bardzo dobrze.

— Panie komandorze, czy mogę o coś spytać? Przypominam sobie, że kilka miesięcy temu widziałem „Oregon” w Osace. To zdezelowany, przestarzały frachtowiec. Jak to możliwe, że w tej chwili to jedyny statek w okolicy?

Haasis pokręcił głową.

— Nawet ja nie znam odpowiedzi na każde pytanie, synu. Otrzymuję rozkazy i wykonuję je najlepiej, jak potrafię.

— Tak jest.

Ale dzisiejszy rozkaz wyraźnie nie podobał się Haasisowi. Nie przedstawiono mu żadnych wyjaśnień, jedynie oczekiwane rezultaty. Czyn, którego się dopuścił, kładł się cieniem na jego sumieniu i nie pozwalał mu spać. Dopiero miesiąc później, gdy „Asheville” wrócił do bazy okrętów podwodnych Point Loma, komandor uzyskał wyczerpujące informacje o naturze

wykonanego zadania. "Algonquin" wiół do Korei Północnej ładunek rudy o wysokiej zawartości uranu, wystarczający na skonstruowanie kilku tuzinów głowic nuklearnych. Po poznaniu prawdy — i przy okazji otrzymaniu pochwały dla całej załogi — doświadczony dowódca już nigdy więcej nie miał problemów z zasypianiem.

ROZDZIAŁ 81

Wygląda na to, że ktoś pilnuje gniazdka — powiedział Gunn.

Przekazał lornetkę towarzyszącemu mu na mostku Pittowi. „Sargasso Sea” sunął po spokojnym morzu dwanaście mil od wschodniego krańca Kuby.

Pitt ustawił ostrość na nowoczesnym statku hydrograficznym, stojącym z zatrzymanymi maszynami pół mili dalej.

— Wiedzieliśmy, że po wykradzeniu dokumentów Perlmutterowi Diaz wysłał swojego zastępcę z zadaniem odnalezienia „San Antonio” — rzekł. — To musi być on.

— Już tylko on pozostał na wolności — odparł Gunn. — Słyszałem, że kubańskiego włamywacza, który niepokoił Perlmuttera, spotkał smutny los. Okazało się, że przebywał w kraju nielegalnie, a co więcej, znajdował się pod obserwacją FBI w związku z podejrzeniem o szpiegostwo przemysłowe. Aresztowali go krótko po włamaniu i nieprędko wyjdzie na wolność.

Gdy zbliżali się do statku, dołączył do nich Giordino.

— Może powinniśmy im podziękować za ułatwienie nam zadania? Oszczędzili nam kilku dni żmudnych poszukiwań.

— Nie sądzę, żeby poprawiło im to humor — stwierdził Gunn z uśmiechem.

Z radia na mostku rozległ się szorstki głos, mówiący z wyraźnym obcym akcentem:

— Wzywam amerykański statek. Znajdujecie się na zamkniętym akwenu. Wycofajcie się natychmiast albo zostaniecie ostrzelani.

— Mówiłem, że będą grymasić. — Gunn był dziś wyjątkowo gadatliwy.

— To chyba dobry moment na wezwanie naszych przyjaciół — uznał Pitt. Zmienił częstotliwość, połączył się z łądem i wywołał statek hydrograficzny. — Tu statek badawczy „Sargasso Sea”. Macie dwadzieścia minut na opuszczenie tego rejonu i odpłynięcie do Baracoa. W przeciwnym razie to wy zostaniecie ostrzelani.

Odpowiedzią na jego słowa była bardzo emocjonalna wiązanka hiszpańskich przekleństw.

— To już nie jest grymaszenie — uznał Giordino. — To prawdziwe zrzędenie.

— Lepiej odsuńmy się troszkę, zanim przylecą komary.

„Sargasso Sea” zrobił zwrot i popłynął bardzo wolno w kierunku wybrzeża Kuby. Po upływie dwudziestu minut zawrócił i podszedł na odległość stu metrów do statku hydrograficznego. Z radia znowu posypały się przekleństwa, ale nie zwracał na nie większej uwagi.

Gunn wskazał coś za oknem.

— Robią demonstrację siły — powiedział z nutką zdenerwowania w głosie.

Przy relingu statku hydrograficznego pojawiło się pięciu umundurowanych ludzi z karabinami szturmowymi w rękach. Szósty zamiast karabinu miał granatnik.

— Cała załoga pod pokład! — rozkazał Pitt przez głośniki.

Z radia znów dobiegł nieprzyjemny jazgot. Tym razem

Pitt rozpoznał głos Moliny.

— To wasza ostatnia szansa. Wynoście się stąd albo otworzymy ogień.

Zobaczył, jak Molina wychodzi na pokład. Gdy zaczął wydawać polecenia, nagle z oddali rozległ się głośny łomot. Żołnierze zamarli, kiedy na wodzie tuż przed nimi pojawiły się niewielkie fale. Chwilę później nad ich głowami przeleciał wojskowy helikopter, opadając bardzo nisko i zatrzymując się tuż przy burcie. Niebo nabrało ciemniejszej barwy, gdy na miejsce przyleciały trzy kolejne maszyny, okrążając statek i strzelając w wodę tuż przy kadłubie.

Była to eskadra kubańskich Mi— 24 z pobliskiej bazy wojskowej. Pitt słyszał, jak dowódca śmigłowców nawiązuje kontakt z załogą ostrzelanego statku, grożąc natychmiastowym zniszczeniem w razie sprzeciwu.

Molina posłuchał głosu rozsądku i skierował swoją jednostkę do portu. Niechciana eskorta towarzyszyła mu przez całą drogę.

Pod okiem Giordino z rufy opuszczono do wody „rybkę” holowanego sonaru bocznego, za pomocą którego pracownicy NUMA zaczęli badanie dna oceanu. Po godzinie na niewielkim monitorze pojawił się zatopiony statek, znajdujący się bardzo blisko miejsca, którego jeszcze niedawno tak zawzięcie bronił Molina.

Nośnik przetwornika sonaru został podniesiony na pokład, a tymczasem przygotowywano do wodowania naprawionego i odświeżonego „Starfisha”. Pitt spotkał się ze swoimi dziećmi przy pojeździe.

— To wasza przygoda — powiedział. — Idźcie znaleźć swój skarb.

— Drugi raz nie musisz powtarzać. — Dirk natychmiast zajął miejsce w kabinie.

Tymczasem Summer uściskała ojca.

— Dzięki, że nas tak rozpieszczasz.

— Jasne, tylko tym razem wróc o własnych siłach, dobrze?

Chwilę później pojazd podwodny zbliżył się do dna na głębokości stu pięćdziesięciu metrów. Gunn ustawił „Sargasso Sea” dokładnie nad celem. Od razu zobaczyli wrak. Dirk podpłynął nad nim i zaczął przyglądać się temu, co zostało z wiekowego statku.

Według zapisków odnalezionych przez Perlmuttera „San Antonio” był parowcem pocztowym, zbudowanym w Belfaście w 1887 roku. Dziesiątki lat spędzonych pod wodą nie obeszyły się z nim łaskawie. Drewniany kadłub i pokłady właściwie przestały istnieć, na dnie widać było niewiele więcej nad przysypaną piaskiem stępkę.

Dirk przepłynął do środkowej części wraku, gdzie w dalszym ciągu stał kocioł maszyny, niczym samotny strażnik rozpadającej się maszynerii. Przy rufie światła reflektorów „Starfisha” ukazywały wykonaną z brązu śrubę napędową, która jako jedyna przetrwała cały ten czas bez żadnych uszkodzeń.

— Tutejsza fauna musiała mieć niezłą wyżerkę — stwierdziła Summer. — Praktycznie nie ma śladu drewna.

— Na szczęście tutejsi mieszkańcy nie jadają kamieni — zauważył Dirk. — Ich żarłoczność ułatwi nam przeszukiwanie wraku.

Poczynając od dziobu, rozpoczęli bliższe oględziny, tu i tam badając rozmaite fragmenty statku roboczym ramieniem „Starfisha”. Gdy ponownie dotarli do kotła, Summer wyciągnęła przed siebie rękę i zawołała:

— Tam jest, oparta o kocioł!

Dirk podpłynął niżej, by móc się przyjrzeć. Między zniszczonymi rupieciami stała połowa kamiennej płyty, oparta o jedną ze ścian kotła. Wymiary miała identyczne z kamieniem, który znaleźli w Zimapán.

— Pewnie leżała na głównym pokładzie i zsunęła się, gdy statek się rozpadał — uznał Dirk, przybijając siostrze piątkę. — Masz oko, koleżanko.

Summer posłała mu zmęczony uśmiech.

— Po tym wszystkim, przez co musieliśmy przejść, żeby odnaleźć cały kamień, mam nadzieję, że jest na nim coś naprawdę ciekawego.

ROZDZIAŁ 82

Minęło jeszcze kilka godzin, zanim Summer przekonała się, ile warte są jej nadzieje. Proces zakładania na kamień nosidła i podczepiania do niego bojek wypornościowych wymagał dwóch wycieczek na powierzchnię i bardzo precyzyjnego manewrowania roboczym ramieniem „Starfisha”. Na koniec rodzeństwo chwyciło manipulatorem linę, pomagając bojkom i przyspieszając proces wynurzania się kamienia.

Operator dźwigu ułożył go ostrożnie na pokładzie statku, a następnie wyłowił pojazd podwodny. Gdy Summer i Dirk mogli wreszcie przyjrzeć się swojemu znalezisku, wokół artefaktu zdążyła się już zebrać gromadka członków załogi i naukowców.

— Wygląda na to, że idealnie pasuje do kamienia z gabinetu Diaza — powiedział Pitt.

Wryte znaki były mniej wyraźne, zapewne wskutek dziesięcioleci spędzonych pod wodą, ale Summer stwierdziła, że są bardzo podobne do tych na pierwszej części tablicy. Przede wszystkim rzucił się jej w oczy rysunek ptaka, którego teraz mogła zidentyfikować jako czapłę.

Najważniejszym fragmentem był prawdopodobnie kształt w dolnej części kamienia. Przypominał dokładne odwzorowanie jakiejś zatoki lub portu, z kilkoma wysepkami rozsianymi tu i ówdzie. Musnęła palcami powierzchnię tablicy, zastanawiając się, jaką tajemnicę skrywa.

— Możesz się na chwilę odsunąć? — usłyszała głos Jacka Dahlgrena. — Zasłaniasz widok.

Odwróciła się i zobaczyła, że Dahlgren stoi przy kamerze zamontowanej na statywie.

— Nawiązaliście połączenie z doktorem Madero? — spytała.

— Owszem, możecie z nim pogadać przez Skype’a. Laptop leży na stojaku z butlami.

Summer i Dirk podeszli do komputera, na którego ekranie widniała twarz Madero siedzącego w swoim gabinecie w Meksyku. Głowę miał owiniętą bandażem, ale uśmiechał się szeroko.

— Witajcie, właśnie odbieram pierwsze zdjęcia. Są fenomenalne!

— Długo musieliśmy na nie czekać — odrzekła Summer. — Jak się pan czuje, profesorze?

— Dziękuję, całkiem nieźle. Co jakiś czas męczy mnie jeszcze ból głowy, ale lekarze zapewniają, że to niedługo minie. To bardzo ciekawe doświadczenie obudzić się po trzech dniach w szpitalu. Na początku zupełnie nie pamiętałem, co zaszło, ale z czasem wszystko wróciło.

— Byliśmy wstrząśnięci na wieść, że Diaz pana zaatakował.

— To był zły człowiek, ale spotkała go za to surowa kara. Cieszę się, że oboje jesteście już bezpieczni.

— Bezpieczni tak, ale w tej chwili przede wszystkim diabelnie ciekawi, co oznaczają znaki z tablicy — powiedziała Summer, gdy tymczasem dołączyli do nich Pitt i Giordino.

— Dopasowałem już zdjęcie pierwszej połowy do obrazu wyłowionej części, przesłanego mi przez waszego kolegę, pana Dahlgrena. Teraz mogę dokonać wstępnego tłumaczenia całości. Doktor Torres, niech spoczywa w pokoju, z pewnością potrafiłby zrobić to lepiej.

— I jak brzmi pełna treść zapisu? — spytała podekscytowana Summer.

— Postaram się to streścić najlepiej, jak umiem. Na początku historii pojawia się Quetzalcoatl, legendarny władca Tolteków, na czele armii. Motecuhzoma wita go uroczyście, ale wkrótce potem zostaje zabity. Przeciwno najeźdźcom wybucha powstanie, dochodzi do bardzo krwawych starć. Quetzalcoatl uchodzi w czasie walk. Potem starszyzna zbiera podarunki i cenne przedmioty, które przekazuje pod opiekę wojowników orłów i wojowników jaguarów. Dary zostają przewiezione na siedmiu łodziach na wyspę zaznaczoną na planie w dolnej części kamienia. Dalej pojawia się wizerunek boga Huitzilopochtli, opiekuńczego bóstwa Azteków. To, w połączeniu z rysunkiem czapli, sugeruje, że celem podróży była ich mityczna ojczyzna, Aztlán.

— Wiadomo, gdzie znajduje się ta wyspa? — zapytał Dirk.

— Jedyłą wskazówką jest plan na dole kamienia oraz informacja, że podróż trwała dziesięć dni. Nie wiemy, ani skąd wypłynęli, ani w jakim kierunku, więc trudno dojść do jakichś konkretnych wniosków.

— Przesłałem zdjęcie kamienia do Yaegera — wtrącił Dahlgren, który przed minutą dołączył do reszty. — Może jego system komputerowy znajdzie na mapach miejsce odpowiadające wyrytemu schematowi.

— Rozumiem fragment o przewożeniu skarbów — odezwał się Giordino — ale czy może mi pan wyjaśnić, kim są Quetzalcoatl, Motecuhzoma i Huitzilopochtli?

— Huitzilopochtli to otoczony boską czcią aztecki ojciec założyciel, ktoś w rodzaju deifikowanego Jerzego Waszyngtona. To on poprowadził ich do Tenochtitlan. Quetzalcoatl był legendarnym przywódcą Tolteków, żyjącym kilka stuleci wcześniej. Aztekowie wierzyli, że pewnego dnia powróci, aby ponownie zasiąść na swoim tronie. Legendę tę powiązano z przybyciem Hernana Cortesa i jego konkwistadorów w 1519 roku. Wielu historyków twierdzi, że Aztekowie uważali Cortesa za drugą inkarnację Quetzalcoatla. Historia opowiedziana na tym kamieniu zdaje się to potwierdzać.

— Dobrze, ale skoro Cortes okazał się wcieleniem Quetzalcoatla, to kim w takim razie był Motecuhzoma? — drążył Giordino.

— Częściej mówi się o nim Montezuma — podpowiedział Pitt.

Summer spojrzała na ojca.

— Więc właśnie to odkryłeś w gabinecie Diaza?

— Tylko się domyślałem. Diaz miał u siebie stronę kodeksu przedstawiającą wojownika przystrojonego klejnotami i nakryciem głowy z zielonych piór. Widziałem kiedyś zdjęcia, na których podobny kapelusz przedstawiano jako atrybut Montezumy.

— A raczej Moctezumy, jak mówimy dzisiaj, trzymając się bliżej poprawnej pisowni — uściślił Madero.

— Diaz wiedział, że kamień jest związany z Montezumą — dokończył Pitt. — Dlatego był gotów was zabić, aby go zdobyć.

— A dlaczego ten Moctezuma jest taki ważny? — spytał Giordino.

— To bardzo proste — odparł Madero i kontynuował wykład: — Widzicie, historia opisana na kamieniu pokrywa się z relacjami hiszpańskich odkrywców. Cortes przybył do Ameryki na czele pięciuset żołnierzy w pobliżu dzisiejszego Veracruz w roku 1519. Bardzo szybko dotarli do stolicy Azteków, Tenochtitlan, wspaniałego miasta zbudowanego na wyspie na jeziorze Texcoco, które dziś znajduje się w samym centrum Mexico City. Moctezuma osobiście powitał Cortesa i jego ludzi, ale czuć było w powietrzu, że obie strony nie mają do siebie za grosz zaufania. Mimo to władca Azteków pokazał Cortesowi skarby swojego imperium, wśród których znajdowały się ogromne góry złota. Niedługo później Moctezuma został zabity, prawdopodobnie przez swoich poddanych, a Cortes nie zdołał utrzymać pokoju. Hiszpanie musieli uciekać, cudem unikając śmierci z rąk rozsierdzonych azteckich wojowników.

— Więc nie udało im się przejąć złota? — Giordino był wyraźnie żądny wiedzy.

— Zabrali ze sobą tylko niewielką część skarbu. Cortes przegrupował swoje siły i wrócił do Tenochtitlan kilka miesięcy później. Po krwawym oblężeniu zajął miasto, ale nie znalazł tam ani śladu złota czy kosztowności. Od tamtej pory miejsce ukrycia skarbu Moctezumy pozostawało zagadką.

— Aż do dziś — dokończył Pitt. — Odnalezione zapiski i kamienna tablica mówią nam wyraźnie, co zaszło. Aztekowie załadowali wszystko na wielkie kanoe i popłynęli na wschód w stronę Karaibów. Znaleźliśmy jedną z ich łodzi na dnie niedaleko Jamajki, więc wiemy, że istniały naprawdę i miały wystarczającą dzielność morską.

— To musiała być niezwykła podróż. Postaram się sporządzić pełne tłumaczenie znaków z tablicy — powiedział Madero. — Jeśli znajdę jeszcze jakieś informacje, dam wam znać.

— Dziękujemy, panie profesorze — odparła Summer i zaproponowała: — Może spotkamy się w Muzeum Narodowym w Hawanie, żeby obejrzeć połączone połówki tablicy?

— Bardzo chętnie — zgodził się Madero, po czym rozłączył się i zniknął z ekranu.

— Pozostaje więc pytanie: dokąd popłynęli? — stwierdziła dziewczyna.

Wśród zebranych zapadła cisza, przerwana po chwili przez Dahlgrena, który wskazywał coś na komputerze.

— Może Hiram będzie umiał udzielić odpowiedzi.

Uruchomił przekaz wideo, na którym zobaczyli Yaegera znajdującego się w swoim centrum komputerowym w siedzibie NUMA.

— Podobno potrzebujecie pomocy ze swoją mapą skarbu.

— Niestety, Aztekowie nie byli uprzejmi zostawić nam współrzędnych geograficznych — przyznał Pitt. — Udało ci się coś ustalić na podstawie odwzorowania z kamienia?

— Prawdę powiedziawszy, Max rozwiązał waszą łamigłówkę w dwanaście sekund — odparł Yaeger, mając na myśli swój system komputerowy. — Przeprowadziłem analizę porównawczą map geograficznych, ograniczając poszukiwania do rejonów Zatoki Meksykańskiej, Morza Karaibskiego i obu wybrzeży Meksyku. Otrzymałem kilkanaście domniemanych propozycji i jedno bardzo bliskie trafienie.

Uniósł do kamery kartkę papieru, na której znajdował się plan z kamiennej tablicy, a obok dołączył drugą, z satelitarnym zdjęciem bardzo podobnie wyglądającej zatoki.

— Wygląda dokładnie tak samo — stwierdził Pitt.

— Jak daleko jesteśmy od tego miejsca? — zapytała Summer, przeciskając się do komputera. — Czy możemy od razu tam popłynąć?

— Och, dotarcie tam nie sprawi wam problemu — odparł Yaeger, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu. — Ale z powrotem może być już gorzej.

ROZDZIAŁ 83

W 1494 roku Krzysztof Kolumb nadał przypominającej półksiężyc zatoce nazwę Puerto Grande. Przez następne czterysta lat pozostawała pod panowaniem Hiszpanów, stanowiąc bardzo ważny punkt przeładunkowy bawełny i cukru. W czerwcu 1898 roku w jednym z pierwszych aktów wojny amerykańsko-hiszpańskiej oddziały marines przeprowadziły desant w zatoce i zajęły całą okolicę. Od tego czasu zatoka przyjęła nazwę od pobliskiej rzeki, stając się zatoką Guantanamo.

Po błyskawicznym rozbiciu Hiszpanów Amerykanie wydzierżawili od nowego rządu niepodległej już Kuby około stu dwudziestu kilometrów kwadratowych terenu wokół zewnętrznej części zatoki w celu utworzenia bazy zaopatrzeniowej dla swoich okrętów. Obecnie znajdowała się tam baza US Navy z okrytym złą sławą więzieniem. Amerykanie nadal co roku płacili Kubie zaledwie kilka tysięcy dolarów za wieczyste użytkowanie tej ziemi — w czekach, których rząd Castro nie realizował już od dawna.

Summer stała na dziobie „Sargasso Sea”, rozkoszując się słońcem i powiewem wiatru, podczas gdy statek wpływał do zatoki. W powietrzu pojawił się samolot zwiadowczy Orion P— 3, który podszedł do lądowania na niewielkim lotnisku po jej lewej, tymczasem statek skręcił w drugą stronę, kierując się do bazy marynarki wojennej. Wkrótce przybili do burty stojącej przy nabrzeżu fregaty.

Schodząc z pokładu, Summer dołączyła do ojca, brata i Giordino.

Na fregacie czekało na nich dwóch oficerów. Ku ich zdziwieniu, towarzyszył im St. Julien Perlmutter, który przyleciał z Waszyngtonu, po raz pierwszy od dziesięciu lat zmuszając się do podróży samolotem.

— Witamy w Gitmo — odezwał się oficjalnym tonem starszy z oficerów. — Nazywam się admirał Stewart, jestem dowódcą grupy operacyjnej.

— Miło nam, że zechciał nas pan powitać osobiście, panie admirale. — Pitt uściśnął podaną mu dłoń.

— Nieczęsto sam wiceprezydent Stanów Zjednoczonych nakazuje mi brać udział w historycznym szukaniu igły w stogu siana.

— Zapewniam pana, że nie przyjechaliśmy tutaj po igły — nastroszył się Perlmutter.

— Przedstawiam państwu komandora porucznika Harolda Joyce'a. Poza innymi obowiązkami pełni funkcję historyka naszej bazy. Jestem pewien, że będzie w stanie udzielić wszelkiej niezbędnej pomocy. A teraz proszę mi wybaczyć — powiedziawszy to, Stewart odwrócił się i zszedł z pokładu.

— Ktoś tu dzisiaj wstał lewą nogą — skomentował Dirk, wywołując nerwowy chichot młodszego oficera.

— Nasz dowódca nie lubi, gdy politycy mówią mu, co ma robić. A zwłaszcza ci politycy, którzy kiedyś byli jego podkomendnymi.

— Wiceprezydent Sandecker ma prawdziwy talent do deptania ludziom po odciskach — przyznał Pitt.

Komandor porucznik Joyce, niski mężczyzna w okularach, uśmiechnął się przymilnie do Summer, po czym zwrócił się do Perlmuttera.

— Panie Perlmutter, jestem zaszczycony pańską wizytą w Gitmo. Niedawno skończyłem czytać pańską historię marynarki wojennej Rzymu. Uważam, że jest fascynująca.

— Należy pan do bardzo wąskiego grona osób, tym bardziej więc dziękuję — odparł St. Julien. — Czy udało się już coś ustalić w naszej sprawie?

— Doniesiono mi, że poszukujecie jaskini czy też skarbnicy na jednej z okolicznych wysp. Mamy tu kilkanaście wysepek, ale tylko dwie z nich są na tyle duże, aby mogło znajdować się na nich to, czego szukacie — Hospital Cay i Medico Cay. Zbadałem obie wyspy, ale na żadnej nie znalazłem ani śladu naturalnych jaskiń.

— Może została zasypana — zasugerowała Summer.

— To niewykluczone. — Joyce ochoczo przyznał jej rację. — Znalazłem tylko jeden punkt, który może skrywać coś interesującego. To stary skład amunicji na Hospital Cay. Początkowo nie przywiązywałem do niego większej wagi, ale gdy sprawdziłem rejestry, przekonałem się, że jest to najstarszy budynek na terenie bazy, wzniesiony w pierwszych latach po jej założeniu. Dziś jest zamknięty na głucho, ale w zapiskach nie znalazłem żadnego dowodu na to, że kiedykolwiek cokolwiek w nim przechowywano.

— Skoro już tu jesteśmy, to chyba moglibyśmy zajrzeć do środka?

— Tak, to najlepsze, co możemy zrobić — poparł ją Perlmutter.

— Oczywiście — zgodził się Joyce. — Pozwoliłem sobie zawczasu postarać się o zgodę dowódcy. Najtrudniejszym zadaniem było odnalezienie klucza. Całymi godzinami przetrząsałem archiwa. Nie odkurzano tam chyba ze sto lat.

— I z jakim skutkiem? — dopytywała się Summer.

Joyce w odpowiedzi zaprezentował mosiężny klucz wielkości dużej książki.

— Przy nabrzeżu obok czeka motorówka — powiedział. — Sprawdźmy, co jest w środku.

Cała grupa z niejakim trudem wcisnęła się do motorówki. Joyce skierował się ku niewielkiej wyspie, leżącej mniej więcej na środku zatoki. Pitt zdziwił się, ujrawszy nagle przed sobą niewielki frachtowiec pod kubańską banderą.

— Zgodnie z postanowieniami umowy dzierżawy z 1903 roku Kubańczycy zachowują pełne prawo do przepływania przez zatokę, mimo że znajduje się w samym centrum naszego kompleksu — wyjaśnił Joyce. — Dawniej zdarzało się, że przyływały do nas tratwy z uchodźcami, ale dzisiaj Kubańczycy lepiej pilnują swoich spraw.

Wkrótce przybili do brzegu Hospital Cay, około kilometrowej wyspy z podłużnym wzniesieniem na środku, które ciągnęło się przez prawie całą jej długość, przypominając wystający kręgosłup. Była jałowa, tak jak cały okoliczny teren, pokrywały ją tylko rzadkie kępki krzewów i kaktusy.

Pitt zauważył kilka sporych zagłębień niedaleko miejsca, w którym się zatrzymali, zapewne pozostałości po jakimś budynku.

— Ta wyspa była ważna w historii bazy? — spytał.

— Owszem — potwierdził Joyce. — Tutaj zbudowano pierwszy skład węgla do zaopatrywania okrętów. Właśnie po to wydzierzawiono tę ziemię. Na wzgórzu stało kilka bunkrów, z których poprowadzono linię transportową schodzącą do portu. Wszystko zburzono po 1937, zaraz potem, gdy marynarka przestała korzystać z okrętów opalanych węglem.

Dirk rozejrzał się po opuszczonej wyspie.

— Niewiele po sobie zostawili.

— Od tamtej pory wyspa była całkiem pusta, nie licząc tego składu amunicji. Znajduje się na północnym skraju.

Spacer nie trwał długo, ale i tak zdążyli się spocić w gorącym, wilgotnym powietrzu, zanim dotarli do niewielkiego zagłębienia w grzbiecie wzgórza. Joyce poprowadził ich do betonowej bramy zamkniętej stalowymi drzwiami. Wsunął do zamka mosiężny klucz i spróbował go przekręcić, ale mechanizm nie chciał ustąpić.

— Pokaż mi to cudo, młodzieńcze. — Perlmutter odsunął go niecierpliwie na bok. Chwycił klucz i potraktował go mocą swojego dwustukilogramowego cielska. Zamek szczyknął i drzwi stanęły otworem.

Znajdujące się za nimi pomieszczenie było puste. Rozciągało się na jakieś sześć metrów w głąb wzgórza, kończąc ścianą z równo ułożonych kamiennych bloków. Nie było tu ani amunicji, ani skarbu. Wszyscy rozglądali się dookoła z wyraźnym rozczarowaniem.

— To by było tyle w kwestii skarbu Montezumy — skwitowała Summer, nie kryjąc żalu w głosie.

— Pewnie uprzedzili nas jacyś włamywacze — mruknął ponuro Joyce.

— Nie byłby to pierwszy raz, kiedy złodzieje uprzedzili archeologów — przyznał Perlmutter. — Piramidy spotkał podobny los.

— Tak, trzy **tysiące** lat temu — podchwycił Pitt nieobecny głosem, obchodząc ściany pomieszczenia i przyglądając się łączeniu kamieni.

— Szukasz ukrytego przejścia? — Perlmutter rzucił mu krzywe spojrzenie.

Pitt zaczął opukiwać ściany wielkim kluczem.

— Trudno mi uwierzyć, że nie ma żadnych śladów po tym, co się tu znajdowało. Zupełnie jakby komuś zależało, by nic po sobie nie zostawić.

Giordino poświecił latarką na betonową posadzkę.

— Wstyd przyznać, ale czyściej tu niż u mnie w domu.

Po czterdziestu minutach żmudnego stukania w kamienie Pitt usłyszał przytłumione dudnienie zamiast spodziewanego ostrego odgłosu.

Al poszedł do motorówki i pół godziny później wrócił z narzędziami. Wraz z Pittem zaatakowali kamień dłutem i młotkiem.

Pracowali na zmianę i wkrótce wydrążyli sporą dziurę wzdłuż krawędzi kamienia. Wsuwając dłuto w powstałą szczelinę i pomagając sobie długim śrubokrętem, podważyli go z jednej strony. Spoceni i zdyszani z wysiłku zdołali wysunąć kamień o kilka centymetrów. Podłubali z przeciwnej strony i udało im się wysunąć go jeszcze odrobinę. Giordino kazał się wszystkim cofnąć, po czym sam chwycił obluzowany kamień i zestawił go na ziemię.

Przez chwilę wszyscy tylko wpatrywali się w powstałą dziurę, bojąc się zajrzeć na drugą stronę i przekonać, że nic tam nie ma. W końcu Pitt wsunął do środka latarkę i poświecił po ciemnej kryjówce. Nie mogąc dłużej powstrzymać podekscytowania, Summer zajrzała do otworu.

— Widzę jaguara — powiedziała cicho. — Chyba stoi tu na straży.

Dirk, który miał już dość suspense, odsunął ją na bok.

— Tu jest dość złota, by zasypać Fort Knox! — wykrzyknął.

Wszyscy zaczęli rozbierać ścianę, aż szczelina była wystarczająco duża, by mogli wejść do drugiego pomieszczenia.

Summer zrobiła to pierwsza. Powitał ją wielki żółty kot w czarne cętki z wyszczerzonymi ostrzegawczo kłami. Poświeciła niżej, odsłaniając posąg indiańskiego wojownika z nakryciem głowy w kształcie jaguara.

Minęła figurę. Długa, ciemna jaskinia przed nią błyszczała bursztynowymi odbłaskami odbijającymi światło latarki.

Złoto.

Wszystko tu było ze złota: rzeźbione figurki, włócznie, tarcze i biżuteria ułożona na kamiennych tacach i misach. Pod jedną ze ścian stało ogromne drewniane kanoe, wypełnione po brzegi wyrobami ze złota, wysadzany klejnotami maskami i misternie wykonanymi kamiennymi dyskami.

Pozostali dołączyli do Summer i tak jak ona gapili się, nie mogąc wykrztusić słowa.

Joyce był najbardziej oszołomiony.

— Co to jest? — wykrztusił.

Pitt wskazał ręką wielką bawełnianą pelerynę ozdobioną kamieniami szlachetnymi i zielonymi piórami.

— Skarb Montezumy.

— Niewielkie to pocieszenie po śmierci doktora Torresa — powiedziała Summer, przytulając się do brata.

Perlmutter wpatrywał się w artefakty z niemal dziecięcym zachwytem.

— A więc to prawda — mruknął.

— Mam wrażenie, że nie powiedziałeś nam wszystkiego, St. Julienie — rzekł Pitt, podchodząc do wielkiego mężczyzny. — Na pewno wiedziałeś o tym już wcześniej.

Perlmutter uśmiechnął się.

— Nie chciałem przedwcześnie pisać historii na nowo, ale teraz mam ostateczny dowód. Jak już wiecie, oddział hiszpańskich komandosów, współpracując z archeologiem Julio Rodriguezem, wysadził w powietrze krążownik „Maine”, aby przejąć kamień Azteków. Na trop naprowadził mnie raport z sekcji zwłok Ellswortha Boyda. Napisano w nim, że badacz zginął na skutek postrzału, najprawdopodobniej z hiszpańskiego rewolweru, który wyłowiliście z wraku okrętu.

— Wygląda na to, że Rodriguez płynął właśnie tutaj — powiedział Pitt.

Perlmutter pokiwał głową.

— Kilka lat wcześniej prowadził wykopaliska przy dawnym osiedlu Indian Taino w zatoce Guantanamo, więc dobrze znał tutejsze tereny. Gdy zobaczył schemat wyryty na połowie tablicy odkrytej przez Boyda, rozpoznał to miejsce i niezwłocznie ruszył w drogę.

— Ale skoro tablica poszła na dno razem z „San Antonio”, jak rząd Stanów Zjednoczonych dowiedział się, gdzie jest skarb? I dlaczego wciąż tu leży?

— Boyd wiedział, co wskazuje kamień — kontynuował Perlmutter. — Jego współpracownik był ekspertem od kultur mezoamerykańskich, więc bardzo szybko udało im się powiązać artefakt ze skarbem Montezumy. Pewnie zamierzał wrócić do Nowego Jorku i ubiegać się o dotację na rozpoczęcie poszukiwań, ale statek, którym płynął, doznał awarii w Santiago. Rodriguez ścigał go całą drogę do Hawany i w końcu doprowadził do jego śmierci na „Maine”. Przedtem jednak zdążył opowiedzieć o wszystkim kubańskiemu konsulowi generalnemu oraz dowódcy okrętu. Znalazłem kilka komunikatów dotyczących zatopienia „Maine”, w których wspomina się o „znalezisku Boyda”. To by wyjaśniało, czemu „San Antonio” został tak szybko przechwycony i zatopiony przez flotę amerykańską. Rodriguez po wyłowieniu z wody jeszcze żył i wskazał Amerykanom Guantanamo. Od tego momentu raporty wojskowe prześcigają się w przedstawianiu dowodów, jak ważnym punktem strategicznym jest zatoka Guantanamo.

— Twierdzisz, że wojnę hiszpańsko-amerykańską wywołano po to, by przejąć skarb Montezumy? — spytał Pitt.

Perlmutter ponownie kiwnął głową.

— Była to jedna z głównych przyczyn, nie da się ukryć. Aby zdobyć skarb, zatopiono „Maine”, w tym samym celu dokonano też inwazji na Kubę.

— Ale dlaczego skarb wciąż jest tutaj?

— Waszyngton nie chciał drażnić dopiero co formujących się władz Kuby. Poza tym Stany Zjednoczone i tak stały się światową potęgą po błyskawicznym rozbiciu hiszpańskiej floty tutaj i na Filipinach. Dlatego odkrycie zostało wyciszzone. Prezydent McKinley uznał, że lepiej będzie poczekać kilka lat z ujawnieniem położenia skarbu, kazał go więc zabezpieczyć i trzymać w ukryciu, dopóki nie skończy się jego kadencja. Może nie spodziewał się, że jego miejsce zajmie Teodor Roosevelt.

— Roosevelt dowiedział się o skarbie?

— Tak, ale nie zamierzał upubliczniać tej informacji z przyczyn osobistych. Był znany jako bohater bitwy o wzgórze San Juan i nie chciał niszczyć swojej reputacji posądzeniami o to, że kierował się chciwością. Poza tym pod koniec jego prezydentury sytuacja w Meksyku zaczęła się pogarszać. Wybuchło powstanie przeciwko ówczesnemu przywódcy kraju Porfirio Diazowi, które z czasem miało się przerodzić w rewolucję meksykańską. Roosevelt wiedział, że wrząca już granica z Meksykiem zapłonie żywym ogniem na wieść, że Amerykanie przejęli skarb Moctezumy.

— I kazał wyciszyć całą sprawę?

— Dosłownie. Na jego polecenie skarb pozostał ukryty, wszelkie dokumenty dotyczące miejsca, gdzie się znajduje, zniszczono, a każdy, kto o nim wiedział, musiał złożyć przysięgę milczenia i nie miał prawa nigdy więcej nawet się zbliżyć do zatoki Guantanamo. Domyśliłem się tego, gdy wpadł mi w ręce podpisany przez Roosevelta dekret nakazujący utworzenie tajnego, ściśle strzeżonego składu na terenie bazy na, jak to określił, „przedmioty wielkiej wagi”.

— A potem słuch po nim zaginął.

— Otóż to.

Podeszła do nich Summer, niosąc figurkę czapli ze złotym dziobem i klejnotami w miejscu oczu.

— Czyż nie jest piękna? Doskonała robota.

— Tego złota starczyłoby na spłacenie długu narodowego — zauważył Dirk.

— To rzeczywiście niezwykła kolekcja — zgodził się Perlmutter. — Oby tylko nie doszło do trzeciej wojny światowej przy ustalaniu, do kogo powinna należeć.

— Razem z Dirkiem rozwiązaliśmy już tę kwestię — uspokoiła go Summer. — Kolekcję podzieli się na trzy części. Jedna trafi do Muzeum Narodowego w Hawanie, druga do Muzeum Antropologicznego Xalapa w Veracruz, a trzecia do Instytutu Smithsona, z zastrzeżeniem, że wszystkie trzy instytucje będą wymieniać kolekcję co pięć lat.

— Brzmi całkiem rozsądnie — uznał Pitt. — A jeśli marynarka wojenna zechce zatrzymać cały skarb?

Summer uśmiechnęła się przebiegle, po czym otoczyła ramieniem komandora porucznika Joyce'a i przyciągnęła do siebie.

— W takim wypadku będziemy musieli sięgnąć do metod Azteków i wyciąć kilka serc.

ROZDZIAŁ 84

Pukanie do drzwi stojącego na wzniesieniu domostwa wystraszyło mieszkańców, którzy bardzo rzadko przyjmowali gości.

— Sprawdź, kto to — powiedział Salvador Fariñas do żony, która oprawiała rybę w kuchni.

Otworzył drzwi i przez kilka minut rozmawiał z przybyszami na ganku. Po jakimś czasie wsunął głowę do domu i zawołał:

— Mario, podejdź tu na chwilę.

Maria wytarła ręce w fartuch i wyszła na zewnątrz. Zobaczyła ciężarówkę, z której dwóch mężczyzn wypakowywało dziwne podłużne skrzynie.

Fariñas dobierał się właśnie do jednej z nich śrubokrętem. Gdy zauważył żonę, spojrzął na nią i powiedział drżącym głosem:

— Odesłali je, Mario. Oddali ci wszystkie!

Nie rozumiejąc, o co mu chodzi, podeszła bliżej, podczas gdy Salvador już zdejmował wieko. W środku był obraz. Przedstawiał starszą kobietę trzymającą bukiet kwiatów. Maria natychmiast rozpoznała portret swojej matki, który namalowała przeszło czterdzieści lat temu.

— Mama — szepnęła.

Spojrzała na ciężarówkę i resztę wyjmowanych z niej skrzyń.

— We wszystkich są moje obrazy?

— Tak! — potwierdził Fariñas. — Zwrócili wszystkie, co do jednego.

— Nie rozumiem — wykrztusiła przez ściśnięte gardło.

Jeszcze dłuższą chwilę stała nieruchomo, powstrzymując łzy napływające jej do oczu, a potem razem z mężem zaczęła otwierać pozostałe skrzynie. Przyglądała się każdemu z obrazów jak matka odzyskanym po latach dzieciom.

Kiedy wszystkie skrzynie znalazły się na ziemi, jeden z mężczyzn podszedł do niej.

— To dla pani, señora Fariñas — rzekł i wręczył jej grubą kopertę. — Życzę miłego dnia.

— Dziękuję — odpowiedziała, otwierając kopertę. W środku znajdowała się niewielka zapisana kartka i spory przedmiot owinięty brązowym papierem. Przeczytała krótką notkę.

Mario!

Pamiętaj, że artysta, którego mamy w sobie, nigdy nie umiera.

Dirk Pitt

Rozwinęła papier i znalazła w środku luksusowy pędzel malarski Kolinsky z sobolowym włosiem.

Po jej policzkach popłynęły łzy. Otarła je skrajem fartucha, wyprostowała się i uniósłszy pędzel wysoko nad głowę, zawołała mocnym głosem:

— Absolutamente!